

Jill Barnett

ŻYCZENIA

Mężczyźni, który głośno tupiąc w dach, udawał, że jest reniferem świętego Mikołaja. Temu samemu mężczyźnie, cichemu bohaterowi, który musiał powiedzieć dziesięcioletniej dziewczynce, że jej mama umarła, kiedy razem z tą kobietą umarła także częśćka jego samego.

Ojcom, którzy uczą córki, że mogą o sobie decydować, i którzy wiedzą, kiedy na to pozwolić. Mężczyźni, który przez całe życie był przy mnie, mojemu Ojcu.

Joe Cornowi i Jego Pięciu Maluchom; kotysankom granym na trąbce z tłumikiem. Sobotom spędzonym w rupieciarni i tańcom - wygłupom towarzyszącym piosenkom, które grałeś.

Meczom baseballowych Dodgersów i filmom Johna Wayne 'a; Twojemu darowi śmiechu i Twojemu darowi życia.

Podziękowania

Szczerze wdzięczna, dziękuję Jude Deveraux i Judith McNaught za umożliwienie mi dotarcia do czytelników A Holiday of Love. Te utalentowane i odnoszące fenomenalne sukcesy Panie podarowały mi najlepszy prezent gwiazdkowy, o jakim pisarz mógłby marzyć.

Specjalne podziękowania należą się Susan Elizabeth Phillips, mojej ulubionej pisarce, która bardzo uprzejmie zgodziła się przeczytać jeszcze chropawy tekst i której uwagi pomogły mi w udoskonaleniu tej książki.

W moim życiu są wyjątkowe osoby, będące częścią każdej napisanej przeze mnie książki: moja rodzina, która stara się zrozumieć moją pisarską pasję i gorączkę dni, gdy zbliża się termin, kiedy książka powinna być gotowa. Moim dobrym duchom, Elaine Coffman, Penny Williamson i Kristin Hannah - prawdziwym opokom - które zawsze mają dla mnie czas i których uczciwość i rady bardzo sobie cenię. Agentce, Maureen Walters, która potrafi słuchać i rozumie, kiedy wszystko nabiera cech szaleństwa. I redaktorce, Lindzie Marrow, która była mi przewodnikiem i inspiratorem, która wita każdą książkę z entuzjazmem i nigdy nie mówi: „ty nie mogłabyś napisać czegoś takiego”.

Dziękuję Wam wszystkim

Wiedza jest niczym,

Marzenie jest wszystkim.

Anatole France

Marzyć...

Gdzieś na Oceanie Spokojnym, październik 1896 r.

Butelka była stara jak świat.

Unosiła się na powierzchni wody popychana falami niczym resztki rozbitego statku, a nie bogato zdobione srebrne cacko; Rzeźbiona zatyczka odbijała jasne promienie słoneczne. Szybującym w górze mewom błyszcząca butelka jawiła się jako tłusty połyskujący śledź - łowieckie trofeum. Wiele ptaków pikowało w dół i równie szybko wznosiło się w powietrze po tym, jak ich dzioby trafiały na twardy metal, zamiast zagłębić się w delikatnym, pokrytym lśniącymi łuskami mięsie.

To smutne, ale wiekowa butelka nie była ozdobiona żadnymi klejnotami. Ślady ptasich dziobnięć i zadrapania tu i tam zastępowały inkrustację. Wszystko dlatego, że na drogocenne kamienie, podobnie zresztą jak na aureolę, trzeba zasłużyć.

Rubin w kolorze krwi dodałby srebrnym ściankom odrobinę wyrazu. Brylant okraszyłby je zapierającym dech w piersi przepychem. Perła byłaby zaś jak order za dzielność przyznany bohaterowi, bo jedynie ona sprostałaby wadze symbolu, jako jeden z najszlachetniejszych klejnotów. Otóż to, perła byłaby godnym zwieńczeniem butelki dżinna

Tak, tak... dżinna. Niejakiego Muhdula Alego, purpurowego dżinna z Persji, znanego także jako Muddy.

Od zarania dziejów ludzie upierali się przy tym, że dżinny nie istnieją. A przecież wierzyli w cuda i anioły - ile aniołów zmieści się na łebku szpilki? (Odpowiedź brzmi: ani jeden. Łebek szpilki jest po prostu za mały dla aniołów. Jedynie wróżki znajdują tam wystarczająco dużo miejsca dla siebie.)

Trzeba jednak pamiętać, że ci ludzie nie byli marzycielami. To pragmatycy i uczeni, zbyt zajęci, by mieć czas na marzenia. A Muddy najbardziej na świecie pragnął znaleźć się we władzy człowieka o czystym sercu, jednego spośród tych, którzy wierzą w to, o czym nie mają najmniejszego pojęcia, i w to, czego nigdy nie widzieli, człowieka wiary, którego nie trzeba przekonywać do marzeń.

Świadomość, że tacy ludzie żyli gdzieś tam, pomiędzy tysiącami innych, napawała nadzieją, która nie opuszczała go przez z górą dwa tysiące lat. Trzeba mu było znaleźć kogoś właśnie takiego. Pocziwca, któremu sprzyja Fortuna. Kogoś, na kogo Los jeszcze się nie uwziął.

Szczerze mówiąc, Muddy miał kłopot. Łut szczęścia był mu teraz wyjątkowo potrzebny. Życiorys dżinna był bowiem łatwy do przesłedzenia - butelka wyglądała zenująco chędogo. Nie zdobił jej nawet jeden szlachetny kamień.

Pierwszym panem dżinna był sam książę Troi, Parys. Biorąc jednak pod uwagę inteligencję... cóż, nie był orłem. Bo przecież to Parys porwał śliczniutką Helenę, lekkomyślnie ignorując fakt, że była już czyjąś żoną. Wojna, która z tego wynikła, trwała dziesięć lat. Doprowadził do upadku królestwo ojca, gdy uznał, że ogromny drewniany koń to prezent (w rzeczy samej!) od Greków.

Podstawowy problem Muddy'ego polegał na tym, że dżinn może być jedynie taki jak jego pan i władca. A przez jakieś dwa tysiące lat jego panami byli niezbyt hołubieni przez los nieudacznicy. Trafił się Neron - człowiek tak bardzo zajęty własnymi sprawami, że nie poczuł nawet dymu z pożaru. Bliższy naszym czasom był Benedict Arnold, który z zawziętością godną lepszej sprawy chciał zapisać się na kartach historii. No i jeszcze owa biedaczka z Chicago, pani O'Leary. Jej ostatnim życzeniem było posiadanie mlecznej krowy. To jedynie kilkoro z pechowych władców dżinna.

Muddy z westchnieniem oparł się o brzuchate jedwabne poduszki, którymi wysłany był jego niewielki, ograniczony świat - świat nie ozdobionej klejnotami butelki. Wsunął dłonie pod głowę i pozwolił falom kołysać się do snu.

Na chwilę przed zamknięciem oczu zastanowił się nad tym, jak długo przyjdzie mu jeszcze czekać, aż ktoś go znajdzie. Miną miesiące? Równie dobrze mogą to być lata. Wzruszył ramionami i zapadł w sen nie wiedząc, że coś zacznie się dziać już w ciągu paru tygodni.

San Francisco, październik 1896 r.

Margaret Huntington Smith robiła wrażenie kogoś, kto ma już wszystko. Cechowała ją pewność siebie, a jej wzrost jeszcze wzmagał to wrażenie. Bogata, piękna, wysoka blondynka. Była także adwokatem - w tej chwili bardzo szczęśliwym adwokatem.

Z uśmiechem zadowolenia, jak kotka, która właśnie zdybała smaczny kąsek, schodziła po kamiennych schodach gmachu sądu do czekającego na nią połyskliwie czarnego powozu. Niedbale rzuciła walizeczkę z cielecej skóry na pluszowe siedzenie, zajęła miejsce i mrugnęła szelmowsko do starszego, bardzo godnie wyglądającego jegomościa, który siedział naprzeciwko.

Dowcip córki rozśmieszył Harlana Smitha.

- Margaret, córeczko, to pioruńsko dobrze, że potrafisz w sądzie ukrywać własne uczucia, w przeciwnym razie nigdy nie wygrałabyś sprawy.

Zdjęła rękawiczki i uśmiechnęła się.

- Właśnie wygrałam ostatnią sprawę.

- Tak, wygrałaś, i to z niezłym hukiem.

- Taki komplement od ojca, na dodatek sędziego, to wspaniała rzecz. - Roześmiała się serdecznie jak ktoś, kto lubi się śmiać. - Nie sądzisz, że poszło zupełnie nieźle?

- Pamiętam, jak bawiłaś się dmuchawcami. - Mężczyzna pokiwał głową, a potem uśmiechnął się lekko. - Teraz zaś rozniosłaś w puch swojego sądowego przeciwnika.

- To ty nauczyłaś mnie wszystkiego, co umiem.

- Tak, tak mi się przynajmniej wydaje. - W oczach ojca widać było rozpierającą go dumę z córki.

To jedno spojrzenie spowodowało, że nie kończące się miesiące pracy - badania sprawy i planowania obrony, długie godziny przygotowań do rozprawy okazały się warte włożonego wysiłku.

Zapadło milczenie. Powóz toczył się po zboczu jednego ze wzgórz, na których leżało miasto. Podkowy stukwały dźwięcznie, uderzając o szyny przecinające nawierzchnię ulicy, gazeciarze głośno zachwalali wieczorne wydanie gazety. Zimne powiewy październikowego wiatru wiejącego znad Pacyfiku zmagaly się ze szlifowanymi oknami eleganckiego powozu. W oddali słycać było przeciągłe zawodzenie buczków mgielnych. Przejeżdżający przez skrzyżowanie konny tramwaj głośnym dzwonieniem spowodował zatrzymanie ruchu ulicznego.

Kobieta poczuła na sobie spojrzenie ojca. Odwróciła się w jego stronę.

- Szkoda, że twoja matka nie może cię teraz widzieć - powiedział. Jego spojrzenie ciągle jeszcze pełne było dumy z córki, ale pojawiła się w nim także melancholia wspomnień.

Margaret dotknęła jego dłoni.

- Wiem, tato. Ja także chciałabym, żeby była z nami.

Ojciec zapatrzył się w okno. Była to jedna z owych chwil, kiedy ci, którzy zostali, myślą o tych, którzy odeszli na zawsze, i o tym, co by było „gdyby”. Dziewczyna uwolniła rękę z uścisku, a kiedy ojciec po chwili powrócił do rzeczywistości, jego twarz była już znacznie pogodniejsza. Poszperał w kieszeni płaszczu i podał córce kopertę.

- A co to takiego? - Twarz ojca nie zdradzała żadnych emocji.

- Otwórz przekonaj się sama.

Złamała pieczęć i zajrzała do środka. Wyjęła plik biletów, otworzyła leżący na wierzchu, przeczytała, a potem spojrzała na ojca.

- To bilet pierwszej klasy na statek.

Skinął głową.

- Ale dokąd on płynie? - głośno zastanawiała się przeglądając pozostałe bilety. Odkryła wreszcie trasę podróży. Potrząsnęła głową. - Morza południowe?

- I bilety na podróż między wyspami. - Uśmiechnął się. - Francuska Polinezja - Tahiti, Wyspy Cooka i wiele innych. Przedsmak raj u dla córki, która tak ciężko pracowała.

- Och, tato... - Pochyliła się i pocałowała go w porośnięty siwymi bokobrodami policzek. Spojrzała na bilety. - Dziękuję.

- Jesteś zadowolona?

Uśmiechnęła się pogodnie i ujęła jego dłoń.

- Oczywiście.

- To dobrze.

Ojciec zaczął opowiadać o wyspach, o morzach południowych, gdzie resztki raj u nie zostały jeszcze zniszczone przez współczesny świat.

Dziewczyna słuchała i patrzyła przez okno na zatokę i podnoszące się właśnie nad brzegiem pasmo mgły, na wąskie rzędy domów pomalowanych na cukierkowe kolory,

ścieśnionych tak bardzo, że gdy minęło się kilka przecznic, pozostawione z tyłu budynki zlewały się w jedno jak kolory tęczy.

Ta podróż była marzeniem ojca. Nie jej. Przez kilka ostatnich lat Margaret nie miała czasu na marzenia. Spojrzała na kopertę i wiedziała już, że pojedzie. Przecież on zawsze tak bardzo tego pragnął. Zmarszczyła czoło na sekundę i ponownie przejrzała zawartość koperty.

- Tato? Tu są bilety tylko dla jednej osoby. Gdzie są twoje?

Ojciec odchrząknął i powiedział:

- Nie bardzo mogę teraz się ruszyć.

- Mam jechać sama? Ale...

Uniósł do góry rękę, jakby trzymał w niej sędziowski młotek, i córka zamilkła.

- Sąd Najwyższy jest straszliwie obłożony pracą. Zaczyna się też sprawa Mallarda.

- Tak szybko?

- Zgodnie z planem rozprawa ma się odbyć pojutrze.

Margaret zamknęła kopertę.

- W takim razie zaczekam, aż będziesz mógł się wyrwać.

- Och, nie, nie. Do tego czasu zaangażujesz się w jakąś sprawę i nie będziesz chciała w ogóle wyjeżdżać.

- Ale...

- Nawet nie próbuj mnie przekonywać, Margaret. Ze mną nie wygrasz. Przecież to ja nauczyłem cię, jak kogoś przekonać do własnego zdania. I mówię ci, że nie dostaniesz następnej sprawy, dopóki nie wyjedziesz na jakiś czas.

- Nadużywasz teraz swego stanowiska.

- Przyznaję bezwstydnie, że tak.

- To przymus - szepnęła.

- Jestem także twoim ojcem i przez ostatnie pięć lat patrzyłem, jak pracujesz bez wytchnienia, bez jednej wolnej chwili dla siebie.

- Jestem szczęśliwa, kiedy pracuję.

- Masz po prostu wewnętrzną potrzebę uczynienia świata miejscem, gdzie istnieje równość i sprawiedliwość.

- Świat byłby znacznie lepszy, gdyby rządziła nim sprawiedliwość i gdyby panowała równość.

- Wiem o tym, ale sama nigdy tego nie zmienisz.

- Mogę próbować.

- Jednak nie za cenę rezygnacji ze wszystkiego. Margaret, przez ostatnie kilka lat byłaś adwokatem. Co w tym czasie zrobiłaś dla siebie?

- Wygrywałam sprawy, które prowadziłam.

Ojciec obrzucił ją piorunującym spojrzeniem.

- Życie przechodzi obok ciebie.

- Powiedziałaś to tak, jakbym już jedną nogą była w grobie.

Roześmiał się.

- Masz trzydzieści dwa lata i nie młodniejesz.

- Dzięki.

- Jedź. Po prostu jedź. - Przerwał na chwilę. - Zrób to dla mnie.

Margaret była w rozterce. Nie chciała jechać w tę podróż. Chętniej znowu zajęłaby się pracą. Prawo dawało jej poczucie bezpieczeństwa. Znała się na nim bardzo dobrze. Spojrzała jednak na ojca i wiedziała, że w tym sporze nie wygra. Pojedzie dlatego, że on tak chce.

Matka umarła, kiedy Margaret miała niespełna siedem lat. Zostali z ojcem sami. Osieroconą dziewczynkę serdeczną opieką otoczyli wujowie. Wszyscy oni byli adwokatami i współnikami firmy prawniczej matki. Zabierali dziecko na wakacje i zawsze byli pod ręką, gdy ojcu wydawało się, że potrzebuje „rodzicielskiego” wsparcia. Pomagali jej też, gdy zaczęła studiować prawo. Tak naprawdę jednak rodzinę stanowił dla niej ojciec. I, jak zwykle, także teraz miał rację. Pojedzie w tę podróż dla niego, bo on jest najważniejszą osobą w jej życiu.

Tydzień później Margaret zrezygnowana, ale też pogodzona z decyzją ojca, wchodziła po trapie na pokład ogromnego statku oceanicznego. Kilka par męskich oczu zauważyło jej obecność.

Patrzyły w ślad za nią. Z tym także pogodziła się już dawno. Wiedziała, oczywiście, że jest atrakcyjna dla mężczyzn, ale też swoją urodę uważała za przekleństwo. Bardzo chciała, by traktowano ją poważnie. Ojciec zawsze odnosił się do niej z szacunkiem, podobnie jak wujowie. Niestety dla innych, w miarę przekształcania się z ładnej dziewczynki ze wstążkami we włosach w dorastającą pannę, nie stawała się osobą, a jedynie obiektem, któremu posyła się zalotne spojrzenia.

Świat nie zauważał osobowości Margaret Smith. Nie widział jej przede wszystkim dlatego, że dziewczyna była ładna. Musiała zapracować na szacunek, bo większość ludzi jest zdania, że piękna kobieta nie ma nic do zaoferowania oprócz urody. Nie mogła być inteligentna, bo przecież była śliczna. Nie mogła mieć poważnych myśli, bo przecież miała cudowne blond włosy. Nie mogła być rozsądna, bo przecież była bogata. Nie mogła kierować się głosem serca i mieć wrażliwej duszy, bo to nie byłoby w jej stylu. Zdaniem innych nie wiedziała, co to cierpienie.

Margaret pamiętała, jak w szkole jedna z koleżanek spojrzała na nią i powiedziała lodowatym głosem:

- Cóż też ty możesz wiedzieć o cierpieniu? Nie brakowało ci nawet ptasiego mleka.

Podobnie myślało wiele osób - że Margaret Huntington Smith miała wszystko. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że choć kochający ojciec otaczał ją opieką pospółu z wujami, że choć była piękna i bogata, przez prawie całe życie była przerażona i bardzo samotna.

Ukryła jednak swą samotność i strach tak samo, jak stłumiła typowe dla kobiet cechy - instynkt macierzyński, uczucia siostrzane czy choćby płkanie od czasu do czasu bez powodu. Tego właśnie ojciec nie mógł jej nauczyć.

Mając wokół siebie jedynie mężczyzn, starała się być silna i niezależna jak oni, pojęta i zdolna do koncentracji. Rosła w przekonaniu, że musi być tak doskonała, jaka wydaje się światu, i co ważniejsze, że musi sprostać oczekiwaniom jedynej osoby, która liczyła się w jej życiu - oczekiwaniom ojca. Była przecież dla niego wszystkim.

Może właśnie dlatego pracowała tak ciężko próbując zmienić świat na sprawiedliwy, taki, gdzie wszyscy są sobie równi. Dla niej samej przecież nigdy taki nie był.

Dwa miesiące później, kolonia karna Leper 's Gate, wyspa Delfina

Hank Wyatt nie wierzył w nic. Bo nigdy niczego nie miał. Właściwie prawie niczego. Kiedyś miał bowiem matkę.

Gdy skończył pięć lat, zaniósł go do sierocińca.

- Uśmiechnij się, Henry Jamesie, i bądź grzecznym chłopcem - powiedziała. - Na pewno ktoś cię zechce.

Potem odwróciła się i wyszła, jakby nigdy nie istniał. Ale on istniał i przez całe trzydzieści pięć lat swego żywota starał się przekonać o tym wszystkich. I nikt - już o tym nie zapominał.

W kolonii karnej Leper's Gate nikt nie zapomni Henry'ego Jamesa Wyatta.

Był Amerykaninem, wytworem slumsów Pittsburga. Sprawiał kłopoty, ale przeżył. Szybko się uczył. Musiał. W grze z życiem przy rozdawaniu kart jemu nigdy nie dostawały się asy, dla niego były blotki.

Miał jednak asy ukryte w rękawie. Prowadził go instynkt podpowiadający, w którym momencie włączyć je do gry. Wiedział, kiedy oszukiwać, kiedy kłamać i kiedy zwiewać. Odebrał twardą szkołę życia i szybko się przekonał, że kodeks moralny nie jest stworzony dla niego. Żadnego nadstawiania drugiego policzka. Żadnych bzdur w stylu „zrób to dla innych”. To on był tym, który pierwszy walił, zanim inny podniósł rękę.

Niesłusznie skazano go na pobyt w kolonii karnej Leper's Gate. I stawiał się jak diabli, gdy go zamykali. Końcówkę pierwszego tygodnia spędził w karczerze: drewnianej skrzyni o wymiarach niecałego metra na dwa metry na dwadzieścia centymetrów zagrzebanej w pyłe. Tropikalne słońce mocno grzało. Raz dziennie dostawał wodę. Żadnego jedzenia. Jedzenie nie było dla więźniów takich jak Hank. Takich jak on trzeba było złamać.

Próbowali go złamać przez następne cztery lata. I wciąż nie przestają. Przez dwa dni był wystawiony na działanie słońca. Ręce i nogi przywiązane do drewnianych słupków wbitych w ziemię. Włosy lepiły się do czoła zbitymi kosmykami. Ich niegdyś jednolitą czerń załamywały pasma siwizny. Przypominały rzemienie wplecione w bicz zniszczony częstym używaniem.

W kącikach oczu rysowały się zmarszczki - naturalne blizny pozostawione przez czterdzieści lat, jakie przeżył. Oczy Hanka Wyatta zdradzały rozsądek i determinację. Były szare, stalowoszare. Niczym zwierciadła odbijały tylko to światło, które świeciło prosto w ich tafle, nie dając żadnej wskazówki o tym, co działo się za nimi. A przecież Hank myślał. Musiał myśleć, żeby przeżyć.

Jego skóra zbrązowiała od promieni słońca tak silnych, że parzyły nowo przybyłych więźniów. Mocna dolna szczeka zdradzała upór. Pokrywał ją cień zarostu nie poddającego się wysiłkom ogolenia za pomocą kawałka metalu wygrzebanego ze śmieci w ciemnym rogu celi.

Hank był wysoki i dobrze zbudowany, choć smukły. Dzięki pracy w więziennym kamieniołomie, gdzie wywijał potężnym kilofem, jego ramiona nabrały siły i atletycznej budowy. Jego długie nogi były równie muskularne. Kajdany, w które był zakuty, jednych wykańczały, innych czyniły silniejszymi.

Teraz jednak nogi mu ścierpły. Nie chciał ich ugiąć. Przywiązane do palików ręce zdrętwiały. Umysł natomiast pracował. Oddech stawał się płytki - sztuczka, której nauczył się, by zwodzić strażników. Robił wrażenie, jakby miał za chwilę zemdleć.

Był czujny. Słuch wyostrzył się, niczym u szczonego zwierzęcia. Wsłuchiwał się w bzyczenie tropikalnych much. Latały dookoła niego, jakby był kupą gnoju. Doszło go wycie z bólu jednego z karanych współwięźniów. Przysiągł sobie, że z jego gardła taki dźwięk nigdy się nie wydobydzie.

Wsłuchiwał się w brzęk łańcuchów i kajdan skuwających kostki nóg, w ciągłe, monotonne uderzenia młotów kruszących skały na gruz kamieniarski. Kogoś słabszego ten dźwięk mógł doprowadzić do szaleństwa.

W oddali słyszał natrętny szum oceanu - fale rozbijające się o brzegi wyspy. I krzyki mew swobodnie szybujących w powietrzu. Były to dźwięki tak odległe, jakby pochodziły z innego świata. Jednocześnie na tyle bliskie, by sprowadzić na człowieka obłąd.

Już raz przeżył karczer, ale tym razem zrobi wszystko, by nigdy się to nie powtórzyło. Wsłuchiwał się w każdy dźwięk. Choćby najcichszy. Do licha! Żeby przeżyć, usłyszałby nawet, jak pot skrapla się na jego skórze.

Minęły dwa dni, zanim zaczęto myśleć, że Hank umarł lub że jest przynajmniej na granicy śmierci. Sznury wiążące ręce i nogi zostały przecięte. Zawleczono go na środek wyrobiska i tam rzucono. Z jego ust nie wydobył się najcichszy nawet dźwięk. Zastygł w bezruchu. Wiadrami wylewali na niego wodę. Świeżą wodę. Wodę do picia. Żaden z więźniów odwiązany od karczerowych kołków nie był w stanie oprzeć się pokusie zlizywania jej z warg. Wielu załamywało się od razu i chciwie chleptało, bo przecież bardzo długo byli jej pozbawieni.

Jedynie trup leżałby nieporuszony. I Hank.

- Nie żyje.

Te kilka minut bez oznak życia trwało w nieskończoność.

- Kopnij go. Będziemy mieli pewność.

Hank usłyszał szuranie butów strażnika. Bardzo blisko głowy. Przygotował się na uderzenie.

- Nie tam! - padła ostra komenda. - Tutaj!

Drań kopnął go w krocze.

Obudziło go skrzypienie zatrzymanego się wozu. Tępy ból między nogami oznaczał, że jednak nie umarł. Przypominał ostatni moment, gdy Hank był przytomny i cierpiał. Nie skulił się jednak. Nie krzyknął. Zemdlał.

Leżał na dnie wozu pod ciężarem martwych więźniów, słabszych od niego. Spróbował odetchnąć i zaczął się krztusić. Nie wiedział, czy z powodu bólu krocza czy też odoru śmierci, który go otaczał.

Znał dobrze odbywające się teraz czynności. Ksiądz i jeden ze strażników grzebali więźniów poza ścianami kamieniołomu. W dole wykopanym w dżungli.

Czekał i nasłuchiwał.

Takie już widać miał szczęście. Żaden z mężczyzn nie odezwał się ani słowem. Siedzisko wozu zaskrzypiało. Buty zeskakujących z wozu zadudniły o ziemię. Z daleka dochodziło skrzeczenie ptaków. Tropikalne robactwo bzyczało, brzęczało i chrobotowało. Zadzźwięczały łańcuchy spinające tylną klapę wozu.

Wreszcie kapłan zanucił żałobną litanię po łacinie. Powoli jedne zwłoki po drugich ściągano z furmanki. Nie mógł teraz wszystkiego spieprzyć. Nie teraz. Po tym, czego już dokonał. Przeszkadzał ból uporczywie targający łądzwiami.

Ucieczka? Nie był nawet pewny, czy zdoła stanąć. Pomyślał o ostatnich czterech latach. Do diabła! Stanie, nawet jeśli miałby przypłacić to życiem. Ktoś chwycił go za kostki u nóg i gwałtownie szarpnął.

Ksiądz śpiewając dotknął jego czoła. Hank otworzył oczy i w tej samej chwili usiadł wyprostowany. Prawy sierpowy powalił strażnika. Potem Hank stanął na nogach.

Rozejrzał się dookoła. Nie było nikogo poza oniemiałym księdzem. Hank ruszył w jego stronę.

Książeczka do nabożeństwa wypadła z trzęsących się rąk kapłana.

- Módl się za mnie, ojczy - powiedział Hank podnosząc książeczkę i wręczając ją księdzu. - Przyda mi się teraz każdy rodzaj pomocy.

Klecha zamrugnął oczami i przez chwilę wpatrywał się w więźnia. Hank uśmiechnął się. Palce księdza zacisnęły się na okładce modlitewnika. Potem Hank go stuknął.

Dwa dni później, Port Helene, północne wybrzeże wyspy Delfina

Hank szedł wybrukowaną kamieniami, zatłoczoną ulicą oddzielającą miasto Port Helene od kipiącego ruchem nabrzeża. Bystre oczy byłego więźnia skrywał głęboko nasunięty kapelusz z szerokim rondem, który ukradł księdzu. Ręce skrył w przepastnych kieszeniach czarnej księżej sutanny, palce przebiegały po paciorkach różańca.

Po lewej stronie jaskrawo pomalowane domy z szerokimi werandami wyglądały jak rząd kolorowych zębów pokazywanych w uśmiechu. Obok nich stały szare drewniane budynki celne i wysokie palmy kokosowe, królujące nad zachodnią częścią nabrzeża. Bliżej ulicy handlarze owocami stali przy straganach i głośno zachwalali banany, papaje, owoce drzewa chlebowego i mango.

Autochtonka ubrana w bawełnianą sukienkę kupiła cały koszyk tropikalnych owoców i świeżych ryb od handlarzy, sprzedających wszystko, poczynając od żywności i zapalek, na bogatych narzutach kończąc. Hank przeciskał się przez tłum. Zdołał zwędzić trzy banany i organki.

Ustawione niczym skazańcy podczas apelu, ciągnęły się rzędy drewnianych kratownic pod materace, beczek i beczulek, zwojów grubych konopi. W dalekim wschodnim końcu doku widać było zieloną hałdę jakichś gratów i trzy wozy pełne bloków skalnych z kamieniołomu przygotowanych do wywiezienia na inną wyspę. Hank patrzył przez moment na pokruszone skały - paskudne wspomnienie ostatnich czterech lat. Potem wziął głęboki oddech i oddalił się stamtąd.

Kilku lokalnych muzyków wygrywało wyspiarskie rytmy na bambusowych piszczałkach i bębnach przytroczonych do bioder, podczas gdy miejscowi chłopcy i dziewczęta sprzedawali trzcinę cukrową i muszelki, które trzymali w zawieszonych na wątlých, śniadych plecach koszykach uplecionych z palmowego włókna. Ktoś krzyczał coś w kierunku łodzi wpływającej na przystań, a rybak odkrzykiwał, chętnie się nadziejając pokaźnego zysku, jaki osiągną razem dzięki sieci pełnej tuńczyków.

Zakonnice w szerokich kometach dreptały parami. Księża w czarnych kapeluszach pojawiali się tu i ówdzie wśród ciżby błogosławiając ryby na piątkowy posiłek, kozy, osły, a nawet ulubione zwierzątka dzieciarni. Wokół urzędów celnych kłębił się tłumek właścicieli plantacji, ubranych w nieskazitelną biel. Targowali się z zamożnymi kupcami odzianymi w ciemne tweedowe garnitury, stroili żarty i pokazywali wypchane portfele, po które wystarczyło sięgnąć ręką niczym po dojrzałe jasnorożowe owoce mango.

Gwar otaczający Hanka, odgłosy krzątania wolnych ludzi, był dla niego przez zbyt wiele długich, upalnych dni czymś tak nierealnym, jak pamięć o nich w więzieniu. Jedząc banana Hank zatrzymał się i pozwolił, by pochłonięły go widoki i dźwięki - rozkoszował się wolnością.

Kiedy siedział w celi albo był przywiązany do palików lub też cierpiał zamknięty w drewnianej skrzyni, zawsze przypominał sobie takie właśnie chwile i myślał wyłącznie o nich. Stanowiło to część tej siły, która sprawiła, że przetrwał w miejscach, gdzie szanse na przeżycie graniczyły z cudem.

Kiedy tak stał obserwując toczące się bez niego życie mieszkańców wyspy, przypominało mu się coś, o czym zapomniał. Przecież on nigdzie nie pasował. Nigdzie. I

nadał tak było. Ludzie są od siebie zależni. A on, choć miał teraz na sobie czarną sutannę i wyglądał na katolickiego księdza, nie był jednym z bożej trzódki, tak jak nie był częścią świata istniejącego poza więziennymi murami.

Był wyrzutkiem. Od zawsze. Istniały ku temu powody. Samotność dawała mu poczucie bezpieczeństwa. Robił wszystko po swojemu. I tylko do siebie mógł mieć pretensje, gdy coś nie wyszło. Samemu łatwiej było przeżyć. Bardzo wczesnie nauczył się, że gdy postępował według ustalonych reguł, prawie wszyscy i tak byli zdania, że je łamał.

W więzieniu zapomniał, co znaczy być samotnikiem. W tej chwili jednak stał wolny, w samym centrum tego wszystkiego, za czym tęsknił, i przypomniał sobie, gdzie tak naprawdę jest i gdzie zawsze był - poza nawiasem, na obrzeżu życia, jakie wiodła większość ludzi.

Wyrzucił skórkę od banana z równą łatwością, z jaką pogodził się z narzuconą mu przez los izolacją, i ruszył przed siebie.

Wmieszany w tłum mógł spokojnie obserwować wszystko, co działo się w porcie. W dokach zacumowane było pięć statków. Nigdzie nie widział psów. Dwa razy jedynie słyszał ich ujadanie: gdy biegł przez pół dnia i potem, gdy przechodził stromym skalistym wąwozem oddzielającym pomocną i południową część wyspy.

Gdy po raz pierwszy psy wpadły na jego trop, posłużył się mułem z rzeki do zatarcia śladów. Ostatnim razem wykorzystał pieprz - pudełko przyprawy ukradł z małego straganu. Wiedział jednak, że potrafiłby biec wystarczająco szybko, by uciec. Mijając przełęcz obliczył, że ma mniej więcej dwugodzinną przewagę nad pogonią. Dwie godziny na ucieczkę.

Dwa statki zacumowane w dokach były gotowe do wypłynięcia. Jednym z nich był wypucowany do połysku drewniany kliper „L'Amelie”. Drugim - szeroki parowiec ze stalowymi burtami sięgającymi górnego pokładu. Niewielki, o rozmiarach jednej dziesiątej statku oceanicznego, był przeciętnym dwupokładowym parowcem używanym do przewozu i pasażerów, i towarów między co większymi wyspami na morzach południowych. Nazwę statku zasłaniały paki z siennikami i drewniana klatka z kilkoma beczkami kozami.

Po czterech latach we francuskim piekle, jakim była Leper's Gate, Hank nie bardzo mógł grymasić. Dokończył banana i ruszył w kierunku parowca. Szedł wolno, ale zdecydowanie. Zbliżał się do kładki prowadzącej na statek bacznie obserwując załogę zajęłą załadunkiem.

Miał zamiar się wśliznąć. Obejrzał dokładnie kładkę, potem wyciągi podnoszące sienniki i rozważał szanse dostania się niepostrzeżenie na pokład. Nie było tam żadnego olinowania.

Podrapał się po szczęce. Prawie tygodniowy zarost, właściwie już broda, swędział. Przyszedł mu do głowy pomysł, który jeden ze współwięźniów określał jako odziedziczony po matce.

To mu się podobało. Odziedziczony po matce. Miał teraz okazję, żeby skorzystać z tego dziedzictwa. Wyobraził sobie, że blefując wejdzie na statek, a potem zaszyje się w jakimś kącie. Przez chwilę przysłuchiwał się marynarzom starając się ocenić ich czujność.

Nagle tłum przechodniów zafalował. Tuż obok coś się działo. Hank zamarł. Nie odwrócił się, jakby czekał na zimny dotyk lufy francuskiego karabinu bodącego go w plecy.

- Proszę mnie przepuścić! To mój statek!

Usłyszał dźwięczny, kobiecy głos. Nawet lepiej - głos należał do Amerykanki.

Odwrócił się. Tłum znowu zafalował. Ludzie popychali się nawzajem. Ktoś krzyknął cicho, zaskoczony, a potem, jak manna z nieba, w ramiona Hanka wpadła wysoka blondynka.

Ho, ho! To mój szczęśliwy dzień. Kobieta złapała go za sutannę próbując odzyskać równowagę. Przytrzymała ją w talii obiema rękami. Była na tyle wysoka, że jej nos znalazł się na wysokości jego brody, a piórko tkwiące w kapeluszu łaskotało mu twarz. Owionął go delikatny kobiecy zapach. Nie czuł czegoś takiego od lat. Rozkoszował się nim przez krótką chwilę.

Wypuściwszy z rąk materiał sutanny, kobieta zwróciła ku niemu twarz. Twarz tak cholernie piękną, że nie mogła być prawdziwa.

- Słodki Jezu - wyszeptał Hank, odkaslnął i szybko dodał: - Błogosław to dziecko.

Wyprostowała się z wdziękiem. Twarz się jej zaróżowiła.

- Przepraszam, naprawdę bardzo przepraszam, ojcze.

Pomyślał, że zupełnie nie ma za co. Do diabła, była najpiękniejszą kobietą, jaką widział w życiu. Kobietą, a nie jakąś osiemnastoletnią, nieopierzoną gęsią, która dopiero co wyrwała się z opiekuńczych ramion tatuśka. Wyglądała na... trzydziestkę. Na dojrzałą kobietę.

Poprawiła niewielki kapeluszek nasuwając go na gruby kok blond włosów i spojrzała na Hankę niezwykłymi złotobrązowymi oczami. Wyciągnęła rękę i wygładzała pomietę na jego piersi sutannę.

Hankowi przywidziało się, że dama westchnęła.

- Proszę mi wybaczyć, ale już jestem spóźniona - powiedziała, przestała rozprostowywać zagniecenia i wskazała na kładkę parowca.

- Mój statek właśnie odpływa.

Hank spojrzał na paki czekające załadunku, a potem na niewielkie kłęby czarnego dymu dobywające się z komina.

- Ma pani jeszcze kilka minut.

- Naprawdę? Uff... - Wyglądało na to, że odprężyła się trochę. Uśmiechnęła się lekko. - Do tej pory nie podróżowałam zbyt wiele.

Trafiłaś pod właściwy adres, maleńka. Już ja cię zabiorę w podróż.

Jej wzrok spoczął na dłoniach ciągle jeszcze obejmujących ją w talii. Po chwili spojrzała mu prosto w oczy. Jej spojrzenie jasno dawało do zrozumienia, o co chodzi.

Uwolnił ją z uścisku, dotknął róna księżego kapelusza i ukłonił się.

- Bóg z tobą.

Znowu się uśmiechnęła, a on ledwo powstrzymał głośny jęk.

O, rany! Zaczęła się odwracać.

Odruchowo, z nawyku nabranego przez lata spędzone w spelunkach, Hank uniósł rękę chcąc dać jej klapsa w śliczną pupę.

Kobieta zatrzymała się w półobrocie, pstryknęła palcami i wyszeptała:

- Aha! Tak mi się zdawało, że o czymś zapomniałam! - Spojrzała na Hankę.

Jego ręka znajdowała się na wysokości jej nosa.

Szybko ujęła ją w swoją dłoń i potrząsnęła energicznie.

- Dziękuję, ojcze!

Błyskawicznie odwróciła się i pobiegła w stronę pomostu. Hank wpatrywał się to w swoją prawą rękę, to w wysoką postać zmierzającą do kładki parowca. Uśmiechnął się i zawołał:

- Niech Pan obdarzy cię swoją łaską!

Zatrzymała się w pół drogi i pomachała mu. Potem podjęła marsz.

- I niech cię obdarzy pokojem! - Jego wzrok powędrował na jej dolne partie. Pączuszek...

Stał ciągle, podczas gdy ona zdążyła już wejść na pokład. Nogi, myślał. Całe metry długich nóg ukrytych pod spódnicą.

Potrząsnął głową i cicho gwizdnął.

W chwilę później otaczająca go portowa cizba dała o sobie znać kuksańcami i poszturchiwaniem. Hank odwrócił się i rozejrzał dookoła.

Żadnych psów. Żadnych strażników. Żadnej francuskiej milicji.

Nikogo, oprócz tłumu.

Uśmiechnął się. Niewiniątko, ale ma w sobie diabła, pomyślał i skierował kroki ku statkowi. Prawą rękę wsunął do kieszeni. W lewej niedbale obracał niewielki notatnik oprawiony w skórę, który podprowadził z jej torebki.

Podszedł do marynarza.

- Młoda kobieta, która właśnie weszła na pokład, zgubiła w tłumie ten notatnik.

Widać było, że pilnujący wejścia na parowiec słucha go nieuważnie. Spojrzał odruchowo na notes, a potem na Hankę.

- Tak... tak, ojcze. - Wskazał ręką na pokład. - Proszę wejść i ją odnaleźć.

Hank wszedł na pomost prowadzący go w stronę wolności pogwizdując piwiarnianą wersję Ave Maria. Wręczył notatnik stewardowi i zaczekał, aż ten zniknie w przejściu. Potem wolnym krokiem człowieka pewnego siebie ruszył w stronę rufy.

Wspiął się po schodkach na górny pokład i podszedł do najbliższej łodzi ratunkowej. Niezauważalnie poodpinał zaczepy plandeki rozglądając się na prawo i lewo. Załoga była zajęta przygotowaniami do wypłynięcia.

W mgnieniu oka Hank zniknął pod tkaniną. Błyskawicznie pozapinał zaczepy. Kamizelki ratunkowe z brezentu wisiały na kółkach podoczepianych do burt łodzi. Ceratowe płachty i koce owinięte były w dodatkową plandekę. Cynowe pudło z żywnością, lampa i pojemnik z wodą upchnięto na dziobie. Otworzył puszkę z gotowaną wołowiną i zajadał, przegryzając to drugim z ukradzionych bananów i krakersami. Przeplukał gardło wodą.

Chleb i ser, które poprzedniego dnia zwędził strażnikom, były znacznie smaczniejsze. Pewnie dlatego, że popił je trzema butelkami ukradzionego piwa.

Wziął kilka kamizelek, napompował je i rozłożył. Stały się poduszkami. Z plandeki i koców umościł sobie posłanie. Czekał.

Wkrótce dał się słyszeć gwizd. Statek opuszczał port. Powoli, kołysany falami, ciężki parowiec, przypominający biodra miejscowej dziewczuchy, wypływał w morze.

Hank odetchnął głęboko - po raz pierwszy od diabli wiedzą kiedy. Jeszcze jeden haust wolności i opadły go koszarne wspomnienia - tortur, ucieczki, zamkniętego piekła ostatnich czterech lat.

Boże... Przetarł twarz dłońmi. Oparł głowę o kamizelki. Zacerpnął pełne płuca powietrza. Było to morskie powietrze, zupełnie inne niż' zaduch panujący w celi. Zamknął oczy.

W niedługim czasie odprężenie ogarnęło całe silne muskularne ciało. Dni należały teraz do niego. Był panem siebie. Noce także były jego. Żadnych drzwi, przez które nie można przejść. No, chyba że w nieczynnej knajpie.

Żadnego smażenia się na słońcu; jeśli smażenie, to tylko tłustego steku i niekoniecznie na słońcu. Żadnych łańcuchów. Żadnego kucia skał. Żadnych cuchnących cel, w których nie można nawet usnąć. Teraz sen był możliwy. Prawdziwy sen. Nie krótkie drzemki, którymi musiał się zadowalać przez tyle lat. Teraz wolno mu było spać.

Po raz pierwszy od dawna miał wrażenie, że w jego kartach pojawił się as.

Mniej więcej o północy karta znowu przestała mu iść. Statek przechylał się i gwałtownie kołysał walcząc z morskim żywiołem. Hank chwycił się raz po raz burty łodzi ratunkowej i klął na czym świat stoi. Po zdającej się nie mieć końca godzinie paskudnej pogody wiatr przestał dąć równie niespodziewanie, jak się z nagłą pojawił. Morze wygładziło fale.

Leżał teraz w łodzi i nasłuchiwał. Słyszał krzątanie załogi poprawiającej umocowanie sprzętu. Dochodził do niego śmiech. Ktoś opowiedział kilka pieprznych dowcipów - było to zwykłe zachowanie żeglarzy po przeżyciu chwil grozy. Wkrótce wszystko ucichło i zapanował spokój. Hank znowu mógł zasnąć.

Obudził się przestraszony, z szalejącym pulsem, jakby śnił mu się koszmar zbyt mocno przypominający rzeczywistość. Usiadł błyskawicznie i zacisnął pięści. Zrobił to odruchowo. Nieprzytomnym wzrokiem wpatrywał się przez sekundę we własną pięść opartą o plandekę. Przetarł oczy i potrząsnął głową. Przypomniał sobie, gdzie jest.

Znowu nasłuchiwał. Zmysły miał wyostrzone. Nic się jednak nie działo. Nie bardzo wiedział, jak długo spał. Wydawało mu się, że jedynie przez kilka minut, ale równie dobrze mogło to być kilka godzin.

Położył się z powrotem na posłaniu. Dłonie miał ciągle zaciśnięte w pięści, puls szalał. Coś było nie tak. Powietrze trwało w kompletnym bezruchu. Panowała absolutna cisza.

Hank stał się czujny, zupełnie jak w więzieniu. Nie zdążył głębiej odetchnąć, gdy rozległ się ogłuszający huk. Statkiem gwałtownie zakotłowało. Hank zaklął. Słyszał już przedtem wybuch kotła parowego. Znał dobrze ten dźwięk. Dziób statku uniósł się gwałtownie. Parowiec zastygł na chwilę w tej pozycji, a potem stalowa rufa zaczęła powoli pogrążyć się w odmętach. Siła wybuchu rzuciła Hankiem o dno szalupy.

Słyszał było przesuwanie się z hurgotem pourywane z zaczepów skrzynie, beczki, klatki, walące w ścianę ładowni. Statek przechylił się jeszcze bardziej. Zewsząd dochodziły krzyki załogi. Przeklął, kiedy ich głosy ucichły. Przesuwający się w ładowni balast pozbawił statek równowagi. W chwilę później Hank usłyszał charakterystyczny szum wdzierającej się wody. Chwycił za uchwyty w burtach łodzi.

Statek znowu gwałtownie się przechylił. Zbyt gwałtownie. Łódź ratunkowa, wyrwana ze swego miejsca, przeleciała ponad burty.

W dół... W dół.

Chryste, pomyślał. Instynktownie zwinął się w kłębek. Łódka uderzyła o powierzchnię wody. Rzuciło nim o plandekę. Kilka zaczepów puściło, ale materiał skutecznie zapobiegł wypadnięciu Hanka.

Szalupa kołysała się na falach. Trzymając się burty Hank pozwalniał zaczepy plandeki i usiadł upychając ją w kąt. Popatrzył na statek.

Płomienie wzbijały się w niebo niczym rakiety. W miejscu, gdzie znajdował się silnik, ziała rozżarzona dziura. W boku parowca rozdartego wybuchem pojawiła się prawie metrowa szczelina, przez którą morze wlewało się do środka.

Łódź ratunkowa uderzała o beczki, które wypadły z ładowni. Hank naciągnął na siebie brezentową kamizelkę. Z ogarniętego szalejącym ogniem pokładu słychać było wołania, krzyki i przerażające wrzaski. Hank patrzył.

Towary wypełniające ładownię z dudnieniem uderzały o stalowe ściany. Statek jeszcze bardziej przechylił się na lewą burtę. Kominy krztusiły się dymem. Ludzie krzyczeli, biegnąc jak szczury. Parowiec tonął.

Wtedy właśnie zobaczył ją - tę blondynkę. Trzymała się kurczowo ocalałego fragmentu burty. Właściwie wisiała na kawałku balustrady. Po prawej stronie dziewczyny; w ogromnej wyrwie, tańczyły płomienie. Po lewej miała jedynie metr pokładu. Dalej nie było nic.

Chwyciwszy jedną z kamizelek, Hank wskoczył do morza. Moment później płynął już w jej kierunku. Woda dookoła połyskiwała pomarańczowo - upiorny odbłask płonącego statku kładł się na falach. Czuł wyraźny zapach spalenizny i ropy naftowej. W ustach miał smak węgla.

Parowiec skrzypiąc i trzeszcząc zanurzał się coraz bardziej. Hanka dzieliło od statku jedynie trzysta metrów. Dziób sterczał teraz nad wodą prawie pod kątem prostym. Kobieta ubrana w ciemny płaszcz zdołała przełożyć jedną nogę przez dolną poręcz. Ramieniem obejmowała górną balustradę. Prawie udało się jej usiąść, dzięki czemu skutecznie broniła się przed wpadnięciem do wody.

Zanim jednak Hank zdołał zbliżyć się na odległość głosu, kadłub pogrążył się jeszcze bardziej. Górny pokład razem z resztką balustrady znajdował się teraz nie więcej niż trzy metry nad poziomem morza.

- Skacz! - krzyknął, rozchlapując ramionami wodę i ciągnąc za sobą kamizelkę.

Dziewczyna rozglądała się dookoła.

- Skacz!

- Nie mogę! - odkrzyknęła.

- Skacz szybko!

Pokręciła przecząco głową i mocniej przywarła do balustrady. Tuż obok niej płomienie wybuchały z nową siłą. Właśnie wtedy Hank zauważył dzieci. Dwoje przerażonych maluchów wpatrujących się w niego. Wisiały uczepione poręczy po bokach dziewczyny. Ona teraz także patrzyła na niego i wołała:

- Dzieci!

Ciemny tłumoczek spoczywał na jej kolanie podtrzymywany jedną ręką. Hank zdał sobie sprawę, że słyszy wśród zgietku płacz zupełnie małego dziecka.

Zaklął paskudnie. Rozglądając się na wszystkie strony, zdołał umieścić dodatkową kamizelkę pod pachą. Na wodzie unosił się pojemnik na śmieci. Podpłynął do niego, opróżnił go i ustawił w pozycji pionowej. Utrzymując się blisko miejsca, gdzie była kobieta z dziećmi, pilnował, by blaszana puszka zbytnio się nie oddaliła. Dzieliły go od nich niecałe trzy metry.

- Rzuć mi je! - krzyknął.

Zamarła w bezruchu kobieta wpatrywała się w niego.

- Rzuć dziecko! Złapię!

Odwinęła je z kocyka. Tak, to był maleńki berbec. Wychylając się do granic możliwości, trzymała go za rączki i starała się opuścić jak najniżej. Dziecko głośno płakało.

Hank sięgał po nie raz po raz. Puściła. Wrzeszczący szkrab wylądował w jego rękach. Umieścił go w koszu na śmieci, który przytrzymał teraz jedną ręką starając się nie dopuścić do tego, by woda wlała się do środka.

Pojemnik niczym pudło rezonansowe nagłaśniał płacz. Dźwięk stawał się nieznośny, zagłuszał wszystko. Od czegoś takiego mogły rozboleć zęby.

- Zrzuć koło ratunkowe! - wołał przykładając brzeg dłoni do ust.

Kobieta wciągnęła się przez poręcz na pokład i próbowała zdjąć koło z haka. W chwilę później obręcz upadła na fale.

- Teraz skacz! - krzyczał do niej.

Poruszała się bardzo zwinnie. Przeciągnęła dzieci do końca balustrady i pomogła im wejść na krawędź burty. Za nimi szalał ogień. Wyglądali jak czarne figurki na tle pomarańczowo-niebieskiej ściany płomieni, która zdawała się ich pochłaniać.

- Skacz! - wrzasnął.

Sekundę później odważyła się na to pociągając ze sobą dzieci. Z głośnym pluskiem wpadli do wody o metr od niego.

Hank wstrzymał oddech. Wypłynął na powierzchnię, maleńka. No, kochanie, postaraj się...

Głowa kobiety wyłoniła się po chwili. Obok pokazały się główki dzieci. Starsze z nich - dziewczynka - krzyczało, że nie umie pływać, w panice rzucało się gwałtownie i płakało. Hank swobodną ręką sięgnął po najbliższego malucha - chłopaczka, który zaczynał zanosić się płaczem.

- Obejmij mnie za szyję!

Chłopiec przestał płakać i posłusznie wykonał polecenie. Dziewczynka nadal głośno krzyczała i rzucała się po powierzchni wody prawie topiąc blondynkę. Płaszcz, który kobieta miała na sobie, krępował jej ruchy. Hank popchnął w jej stronę kamizelkę ratunkową.

- Ściągnij płaszcz i załóż kamizelkę!

Kobieta próbowała ubrać w kamizelkę rozhisteryzowaną dziewczynkę.

- Załóż na siebie! - wrzasnął.

- Ja umiem pływać! Ona nie! - odrzyknęła starając się utrzymać na powierzchni wody.

- Załóż kamizelkę na siebie, a dziecko możesz przecież trzymać! - wołał poprawiając pozycję chłopca uczeplonego jego szyi. - Masz dość sił, żeby utrzymać ją z głową nad wodą?

Blondynka potaknęła uwalniając się wreszcie od płaszcza. Posłuchała Hanka i robiła dokładnie to, co kazał. Zauważył, że za nią unosi się na falach koło ratunkowe, nie mógł jednak puścić pojemnika.

- Złap koło ratunkowe!

Zapiąwszy kamizelkę, dziewczyna rozglądała się bezradnie.

- Za tobą!

Sięgnęła do tyłu i chwyciła je, a potem położyła na nim ręce dziewczynki. Położyła się, robiąc z własnego ciała rodzaj pomostu, i dziecko przestało rzucać się konwulsyjnie i z głową opartą o obręcz jedynie płakało. Kobieta zaczęła mówić coś cicho.

- Wszystko w porządku?! - zawołał Hank.

Blondynka spojrzała na niego i kiwnęła głową potakująco.

- Zaraz będę z powrotem! - krzyknął umieszczając przed sobą pojemnik z niemowlakiem i popychając go z całych sił. Ręce chłopca zacisnęły się na szyi Hanka tak mocno, że prawie się dusił. Dzięki kamizelce ratunkowej i pływającemu po powierzchni koszowi na śmieci utrzymywali się nad lustrem wody. Szkrab w koszu darł się wniebogłosy, a to znaczyło, że nie jest z nim tak źle. Skoro płacze, to znaczy, że żyje. Chłopiec był natomiast zbyt spokojny.

Hank nie przestawał pracować nogami.

- Trzymasz się, mały?

- Tak, proszę pana - odpowiedział chłopiec. Jego głos rozlegający się tuż przy uchu Hanka, wskazywał, że mały z trudem powstrzymuje szloch.

- To dobrze.

Za chwilę Hank spytał znowu:

- Jak ci na imię?

- Theodore.

Zanim Hank zdążył odpowiedzieć, pojemnik na śmieci uderzył o burtę łodzi. Dzieciak znowu płakał głośno. W kilka sekund później kosz był już w łodzi. Jego śladem powędrował chłopiec.

- Trzymaj mocno kosz! - polecił Hank, złapał nadmuchaną kamizelkę i popłynął z powrotem.

Kobieta i dziewczynka trzymały się koła ratunkowego. Mała cały czas zanosila się płaczem.

- Przestań wreszcie albo utopię cię własnoręcznie! - Odciągnął dziewczynkę od koła i założył na nią kamizelkę. Ciągle becząła. Z trudem zapinając zatrzaski spojrzał na blondynkę.

- Z tobą wszystko w porządku?

- Tak.

Kobieta zupełnie do rzeczy - to było jego pierwsze wrażenie. Bała się, a mimo to nie wpadała w panikę. Objął ramieniem dziewczynkę, która choć ubrana w kamizelkę ratunkową, przestała się rzucać dopiero po trzeciej groźbie. Hank ponownie spojrzał na blondynkę.

- Widzisz łódź ratunkową?

Zaprzeczyła ruchem głowy i zaczęła się rozglądać.

- Płyn w tamtą stronę. - Wskazał kierunek, gdzie znajdowała się łódź.

- Widzę ją!

- Płynmy!

Zręcznym ruchem położył dziewczynkę na plecach i płynął ciągnąc ją obok siebie.

Oglądał się prawie przy każdym ruchu ręki sprawdzając, co dzieje się z kobietą. Płynęła za nim. Była silna, ale najpewniej wynikało to ze strachu. Hank wiedział doskonale, na czym polega potęga woli działająca zgodnie z zasadą „wszystko tylko nie śmierć”. Żył z tym przez zbyt wiele lat. A teraz oboje to odczuwali, on i ona. Zanim to głębiej przemyślał, uderzył ręką o burtę łodzi. Chłopiec i niemowlę byli w środku, tak jak ich zostawił.

Wepchnął do łodzi płaczącą ciągle dziewczynkę i pomógł kobiecie wspiąć się na burtę. Wziąwszy głęboki wdech Hank rozglądał się uważnie. Przyglądał się powierzchni wody, ale nie zauważył niczego poza kilkoma beczkami i unoszonymi bezładnie na falach resztkami parowca.

Żadnych marynarzy. Żadnych pasażerów. Nikogo nie było widać.

Przepłynął jeszcze kawałek starając się poszerzyć sobie pole widzenia. Ale oprócz resztek statku niczego więcej nie dostrzegł. Żadnych ocalałych rozbitków.

Hank spojrzał na parowiec. Zauważył drugą łódź ratunkową i kilka cieni próbujących się na nią dostać. Statek płonął. Z łatwością wyobraził sobie, co stało się z załogą starającą się do końca ocalić statek.

Głupcy do ostatniego tchu, pomyślał. Uchwycony burty przyglądał się jeszcze przez chwilę figurkom przy drugiej łodzi. Potem zwrócił się do blondynki:

- Wracam tam!

Ze statku dobiegł ich głuchy zgrzyt.

- Czeka! - krzyknęła i chwyciła go za rękę.

Hank spojrzał na nią, a później tam, gdzie ona utkwiała przerażony wzrok.

Kominy z hukiem przewracały się na pokład. Pożar rozszalał się z nową siłą. Płomienie sięgnęły drugiej łodzi ratunkowej. Ludzie krzyczeli. Towarzyszył temu huk pękającej stali. Parowiec przełamał się na pół, jak skorupka jajka, rozrzucając dookoła płonące fragmenty.

W jednej krótkiej chwili stało się jasne, że on, kobieta i dzieci byli jedynymi istotami ocalałymi z katastrofy. Zamarli w bezruchu, niezdolni do niczego poza wpatrywaniem się w pomarańczowo-niebieskie języki ognia strzelające w niebo. Statek zatrzęszczał po raz ostatni.

Kilka sekund później kadłub uniósł się wyżej, a potem wolno pogrążył w falach. Woda dookoła płomieni aż skwierczała. Dziób statku ginał w odmętach, jakby połykany przez morze. Ostatni fragment zanurzał się ukazując wyraźnie namalowaną nazwę statku, jedno proste słowo: „Blotka”.

Łódź ratunkowa kołysała się w ciemności na falach spokojnego morza. Hank majstrował przy lampie naftowej. Była to jedna z tych lamp zaopatrzonych w pompkę,

które mogły palić się nawet podczas największych sztormów. Widział nawet, jak przy świetle takiej lampy rybacy na pełnym morzu oprawiali ryby w czasie nawałnicy. Zapalił lampę zapałką.

- Nazywam się Margaret Huntington Smith.

Hank spojrzął na nią.

Dwa nazwiska... No, to mamy problem.

Nie odpowiedział jej. Podniósł latarnię wyżej i oświetlił twarz kobiety. Była śliczna, nawet przemoknięta do suchej nitki. Zwłaszcza przemoknięta do suchej nitki. Cienki materiał ubrania oblepiał jej ciało.

Nie miało to jednak znaczenia, bo wszystkie plany, jakie miał w stosunku do madame Smitty, diabli wzięli w chwili, gdy ze statku wyskoczyły dzieciaki. Patrzył to na nią, to na jej dzieci opatulone teraz kocami i plandeką. Najmłodsze owinięte w suchy kocyk trzymała na kolanach i kołysała. Światło latarni nadawało ich twarzom bursztynowy odcień. Wszyscy patrzyli na niego wyczekująco.

Hank odwrócił się i zaczął wpatrywać w ciemną wodę i nocne niebo. Nie widział niczego poza czernią. Zdawało mu się, że los rzucił ich w otchłań morską po to tylko, żeby przekonać się, czy zdołają przeżyć.

On wiedział, jak przeżyć. Do licha, nic innego nie robił od dłuższego czasu. Tak, potrafił zadbać o siebie. I to zupełnie dobrze. Ale co począć z kobietą i trojgiem jej dzieciaków? Nie byli przewidziani w jego planie.

- Ojczy? - Wyraźnie czekała na to, że się przedstawi. Znowu patrzyła mu prosto w oczy.

Cicho zaklął. Zapomniał zupełnie o sutannie. Zajął się latarnią udając, że nie dosłyszał głosu kobiety. Odczekała chwilę rozglądając się dookoła.

- To miały być wakacje - powiedziała bardziej do siebie niż do niego.

Hank zaśmiał się krótko.

- W pewnym sensie ja także byłem na wakacjach.

Ponownie spojrzęła na niego. Potem jej wzrok powędrował na dzieci. W jej oczach widać było bezradność. Była kompletnie zagubiona. Pomyślał, że jest taka bezbronna, szybko jednak porzucił tę myśl. Odczepił krótki maszt z umocowan i wetknął go do otworu w dnie łodzi. Przez kilka minut zmagął się z linami od żagla. Potem, wskazując głową maluchy, spytał:

- A gdzie podziewa się ich ojciec?

- Umarł - odpowiedziała dziewczynka z żalem w głosie, który on sam znał aż za dobrze.

Hank spojrzął na nią srogo. Mała odwzajemniła to spojrzenie.

- Ile masz lat, malutka?

- Nazywam się Lydia i wcale nie jestem malutka - powiedziała. Jej twarzyczka wyrażała jasno, że nie powinno go to obchodzić. Dodała jednak: - Jedenaście. - Mówiąc to, ciaśniej opatulila się kocem. Była zła - to uczucie malowało się na jej dziecinnej twarzyczce bardzo wyraźnie. Odwróciła od niego oczy i zapatrzyła się w dno łodzi. - Nasza mama też nie żyje. Wszyscy umarli.

Zatem to nie ich matka, pomyślał. Popatrzył na pannę Smitty, która znowu stała się warta grzechu.

- Ich rodzice zginęli w wypadku - powiedziała obejmując dzieci ramionami. - Guwernantka wiozła je do sierocińca na Wyspie Cooka. Zaprzyjaźniliśmy się w czasie podróży.

Zamilkła i chwilę patrzyła na morze.

- Zginęła uwięziona w kajucie, zaraz obok mojej. Udało mi się dostać jakoś do dzieci, ale... - Głos jej się załamał. Dziewczynka zaczęła płakać. Margaret odwróciła się do niej. - Przepraszam, Lydio. - Przytuliła dziecko. - Płacz. Wyrzuć z siebie to wszystko. Nie powstrzymuj się, płacz.

Hank skierował wzrok w inną stronę i przymknął powieki. Jego zdaniem Lydia nie potrzebowała do szlochania żadnej zachęty. Przecież do tej pory ciągle to robiła.

Chłopczyk natomiast zachowywał się bardzo cicho. Patrzył na Hankę szeroko otwartymi oczami pełnymi zaciekawienia. W jego wzroku widać było swego rodzaju nieustępliwość. Przedziwna mieszanka niewinności i ostrożności, zupełnie jak u kogoś, kto nieźle oberwał bez żadnego powodu.

Dzieciak po raz pierwszy kosztował właśnie goryczy życia, która była dla Hanka chlebem powszednim. Był przecież znacznie młodszy od tego chłopca, gdy po raz pierwszy dostał po tyłku od losu. Nie cieszył się długo niewinnością, nie zapomniał jednak uczucia zagubienia. Spojrzał na chłopca.

- Chcesz mi pomóc, mały?

Chłopak skinął głową.

- Mam na imię Theodore.

- Pamiętam. - Hank wskazał na ławeczkę znajdującą się przed nim. - Chodź tu.

Dzieciak wyplątał się z koca i zajął wyznaczone miejsce. Był bardzo poważny.

Hank ponownie przyjrzał się chłopcu.

- Ile masz lat?

- Pięć - padła odpowiedź, do której Theodore szybko dodał: - Ale nie jestem już dzieckiem. To Annabelle jest dzieckiem, bo nie ma nawet dwóch lat. - Rączką wskazywał na zakutanego w koc szkraba, którego Smitty trzymała na kolanach.

Hank podał chłopcu końce lin.

- Masz. Odwiąż je od żagla.

- Ojczy?

Spojrzał na blondynkę. Cały czas trzymała dziecko i pocieszała Lydię.

- Może pomodliłbyś się za nich... - poprosiła.

Hank zamarł.

- Za guwernantkę i resztę ludzi ze statku.

Przez sekundę namyślał się, a potem wyjął z kieszeni różaniec i ukląkł, opierając kolana o bregę łodzi. Kilka razy zanurzał paciorki w wodzie, jakby udzielając im chrztu.

- Panie, obdarz ich spokojem - powiedział i postarał się przeżegnać jak najbardziej przekonująco. W chwilę później schował różaniec do kieszeni. Zapatrzył się w fale. - Amen.

- Amen - powtórzyła za nim. Dodała też cicho: - Dzięki ci.

Hank przez bardzo krótki moment czuł ucisk gdzieś w środku - bardzo krótki moment. Pewnie za szybko zjadł banany. Przecież nie mogło to być poczucie winy. Nigdy nie czuł się winny. Z żadnego powodu. I nigdy nie będzie czuł się winny. Jego słowa pewnie niewiele pomogły ofiarom katastrofy.

Hank miał jednak poważne wątpliwości, czy modlitwa prawdziwego księdza działałaby więcej. Nikt nie mógł wrócić im życia. Odwrócił się w stronę swoich pasażerów i rozpakował niewielki żagiel. Pokazał chłopcu, jak należy umocować liny.

Smitty szeptała coś do Lydii i bawiła się rączkami malucha. Nagle gwałtownie uniosła głowę.

- Co to było?

- Co? - Hank przewlekał linę przez remizki w żaglu.

- Ten odgłos - powiedziała. - O, znowu! Posłuchaj!

Rozległo się głośnie, gulgoczące beczenie. Hank rozglądał się dookoła.

- Patrz! - Kobieta wskazała w kierunku północno-wschodnim.

- Tam, w wodzie!

Dzieciaki wyciągały szyje i wpatrywały się w ciemność.

- To koza! - zawołał Theodore podnieconym głosem.

Jedna z kóz, które Hank widział w klatce ładowanej na statek, płynęła w ich stronę. Łeb zwierzęcia zanurzał się co chwilę i pojawiał znowu z bekiem.

- Jest tutaj! - Smitty odwróciła się od kozy w stronę Hanka.

- Podpłynmy do niej.

- A po co? - spytał marszcząc czoło.

- Po co... żeby ją ocalić. To jasne. Biedactwo.

- Patrz! Patrz! - Theodore prawie do połowy wychylił się za burzę.

Hank chwycił go za spodnie na siedzeniu i wciągnął do łodzi w ostatniej chwili.

- Ona tonie! - Dzieciak patrzył na mężczyznę. - Uratuj ją! Szybko!

Hank popatrzył na kobietę i dzieci. Wszyscy wpatrywali się w niego wyczekująco. Nawet berbec akurat w tym momencie wysunął głowę spod koca, rozejrzał się dookoła, a potem ni stąd, ni zowąd uśmiechnął do niego.

- Uratować?

Gromadka energicznie potakiwała głowami. Wymyślając sobie w duchu na wszystkie sposoby, Hank obwiązał żagiel linami i sięgnął po wiosła. Minutę później łódź płynęła w stronę kozy, a Hank mruczał coś pod nosem o prawdopodobieństwie przeżycia w szalupie razem z bydlęciem.

Dopłynięcie zabrało mu pięć minut. Wciągnięcie przerażonej kozy na pokład kosztowało go dwa silne kopniaki kopytami w brzuch. Zaraz potem umieścił wiosła w zaczepach znajdujących się na wewnętrznych bokach burt i usiadł na ławeczce.

Wrócił do odwijania żagla.

- Spójrzcie tylko! Jakie to szczęście! - wykrzykiwała radośnie Smitty.

Hank po prostu spojrzał na nią wymownie.

- To mleczna koza. - Kobieta przerwała na chwilę, a widząc, że Hank nie reaguje, dodała: - Będziemy mieli mleko dla dzieci.

Wymruczał coś w odpowiedzi i jeszcze energiczniej zajął się żaglem i linami. Cała trójka zachwycała się głupią kozą. Obrzucił ich spojrzeniem.

- Podaj mi kompas. Jest za tobą w pojemniku z jedzeniem i zapalkami.

Smitty odchyliła się lekko i zaczęła grzebać w puszcze. Los się na niego uwziął. Znowu. Po czteroletnim pobycie w piekle, we francuskim więzieniu, znalazł się w szalupie ze smakowitym kaskiem, z kobietą o ciele boginki. I co z tego?

Dla niej był przecież księdzem. Do diabła, chyba lepiej będzie, jeśli zacznie zachowywać się jak ksiądz. Za kompanów mieli przecież trójkę osieroconych dzieciaków i hałaśliwą kozę. I dryfowali gdzieś po wodach południowego Pacyfiku. Czy życie nie jest wspaniałe?

Podawała mu kompas. Hank nie odezwał się słowem. Po prostu wstał i odwrócił się. Zaczepiony stopą o ławkę wychylał się za burtę mocując liny.

- Uwważaj! - krzyknęła Smitty.

Za późno zorientował się, że kierowała to do niego, i koza ubodła go boleśnie. Kompas wyleciał z dłoni, a zaraz za nim za burtę wypadł Hank. Zaklął. Bardzo głośno. I bardzo siarczyście.

Użył najgorszego słowa, jakie znał... i dodał jeszcze pięć innych. Nie różniły się zbytnio od pierwszego. Po wypłynięciu na powierzchnię Hank myślał tylko o zabiciu kozy. Wyobrażał już sobie krwawe strzępy i płynął do łodzi. Wspiął się na pokład klnąc jak szewc.

Dzieci zbiły się w gromadkę na ławce. Patrzyły szeroko otwartymi oczami. Buzie miały pootwierane ze zdziwienia. Smitty mocniej przytuliła do siebie malucha, gdy Hank kończył mówić:

- A niech tę cholerną kozę piekło pochłonie!

Potrząsał głową strząsając wodę. Otarł twarz rękami. Zbliżył się do kozy, nie spuszczać z niej oka. Bydlątko niewinnie przeżuwało skórkę od banana.

- Ślag! Ślag! Ślag! - zaczęło pokrzykiwać małeństwo. Wysunąwszy spod kocyka jasną twarzyczkę, powtarzało: - Ślag! Ślag! Ślag! Cholela!

Wszyscy spojrzeli na małeńką Annabelle, która z dumą obwieściła:

- Cholelna kozia! - I klaskała w rączki.

Przez całą minutę na łodzi panowała zupełna cisza.

- Siarczysty język, ojczy - powiedziała Smitty ze znawstwem.

Hank popatrzył na nią zaciekawiony.

- Wystarczająco siarczysty, żeby rozpuścić paciorki różańca - dodała.

Przekleństwo, które miał już na końcu języka, nie zostało wypowiedziane.

- Kim ty właściwie jesteś? - spytała patrząc na niego i mrużąc oczy.

Nie był księdzem.

Margaret siedziała wpatrując się w twarz mężczyzny i próbowała zauważyć coś, co pozwoliłoby jej domyślić się, kim lub czym jest. Jednak poza wyrachowaniem, które sprawy nie ułatwiało, niczego nie dostrzegła. Będzie kłamał, pomyślała.

Przerwała ciszę mówiąc:

- Domyślam się, że masz coś do ukrycia.

Roześmiał się słysząc to. Głośno i cynicznie. A potem usiadł na ławce znajdującej się za nim i patrzył wzrokiem, który nie pozwalał mieć wątpliwości, że raczej rzadko odczuwał litość.

Czekała.

On także.

- Kim jesteś? - powtórzyła.

- Jestem człowiekiem, który uratował ci życie. Tobie i dzieciakom.

Nie spuszczała z niego wzroku. Takiego postępowania nauczył ją ojciec. „Patrz ludziom prosto w oczy, córeczko. Będziesz zaskoczona tym, co tam zobaczysz”. Czekała teraz przez kilka długich sekund milczenia, w ciągu których zdała sobie sprawę, że z oczu tego mężczyzny nie dowie się niczego...

Żadna z jej zwykle stosowanych metod nie skutkowała. Długie chwile ciszy nie robiły na nim wrażenia, a przecież większość ludzi poddawała się w takich sytuacjach i zaczynała mówić tylko po to, żeby wypełnić czymś krępujące milczenie.

- Zadałam ci pytanie.

Zmuszanie go do przyjęcia postawy obronnej także nie przyniosło żadnego rezultatu.

Zmieniła taktykę.

- Oczekujesz po mnie, że zaakceptuję po prostu to, że przebrałeś się za kogoś, kim nie jesteś, i ślepo zawierzę ci życie swoje i dzieci?

- Ślepe zaufanie? - Hank oparł łokcie o brzeg burty. Lekko wykrzywił usta. - Brzmi nieźle, jak dla mnie.

- Chcę, żebyś mi odpowiedział.

- Tak - szybko spełnił jej prośbę.

- Tak, co?

- Tak. Możesz mi ślepo zawierzyć życie swoje i dzieci.

- Nie na to pytanie oczekiwałam odpowiedzi.

- Posłuchaj, mała, to jedyna odpowiedź, na jaką możesz liczyć - powiedział i podciągnął nogi; ułożył skrzyżowane stopy wygodnie obok Margaret na wolnej części ławki. Spojrzał na nią zadowolony z siebie.

Przez moment wpatrywała się w jego nogi. Dookoła kostek widać było jaśniejsze fragmenty nie opalanej skóry. Przeniosła wzrok na jego twarz i zauważyła, że szybko przestał patrzeć na nogi i skierował oczy na nią. Oczy zwięzły mu się prawie niezauważalnie.

Czekała na jego reakcję. Może coś powie. Nie powiedział, ale wyraz pewności siebie zniknął z jego twarzy. Też jakoś prawie niezauważalnie.

- Kajdany - powiedziała prowokująco.

Nie unikał jej wzroku. Mocniej przytuliła do siebie dzieci.

- Byłeś we francuskim więzieniu. Słyszałam o nim od załogi, gdy staliśmy w porcie na wyspie Delfina.

Milczał.

- Domyślam się, że skoro jesteś przebrany za księdza, nie wypuścili cię stamtąd po odbyciu kary.

Cały czas wpatrywał się w nią.

- Załoga mówiła jeszcze, że nikomu żywemu nie udało się stamtąd uciec.

Roześmiał się. Właściwie wybuchnął śmiechem, jakby opowiedziała świetny dowcip.

- Nie uciekłem żywy.

Zmarszczyła czoło, ale nie spuszczała z niego wzroku.

- Myśleli, że umarłem.

- Ale przecież żyjesz.

- Żyję i powinnaś być z tego powodu cholernie zadowolona, bo gdybym nie żył, twój śliczny tyłeczek, zamiast wiercić się zalotnie, byłby teraz daniem dla rekina.

Zdawała sobie sprawę, że oczekiwał teraz na jej reakcję - przerażenie albo gniew, albo i to, i to naraz. Nie zareagowała. Przecież mimo przebrania, mimo że był skazańcem, mimo złośliwego tonu głosu i twardego spojrzenia, uratował im wszystkim życie. Przecież, gdyby miał zamiar ich teraz skrzywdzić, to wcześniejsza pomoc nie miałaby zupełnie sensu. I dlatego właśnie bardzo spokojnie spytała:

- Jak długo tam byłeś?

- Zbyt długo.

- Dlaczego się tam znalazłeś?

- Bo nie było innego miejsca, gdzie mogli mnie umieścić.

- Co takiego zrobiłeś? - spróbowała z innej strony.

Nie odpowiedział.

Po kilku pełnych napięcia sekundach, które przeciągały się w minuty, wyszeptała:

- Nie masz nawet zamiaru mi powiedzieć.

Obrzucił ją długim, lodowatym spojrzeniem.

- W naszej sytuacji - wskazała na łódkę - chciałabym wiedzieć.

- A ja chciałbym mieć milion dolarów, stek na obiad i wóz pełen skrzynek piwa, ale mam na to takie szanse jak ty na moją odpowiedź.

Pokręciła głową z powątpiewaniem.

- Nie, widzę powodu, dla którego nie mógłbyś mi powiedzieć. Co mogę zrobić? Zabrać cię tam z powrotem? Zawiadomić władze? - Mówiąc to patrzyła na ciemne morze. - Naprawdę żadnego powodu.

- To nie ma nic do rzeczy. - Zmrużył oczy, ale nie patrzył na nią. - Ja tam nie wrócę.

- Ponieważ uciekłeś, czeka cię jeszcze sroższa kara. Byłoby prościej, gdybyś odsiedział cały wyrok.

Patrzył na nią, ale z jego wzroku nie mogła niczego wyczytać. Milczenie przedłużało się. Wreszcie wolno pokiwał głową i powiedział cicho, zamyślony:

- Prościej.

Patrzył na wodę nie mówiąc nic więcej. Szalupa unosiła się na falach, które lekko uderzały o burty. Odwrócił się w stronę kobiety.

- A zatem, Margaret coś-tam Smith... skąd jesteś?

- Z San Francisco.

Zdawało się, że nie patrzy na nią, że stała się przezroczysta.

- Byłem w San Francisco. - Przerwał na chwilę. - Ładne miasto.

- Lubię je.

Powoli oglądał ją od stóp do głowy.

- Nob Hill, mam rację?

- Russian Hill.

- Prawie zgadłem. Piękna pogoda. Wspaniałe miasto, San Francisco. - Znowu przerwał, jakby zatrzymując tę chwilę i zapytał: - Jak brzmiało hasło reklamowe dotyczące kolei i Kalifornii?

- Wyrusz w piękną podróż do pięknej Kalifornii. Krainy obfitości.

- Racja. Kraina obfitości - powtórzył za nią. - Mnóstwo jedzenia. Mnóstwo wody.

Nie patrzył na Margaret. Usiadł prosto, oparł łokcie o kolana. Zamyślił się. Potem bardzo wolno nachylił się w jej stronę.

- Więc twoim zdaniem byłoby prościej, gdybym odsiedział cały wyrok? - zapytał, ale ton jego głosu wskazywał wyraźnie, że jej odpowiedź nie jest potrzebna.

Widać było, że jest rozzłoszczony. Kobieta przestraszyła się trochę, gdy jeszcze bardziej przybliżył się do niej.

- Jesteś kobietą z San Francisco, masz jakieś... - przerwał na chwilę i znowu przyjrzał się jej od góry do dołu - trzydzieści lat...

- Trzydzieści dwa.

- Co trzydziestodwuletnia kobieta z Russian Hill w San Francisco może wiedzieć o więzieniu?

- Nie to miałam na myśli.

- Zastanawiam się, jak długo wytrzymałabyś zakuta w kajdany. - Mówił spokojnym głosem, który nie pasował do napięcia emanującego z każdej cząstki jego ciała. Spojrzał na nią złym wzrokiem. - Czy kiedykolwiek byłaś głodna? Bez wody i jedzenia przez całe dni?

Jego twarz dzieliło od niej zaledwie kilkanaście centymetrów. Kobieta milczała.

- Byłaś zamknięta w cuchnącej celi, panno Margaret coś-tam Smith, i bałaś się zasnąć na dłużej niż kilka minut? Daję głowę, że nie masz zielonego pojęcia, czego można się bać w więzieniu.

Jedno z dzieci mocniej przytuliło się do kobiety, która odruchowo spojrzała na nie. Hank błyskawicznie chwycił ją za podbródek i zmusił do patrzenia na niego.

- Wiesz coś o tym? - Przerwał. Jego wzrok był pełen wzdargi. - Bardzo wątpię, mała.

Lydia zaczęła płakać. Hank cofnął rękę, odwrócił spojrzenie i odsunął się. Popatrzył ostro na Lydię, a potem na Theodore'a. Wyglądał bardzo groźnie.

Margaret mocniej przytuliła dzieci.

- Gdybyś była mną... - wskazywał palcem swoją pierś - Hankiem Wyattem, i przeżyła to, co ja, mogłabyś mówić mi, że coś jest prostsze. I tylko wtedy, do cholery.

- Straszysz dzieci.

Uśmiechnął się złośliwie.

- Nie zaszkodzi im, jeśli już teraz dowiedzą się, że życie nie jest łatwe.

- Są tylko dziećmi.

- Sierotami - powiedział zimno. - Sierociniec, w którym się wychowałem, był niewiele lepszy od więzienia.

- Jesteś okrutny i zgorzkniały.

- Życie jest okrutne i pełne goryczy. Mogą się teraz czegoś nauczyć, póki są młodzi. Nikt później nie będzie się nimi przejmował. Wierz mi, wiem, co mówię. Muszą bardzo szybko wydorosnąć. Cholernie szybko.

Margaret przestała patrzeć na pobladłe twarzyczki dzieci i przeniosła wzrok na Hanka.

- Dlaczego nas uratowałaś?

Unikał jej wzroku.

- Nie pytaj o to.

- Dlaczego?

- Bo mogłabyś usłyszeć prawdę.

- Ale...

- Zaufaj mi, mała. Wcale nie chcesz tego wiedzieć. - Zajął się linami przy żaglu. Po chwili przerwał jednak układanie liny i znowu na nią spojrzął. - Martw się po prostu o dzieci.

Po tych słowach odwrócił się tyłem. Theodore podniósł się, ale łódź tak mocno kołysała, że miał kłopot z utrzymaniem równowagi. Margaret złapała go za rękę i pomogła stać prosto. Łamiącym się głosem malec powiedział:

- Panie Wyatt?

Mężczyzna wymamrotał coś pod nosem.

- Panie Wyatt?

Hank odwrócił się.

- Mów po prostu Hank.

Theodore skinął głową.

- Powiedziałeś, że muszę wydorosnąć już teraz, bo jestem sierotą.

Margaret zakryła sobie usta dłonią. Były więzień nie odezwał się słowem. Theodore wyprostował się jeszcze bardziej i wypinając wątlą pierś powiedział bardzo poważnie:

- Dziękuję za to, że nas uratowałaś.

Wszystkie siły opuściły Margaret, gdy patrzyła na Theodorem który próbował być odważny, stojąc twarzą w twarz z okrutnym i bezwzględny mężczyzną. Skazańcem.

Hank patrzył przez dłuższą chwilę na wyciągniętą w jego stronę rączkę.

Kobieta wstrzymała oddech ze zgrozą myśląc, co taki człowiek jak on może powiedzieć albo zrobić małemu chłopcu, który już i tak doświadczył więcej bólu, niż powinien. Miała właśnie zamiar wstać i odciągnąć Theodore'a od Hanka, ale zobaczyła, że mała rączka wsuwa się w dużą opaloną dłoń. Odetchnęła z ulgą nie zdając sobie sprawy, że tak długo nie oddychała.

W zachowaniu mężczyzny nie było śladu pychy, a w jego oczach nie tliły się żadne iskierki okrucieństwa ani wyzwania.

- W porządku, mały - powiedział Hank i wzruszył ramionami.

Spojrzenia mężczyzny i kobiety spotkały się ponad głową chłopca. Nie mogła niczego wyczytać z jego twarzy, ale jasne było, że napięcie nie opuściło go. Siedział sztywno. Była świadkiem czegoś, co chciał przed nią ukryć. Gdy Hank puścił rączkę Theodore'a, wyraz jego twarzy stał się z powrotem hardy i zawzięty. Usta miał mocno zaciśnięte. Theodore wrócił na swoje miejsce i usiadł obok Lydii. Zaczęli szeptać między sobą.

Odwrócony plecami do Margaret, Hank odwiązał liny żagla i rozsiadł się wygodnie. Spojrzała na dzieci, a potem na kobietę. W jego wzroku zauważyła ostrzeżenie. Nie powiedziała słowa. Hank przestał na nią patrzeć.

Po chwili Margaret odezwała się cicho:

- Dziękuję.

Oboje świetnie wiedzieli, za co dziękowała.

- Nie wyobrażaj sobie zbyt wiele, złotko. Zrobiłem, co zrobiłem, dlatego że zrobiłem, i już. - Nasunął kapelusz na oczy i skrzyżował ręce na piersi.

- Oczywiście - powiedziała uszczypliwie. Wpatrywała się w czarne nakrycie głowy.

Przesunął trochę kapelusz i spod runda spojrzął na nią koso. Słodko się do niego uśmiechnęła. Nasunął kapelusz z powrotem i wymruczał coś pod nosem.

Powinam była poprosić Theodore'a, by go wypytał, pomyślała. Chłopiec mógł wyciągnąć z niego jakieś informacje. Przez bardzo długą chwilę wpatrywała się w postać Hanka Wyatta. Potem skrzywiła się lekko, gdy zdała sobie sprawę, że on leży sobie w najlepsze, jak człowiek, który nie ma żadnych zmartwień.

Co więcej, jego równy oddech świadczył, że najprawdopodobniej właśnie zasypiał.

- Co robisz? - spytała.

Nie odpowiedział. Spojrzała na żagiel, który choć przywiązany do masztu i z pełnym olinowaniem, zwisał żałośnie.

- Panie Wyatt?

Odburknął niewyraźnie.

- Pytałam, co pan robi?

- Zasypiam - powiedział spod kapelusza.

Margaret spojrzała na morze. Najpierw na prawą stronę, potem na lewą.

- Czy nie powinniśmy jednak zrobić... czegoś?

- Niby czego?

- Nie wiem. Płynąc gdzieś. Robić coś, zamiast siedzieć beczynnienie.

- Nie mam zamiaru kiwnąć palcem aż do rana.

- W puszcze z jedzeniem jest mapa. Widziałam ją. - Sięgnęła ponad Lydią i Theodore'em, którzy bawili się z Annabelle. Wyciągnęła mapę i rozwinęła ją z szelestem. Kilkakrotnie wygładziła zagięcia.

Mężczyzna odsonił twarz, spojrzął nieprzyjaźnie na mapę i na kobietę. Odezwał się dopiero po jakimś czasie:

- Musimy zaczekać na wschód słońca.

- Rozumiem, że jest ciemno, a litery bardzo małe, ale jeśli użyjemy lampy... - przysunęła mapę do oczu prawie dotykając jej nosem - zresztą jeśli zbliżę ją do oczu, o tak, mogę przeczytać co nieco.

- Możesz przeczytać - powiedział, jakby to był dowcip.

- Tak. - Odsunęła mapę od twarzy i ponad jej brzegiem popatrzyła na niego.

Prawie się uśmiechał.

- Tak, potrafię czytać mapy. - Mówiąc uniosła trochę głowę. - Mam też rozum. - Położyła mapę przed sobą. - Na mapie zaznaczone są strony świata, północ, południe, wschód i zachód. A tu... - kilka razy stuknęła palcem w mapę - jest Ocean Spokojny.

- Cóż, Smitty...

Skuliła się, słysząc to „imię”.

- Mamy tylko jeden problem.

- Co takiego?

- Pokaż mi, gdzie jest wschód.

- Tu. - Uderzyła palcem w mapę.

Hank pokręcił przecząco głową.

- Nie, złociutka. Nie na mapie. Tu, na łodzi. Gdzie jest wschód?

Margaret rozejrzała się dookoła po ciemnym oceanie. Nie było widać ani księżyca, ani gwiazd. Niebo było zachmurzone i ponure.

- Kompas przepadł. Koza się o to postarała. - Posłał zwierzęciu spojrzenie, które powinno je wystraszyć, ale bydłatko leżało spokojnie obok Theodore'a niczego nieświadome. - Dlatego właśnie nie postawiłem żagla. - Hank znowu spojrzął na Margaret. Bardzo powoli i wyraźnie, jakby mówił do kogoś niedorozwiniętego, powiedział: - Mapa nie przyda ci się na nic, jeśli nie masz pojęcia, gdzie się znajdujesz.

I o to chodziło. Przez całą minutę Margaret siedziała niezdolna do najmniejszego ruchu. Czuła się jak idiotka. Potem bardzo starannie złożyła mapę. Miał rację. Oczywiście. Obróciła się i schowała złożony arkusz do puszeki, a potem skrupulatnie unikała wzroku mężczyzny. W końcu nie jest przyjemnie, gdy okazuje się, że tkwiło się w błędzie, zwłaszcza gdy zdarzyło się to w obecności człowieka takiego jak on.

- Prześpię się teraz.

Jednak spojrzęła na niego. Znowu ukrył twarz za kapeluszem i skrzyżował ręce na piersi. Czuję się bardzo niezręcznie. Była zawstydzona i bezradna. Nie była do tego przyzwyczajona.

- Hej, Smitty! - Hank odezwał się po kilku minutach.

Spojrzęła w stronę kapelusza.

- Tak?

- Może pozwolisz swojemu rozumowi na chwilę odpoczynku - zaproponował i roześmiał się nieprzyjemnie.

Odwrociła wzrok. Odwiązała kilka kamizelek ratunkowych i nakryła je kocem.

- Połóżcie się tutaj, dzieci, i postarajcie się zasnąć.

Theodore wyglądał, jakby już spał. Lydia wśliznęła się pod koc i przysunęła do kozy leżącej przy Theodorze. Zwierzę przytuliło się do dziewczynki i oparło brodaty pysk na jej ramieniu. Margaret położyła się obok nich. Kołysała w ramionach śpiącą Annabelle. Zapatrzyła się w mroczne niebo, na którym zbierały się chmury. Przez krótką chwilę widziała cieniutki sierp księżycy. Szybko jednak zniknął zakryty chmurami.

Nie miała racji. Było to coś, czego Margaret nie akceptowała u siebie. Owszem, potrafiła czytać mapy, ale powinna też pamiętać, że trzeba wiedzieć, gdzie się jest, by móc się nimi posłużyć. Nie myślała prawidłowo, co bardzo ją zmartwiło, bo takie wpadki mogły się powtórzyć.

- Smitty?

Udała, że nie słyszy, zdecydowana zachować milczenie. Nie zareagował. I nie powiedział nic więcej. Poddała się pierwsza.

- Tak?

- Obudź mnie o wschodzie słońca.

Przez następną minutę znowu milczał. Dopiero po tym czasie dodał:

- Wiesz, oczywiście, że to na wschodzie.

Coś szturchnęło go w nogę. Hank poruszył się nieznacznie.

- Panie Wyatt?

Ziewnął i wymamrotał coś na podobieństwo: „co?”

- Panie Wyatt! Prosił pan, żeby pana obudzić o wschodzie słońca.

- Zmieniłem zdanie.

- Słońce właśnie wstaje.

- Ale ja nie.

- Panie Wyatt?

Zignorował ją.

- Czy pan się obudził?

Przez kilka minut słyszał jej westchnienia i ciche mamrotanie. Chodziła po pokładzie i bez przerwy coś robiła - a to przesuwiała, a to stawiała, a to sprawdzała. Starał się tego nie słyszeć i miał właśnie zamiar ponownie zasnąć, gdy doszedł go szelest papieru. Rozlegał się raz po raz.

Zerknął ukradkiem. Studiowała mapę. To tym szeleściła. Odetchnął głęboko. Niech się bawi w kapitana Cooka. Znowu usnął. Znacznie później obudził go głośny chlupot i jeszcze głośniejsze beczenie kozy. Dzieciaki szeptały coś między sobą podniecone. Łódź kołysała się w miarę tego, jak przemieszczały się po pokładzie.

- Tam jest! Teraz znacznie bliżej!

Hank zsunął z twarzy kapelusz. Koza wpatrywała się w niego stojąc nie dalej niż na wyciągnięcie ręki. Odpędził ją i rozejrzał się.

Jasne światłoomal go nie oślepiło. Zamrugał powiekami, żeby pozbyć się czarnych plam przesłaniających pole widzenia. Najpierw zobaczył pupę Smitty. Kobieta oparta jednym kolaniem o brzeg ławki była do połowy wychylona za rufę łodzi. W rękach trzymała wiosło. Uderzyła nim o coś twardego i pustego w środku.

- Prawie ją masz! - wołał Theodore klęczący obok niej.

Lydia siedziała na dnie szalupy z maleństwem na rękach i starała się dojrzeć coś poprzez białą spódnicę Smitty. Patrzył na nich, gdy znowu doszedł go odgłos uderzenia.

- Mam cię! - powiedziała Margaret odkładając wiosło za siebie. Zachowywała się tak, jakby coś przywiązywała. Jej pupcia kołysała się przy tym cały czas.

Hank rzucił kapelusz obok siebie. Włożył ręce pod głowę i napawał się widokiem. Śliczniutka... naprawdę śliczna. W końcu jednak kobieta wyprostowała się.

- Razem mamy siedem. - Wycierając ręce obejrzała się i napotkawszy jego wzrok straciła trochę rezon.

Ziewnął, podrapał się po głowie, a potem przeciągnął. Kiedy znowu na nią spojrzął, wyduła usta w grymasie niezadowolenia. Odpłacił jej tym samym.

- Co, do diabła, wyrabiacie? - spytał.

Wyprostowała się jeszcze bardziej i uniosła do góry brodę.

- Ratujemy resztki ze statku.

Hank usiadł i popatrzył na to, co działo się za nią. Do łańcucha cumowniczego szalupy przymocowana była lina ciągnąca się za rufą. Do liny poprzywiązywane były drewniane skrzynki, beczki i kufry. Kosz na śmieci, który stał na dnie łodzi, wypełniały po brzeg butelki i garnki. Wszystko wieńczył czajnik.

Patrząc na gładką opalizującą wodę odbijającą złociste promienie, Hank dostrzegł resztki z wraku unoszące się na powierzchni. Coś uderzyło kilkakrotnie w ster łodzi. Hank wychylił się i sięgnął w dół. Niewielki srebrny flakonik pływał w zasięgu ręki. Wyciągnął go i przyjrzał mu się. Smitty to zauważyła.

- Och, a co to takiego?

- Nic. Zwyczajna stara butelka na perfumy.

Kobieta wyciągnęła dłoń w jego stronę.

- Jest piękna. Czy mogę...

Wyrzucił srebrne cacko przez burtę.

- Ostatnia rzecz, jakiej tu potrzebujemy, to więcej tych śmieci.

Przeciągnął się znowu i ziewnął. Zrobił kilka przysiadów. Przez chwilę gimnastykował ręce. Kątem oka widział, jak kiwała głową. Zignorował to i zapatrzył się w błękitne niebo szukając tam wskazówek, o które mu chodziło. Potem usiadł i zabrał się za takielunek.

Smitty ostentacyjnie rozłożyła mapę i usiadła trzymając ją w rękach. Szelest papieru był denerwujący. Potem schyliła się i wyjęła z puszek kompas, kątomierz i ołówek.

- Skąd to masz?

Spojrzała na niego z roztargnieniem.

- He? Och, to? - spytała unosząc dłoń, w której trzymała kompas i ołówek. - Z jakiejś puszeki.

Patrzył na nią przez chwilę bez słowa.

- Przestudiowałam mapę... - Mówiąc szeleściła papierem. -

Wytyczyłam trasę, którą powinniśmy popłynąć... - Położyła kompas na mapie i obracając nim kontynuowała: - Hmmm, tak, to jest...

Obok kompasu znalazł się kątomierz.

- Czterdzieści stopni na południe. A może powinno to być sześćdziesiąt? - Przerwała, spojrzała na Hankę, by za chwilę ponownie pogрузić się w studiowanie mapy. - Nie, nie. Miałam rację. Czterdzieści stopni na południowy zachód, nie na południe. - Wyjęła ołówek ze szczeliny w kompasie i wetknęła go sobie za ucho, zanim znowu spojrziała na mężczyznę.

Nie odzywał się słowem zajęty dopasowywaniem ożaglowania i ustalaniem kierunku wiatru.

- Opuszczając Delfina płynęliśmy na zachód, a tu, na mapie, jest Wyspa Cooka. Znajduje się na południowy zachód od Delfina.

Szczebiotała dalej o tym, w jaki sposób wyznaczyła prawidłowy kurs - że wzięła pod uwagę czas, jaki upłynął, i kierunek. Nie zdawała sobie sprawy, że pominęła wpływ wiatru i prądów morskich.

Hank ziewnął po raz kolejny, a ona zawzięcie mówiła o obliczaniu kursu. Zanudzała go na śmierć. W końcu jednak przestała i odwróciła mapę w jego stronę. Pokazywała na niej palcem łańcuch wysepek.

- Widzisz? Czterdzieści stopni na południowy zachód.

Hank ustawił żagiel, przez minutę patrzył w niebo, a potem obrócił łódź o sześćdziesiąt stopni na północny wschód.

Obserwowała go ze zmarszczonym czołem. Popatrzyła na mapę trzymaną w rękach, na położenie słońca, na żagiel i wreszcie w stronę, gdzie się kierowali.

- Wydaje mi się, że źle płyniemy.

Zdobył się jedynie na swoje zwykłe burknięcie, które mogło oznaczać wszystko, od „tak”, do „a kogo to obchodzi”. Położyła mapę na kolanach.

- Nie masz nawet zamiaru mnie słuchać, mam rację?

- Tak.

- Jestem dorosłą, inteligentną osobą, panie Wyatt, i powinnam mieć prawo do wpływu na decyzje dotyczące tego, co się tu dzieje.

- Tak uważasz?

- Tak - opowiedziała głośno.

- A co ze ślepym zaufaniem?

- A co z demokracją?

- Ja rządę w królestwie. Poza tym, jesteś kobietą. - Uśmiechnął się krzywo. - Nie masz prawa głosu.

Aż otworzyła usta. Zmrużyła oczy. Nie uśmiechał się już, choć chciał. Była naprawdę zła. Hank wpatrzył się w morze.

- Ale nie załamuj się z tego powodu, Smitty. Kobiety przydają się w wielu innych sprawach.

Rozzłościł ją jeszcze bardziej. Knykcie na jej zaciśniętych dłoniach pobiełały. Zagryzła wargi. Będzie musiał jednak przyznać coś na jej korzyść - nie da się sprowokować tak łatwo. Jeszcze zobaczy, jaki użytek robi ze swojego rozumu.

Spojrzała na dzieci, które uważnie obserwowały potyczkę między nią i mężczyzną. Robiły wrażenie żywo zainteresowanych. Oczy aż im błyszczały. Kiedy odwróciła się ponownie w jego stronę, usta jej zdobił uśmiech.

Nie takiej reakcji oczekiwał. A w sekundę później ona śmiała się, śmiała się szczerze i serdecznie. Jej czysty śmiech zaskoczył go, chociaż tego nie okazał.

Po minucie czy dwóch przestała.

- Teraz cię rozumiem.

- Tak myślisz?

- Tak. - Przerwała na chwilę, uderzyła się kilka razy pięścią w klatkę piersiową i zniżając głos dodała: - Mężczyzna poluje! Oooooo! Kobieta gotuje!

Patrzył na nią drapiąc się po brodzie.

- Mniej więcej tak to wygląda - przyznał.

W jej oczach wyczytał, że nie dała się zwieść ani też nie była już zła.

- Często osiągasz coś taką taktyką?

Roześmiała się głośno. Ta kobieta rzeczywiście potrafiła myśleć.

- Szybka jesteś, Smitty... jak na kobietę.

- Tak jak powiedziałeś - uśmiechnęła się do niego słodko - kobiety przydają się w niektórych sprawach.

- Hej, Smitty! Bądź użyteczna i podaj mi tę puszkę z wodą.

Margaret spojrzała na niego i przestała podrzucać dziecko - była to próba zabawienia małej. Annabelle nie chciała bowiem, by trzymać ją na rękach, nie chciała się bawić. Chciała jedynie raczkować po całej łodzi. Chciała rzucać herbatnikami. Chciała robić wszystko, byle nie siedzieć spokojnie.

Lydia i Theodore zdążyli już pokłócić się dwa razy o to, kto będzie siedział obok kozy, raz o to, kto pierwszy poprosił o pozwolenie, raz o to, kto naruszył czyje terytorium i trzy razy o to, kto kogo dotknął, choć nie powinien. Lydia dąsała się teraz, a koza beczała z nieznośną regularnością.

Żar lał się z nieba. Margaret spociała się. Powietrze było gęste. Od upału bolała ją głowa. Rozwiesiła plandekę chcąc osłonić siebie i dzieci od palących promieni. Włosy lepiły się jej do czoła. Cała była oblepiona okruszynami herbatników Annabelle. Uznała, że się zgubili, a Jego Wysokość, władca tej maleńkiej monarchii, potrafił jedynie zażyczyć sobie puszki z wodą.

Zdjął z siebie sutannę i paradował teraz po swojej części szalupy odziany w coś, co musiało być więziennym uniformem, na który składały się: para brudnych bawełnianych spodni przewiązanych sznurkowym paskiem i bawełniana koszula z jednym jedynym guzikiem, jaki się na niej ostał. Rozchyłona koszula odsłaniała opaloną klatkę piersiową pokrytą czarnymi kręconymi włosami i zupełnie płaski brzuch.

Kiedys - mniej więcej rok temu - jego ubranie miało najprawdopodobniej kolor biały. Teraz było szare. W spracowanej ręce trzymał liny żagla. Drugą ręką wybijał o burzę denerwujący rytm.

Cień kapelusza skrywał twarz Hanka. Margaret nie mogła jej dojrzeć do czasu, gdy zsunął kapelusz na tył głowy i przeciągnął się, szeroko ziewnął, podrapał po głowie i po opalonym brzuchu. Potem pogładził się po podbródku i zaczął drapać po brodzie i szyi. Robił to tak energicznie, że była zdziwiona, że nie robi tego nogą.

Patrzyła na niego kompletnie zdumiona. Po minucie spojrzał na nią wyczekująco.

Uśmiechnęła się niewinnie.

- No, więc...

- Hę? Chciałeś czegoś?

- Wody. Podaj mi wodę.

- A, tak, oczywiście. - Objęła Annabelle jedną ręką, a drugą sięgnęła za siebie po cynowy kubek. - Pozwól, że ci naleję.

Zdziwił się widząc naczynie.

- Skąd to masz?

- Kubek? Z jakiejś skrzynki.

Odwróciła się tyłem do niego. Dziecko chichotało i klaskało w rączki.

- Bawić! Bawić!

Tak, Annabelle, pomyślała Margaret, zaraz się zabawimy. Spojrzała przez ramię. Hank patrzył gdzieś w dal i pogwizdywał sobie. Kopnęła lekko bańkę z wodą, a potem szybko zaczerpnęła pełen kubek wody zza burty. Ukradkiem wytarła wierzch o sukienkę.

Obróciła się do niego, jeszcze raz uśmiechnęła słodziutko i podała mu cynowe naczynie.

- Twoja woda.

Wymruczał coś pod nosem, uniósł kubek do ust i pociągnął łyk godny wielkiego, milutkiego Neandertalczyka.

- To woda morska!

- Wiem.

- Dlaczego, do cholery, to zrobiłaś?

- Bunt załogi.

Wstał. Łódź zakolysała się. Obszedł maszt i przecisnął się obok Margaret. Chwytał bańkę z wodą i mamrocząc nieprzyzwoite słowa ruszył w stronę rufy.

Annabelle spojrzała na niego.

- Ceść.

Zmarszczył czoło.

Uśmiechnęła się do niego i pomachała rączkami.

- Cholela! Cholela! Cholela!

- Nie, Annabelle. - Margaret pogroziła jej palcem. - Nie. Nie. To brzydkie słowo.

Uniósłszy baniak Hank napił się wody. Zakręcił go dokładnie i postawił między nogami.

- Czy nie powinniśmy racjonować wodę?

- Boisz się, Smitty?

Obiegła wzrokiem horyzont, a potem spojrzała na niego z powagą.

- Wiesz, gdzie jesteśmy?

- Nie muszę wiedzieć, gdzie jesteśmy.

Rozmowa z nim przypominała gadanie do obrazu.

- Mężczyźni obdarzeni są instynktem. Możesz to uważać za szósty zmysł.

- Co? Ignorowanie kobiet?

- To też. - Machnął ręką w jej stronę. - Wiem dokładnie, dokąd zmierzam.

- Bez mapy czy choćby kompasu?

Popukał się palcem w skroń i spojrzał na nią z pewnością siebie. Jestem wszechwiedzący, mówiły jego oczy.

- Wszystko jest tutaj. Talent dany mi przez naturę, złotko. Z tym jest tak samo jak z wycuciem momentu, kiedy można zwinąć komuś portfel.

Pokiwiała głową.

- Nie masz żadnych skrupułów.

Uśmiechnął się, jakby właśnie usłyszał komplement. Oparł się dłońmi o burtę i patrząc na pojemniki ciągnięte przez łódź, zapytał:

- Nie ma tam jakichś cygar?

Spojrzenie, jakim go obrzuciła, mówiło wyraźnie, co jej zdaniem powinien zrobić z cygarem.

- Piwo?

- Nie. Żadnych cygar, żadnego piwa i żadnych tancerczek.

Zaśmiał się i zaczął przyglądać jej nogom. Spojrzała również. Nasiąknięta wilgocią spódnica oblepiała ją niczym druga skóra.

- Nie wydaje mi się... - Popatrzył jej prosto w oczy, ale w końcu pokręcił głową. - Uhhhhhm...

W kilka minut potem zaczął gwizdać i wybijać rytm palcami o burtę. Westchnął i rozejrzał się dookoła.

- To właśnie jest życie. Świeże powietrze. Słoneczko świeci...

Annabele uderzyła ją w twarz rączką pełną pokruszonych ciasteczek. Chichotała. Margaret zamrużyła oczami. Otarła okruszyny z twarzy i zabrała dziecku pudełko z herbatnikami. Annabelle rozdarła buzię, zaczęła się wrywać i wiercić.

Po piętnastu minutach, które zdawały się najgorszą torturą, spojrzał na nią po raz setny.

- Nie możesz uciszyć tego dzieciaka?

- Próbuję... - odpowiedziała zaciskając zęby.

Była załamana, na granicy rozpaczony i zupełnie bezradna wobec jednego małego dziecka, które wrzeszczało jak opętane i wrywało się z jej kolan coraz skuteczniej. Margaret chciała dać Annabelle z powrotem pudełko z ciastkami, ale mała odepchnęła je i płakała jeszcze głośniejsze.

Zdmuchnęła z twarzy opadający kosmyk włosów.

- Zupełnie nie wiem, co robić.

- Boże! Zrób coś jednak!

Lydia wyjrzała spod plandeki i powiedziała cicho:

- Mama zwykle ją kołysała.

- Tak, Smitty. Posłuchaj tej dziewczynki. Zaczynaj. - Hank zachowywał się tak, jakby to był jego pomysł. - Kołysz ją.

Kobieta policzyła wolno do dziesięciu.

- Na co czekasz? Kołysz dziecko!

Podniosła się trzymając wijącą się i wrzeszczącą Annabelle, która na dodatek zaczęła kopać. Posadziła płaczące dziecko na jego kolanach.

- Ty ją kołysz.

- Jeszcze czego! - krzyknął i zamarł w bezruchu. - Zabierz ją ode mnie! - Siedział z rękoma wyciągniętymi na boki, jakby Annabelle była nietykalna.

Dosłownie w sekundę później dziecko przestało płakać i to tak nagle, że teraz wszyscy wpatrywali się w nie z niedowierzaniem. Pociągnęła jeszcze raz nosem i czknęła. Uniosła do góry małą, mokrą od łez buzię i zaczęła wpatrywać się w Hanka.

Margaret zauważyła, że on z kolei patrzył na małą wzrokiem, jakim obdarzali kobietę-adwokata prokuratorzy-mężczyźni. Dziecko czknęło raz jeszcze. Potem wetknąwszy do buzi dwa palce, mała przytuliła swoje pulchne ciało do opalonej skóry mężczyzny. Westchnęła opierając mu główkę na piersi.

W chwilę później zasnęła.

Smętne dźwięki pieśni o wolności z trudem przedzierały się przez gęste, nieruchome powietrze. Melodia zdawała się smutniejsza od tej, jaką Hank zapamiętał. Przerwał grę i odłożył organki patrząc na Smitty, która utkwiała wzrok w bezmiarze wody. Dzieci spały, a koza ogryzała właśnie brzeg sukienki Margaret.

Nagle zrobiło się zupełnie cicho. Słyszać było jedynie uderzenia fal o burty łodzi. Po kilku minutach Margaret odwróciła się w jego stronę.

- Zbłądziliśmy - powiedziała zrezygnowana.

- Nie zbłądziliśmy.

- Czy wiesz, gdzie jesteśmy?

Spojrzał w prawą, potem w lewą stronę i jeszcze w niebo.

- Dryfujemy gdzieś na środku Pacyfiku.

- Śmieszne - powiedziała bardzo cicho. - Bardzo śmieszne.

Umoczoną w wodzie chusteczką otarła policzki i szyję.

- Wiem, że się zgubiliśmy.

Mokrym kawałkiem materiału przesunęła po włosach odgarniając je z czoła.

- Wy, kobiety, zawsze się czymś zamartwiacie. Wszystko jest dla was bardzo trudne.
- Ach, rozumiem. Mężczyźni są zawsze opanowani, racjonalni i wszystko rozumieją.
- Nie załamujemy rąk nad byle problemem, jak kobiety.
- Byle problemem? - Energicznie wyjęła chusteczkę.

Wymownie spojrzął na chustkę.

- Liczy się dbanie o wygląd.
- Nie nazwałabym ochładzania się dbałością o wygląd. - Wycierała sobie kark i rękę. - Zresztą i tak nie oczekuję po tobie, że to zrozumiesz.

- Wiedzieć, jak przeżyć, to, do diabła, znacznie więcej, niż haftować wymyślne wzory i siorbać herbatkę.
- Nie haftuję i nie siorbię herbatki. Mam zawód.
- Zawód - powtórzył złośliwie i roześmiał się. - Kobieta fachowiec?

Spojrzała na niego, jakby chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała i zachowała milczenie.

- No, więc jakież to zawód? Degustowanie herbaty? - Znowu się śmiał.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

- Nie mam zamiaru powiedzieć.

Wzruszył ramionami, jakby mu to było zupełnie obojętne.

Nie minęła minuta, kiedy odezwał się znowu:

- Jedno wiem.

Westchnęła.

- Co takiego?
- Ten zawód nie ma na pewno nic wspólnego z nawigacją.
- Nabijaj się do woli, ale i tak moim zdaniem zabłądziliśmy.
- Dlatego właśnie to ja steruję łodzią, a nie ty. - Włożył ręce pod głowę i patrzył, jak Margaret ponownie zmoczyła chustkę w morzu i wycierała nią ramiona.

- Masz dla siebie cały ocean chłodnej wody, Smitty. Nie krępuj się.
- Słucham?
- Rozbieraj się i wskakuj.
- Mam skakać do wody?

Wzruszył ramionami.

- Jest chłodna. Potraktuj to jak kąpiel.

Margaret po raz kolejny zmoczyła chustkę.

- Dziękuję, ale to mi wystarczy. - Przetarła ręce mokrym materiałem.

Prychnął.

- A cóż to miało oznaczać? - Spojrzała na niego.
- Ach, wy, kobiety, z tymi waszymi śmiesznymi zasadami. Zdejmij ubranie i po prostu wskocz do wody.

Przyglądała mu się podejrzliwie.

- Mam uwierzyć, że nie będziesz podglądał?
- Tego nie powiedziałem. - Mrugnął do niej porozumiewawczo. Skoro jednak nie zareagowała, dodał: - O co chodzi? Boisz się?
- Daj sobie spokój - powiedziała Margaret patrząc w morze. - Twoje sztuczki na mnie nie działają.
- Hmm... muszę przyznać, że niełatwo cię podpuścić. - Zaczął bębnić palcami po burcie. Wiedział doskonale, że to ją denerwuje. - Powiedz mi coś - odezwał się.
- Co?
- Jak nazywa się to, co masz na sobie?

Popatrzyła na niego marszcząc czoło.

- Jakie to?

Wskazał ręką na ubranie.

- Sukienka - powiedziała, ale z takim sarkazmem w głosie, że tylko głuchy by tego nie usłyszał.
- Nie wygląda zbyt solidnie. Cienkie toto i chyba nie jest zbyt ciepłe.
- Jest z bawełny. Importowana z Francji.

- A zatem wszystko jest jasne.
- Co jest jasne?
- Byłem w Paryżu. - Uśmiechnął się lubieżnie.
- O czym ty mówisz?

- Hmmm, Smitty... - Przerwał na chwilę. - Bawełniane ubranko, które masz na sobie, nie zakrywa zbyt wiele z twoich wdzięków, gdy jest mokre. - Pokiwał głową, a potem zamruczał niczym kot. - Wyglądasz na łodzi jak na francuskiej pocztówce.

Margaret wyprostowała się gwałtownie. Nie odezwała się słowem i zaczęła starannie unikać jego wzroku. Zanim jednak Hank zdołał nacieszyć się tym widokiem, zerwał się wiatr i to równie nagle, jak przedtem niespodziewanie ustał. Pojawił się jakby znikąd. Niezbyt silny powiew szarpnął plandekę i rozwiały włosy Margaret. Kolejny, silniejszy podmuch wyduł żagiel. Łódka zakołysała się. Temperatura powietrza spadła o kilka stopni.

Hank zaczął się rozglądać, zmarszczywszy czoło. Za rufą szalupy, na horyzoncie, widać było szybko przesuające się burzowe chmury. Smitty także wpatrywała się w ciemniejące niebo.

- Czekaj nas sztorm.

Mężczyzna wymruczał w odpowiedzi jakiś frazes. Zaciśnięte na kolanach dłonie Margaret aż zbieleły na kostkach. Nachyliła się i szczelniej okryła kocem śpiące dzieci. Theodore obudził się i usiadł. Przetarł oczy i spojrzał na Hankę. Zamrugnął kilka razy, a potem wskazując na niebo zawołał:

- Patrz! Mewa!

Hank spojrzał, odwrócił się do Smitty dokładnie w tym samym momencie, kiedy ona zwróciła głowę w jego stronę. Wpatrywali się w siebie przez chwilę i odezwali się jednocześnie:

- Ziemia!

On zaczął wypatrywać na północ. Ona obserwowała stronę południową.

- Jest! Tam! Spójrz! - Pokazywała południowy wschód. Hank posłusznie odwrócił się.

Na pierwszy rzut oka wyspa wyglądała jak ciemna kreska na granicy nadciągającego sztormu - fioletowoszara i zamglona, ale gdy wiatr popychał szalupę po coraz większych falach w jej kierunku, nie mieli już wątpliwości, że zbliżają się do stałego lądu.

Ląd. Wyspa.

Hank nie przestawał wpatrywać się w horyzont. Tak, była tam. Widział wznoszące się wysoko nad wodą strome kratery wulkanów, wyglądem przypominające wynurzającą się z oceanu kostropatą pięść.

Bacznie obserwował niebo. Między łodzią a wyspą szalała burza - posępna, groźna i rozciągająca się na całą widoczną przestrzeń. W strefie tropikalnej mogło to oznaczać tylko jedno. Cholernie paskudną nawalnicę.

Szalupa raz po raz unosiła się na grzbietach fal i ciężko opadała w dół. Margaret czuła, że robi się jej niedobrze. Lydia zaczęła głośno płakać.

Dłonie Margaret zaciskały się coraz silniej.

- Wszystko w porządku. Nic nam nie grozi.

Jednak gdy łódka została znowu wyrzucona do góry, Margaret zaczęła się zastanawiać, czy powtarzając te zapewnienia uspokajała dzieci, czy też samą siebie.

Kobieta, dzieci i koza leżeli płasko na dnie szalupy nakryci ceratą. Plandeka zakrywała ich część łodzi, tam gdzie znajdowały się kamizelki ratunkowe - jedynie to można było zrobić dla bezpieczeństwa dzieci. Margaret widziała przed sobą Hankę. Przywiązał się do ławki kawałkiem liny. Pracował ciężko wiosłami starając się nie dopuścić do zalania łodzi. Nie mogła dojrzeć jego twarzy, patrzyła jedynie na ręce trzymające wiosła.

Jedna z beczek uderzała o puszkę leżącą na dziobie szalupy. Po dnie zalanim deszczem i wdzierającymi się falami pływały cynowe kubki. Wody zebrało się już tyle, że przelewając się z jednej strony na drugą dokumentnie zmoczyła skuloną gromadkę. Margaret zaczęła się naprawdę bać.

Bałwany uderzały o burty. Burza hucząc szalała dookoła. Hank ciskał przekleństwa. Koza beczała i próbowała się podnieść. Lydia i Theodore nie pozwolili jej na to i ciągnąc ją w dół przytulali się mocno do kosmatego grzbietu. Z głową ukrytą pod ceratą Margaret starała się przemyśleć całą sytuację. Najważniejsze to nie wpadać w panikę, powtarzała sobie bez przerwy.

Hank coś krzyczał. Potem szturchnął ją dość mocno w pośladek.

- Kobieto! Ogłuchłaś?

Wychyliła się w jego stronę akurat w chwili, gdy znowu ją zawołał.

- Chodź tu, do cholery!

Obróciła się do przerażonych maluchów.

- Lydia! Theodore! Trzymajcie ją! - Położyła między dzieci Annabelle. - Przytulcie się mocno do siebie i zostańcie tutaj, pod ławką!

Sama wysliznęła się spod plandeki.

- Już idę!

Mężczyzna coś wymamrotał.

Musiała przecisnąć się między jego szeroko rozstawionymi nogami. Deszcz mocno zacinał siekąc jej policzki. Wiatr wył i szarpał jej włosy, smagając ją nimi po twarzy. Słyszała huczący dookoła żywioł tak straszny, że wydawał się nierealny. Nie mogła się zorientować, co było źródłem grzmiących odgłosów - ocean czy burzowe niebo. Jedno nie ulegało wątpliwości - huk ogłuszał i przerażał. Widziała fale wznoszące się w ich kierunku, jedna za drugą, ale było tam coś jeszcze.

Hank znowu ją zawołał. Obróciła do niego twarz.

- Jesteśmy blisko lądu! Wypatruj skał przed nami!

Kłęcząc przez cały czas, Margaret zaczęła wpatrywać się w horyzont, ale poza kipiela i ścianą deszczu niczego nie widziała. Kolejna fala uderzyła w łódź i wypchnęła ją do góry.

Margaret poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Rozbryzgujące się bałwany zmoczyły ją zupełnie. Deszcz spływał po szyi i policzkach. Słyszała przekleństwa Hanka, który wsunął właśnie drzewce jednego wiosła pod pośladek i chwycił ją za ramię.

- Trzymaj się mojej nogi!

Objąwszy jego udo obiema rękami, kobieta przywarła do niego. Mężczyzna unieruchomił drugie wiosło. Fale waliły o burty łodzi ze wściekłą zaciętością. Słona woda zalewała twarz Margaret, wlewała się do nosa i ust. Siła odrzutu pchnęła oboje do przodu.

Lina, którą Hank przywiązał się do ławki, wytrzymała. Szarpnęło ich do tyłu. Kobieta z całych sił trzymała się jego nogi. Poczowała, jak odciąga jej ręce. Popchnął ją na dno łodzi.

Uderzyła kolanami o deski tak mocno, że aż jęknęła z bólu.

- Siedź! - wrzasnął na nią przyciskając ją do pokładu, dopóki nie usiadła na pupie.

Wtedy usłyszała płacz Lydii i Annabell, dochodzący spod plandeki.

- Dzieci! - krzyknęła i spróbowała przecisnąć się w ich stronę.

- Nie! - ryknął i przytrzymał ją na miejscu.

Następna fala uderzyła w burtę. Nawalnica przybierała na sile. Bałwany były coraz wyższe i coraz potężniejsze. Poprzez ryk fal i huk sztormu Margaret usłyszała odgłos wody rozbijającej się o brzeg. Zmieniła trochę pozycję. Zapierając się rękami, walczyła z kolejną falą zalewającą jej twarz i wdzierającą się do łodzi. Na dnie było coraz więcej wody.

Przetarła oczy i zanim deszcz zdążył oślepić ją ponownie, zobaczyła przed sobą horyzont.

- Skały! - krzyknęła. - O Boże...

Łódź rzucona gigantyczną falą do przodu pruła prosto na stromą, czarną i wyszczerbioną skałę. Smitty krzycząc ukryła głowę między kolanami. Hank spojrzał przed siebie i dostrzegł niebezpieczeństwo.

I po wszystkim. No to cześć...

Zamknął oczy i czekał na zderzenie.

Ściana wody spadła na szalupę z taką mocą, że uderzony w tył Hank pomyślał, że chyba jedynie Bóg mógłby go tak walnąć w plecy. Otrząsnął wodę z włosów i starał się zobaczyć, skąd nadpłynęła ostatnia fala. Runęła na nich z przeciwnej strony, niż powinna.

Zanim zdążył się nad tym zastanowić, kolejny bałwan zalał łódź pieniąc się na plandece. Skała przez cały czas znajdowała się przed szalupą. Cofające się fale pociągały ich za sobą.

Uniesiona do góry nową falą łupina została odrzucona do tyłu, jakby przesunęła ją gigantyczna dłoń. Fale przelewały się nad nimi jedna za drugą. Łódź nie posuwała się

jednak do przodu. Oddalała się wraz z każdą z nich. Hank wytarł twarz i rozejrzał się dookoła.

Zauważył fragment skalistej rafy, zaraz za nimi. I manele - manele Smitty. Jeden z nich zaczepił się o rafę niczym kotwica. Hank odwrócił się w stronę ciemniejącej przed łodzią skały, będącej wybrzeżem wyspy. W chwilę później ponownie patrzył na linę z przywiązanymi skrzyniami i kuriami. Nie wierzył własnym oczom.

Fale były przecież wystarczająco wysokie, aby przerzucić lekką łódkę ponad naturalnym załamaniem prądów morskich. A skrzynia, ciągle przywiązana liną do szalupy, tkwiła zaczepiona o rafę.

- Jasna cholera... - wymamrotał, gdy następna fala zalała mu usta i nos.

Łódź tańczyła na falachomal się nie wywracając. Przeciął linę, którą przywiązał się do ławki. Poczł, jak Smitty chwytł go za kostkę u nogi, i usłyszł, że krzyczy. Nie miał czasu. Podczołgał się do łańcucha, do którego przywiązana była lina ze skrzyniami. Wytrzymaj, maleńka, no, dalej, wytrzymaj... jeszcze tylko kilka minut...

Wychylony do przodu chwycił linę. Nogami zaczepił się o ławkę. Ciągnął z całych sił starając się przybliżyć łódź do rafy. Ręce ślizgały się po sznurze, ale ciągnął, kawałek po kawałku. Fale uderzały raz za razem. Nie wiedział, jak długo zdoła jeszcze utrzymać linę. Jeśli oczywiście lina wytrzyma. Jeśli skrzynia nadal będzie zaklinowana w rafie. Wystarczyłaby jedna silniejsza fala, by cisnąć ich o skały wybrzeża.

Szalupa uderzyła o twarde dno. Kolejna fala zmyła pokład. Hank zakrztusił się, zaczął kasłać. Walczył o oddech. Sznur wyślizgiwał mu się z rąk jak piskorz. Hank kłął, krzyczał, wył. Wyzywał wszystko i wszystkich. Ścisnął linę z całych sił.

A potem pojawiła się obok niego Smitty. Chwyciła łańcuch za nim. Ciągnęła i krzyczała:

- Nie przestawaj!

Razem byli silniejsi od napierających bałwanów. Centymetr po centymetrze łódka zbliżała się do rafy. W chwilę później szalupa uderzyła o skałę. Kolejna fala natarła na nich, ale nie poddawali się - utrzymali linę. Hank wychylił się z łodzi jeszcze bardziej. Próbował chwycić się skały. Cofnął się i sięgnął do klinów przy sterze. Masa wody uniosła szalupę akurat wtedy, gdy zahaczał je o skałę z siłą, jaką można z siebie wykrzesać tylko wtedy, gdy stawką jest przeżycie.

Łódź wpasowała się w skalną szczelinę.

- Zabieraj dzieci i wyskakujcie z łodzi! - krzyknął starając się wygrać z żywiołem walkę o kontrolę nad łodzią. Smitty popchnęła płaczącą Lydię w jego stronę. Dwa razy musiał małą obsztorcować, zanim wyczołgała się z pokładu i schroniła w maleńkiej grocie.

- Zostań tam i przestań się mazać!

Następny był Theodore tulący do siebie beczącą kozę. Hank zaklął i sięgnął po dziecko. Zamiast niego chwycił pchniętą przez chłopca kozę. Błyskawicznie postawił ją obok Lydii. Chłopak sam wyczołgał się z łodzi i przysiadł obok siostry i zwierzaka.

Smitty z Annabelle na ręku bardzo powoli posuwała się w kierunku Hanka. Kolejny bałwan zaatakował szalupę. Hank trzymał kliny z całej siły. Niczego nie widział, słyszał jedynie głośny płacz Smitty i Annabelle. Znowu musiał otrząsnąć wodę z głowy. Ciągle jeszcze były na łodzi. Leżały płasko na dnie do połowy przykryte plandeką, prawie całe zanurzone w wodzie. Dziecko darło się, co jakiś czas kaszłąc.

- Moja śliczna! Wstawaj!

Ruszyła w jego stronę. Annabelle trzymała ją za szyję nóżkami obejmując piersi kobiety.

Naprzód, złotko. Przeczłgała się przez burtę - nie bardzo nawet wiedział, jak to zrobiła - i była teraz na rafie z resztą maluchów. Uderzyła kolejna fala. Hank wyskoczył z łodzi. Przerzucona nad nimi, wirowała na grzbiecie fali. Obrócona dnem do góry zatrzymała się dopiero zaczepiwszy się o skałę rafy.

Obok niego przeleciała kotwica. Zimny, mokry metal uderzył go w głowę. Ból przeszył czoło i rozrywał czaszkę. Coś ciepłego zalewało mu prawe oko. Wytarł je. Przed sobą widział pordzewiałe ogniwa łańcucha od kotwicy. Spojrzał w dół, ciągle oszołomiony bólem. Chwycił kotwicę, przerzucił ją sobie przez ramię niby kilof.

Zużywając na to cały zapas sił, jakie mu pozostały, wbił kotwicę w rafę. Szalupa stała się teraz czymś w rodzaju kokonu chroniącego ich przez rozwścieczonym żywiołem. Choć niewielka, stanowiła świetną osłonę.

Fale rozbijały się o nią popychały, szarpały, ale kotwica i łańcuch cumowniczy utrzymywały łódź na miejscu. Hank oparł się o szorstką krawędź skały. Dyszał ciężko. Cały był we krwi. Ponownie przetarł prawe oko i rozejrzał się.

Deszcz bębnił o dno szalupy. Ten dźwięk przypominał mu wystrzały karabinowe w więzieniu. Jednak pod chroniącym ich kadłubem łódki nic im nie groziło poza kroplami wody z rozbijających się fal i piany wypływającej przez szczeliny w skale.

- Jesteś ranny! - zawołała Smitty wyciągając do niego ręce.

Potem wszystko zakryła ciemność.

Margaret z całych sił ciągnęła kotwicę, lecz ta nawet nie drgnęła. Wpatrywała się przez chwilę w żelastwo, a potem rzuciła łańcuch i wytarła ręce o sukienkę. Była za słaba, żeby ruszyć kotwicę czy choćby cumę. Wczołgała się pod łódź. Hank ciągle leżał nieprzytomny. Dzieci skupiły się wokół kozy.

Jakiś czas temu burza ucichła, ale Margaret nie miała pojęcia, kiedy to się stało. Nie miała pojęcia o upływie czasu. Teraz wiedziała jedynie, że powinna coś zrobić. Nie mogli przecież tu zostać.

Musiała to przemyśleć.

Lydia bawiła się z Annabelle. Przestała na chwilę i spojrzała na Margaret.

- I co teraz zrobimy? - spytała.

- Nie wiem. Nie mogę przesunąć kotwicy. Utknęliśmy tu na dobre - odpowiedziała siadając obok dzieci. Ułożyła głowę Hanka na swoich kolanch.

Dzieci zaczęły wpatrywać się w maleńki strumyczek krwi sączący się z rany na czole.

Margaret zaczęła ocierać krew kawałkiem materiału oddartym od sukienki.

- On wkrótce się obudzi i wtedy wszystko będzie dobrze - powiedziała, zdając sobie sprawę, że stara się po prostu uspokoić dzieci. Nie była wcale pewna, czy wszystko będzie dobrze.

Ważne było, że przeżyli. A chociaż Hank krwawił, jednak żył. Patrzyła na jego unoszące się przy oddychaniu piersi. Rana ciągnęła się od brwi, przecinała czoło i ginęła gdzieś we włosach. Najgłębsza była zaraz przy linii włosów. Hank był zbyt mocno opalony, żeby można było dostrzec bladość skóry, ale szary kolor ust wskazywał, że nie jest z nim najlepiej.

W chwilę potem Hank jęknął cicho.

- Panie Wyatt?

Cisza. Żadnej reakcji.

- Hank?

Znowu jęknął.

- Słyszysz mnie?

Obrócił twarz tak, że jego usta znalazły się blisko jej łona. Przez cienką warstwę materiału czuła jego ciepły oddech. Spojrzała na dzieci, a potem na niego. Jeśli nie odzyska wkrótce przytomności, będzie musiała coś przedsięwziąć. Pomyśleć o jakimś rozwiązaniu tej sytuacji.

- Hank?

Oddychał wolno i regularnie. Posługując się szmatką, nacisnęła ranę. Zwiększyła ucisk mając nadzieję, że w ten sposób zatrzyma upływ krwi.

- Nie mam pojęcia, jaki masz zawód, ale z całą pewnością nie jesteś Florence Nightingale.

Jego nos znajdował się w odległości mniej więcej dziesięciu centymetrów od jej piersi, wzrok miał zaś utkwiony w okrywającej je białej tkaninie. Jedynie cienka bawełniana sukienka dzieliła jego twarz od jej ciała.

- Miałem rację - spojrzał na nią z ukosa - przez ten materiał wszystko świetnie widać.

Przeniósł wzrok z piersi na jej twarz i puścił do niej oko.

- Masz dwie sekundy na zabranie głowy z moich kolan.

- A jeśli nie? - Nie poruszył się, tylko uśmiechnął do niej.

Nachyliła się nad nim i wyszeptała:

- A jeśli nie, to zaraz walnę cię w nos.

- Wiesz co, Smitty? Wierzę, że mogłabyś to zrobić. - Roześmiał się złośliwie, jak dawniej.

Słyszając ten śmiech czuła, że doprowadza ją to do wściekłości. Hank usiadł szybko. Grymas bólu wykrzywił mu twarz. Złapał się za głowę i wymruczał kilka przekleństw. Opuścił ręce i wpatrywał się w znajdującą się na nich krew.

- Czym oberwałem?

- Kotwicą - odpowiedziała Margaret, biorąc Annabelle od Lydii i kołysząc dziecko na kolanach. - Szczęśliwie dostałeś w głowę, w innym przypadku mogłeś zginąć.

Spojrzał na nią zmrużonymi oczyma. Widać było, że kiedy tylko poczuje się lepiej, odpłaci jej pięknym za nadobne. Ona zaś uśmiechnęła się niewinnie i spokojnie kołysała małą. Rozejrzawszy się dookoła, Hank zapytał:

- Kiedy ucichnął sztorm?

- Nie jestem pewna. Jakiś czas temu.

Patrzyła na niego, jak oparłszy stopy o skałę zaczął napierać na łódkę. Kadłub zakołysał się. Bujał się coraz mocniej aż do chwili, gdy kotwica, której Margaret w żaden sposób nie mogła poruszyć, została poluzowana. Hank chwycił łańcuch w obie ręce i właściwie bez wysiłku wyciągnął kotwicę. Potem przesunął łódkę na jedną stronę.

Oczom Margaret ukazał się fragment różowiejącego nieba. Był to bardzo przyjemny widok. Nie minęło przecież wiele czasu od chwili, gdy myślała, że chropowata skała będzie ostatnią rzeczą, jaką ogląda.

Podczas gdy Hank wdrapywał się na skałę, Margaret obróciła się w stronę działwy. Theodore i Lydia byli zaaferowani przekonywaniem bydlątka, że są już bezpieczni. Zachowywali się jak rodzice martwiący się o dziecko.

- Hej, Smitty!

Obejrzała się i spojrzała do góry. Słońce świeciło już mocniej, więc minęło trochę czasu, zanim jej oczy przyzwyczyły się do światła. Słyszała fale uderzające o brzeg, krzyk mew. Poczowała słodki, tropikalny zapach czegoś wilgotnego i zielonego.

- Spójrz na to! - Hank wołał do niej z góry.

Wspięła się na skałę przyciskając Annabelle do piersi. Uklękła na płaskim szczycie i zamarła z wrażenia. Nie była w stanie wydobyć głosu, zaparło jej dech.

Przed nią rozciągała się szeroka zatoka, nad którą rozpinał się różowo-fioletowo-niebiesko-żółty łuk tęczy, pod nim pyszniły się soczystozielone wzgórza. W oddali widać było ciemniejący stożek wulkanu. Niewielkie pasmo mgły otaczało jego wysoki wierzchołek i nadawało całej wyspie rajski wygląd. Woda w zatoce miała barwę od ciemnoniebieskiej do jasnozielonej. Przy samym brzegu kolor stawał się srebrzysty, a biała piana przelewała się po mokrym piasku. Strzeliste palmy i gęste zarośla, całe w kwiatach, skąpane w promieniach zachodzącego słońca, rosły od podnóża wzgórz aż do miejsca, gdzie zaczynało się królestwo białego piasku zabarwionego na różowo przez kryjące się powoli za horyzontem słońce.

Nawet niebo wyglądało tutaj inaczej. Późnopołudniowe słońce było różowożółtą kulą. Kłębiące się w oddali chmury przyoblekły się w szarość i jasny fiolet. Ta sama ziemia, to samo niebo, a jednak wyglądały tak wspaniale. Wrażenie piękna, jakie wyspa wywierała na Margaret, mogło wynikać po prostu z tego, że takie miejsce widziała po raz pierwszy w życiu.

Tęcza bladła jak rozwiewający się sen. Chmury przesłoniły ognisty dysk. Było jednak ciągle tak gorąco, że para unosiła się znad plaży i bujnej roślinności. Strzeliste palmy kokosowe kołysały się na wietrze niczym machające powitalnie dłonie. Ich kolor zmieniał się z zielonego w fioletowy, a potem purpurowy, podczas gdy zatoka połyskiwała srebrem i różowością mieszającymi się ze sobą.

Margaret była zaskoczona tym, że aż tak bardzo się wzruszyła. Patrzyła na zmieniające się kolory tego miejsca, które było jednocześnie tak prawdziwe i tak nierzeczywiste. Widywała wyspy już przedtem, patrzyła na zachody słońca różowiące niebo po sztormie. Zwiedziła wiele plaż. Północne wybrzeże Kalifornii było jednym z najwspanialszych miejsc widokowych na świecie.

To miejsce było inne. Aż nie do uwierzenia, że graniczyło z Oceanem Spokojnym, który znała od urodzenia. Z wyspy emanowało coś więcej niż tylko spokój. Więcej niż samo piękno. Była dziewicza, odcięta od świata, jakby zapomniana przez wszystkich. Nie, nie zapomniana. Ukryta. Skarb tak cenny, że sama natura zadbała o jego ukrycie.

Po cichu dzieci dołączyły do Margaret i Hanka. Najpierw zaciekawione, wkrótce zaczęły szczebiotać. Pokazywały palcami kwiaty i ptaki. Ławice błyszczących ryb. Annabelle zaczęła się wiercić, koniecznie chciała zejść na ziemię. Margaret przytuliła ją mocniej.

Dzieciak nie dawał za wygraną i klepał ją po ramieniu starając się zwrócić na siebie uwagę, ale Margaret nie była w stanie oderwać oczu od widoku. Potrafiła jedynie szeptać:

- To prawdziwy raj.

- To głupie.

Margaret uniosła głowę i spojrzała Hankowi w oczy.

- Co jest głupie? Czy to, że coś zaproponowałam, czy też to, że się z tym nie zgadzasz?

- Posłuchaj, złociutka. - Wypuścił z rąk puszkę, która z głuchym odgłosem upadła na piasek. - Zajmij się po prostu dziećmi, a mnie pozwól robić całą resztę.

Odwrociła się od niego i przez chwilę patrzyła na dzieci. Nie dlatego, że o tym przed chwilą powiedział, ale dlatego, że najzwyczajniej w świecie zapomniała o nich zupełnie.

Na całe szczęście Annabelle spała spokojnie pod palmą, ułożona na plandecce obok lampy. Nie było jeszcze zupełnie ciemno, choć zmierzch zapadał i kładł się cieniem dookoła.

Koza gryzała pracowicie jedną z kęp splątanych roślin. Lydia nachylała się przy niej i oparłszy dłoń o kolana wpatrywała w podbrzusze zwierzaka. Pod kozą stał niewielki cynowy kubek.

- Lydio! Poczekaj! - Margaret obróciła się do Hanka, który także patrzył na dziewczynkę.

- Hej, mała! - zawołał. - Próbujesz toto wydoić?

Lydia spojrzała na niego i kiwnęła głową.

- No to złap ją za cycki.

- To są cycki? - mówiąc to Margaret uderzyła go łokciem w żebra.

- Do diabła, Smitty - mruknął groźnie - przecież tak się to nazywa.

Przysunęła się do niego i wyszeptała:

- Mówisz do jedenastoletniej dziewczynki.

- Wiem, ale przecież któregoś dnia i ona będzie miała taką ozdobę. Więc już teraz może się dowiedzieć, jak się na to mówi.

Margaret spuściła wzrok i zaczęła palcem masować miejsce między brwiami, gdzie nagle poczuła pulsowanie.

- Nic nie leci - powiedziała Lydia, marszcząc czoło i oczekując od nich rady.

Hank przykląkł i ujął w dłonie wymię. Koza obróciła głowę w jego stronę i zabeczała mu prosto w ucho.

- Cholera! - Aż usiadł na piasku i uderzał się otwartą dłonią w ucho. Koza spokojnie potruczała wzdłuż plaży do kolejnej kępy, żeby ją sobie poskubać.

Margaret objęła ramieniem dziewczynkę, ale ta cofnęła się ze spuszczoną głową.

- Coś mi się zdaje, Lydio, że koza nie chce, by ją teraz doić. Czy nie poszlabyś zobaczyć, co robi Theodore, i czy aby nie podchodzi zbyt blisko do wody?

Lydia skinęła głową i odbiegła. Margaret stanęła naprzeciw Hanka.

- Nie możesz tak mówić do małej dziewczynki.

Siedział na piasku z dłońmi opartymi na podciągniętych kolanach.

- Jak mówić?

- Tak... brutalnie. Przecież ona niedawno straciła rodziców, przeżyła straszne chwile podczas tonięcia statku, a teraz jest z nami, dwojgiem obcych ludzi. Musi być śmiertelnie wystraszona.

- Hmm... przejdzie jej.

- Masz serce z kamienia.

- Tak uważasz, Smitty? Pozwól, że coś ci powiem. Dobre serce i ćwierć dolara wystarczą, żeby dostać kubek kawy, natomiast samo serce... - Machnął ręką; wstał i powlókł się w kierunku skrzyń, kufrów i beczek.

Oparta o chropowaty pień strzelistej palmy kokosowej patrzyła, jak przenosi kolejne paczki i układa je obok pozostałych zapasów.

- Utrudniasz wszystko, a przecież wcale nie musi tak być.

- Masz rację. Wszystko może być prostsze. Wystarczy, że się przymkniesz i będziesz robiła to, co mówię. - Odwrócił się i ruszył w stronę plaży.

Została sama. Miała szaloną ochotę cisnąć czymś w niego, czymś dużym i ciężkim. Zanim jednak wrócił z dwoma pakunkami, postanowiła zmienić strategię.

- Podaj mi pięć powodów przemawiających za tym, że powinniśmy rozbijać obóz właśnie tutaj... a nie tam. - Wskazała na śliczny, spokojny zakątek, który proponowała mu wcześniej. Był odgradzony od zatoki skałami, które jednak nie zasłaniały widoku na lagunę.

Dodatkową zaletą tego miejsca była bliskość wszystkich zasobów wyspy. Znajdowało się blisko strumienia, który wpadał do skalnego jeziora tworząc wodospad. Zaraz za nim rosły krzaki hibiskusa, kilka bananowców i dwie mimozy. Dźwięk spadającej wody tworzył idylliczny nastrój. I łatwo tam było o wodę i owoce.

Swój pomysł oparła na prostym planie zorganizowania obozu w określony sposób. Spędziła sporo czasu na analizie sytuacji, podczas gdy Hank zajmował się przenoszeniem rzeczy i reszty ocalałego dobytku. Przemyślała wszystko bardzo starannie. Była zadowolona z rezultatów swoich rozważań. Jej plan był po prostu sensowny.

Spojrzał na nią i pokiwał głową.

- Czy ty nigdy się nie poddajesz?

- Zmiana tematu na nic ci się nie zda.

- A co by się zdało, w takim razie?

- Wyjaśnienia - odparła i powtórzyła swoją prośbę.- Podaj pięć powodów przemawiających za tym, żeby właśnie w tym miejscu zakładać obóz.

- Dobrze. Po pierwsze... - kciukiem dotykał bez mała jej twarzy - bo tak powiedziałem. Wydeła wzgardliwie usta.

- Po drugie - wysunął palec wskazujący - bo mam doświadczenie w tym, jak przeżyć.

Z tym musiała się pogodzić. Już trzy palce znajdowały się przed jej oczami.

- Po trzecie...

- Zaczekaj!

Zamilkł.

- Co ty wyprawiasz? - Kobieta wpatrywała się w jego palce.

Mruknął na nią groźnie i odpowiedział stanowczo:

- Wyliczam powody świadczące o tym, że mam rację, a ty jej nie masz.

- Źle liczysz.

- Jeden, dwa, trzy... - Odginał kolejne palce poczynając od kciuka. - Znasz jakiś inny sposób liczenia? Dwa, dziewięć, siedem?

Przed jej oczami ponownie sterczały trzy palce.

- Do oznaczenia jedynek używa się najczęściej palca wskazującego, dwójkę oznacza palec serdeczny i tak dalej. Kciuk to najczęściej piątka.

Przez chwilę jego oczy przypominały szparki. Potem wystawił palec środkowy i trzymał go przed jej nosem.

- To jest numer trzy.

Jeżeli myślał, że zdoła ją tym łatwo obrazić, to powinien przemyśleć to ponownie. Westchnęła tylko i odwróciła wzrok.

- Po trzecie - mówił dalej - bo to ja władam królestwem. Najchętniej ukoronowałyby go kotwicą w tej chwili, zwłaszcza że takie uderzenie mogłoby mu wbić do głowy trochę rozumu.

- Po czwarte, bo ty, jako kobieta, nie masz prawa głosu...

Czuła, że zaciskają się jej szczęki. Tupnęła nogą zniecierpliwiona.

Odsunęła się trochę, żeby mógł to zauważyć.

- I po piątę, bo jestem mężczyzną i jeśli coś mówię, to mam rację.

Odwrócił się i zajął pracą. Uważał pewnie, że kończąc z nią rozmowę w ten sposób załatwił sprawę ostatecznie - że od jego argumentów nie ma odwołania.

To było jak rzucanie grochem o ścianę. Patrzyła na jego szerokie plecy, gdy próbował odwiązać łańcuch od uchwytu skrzynki. I pomyśleć, że to niby ja jestem uparta.

Hank przerwał na chwilę walkę z łańcuchem i spojrzał na nią.

- Hę?

- Nic. Po prostu zwróciłam na coś uwagę.

- Świetny pomysł, Smitty. Zwracaj uwagę. To znaczy patrz zamiast mówić. - Zachichotał.

Właśnie wtedy pojawiła się koza. Wpatrywała się w Hanka. W chwilę, później ruszyła do ataku.

Powinam go ostrzec, pomyślała Margaret. Zobaczyła zwierzę, które z opuszczonym nisko łbem rozgrzebywało piasek.

Cel: Hank, który pochylony nad skrzynią śmiał się paskudnie. Tak... Westchnęła i popatrzyła gdzieś przed siebie. W rzeczy samej, powinna go ostrzec.

Zamiast tego jednak zamknęła oczy. W sekundę potem usłyszała odgłos uderzenia. Potem stek przekleństw. Echo to przepiękne tło dla jego wściekłych wrzasków, pomyślała. Nie otwierała oczu. Stała, pukając się lekko w usta jednym palcem. Tak, robiło to wrażenie, jakby miotane z wściekłością słowa odlatywały powoli gdzieś w dal.

Potok złorzeczeń urwał się nagle.

Pojawił się nowy dźwięk. Przytłumiony, tak, zdecydowanie przytłumiony. Margaret otworzyła oczy.

Hank wyciągał głowę z piasku. Od czoła aż po zarośnięty podbródek pokryty był perłowobiałym piachem. Brwi wyglądały niczym spalone poczwarki. Piasek przykleił się także do miejsca, w które uderzyła kotwica. Kostropata pokrywa tworzyła maskę na jego twarzy. Usta były trupio blade. Oczy miał zwężone - jedynie one były wolne od lepkiego piachu.

Koza nie zwracała już na to najmniejszej uwagi. Zabeczawszy oddalała się wolno wzdłuż plaży w stronę długiego pasma wodorostów, które interesowały ją znacznie bardziej niż tyłek Hanka.

Hank poderwał się na rękach.

- Czekaj! - Margaret uniosła dłoń.

Zastygł. Był napięty. Ramiona utrzymywały ciężar całego ciała. Chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego zaczął pluć piaskiem.

- Nie ruszaj się.

Piaskowa twarz wpatrywała się w nią. Znowu splunął.

- Dlaczego?

- Bo chcę zapamiętać cię takiego jak teraz. - Bardzo starała się nie wybuchnąć śmiechem. Naprawdę. Jednak nie wytrzymała...

W strefie tropikalnej słońce było ospałe. Wschodziło i zachodziło leniwie, jakby gęste, nabrzmiałe wilgocią powietrze miało na nie wpływ taki sam jak na ludzi. Ten ranek nie był wyjątkiem. Świetlisty dysk przesunął się nad wschodnią linią horyzontu barwiąc wody Pacyfiku na różowo, niebiesko i srebrno kolorami masy perłowej.

Hank stojąc na brzegu przylądka badał wzrokiem wyspę. Strome poszarpane skały wapienne tworzyły północno-wschodnie wybrzeże omywane silnym prądem morskim - zbyt silnym dla szalupy ratunkowej. Podobnie było od strony południowo-zachodniej. Urwiska skalne, niedostępne dla człowieka, strzegły laguny i plaży. Ze stożkowego szczytu widocznego w oddali wulkanu spływały pofałdowane języki zastygłej lawy. Klimat sprawił, że wydawały się czarne jak ił. Smoliste macki wciskały się w gęstą zieloną dżunglę - bujną, nietkniętą i niedostępną. Nigdzie żadnych śladów cywilizacji.

Obróciwszy się Hank zszedł ze skały na odosobnioną plażę. Głęboko odetchnął, przeciągnął się i zaczął gimnastykować mięśnie zeszywniałe w ciągu nocy spędzonej na wilgotnej ziemi.

Nad nim latały mewy, które zerwawszy się z gniazd przyczepionych do chropowatych skał przylądka, wzbijały się w powietrze i głośnym krzykiem witały słońce. Jedna z nich zapikowała w stronę toczącej się fali, przeleciała nad samą wodą i znowu poszybowała w górę, swobodna i dzika. Wolna. Dla prawie całego świata wolność zdawała się czymś oczywistym.

Rozebrał się i wszedł w pieniaące się przybrzeżne fale. Zanurkował w nadpływającą czystą niebieskawą zieloność wody. Płynął niesiony falą. Nad nim latały mewy.

Ocean był chłodny i bardziej przejrzysty niż wiszące nad nim niebo. Niewielkie fale porannego przypływu delikatnie muskały piasek. Hank pływał rozgarniając silnymi ramionami wody oceanu, którego szum słyszał w więziennej celi. Kilka minut później

oddalił się poza przybrzeżne fale i płynął wzdłuż wąskiego paska plaży. Potem stanął w wodzie, która sięgała mu do bioder. Jego stopy zapadały się w miękki piasek.

Ruszył przed siebie patrząc pod nogi i obserwując tworzące się dookoła niego wiry. Pomiędzy skałami wyściełającymi niektóre fragmenty dna zauważył śmigającą żółtopomarańczową rybę.

Zanurkował przy zachodnim brzegu laguny i dostrzegł błyszczący przedmiot, którego świetliste refleksy przyciągnęły jego uwagę. Wypłynąwszy na powierzchnię, wciągnął w płuca haust powietrza i zanurzył głowę. Starał się zlokalizować miejsce, gdzie to coś połyskiwało metalicznie.

Nie udało mu się. Wynurzył się, by zaczerpnąć powietrza, i ponownie zanurkował; tym razem dosięgnął samego dna. Klębowiska wodorostów falowały. Rozchyliły się trochę i tam właśnie znowu dostrzegł błysk. Rozsunął je jeszcze bardziej. Za wodnym zielskiem znajdował się jakiś metalowy przedmiot.

Duży, twardy i na pewno nie był kawałkiem skały. Zgarnąwszy w rękę trochę piasku tarł aż do chwili, gdy rozpoznał niewielki mosiężny zamek. Zamek kufra. Odgarnął piasek i wodorosty. Skrzynka była do połowy przysypana okruchami skał i piachem.

Płuca domagały się powietrza. Wypłynął, wziął głęboki wdech i zanurzył się znowu. Kopiąc nogami w boczne ścianki zdołał uwolnić zdobycz z piaskowego leża. Chwycił za żelazny uchwyt i pociągnął.

Ciągnął raz za razem. Aby do mielizny. A potem bliżej brzegu. Jeszcze pięciokrotnie musiał wynurzać się, by zaczerpnąć powietrza, w końcu jednak udało mu się zawlec kufer na płyciznę, a stamtąd na plażę.

Wyczerpany, wypuścił metalową rączkę i zgięty wpół oparł dłonie na kolanach ciężko dysząc. Po minucie wyprostował się i spojrzął na skrzynkę. Była zrobiona z lakierowanego żelaza, nabijana ćwiekami, które pokryły się rdzą w słonej wodzie. Zamek wykonano z mosiądzu.

Przyglądał się jej uważnie. Czyżby zamek pochodził z Yale? Nie był tego pewny. Natomiast jedno nie budziło jego wątpliwości: próba otwarcia zamka była równie zabawna, jak pieszcoty dziewczycy, i równie beznadziejna. Kompletna strata czasu.

Hank przeszukał plażę, aż znalazł kawałek deski z wbitym gwoździem. Waląc nią w pień palmy, zdołał wybić trochę gwoździ z drewnianych okowów. Zaparł się obiema nogami o końce deski i wyciągnął potrzebny gwóźdź. Przykucnął i zabrał się do roboty przy kufrze. W pół minuty później zamek odskoczył z trzaskiem.

Uśmiechnął się z zadowoleniem i pstryknął palcami. W niektórych dziedzinach człowiek staje się coraz lepszy wraz z upływem czasu, podobnie jak wino. Zatarł ręce i otworzył kufer.

Mocny zapach cedru i kwiatów wypełnił powietrze. W środku znajdowały się ubrania. Galowe stroje. Cholerne mnóstwo jakichś małych fraczków i balowych sukien. Przerzuczał je szukając biżuterii, czegoś cennego, ale srodze się zawiódł.

Żadnej biżuterii. Żadnego złota. Żadnego skarbu. Jak amen w pacierzu.

Rozczarowany przysiadł na piasku oparłszy dłonie na kolanach. Obrócił się i groźnie spojrzął na kufer. Zupełnie bezwartościowy. Zatrzasnął go z hukiem.

Dał się słyszeć przytłumiony brzęk szkła. Hank zmarszczył czoło, sięgnął ręką i otworzył kufer ponownie. Coś turlało się wewnątrz wieka.

Kłęcząc, bacznie oglądał cedrową ściankę. Dostrzegł niewielką zasuwkę. Otworzył. W schowku ukryto pięć owiniętych w filc butelek. Wyjął je po kolei i aż gwizdnął z uznaniem.

Dwie zawierały rum, jedna szkocką whisky, pozostałe zaś kwadratowe butelki ozdobione frymuśnymi rysunkami wypełniała francuska brandy. Uśmiechnął się. To było coś warte,

Siedząc na piasku z podciągniętymi kolanami oparł się o kufer, otworzył butelkę z whisky i pociągnął spory łyk.

- Ochhhhhhhhhhh.

Wzniósł toast do wschodzącego słońca.

- Coś pysznego. Pali żywym ogniem aż do żołądka - wymamrotał i łyknął raz jeszcze.

Kaszlnął. Otarł usta wierzchem dłoni. Świat zdawał się piękniejszy.

- Co robisz?

Błyskawicznie obejrzał się za siebie. Theodore stał za nim o niecałe pół metra, zajadał banana i kiwał się na bosych nogach. Kufer zasłaniał dzieciakowi widok, ale mimo to Hank zagrzebał butelkę w piasku i wstał. Nie chciał, żeby chłopiec podchodził bliżej.

- Gdzie są pozostali?

- Przy palmach kokosowych. - Theodore skończył jeść banana i wyciągając szyję starał się lepiej przyjrzeć skrzynce. - Gdzie znalazłeś kufer?

- W morzu.

- Co jest w środku?

- Nic - odpowiedział Hank zamykając wieko.

Szeroko otwarte oczy dzieciaka stały się okrągłe.

- Dlaczego jesteś goły?

Hank spojrzął po sobie i zaklął w duchu. Szybko uniósł wieko.

- Pływałem. Posłuchaj, mały, zrobisz coś dla mnie?

Chłopiec skinął głową.

- Moje ubranie jest tam dalej, na plaży. Za tobą. Obok palmowego lasku. Przynieś mi je.

- Jasne! - Theodore obrócił się na pięcie i pobiegł co sił.

Hank złapał butelki i ruchem szybszym niż przy wyciąganiu asa z rękawa wepchnął je pod gęsty krzak hibiskusa rosnący na granicy skał i plaży. Przysypał je piaskiem. W mgnieniu oka był z powrotem przy kufrze.

Theodore pojawił się w chwilę potem. Ubranie Hanka miał przerzucone przez ramię. Hank usiadł na wieku i bardzo się starał oddychać równo i spokojnie.

- Dlaczego masz takie czerwone ślady na plecach?

Hank zawiązywał kawałek sznurka, który służył mu za pasek.

- Od chłosty.

- Chłostali cię w więzieniu?

- Mhm.

- Czy to cię jeszcze boli?

- Nic a nic.

- A bolało?

Wciągając na siebie koszulę i zapinając jedyne guzik, Hank odpowiedział:

- Mhm.

Przez jakiś czas Theodore milczał, a potem zapytał:

- Dlaczego cię wychłostano?

- Bo nie było nic lepszego do roboty. - Hank ruszył wzdłuż plaży. - Wynośmy się stąd.

- A co z kufrem?

Mężczyzna spojrzął groźnie na dziecko.

- Co ma być?

- Nie zabierzesz go ze sobą?

- Nie.

- Ale panna Smith mówiła, że powinniśmy zebrać wszystko w jednym miejscu, bo coś może się przydać.

Nie potrzebujemy małego fraczka ani sukienek balowych, a ja już mam to, co było mi potrzebne, pomyślał.

- Zostawimy go tutaj.

- A jeśli przyplynie fala? Widzisz? Woda już prawie go podmywa.

I dobrze. Przyplływ go zabierze. Mnie to zupełnie nie przeszkadza, przemknęło mu przez myśl. Spojrzął na zmartwioną minę chłopca. Wyciągnął rękę i zmierzwił jego rudą czuprynę.

- Przyjdę po niego później, mały. - Obrócił się i ruszył plażą świetnie wiedząc, że tak się nie stanie.

Wróci, ale jedynie po to, by zabrać butelki. Słyszał doganiającego go dzieciaka. Słyszał jego głośny oddech. Kątem oka obserwował pracujące równo ręce i drobiące stopy chłopca, który starał się dorównać długim krokom dorosłego.

Zwolnił trochę i pozwolił, by maluch nadązał za nim bez wysiłku.

- Hank?

- He?

- Mówiłeś, że jesteś sierotą.

- Mhm.

- Myślałem nad tym...

Hank zatrzymał się i spojrzął na niego.

- Jak jest w sierocińcu?

Hank nachylił się i w zamyśleniu rozgrzebywał patykiem stertę wodorostów.

- Hank?

Zwrócił wzrok na dziecko, wyprostował się i stanął przodem do morza.

Chłopczyk stał tuż za nim. Czekał.

- Zimno - powiedział Hank patrząc na fale, odwrócił się i cisnął patyk do morza. - Tam było zimno.

- Czy to znaczy, że nie mieli tam żadnych koców, kominków ani nic takiego?

Patrzył na Theodore'a i przez chwilę widział samego siebie, jakieś trzydzieści lat temu. Był wtedy naiwny. Nie starał się niczego mu wytłumaczyć. Po prostu odwrócił się.

- Posłuchaj, to, że mnie nie było łatwo, wcale nie oznacza, że tobie musi tam być źle.

- Mówiłeś, że w sierocińcu jest tak samo jak w więzieniu.

- To było dawno temu. - Hank wzruszył ramionami.

- Jak dawno?

- Dawno - odpowiedział. - Wystarczy tych pytań, mały. Chodźmy. - Hank zaczął iść plażą kierując się w stronę prześwitu między palmami do miejsca, gdzie spędzili noc.

Był w połowie drogi, kiedy zdał sobie sprawę, że nie słyszy kroków malca podążającego za nim. Spojrzął za siebie. Chłopiec stał dokładnie tam, gdzie go zostawił. Wpatrywał

się w ocean.

- Hej! Mały! Wrosłeś tam? Chodź!

Dzieciak kilka razy przetarł rączką powieki, okręcił się na pięcie i zaczął biec do Hanka. Kilka metrów przed nim zatrzymał się jednak. Miał zaczerwienione oczy i mokre policzki. Nie patrzył na Hanka. Wetknął ręce w kieszenie i stał utkwivszy wzrok w strzępie wodorostu.

Hank spojrzął na pochyloną głowę malca.

- Mam dla ciebie zagadkę.

Theodore zainteresował się.

- Jaką zagadkę?

- To taka zabawa w pytania i odpowiedzi.

- Jak się w to gra?

- Zadam ci pytanie, a ty będziesz musiał dać prawidłową odpowiedź.

- Dobra - chłopiec bez mała szeptał.

- Co jest największą zaletą bezludnej wyspy?

Chłopak zaczął rozglądać się dookoła.

- Plaża?

- Nie.

- Piasek?

Hank pokręcił przecząco głową.

- Słońce.

- Pudło.

- Banany?

- Figa z makiem.

Na twarzy Theodore'a widać było wysiłek umysłowy.

- Poddajesz się?

Chwilę nad tym pomyślał i skinął głową.

- Na bezludnej wyspie nie ma na pewno żadnego sierocińca... ani więzienia - oznajmił Hank.

Dzieciak wpatrywał się w niego. Kilka sekund później jego zmarkotniała twarzyczka pojaśniała.

- A teraz chodźmy. Będę potrzebował twojej pomocy.

- Naprawdę?

- Mhm. Musimy zbudować chatę, mały.

Hank ruszył przez wąski nasyp. W chwilę później jego krokom znowu towarzyszyły szybkie kroczki.

- Hank?
- He?
- Co to jest? - Malec pokazywał na zielony kokos leżący na piachu.
- Kokos.
- A skąd się tu wziął?

Hank przystanął i wskazując ręką, mówił:

- Widzisz palmy, te wysokie?
- Aha.
- Kokosy rosną przy samych liściach. Przypatrz się dobrze.

Dzieciak uśmiechnął się.

- Widzę!

Przeszli następne kilka kroków. Malec znowu zapytał:

- Co to jest kokos?
- Jedzenie.
- Jakie jedzenie?
- Kokos.

Czoło chłopca zmarszczyło się. Hank uśmiechając się wziął go za ramię.

- Powinieneś zapytać teraz, co to kokos?
- Dlaczego?
- Po prostu zapytaj.
- Co to kokos?
- Jedzenie.

Mały przystanął, namyślał się dość długo, a potem powiedział:

- Jakie jedzenie?

Hank roześmiał się.

- Kokos.

Wzrok chłopaczka powędrował na Hanka. Padło pytanie, zadane tonem głosu zdradzającym, że jest to nieśmiała próba:

- Co to kokos?
- Jedzenie. - Hank śmiał się głośno.
- Jakie jedzenie?
- Kokos.

Zanim doszli do obozowiska, dzieciak śmiał się razem z nim. Nie zastała dziecka tam, gdzie się spodziewała.

- Jak, do licha, można zgubić dziecko?

Margaret wyczołgała się spod kępy oleandrów i spojrzała na Hanka.

- Nie wiem - wysapała. - Do tej pory żadnego nie gubiłam!

Wstała, wytarła ręce o sukienkę i rozejrzała się po okolicy. Lydia płakała. Hank kłął. A Theodore wpatrywał się w Hanka. Annabelle gdzieś przepadła.

Margaret przepęniało uczucie porażki. Dochodziło do tego poczucie winy i złość na samą siebie. Annabelle bawiła się w piasku nie opodal. A w chwilę później już jej tam nie było.

- Rany boskie! - Hank nachylił się w stronę Lydii. - Przestań się mazać i pomóż odnaleźć siostrę!

Lydia zamarła. Zamknęła buzię i przestała zanosić się płaczem. Z przerażeniem malującym się w mokrych od łez oczach patrzyła na Hanka.

- Wstawaj!

Dziewczynka poderwała się z miejsca i stanęła na baczność.

- Idź i przeszukaj tamte okolice! - Energicznym ruchem wskazał strumień i wodospad.
- Theodore! Pójdiesz razem z siostrą.

Dwójka dzieci bez słowa pobiegła w stronę strumienia. Odwrócił się do Margaret. Przez dłuższą chwilę nic nie mówił. Patrzył na nią w typowy dla siebie, ponury sposób.

- Przeszukam plażę... - Przerwał na kilka sekund. - I wodę.

I odszedł.

Margaret stała, jakby jej nogi wrosły w ziemię. Przez chwilę myślała, że zwymiotuje. Przecież Annabelle nie umie pływać. Teraz była już pewna, że dziecko nie ma więcej niż półtora roku. Taki maluch może się utopić zalany nawet niewielką falą.

Panika ogarnęła ją z taką siłą, że ruszając z miejsca zachwiała się. Oparła się dłońmi o pień drzewa. Wpatrywała się w piasek, ale niczego nie zauważyła. W głowie kotłowały się wizje najgorszego, co mogło się małej przydarzyć. Niedługo potem wzięła głęboki wdech.

- Annabelle!

Nic. Cisza.

- Annabelle... - Głos zamierał jej w krtani.

Słyszała dochodzące z daleka nawoływania pozostałych, wykrzykujących imię szkraba. Słychać było także szum fal, ale teraz nie działał kojąco.

Myśl. Myśl! Rusz głową, powtarzała sobie.

Zakryła usta jedną ręką i zaczęła iść. Najpierw do miejsca, gdzie ostatni raz widziała Annabelle. Nie było po niej znaku. Opuściwszy ręce po bokach, Margaret westchnęła ciężko. Dziewczynka wpatrywała się przecież w niebo, pokazywała rączką przelatujące ptaki i chichotała odprowadzając je wzrokiem. Zaczęła szukać śladów na ziemi. Powoli. Nie było tu zbyt wiele piasku, rosła za to niewysoka trawa. Zataczając coraz szersze kręgi, oddalała się od tego miejsca badając każdy centymetr murawy, aż dotarła do piachu. Nadal nic.

Zatrzymała się i na wszelki wypadek jeszcze raz omiotła wzrokiem przeszukany teren. Prześwit między palmami prowadził na plażę. Pozostałe trzy strony polany były porośnięte gęstymi krzakami i kwitnącym zielskiem. Po jej prawej stronie, między trzema palmowymi pniami, rozproszone były odłamki skalne, które rzucały głęboki cień na piasek znajdujący się niżej. Dziecka tam jednak nie było.

Szła dalej poszerzając teren poszukiwań. Po kilku zatoczonych kołach zauważyła wyraźne ślady kozich kopyt i odciski mewich łapek. Poza jej własnymi śladami nigdzie nie było znaków zostawionych przez ludzkie stopy.

W ciągu minut, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność, szukała posuwając się coraz dalej. Raz po raz odgarniała z twarzy włosy mierzwione powiewami wiatru, wciskając się do oczu.

Kierowała się w stronę strumienia. Lydia i Theodore przeszukiwali krzaki i wciskali się między skały. Bez chwili zastanowienia Margaret obejrzała się i spojrzała na linię brzegu. Nie docierało to do niej aż do chwili, gdy uświadomiła sobie, że patrzy na Hanka brodzącego w wodzie. Przeraziła się tego, co mogłaby zobaczyć.

Przeniosła wzrok na piasek. Przeczucie mówiło jej, że coś zauważy. I kiedy zobaczyła maleńkie ślady na piasku, była tak wzburzona, że wzięła je za wytwory swojej wyobraźni. Ale one istniały... niewyraźne. Odciski dziecięcych stopek.

Już chciała zawołać Hanka, ale najpierw spojrzała do góry. Słowa zamarty jej na ustach. Kątem oka zauważyła koce wiszące na linie przewiązanej od grubego pnia drzewa guava do wysokiej palmy. Hank zawiesił linę poprzedniego wieczora.

Stała dokładnie w miejscu, gdzie spali poprzedniej nocy. Przyjrzała się dokładnie. Wszędzie były ślady ich wszystkich. Hanka, Theodore'a, Lydii. Odciski stóp okalały drzewa, plandekę i resztki ocalałe z zatopionego statku. Były to ślady z zeszłej nocy. Nie dzisiejsze.

- Annabelle!

Ciepła bryza poruszyła wilgotnymi kocami.

- Annabelle! Annabelle... - Margaret opuściła bezradnie ręce, zgarbiła się. Bryza ucichła równie nagle, jak się pojawiła. Powietrze było tutaj cięższe, bardziej nieruchome. Zasłaniając dłońią oczy przed ostrym słońcem, Margaret spojrzała w dół, na plażę.

Głuchy, klaszczący dźwięk przerwał ciszę.

- Annabelle? - Pobieгла kawalek, przystanęła, zmieniła kierunek i znowu biegła.

- Annabelle!

Jedna z wielkich drewnianych skrzyń lekko drgnęła. Podbiegła i podniosła wieko.

Mała główka pokryta rudymi loczkami odwróciła się w jej stronę.

- Ceść!

Margaret usiadła z wrażenia. Poczwała ogromną ulgę. Fala gorąca oblała jej twarz. Siedziała starając się wziąć głęboki wdech, ale drżała tak bardzo, że nie była w stanie tego zrobić.

Annabelle była bardzo wesola. Trzymając się pulchnymi rączkami za brzeg skrzyni, podciągnęła się do góry. Udało się jej wystawić głowę ponad krawędź drewnianej kryjówki.

- A kuku! - Wychyliła puciołowatą twarzyczkę zadowolona z siebie.

Łzy cisnęły się do oczu Margaret z nieodpartą siłą. Miała ochotę szlochać jak Lydia. Wyciągnęła ręce i wyjęła dziecko ze skrzyni. Mała kopała nóżkami i śmiała się.

- Ecie! Ecie!

Przytuliwszy dziecko do piersi, kołysała je przez chwilę. Annabelle wierciła się jakiś czas, a potem wetknęła dwa paluszki do buzi, przywarła mocniej do Margaret i bawiła się jej dłonią.

Margaret zamknęła oczy i dotknęła policzkiem miękkich, dziecięcych włosów. Tak mocno, jak jeszcze nigdy w życiu nikogo nie przytulała.

W takiej pozycji zastał ją Hank.

- Płaczesz? - spytał z naganą w głosie patrząc na Smitty. Spojrzała na niego zażawionymi oczami.

- Nie.

Prychnął niezadowolony i przeszedł obok niej. Zatrzymał się w niewielkiej odległości i przykładając złożone dłonie do ust, zawołał:

- Hej, maluchy! Wracajcie!

Pomachał do nich ręką. Patrzył, jak zwinnie zbiegają po skałach, i mamrotał pod nosem:

- Słońce nie weszło jeszcze na dobre, a ona zdążyła już zgubić i odnaleźć dzieciaka. I zamiast powiedzieć, że wszystko jest w porządku, siedzi i beczy.

Obrócił się do Margaret akurat w chwili, gdy sadzała malutką Annabelle z powrotem w skrzyni. Wyprostowała się i otrzepała ręką siedzenie. Hank patrzył, jak berbec powoli przełazi przez krawędź skrzynki i truchta w stronę palm kokosowych, przy których pasła się ta przeklęta koza. Kątem oka obserwując poczynania szkraba, czekał.

Smitty obróciła się i spojrzała na skrzynię.

- O mój Boże! - krzyknęła i zaczęła biegać dookoła.

Hank nie ruszając się z miejsca wskazał po prostu palcem.

- Annabelle! - Smitty rzuciła się w ślad za dzieckiem i chwyciła je w objęcia. Z chichoczącą małą, którą posadziła sobie na biodrze, wróciła do obozu, posłała Hankowi wymowne spojrzenie.

- Znowu pozwoliłeś jej uciec? Po tym, co się stało? Dlaczego mi nie powiedziałeś?!

Wzruszył ramionami.

- Wiedziałem, gdzie jest. Poza tym, dzieciaki to twoje zmartwienie.

Popatrzyła na niego, jakby wyrosły mu rogi i ogon.

- To najgorsze, co mogłeś teraz powiedzieć.

- Co? Że są twoim zmartwieniem? Przecież to prawda. Są utrapieniem, ale to już twoja sprawa, bo jesteś kobietą.

- Odpowiedzialność nie ma nic wspólnego z płcią.

- Nie, ale w sprawach płci jest od cholery przyjemności, czego nie można powiedzieć o odgrywaniu roli piastunki.

Skrzywiła się.

- Mówię poważnie. Będzie sprawiedliwie jedynie wtedy, gdy oboje będziemy odpowiedzialni za dzieci do czasu, aż ktoś nam pomoże.

- Nie mamy szans na jakakolwiek pomoc. Wyspa nie jest zamieszkana.

Margaret rozejrzała się dookoła.

- Jesteś tego pewny?

- Mhm. Poza dżunglą, oczywiście, ale jej nie powierzałbym raczej trójki dzieciaków.

Miał zamiar się odwrócić i odejść, ale postanowił wygrać tę rundę.

- Niektóre z tych wysp nigdy nie widziały białego człowieka. Czasami pojawiają się tu jacyś tubylcy, to wszystko... - przerwał na chwilę dla osiągnięcia lepszego efektu - no, i kanibale.

- To absurd.

- Tak myślisz? Ja w każdym razie nie mam zamiaru skończyć jako świąteczna pieczeń jakiegoś dzikusa, złociutka.

- Nie żartujesz. - Zmarszczyła czoło.

Przeszedł ją dreszcz. Spojrzała na otaczający ich krajobraz z obawą malującą się w oczach.

- Co w takim razie mamy robić?

- Ja zajmę się wszystkim, a ty zaopiekujesz się dzieciarnią. - Odwrócił się, jakby miał odejść, ale po chwili przystanął. - Po tym, co się wydarzyło, jestem zdania, że przydałoby ci się w tym trochę praktyki.

Smitty wyprostowała się gwałtownie i właśnie otwierała usta, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, nadbiegły dzieci - Lydia i Theodore.

- Znalazłaś ją! - wołał chłopiec zatrzymując się raptownie przed Smitty i nie odrywając oczu od twarzyczki siostry, delikatnie gładził ją po rączce.

Lydia przystanąła w znacznej odległości. Wyraz jej twarzy zastanowił Hankę, który patrzył na dziewczynkę, znajdującą się teraz jakby poza ich małą społecznością.

Jedenastolatka wpatrywała się w niego przez chwilę, a potem szybko odwróciła oczy. Ruszyła do przodu na sztywnych nogach. Zmuszała się do każdego kroku, gdy przechodziła obok niego.

Stała naprzeciw gromadki. Po chwili odezwała się:

- Zajmę się siostrą.

Smitty podała jej dziecko. Hank westchnął kiwając głową. Zawsze wiedział, kiedy zaczynają się kłopoty. Chciał odejść, ale Smitty dotknęła jego ramienia.

- Chcę z tobą porozmawiać - powiedziała.

- O czym?

Najpierw spojrzała w stronę dzieci, później popatrzyła mu prosto w oczy.

- O zajmowaniu się dziećmi - powiedziała bardzo cicho.

Rozłożył ręce w geście bezradności i pokręcił przecząco głową.

- Nie.

Cofnął się o kilka kroków, odwrócił i ruszył przed siebie.

- Hank. - Chwyciła go za ramię.

Nie zatrzymał się. Starła się dotrzymać mu kroku.

- Nie mam zielonego pojęcia o dzieciach - stwierdziła szorstko.

- Staraj się po prostu zwracać na nie uwagę.

- Co? - Stała jak wryta.

Dźwięk, który z siebie wydała, bardzo przypominał kwik, ale zdaniem Hanka daleko było mu do doskonałości. Zatrzymał się jednak i spojrzał na nią. Jeszcze jeden raz.

Stała przed nim z dłońmi opartymi na biodrach. Wyraz jej twarzy przywołał mu na myśl pysk więziennego muła.

- Na rany boskie, kobieto! Czy pilnowanie małych dzieci jest aż tak bardzo skomplikowane?!

To było trudniejsze nawet od próby przekonywania Hanka Wyatta. Od kilku minut Margaret pracownicę obwiązywała biodra sznurkiem. Potem obróciła się i podeszła do bananowca. Kiedy sięgała po owoc, sznurek napiął się jak struna.

- Nie tym razem... - wymamrotała do siebie.

Po raz co najmniej dziesiąty w ciągu godziny ruszyła wzdłuż naciągniętej linki mierzącej około trzech metrów. Podążając zygzakiem okrążyła trzy krzaki hibiskusa i dwie kolczaste palmy. Pośrodku polanki stała Annabelle przywiązana do drugiego końca sznura. Uśmiechnęła się do Margaret i w chwilę potem wlała w krzaki. Przypominała żywe srebro. Linka zaplątywała się coraz bardziej, a mała raz po raz wychylała spoza liści główkę i wołała:

- A kuku!

I śmiała się, śmiała do rozpuku powtarzając zabawę w nieskończoność. Szarpnięcia linki następowały jedno po drugim. Annabelle była chyba bardzo szczęśliwa mogąc przywiązywać je obie do wszystkiego, co znajdowało się w pobliżu. Dwa mopsy sąsiadów Margaret były znacznie łatwiejsze do upilnowania niż to dziecko, choć przecież pamiętała, jak rzuciły się w pogoń za kotem wzdłuż Taylor Street ciągnąc ją za sobą.

Musiało istnieć logiczne rozwiązanie tego problemu. Na pewno. Przez jakiś czas Margaret zastanawiała się nad tym. Pomysł ze sznurkiem nie był pozbawiony sensu, ale jak widać, niezupełnie sprawdzał się w praktyce. Popatrzyła na zaplątaną w gałęziach linkę. Była nie do odplątania.

Lydia biegła w stronę plaży z wiaderkiem w ręku. Margaret dostrzegła ją i pomachała. Sznurek leżał na ziemi. Dziewczynka zwolniła, spojrzała na siostrę, a potem na sznurek. Odstawiła wiaderko pełne mango.

- Mama ją zabawiała.

- Naprawdę?

- Tak.

- Jak?

- No wiesz, takie zabawy dla maluchów. Wszystkie matki tak robią.

- Nie wiem, Lydio.

Dziewczynka spojrzała tak, jakby Margaret okazała się zupełnym wybrykiem natury.

- A dlaczego nie wiesz?

- Nie miałam zbyt wiele do czynienia z dziećmi.

- Nie lubisz dzieci? - W tonie głosu Lydii było wyzwanie, jakby oczekiwała, że Margaret powie, że jej nie lubi.

- To nie ma nic wspólnego z tym, czy się kogoś lubi czy nie. Po prostu niewiele wiem o dzieciach. Nie wiem, jak zabawiać malucha.

Lydia odwróciła się i robiła wrażenie kogoś pogrążonego w myślach.

Margaret stała spokojnie w milczeniu. Nie bardzo wiedziała, jak przekonać Lydię, że stoją po tej samej stronie barykady. Nie wiedziała też, jak poradzić sobie z niezręcznością tej sytuacji.

Theodore krzyknął coś do Lydii. Dziewczynka pobiegła na plażę. Widać było, że oddała się z prawdziwą ulgą. Patrząc na nią Margaret zastanawiała się, czego mała się po niej spodziewa. Wszystko, co Lydia powiedziała, miało piętno wyzwania, jakby uważała, że Margaret nie stanęła na wysokości zadania, choć każdy dorosły powinien sobie poradzić znalazłszy się w podobnym położeniu.

Usiadła ciężko na piasku i podciągnęła kolana pod brodę. Oparła na nich głowę. Była to jedna z niewielu chwil w jej życiu, kiedy czuła, że poniosła porażkę. Siedziała rozmyślając, niezdolna do znalezienia rozsądnego wyjścia z sytuacji.

Kiedy w pracy natrafiała na jakiś problem robiła notatki, analizowała go na wszelkie możliwe sposoby wypisując wszelkie przychodzące jej do głowy rozwiązania. Ta metoda pozwalała jej przyjrzeć się zagadnieniu ze wszystkich stron, opracować śmiało koncepcje; słowa dyscyplinowały myślenie.

Spojrząwszy na piasek, zaczęła pisać po nim palcem. „Dziewczynka. Gniew. Strata. Sierota. Dziecko. Matka. Niemowlak”. Nic jednak nie przychodziło jej do głowy. Żadne słowo nie pojawiło się w umyśle, powodując olśnienie. Uniosła głowę. Zmarszczyła czoło. W chwilę później zauważyła Annabelle. Wszystko stało się nieważne.

Dziewuszką, zwiniętą w kłębek, leżała pod krzakiem hibiskusa trzymając w ręczce jaskrawopomarańczowy kwiat. Dwa paluszki wetknęła do buzi. Wyglądało na to, że śpi.

Margaret podniosła się i podeszła do niej. Przykłęka i rozwiązała sznurek. Annabelle rzeczywiście spała. Bardzo delikatnie wyjęła jej z buzi paluszki. Mała westchnęła, ale nie obudziła się. Ciało berbecia było takie delikatne i bladziutkie. Czas nie zdążył jeszcze nad nim zapanować. Zaróżowione policzki. Kręcone włoski w kolorze brzoskwini, podobnym do kwiatu, który trzymała. Mała główka opierała się na pulchym ramionku. Piąstka znajdowała się blisko ust. Malutkie stopy pokrywał piasek, a zielone połyskliwe liście hibiskusa poprzyczepiały się w wielu miejscach do porwanej już trochę, pikowanej sukienki. Spała, jakby nigdy nic.

W jaki sposób taki niewinny, szczęśliwy berbec może narobić tyle zamieszania? Zupełnie nowe uczucie ogarnęło Margaret. Nabierała szacunku dla macierzyństwa. Dla czegoś, o czym do tej pory niewiele myślała.

Nigdy przedtem nie widziała śpiącego dziecka. Zaskoczyła ją szybkość, z jaką maluchy zasypiały. W jednej chwili biegały, śmiały się i bawiły, a moment później spały jak susły. I to bardzo smacznie spały, co zdążyła zauważyć w czasie kilku ostatnich dni.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała Annabelle po czole. Straciła poczucie czasu. Jej myśli były teraz tak bardzo różne od tych, które znała, jakby obce. Po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu Margaret zastanowiła się nad cudem dawania życia.

Butelka Muddy'ego uderzyła o brzeg następnej nocy po szalejącym na morzu sztormie. Przez dwa tysiące lat doświadczył jednak znacznie gwałtowniejszych przejawów

działania żywiołów - przeżył powódzie, huragany, a nawet tornado w miejscu zwanym Kansas.

Czasami jacyś idioci wyrzucali butelkę, którą znaleźli. Zastanawiał się, ile osób przez dwa tysiąclecia tak postąpiło, a ile przeszło obok tracąc szansę na spełnienie trzech życzeń. Świetnie wiedział, w którym momencie znalazł się na łądzie. To było, jakby z pędzącego wielbłąda spadło się na kamienny bruk. I jeszcze coś. Zresztą zawsze tak było. W butelce zapanował bałagan.

Jedwabne poduszki poniewierały się dookoła. Oprawne w skórę księgi i pożółkłe sterty gazet zaścielały perski dywan. Wszystko, co posiadał, poczynając od starożytnych nargili i na czapeczce do baseballa kończąc, wałało się po podłodze w bezładnej stercie. Głowę dżinna zdołał gigantyczny guz nabity przez kij baseballowy.

Każdy pan i władca, każde dziesięciolecie i miejsce oznaczały nowe wynalazki. Muddy posiadał co ciekawsze z nich. W ostatnich latach zdołał zgromadzić zupełnie niezłą bibliotekę z książkami przygodowymi. Miał szachy z kości słoniowej, ale musiał niestety grywać sam ze sobą. Rakietę do badmintonu i lotka to kolejne ze zdobyczy. Lotką często rzucał o ściany butelki. Był dumny z zestawu do gry w baseball i sprzętu fotograficznego.

Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na podłodze wkładał pionki szachowe do pudła. Rzucił okiem na zatyczkę butelki. Jeśli życzenia i modlitwy działały, to w niedługim czasie ktoś powinien go odnaleźć.

Margaret ułożyła śpiące maleństwo w prowizorycznej kołysce, którą zrobiła ze skrzynki. Ostoniła dłonią oczy i spojrzała na plażę.

Jakiś czas temu Hank wysłał Lydię i Theodore'a na poszukiwanie dryfujących w wodzie kawałków drewna. Swoje znaleziska układali w stos na piasku. Koza stała obok chłopca - być może dlatego, że Hanka, ulubionego celu jej ataków, nie było nigdzie w pobliżu.

Po zastanowieniu Margaret doszła do wniosku, że nie widywała go tego dnia zbyt często, czym wcale nie była zmartwiona. Szukanie jego towarzystwa było jak zapraszanie na obiad czarta z piekła rodem.

W sekundę później usłyszała diabelskie pogwizdywanie. Wychodził z dżungli. Kroczył buńczucznie z naręczem zielonych i żółtych bambusów. Gwizdał przy tym coś, co przypominało Home on the Range. Przeszedł obok niej, zatrzymał się i wypuścił z rąk bambusy.

Margaret wpatrywała się w stertę zielonych patyków.

- Czy to na chatę?

- Mhm.

- To czemu położyłeś je tutaj? - zapytała i wskazała w stronę miejsca, które już wcześniej wybrała.

- Bo tu właśnie zbudujemy nasz dom.

Jeszcze raz pokazała wybrane przez siebie miejsce.

- A nie tam?

Pokręcił przecząco głową. Wzięła głęboki wdech.

- Wiem, że już o tym rozmawialiśmy, ale wydaje mi się, że powinieneś zdawać sobie sprawę z faktu, że przemyślałam to dość dokładnie.

Spojrzał na nią, jakby nie bardzo wiedział, o czym ona mówi.

- Przecież to oczywiste, że powinniśmy mieszkać blisko wody i miejsc, gdzie jest żywność.

Przykucnął i zaczął sortować patyki.

- Będziemy budować tutaj - stwierdził po prostu i zaczął gwizdać.

Zmieniła taktykę.

- Słuchaj, powiedziałaś, że wyspa jest nie zamieszкана, a zatem jesteśmy zdani na siebie. Oczywiście, nie jest to idealna sytuacja.

Odchrząknął.

- Chciałabym, żebyś traktował mnie jak kogoś równego sobie i przynajmniej zastanowił się nad moimi propozycjami. Żebyś brał moje zdanie pod uwagę. Tylko w ten sposób będzie to miało ręce i nogi. Nie jestem mężczyzną, ale przecież nie ma naukowego dowodu, że mężczyźni przewyższają kobiety pod każdym względem, nie tylko brutalną siłą i wytrzymałością mięśni. A ponieważ jestem wykształconą i pracującą

zawodowo kobietą, która potrafi przemyśleć problem od początku do końca i ma przy tym zmysł analityczny, wydaje mi się, że jeśli będziesz się ze mną liczył, wyjdzie to wszystkim na dobre. Nie podejmuję decyzji pochopnie i sędzę, że powinniśmy być partnerami we wszystkim, co nas dotyczy.

Hank wstał i odszedł kilka kroków dalej. Przystanął.

- No, dobra. A ja chciałbym znaleźć ukryty skarb, ale to cholernie mało prawdopodobne. - Zabrał się do zwijania splątanego sznurka, który ona wcześniej rzuciła.

Patrzyła na niego przez chwilę. Splotła ręce na piersi.

- Co takiego sprawia, że uważasz się za nieomylnego?

Nawijał linkę na łokieć. Zgięta i uniesiona ręka prawie zasłaniała mu twarz. Pyszałkowatość w jego wzroku sprawiła, że Margaret aż zacisnęła zęby. W chwilę później Hank popukał się palcem w skroń.

- Instynkt. Daję sobie radę, bo odziedziczyłem coś po matce.

- A więc zapewne to właśnie twoje dziedzictwo sprawiło, że wylądowałeś w więzieniu.

- Mhm. Niezupełnie tak. Trafiłem tam przez jakiegoś imbecyla adwokata. - Ściągnął linę w ciaśniejszą pętlę. Jego ruchy zdradzały złość, jakby chciał w tym właśnie momencie porządnie komuś przyłożyć.

Margaret nie odezwała się. Hank zawiązał supeł i rzucił sznur na ziemię.

- Cerbery w więzieniu nazywali skazańców ludzkim śmieciem. A to właśnie adwokatów powinno się pozamykać.

- Myślę, że świetnie wiedziałeś, co może adwokat - odparła po chwili.

- Znam ich. To najbardziej niezyciowa grupa przygłupów i egoistów. Świetnie potrafią przekręcać znaczenie słów i mają siłę przekonywania.

Patrząc, jak miota się dookoła - to otwiera, to znów zamyka skrzynie bez żadnego powodu - przygryzła górną wargę. Westchnęła.

- Najpewniej nie zrobiłeś niczego przeciw prawu.

- Prawo jest po to, żeby je łamać.

- I ty w to wierzysz?

- Mhm.

- Dlatego winisz za wszystko adwokata.

- Powiedziałem temu gryziopiórkowi, że w żadnym sądzie, na żadnej wyspie nie można liczyć na sprawiedliwy proces. - Z hukiem opuścił wieko skrzyni i przechodząc obok Margaret mruknął pod nosem: - Głupiec.

- Więc jesteś niewinny - powiedziała ironicznie.

Hank zatrzymał się przed nią. W jego wzroku kryła się groźba.

- Jestem niewinny.

- Hank Wyatt jest niewinny. - Mówiąc, lekko pukała się palcem po policzku. - To dlaczego pobrzmiwa w tym jakaś kontradycja?

Patrzył na nią przez chwilę, a potem ruszył w stronę bambusów.

- Hmm, nie jestem nawet w połowie takim głupcem jak adwokaci.

Margaret mrugnęła do niego i roześmiała się głośno. Hank, który kucnął już obok sterty kijów, spojrział na nią ze zdumieniem.

Śmiała się coraz bardziej. Nie mogła się powstrzymać.

- Jesteś szalona - powiedział.

Pokręciła przecząco głową.

- Kontradycja to po prostu sprzeczność.

Milczał. Miał bardzo surowy wyraz twarzy.

- Rozumiesz, dwa sprzeczne znaczeniem słowa. - Po chwili z uśmiechem wyjaśniła: - Ostatnią rzeczą, jaką powiedziałabym o tobie, jest to, że jesteś niewinny.

- Hmm, może miałem niewielki udział w sprawie, ale jestem niewinny.

- Jest takie powiedzenie, że w więzieniach siedzą sami niewinni.

- Nikogo nie zabiłem - powiedział to tak niespodziewanie, że na chwilę oboje zamilkli.

Zdaje się, że od razu pożałował tych słów. Margaret oniemiała. Morderstwo oznacza karę śmierci albo dożywocie.

- Kiedy mieli wykonać na tobie wyrok? Czy dlatego właśnie uciekłeś?

- Mój adwokat powiedział, że jestem szczęściarzem. Dostałem dożywocie. - Patrzył na nią zadzierając do góry głowę, bo cały czas kucnął przy bambusach. Miał taką minę, jakby czekał, że kobieta zacznie za chwilę krzyżeć albo uciekać. Nie uciekała.

W końcu dodał:

- Nie masz się czego bać.

- Wiem. - Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. - Morderca nie zaryzykowałby własnego życia dla ratowania z tonącego statku trójki dzieci i kobiety.

Spojrzał na jej dłoń spoczywającą na jego ramieniu. Był wyraźnie zmieszany i stał się podejrzliwy. Widziała kiedyś taki wyraz twarzy u Chińczyka, który był jej klientem i nie mówił po angielsku.

Hank powoli wstał. Bardzo długo wpatrywał się w kobietę, jakby zastanawiał się, kogo właściwie ma przed sobą. Zbliżył się do niej. Spojrzał jej prosto w oczy, zupełnie tak samo, jak ona robiła to wcześniej.

Margaret nie poruszyła się. Czekala.

- Jesteś sprytna. - Przerwał na chwilę, obrócił się na pięcie i zaczął powoli odchodzić. Po zrobieniu kilku kroków spojrzał na nią przez ramię i dodał: - Następna kontrydycja.

Margaret upierała się przy swoim, Hank też nie chciał iść na żaden kompromis.

Przez ostatnią godzinę prawie zamęczył ją kontrydycjami. Nie słuchał zupełnie tego, co mówiła, racył ją za to własnymi opiniami, pełnymi bardzo dosadnych określeń, na temat adwokatów, sędziów, strażników więziennych i prawa w ogóle - jednym słowem tego wszystkiego, czym głęboko gardził.

- Zrozum, złotko. Nie mam najmniejszego zamiaru zgadzać się z tobą. Daj sobie spokój. Jeśli mówię, że chatę zbudujemy tutaj, to znaczy, że tutaj ją zbudujemy. Sprytna kobieta już dawno by to zrozumiała.

Były takie chwile, że Margaret chętnie stanęłaby z nim na ringu i solidnie przetrzepała mu skórę. Teraz jednak tak nie było. Czekala i wreszcie nadszedł właściwy moment, by mogła wtrącić:

- W końcu jestem kimś więcej niż tylko sprytną kobietą.

- Mhm - przytaknął ze śmiechem. - Zapomniałem. Masz zawód.

- Tak, mam.

- I rozum - dodał, jakby był to kolejny dowcip.

- Myślę, że będziemy musieli popracować trochę nad twoją postawą.

- Możesz coś dla mnie zrobić, Smitty?

- Co takiego?

- Nie myśl.

- Płacą mi za myślenie.

- To się nie odzywaj.

Roześmiała się i obesła go dookoła.

- To nie będzie takie proste, bo za to też mi płacą.

Posłał jej przeciągłe spojrzenie, które wyraźnie dawało jej do zrozumienia, że nie wierzy, by ktoś zechciał płacić jej za robienie czegokolwiek.

Nie miała zamiaru ułatwiać mu spraw jeszcze bardziej. Oboje starali się wygrać. Oboje sprawdzali, kto kogo przetrzyma. Jego wzrok mówił jej jasno i wyraźnie, że tak naprawdę chodziło o co innego. W jego oczach była teraz po prostu kobieta. A on był mężczyzną. Stawiało ją to na dużo gorszej pozycji.

- Nie tak łatwo mnie obrazić.

- To już wiem, Smitty.

Dowiesz się jeszcze paru rzeczy, pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno.

Po jakimś czasie Hank zagadnął:

- Więc? Jaki jest ten twój zawód? - zaakcentował mocno ostatnie słowo, by zabrzmiało jak żart.

Z rękami skrzyżowanymi na piersiach dała mu do zrozumienia, że sam powinien się tego domyślić.

- Ach, rozumiem.

Podszedł do niej i przyglądał się jej badawczo.

- Nie masz zamiaru mi powiedzieć.

Starał się onieśmielić ją bliskością. Jego wzrost dawał mu sporą przewagę. Margaret patrzyła mu prosto w oczy i uparcie milczała.

- Dobra. Spróbuję. Pobawimy się zatem w zgadywanke. - Zaczaj się przechadzać. - Nie wyglądasz na pielęgniarkę. Gdybyś zamiast rąk używała kleszczy, pacjenci wcale by tego

nie zauważyli. - Spojrzał na nią spod przymkniętych powiek. - Co tam szeptałaś pod nosem o mojej głowie?

- Nic. - Machnęła lekceważąco ręką.

- Tak myślałam. Mówiłaś, że płacą ci za mówienie.

Przytaknęła.

- Nauczycielka?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

Jego zaczepny ton powinien ją ostrzec. Spojrzał na sznurek zaplątany w krzakach, a potem na Annabelle śpiącą w skrzyni.

- Po dzisiejszym ranku jednego jestem pewny. Nie jesteś niańką.

Gdyby Margaret nie była pewna, że wygra z nim tę rozgrywkę, zapewne palnęłaby coś pochopnie albo zareagowała zbyt emocjonalnie. Teraz jednak zachowała kamienny spokój.

- Bibliotekarka.

- Nawet nie mól książkowy.

- Szwaczka.

Skrzywiła usta. Nie potrafiła nawet przyszyć guzika.

- Modystka? Nie. - Kiwał głową i w zamyśleniu pocierał zarosnięty podbródek. - Pamiętam ten ohydny brązowy rondel, który miałaś na głowie. Nie, nie możesz być modystka.

- Ależ jesteś dowcipny.

Uśmiechnął się z przekąsem.

- Robię, co mogę.

- Potrzebna ci łopata, Hank.

- A po co?

- Żebyś mógł wykopać głębszą dziurę w miejscu, gdzie stoisz.

- Jaką znowu dziurę?

Margaret przeszła obok niego.

- Nie jestem ani nauczycielką, ani pielęgniarką, ani też niańką. - Śmiało spojrzała mu prosto w oczy. - Ani bibliotekarką, ani szwaczką, ani modystką.

Hank prychnął.

- Jestem... zobaczmy, czy zapamiętałam co uprzejmiejsze określenia, a tak... jestem. - Stała przed nim i wpatrując się w niego mówiła: - Niezyciowym krętaczem, egoistą z dużą siłą przekonywania. - Uśmiechnęła się. - Jestem adwokatem.

Wpatrywał się w nią z otwartymi ustami.

- Pracuję w firmie prawniczej Ryderson, Kelly, Huntington i Smith.

Zmarszczył czoło, jakby nie wierzył w to, co usłyszał.

- Sutter Street, San Francisco.

Zapadła grobowa cisza.

A potem on powiedział jedno paskudne słowo.

Do południa ustalili jedynie tyle, że nie pozabijają się nawzajem. Hank zaczął budować chatę w miejscu, które uważał za najlepsze, podczas gdy Smitty budowała swoją, jej zdaniem lepiej ułożoną.

- Podaj mi linę, mały.

Theodore podbiegł i podał zwój sznura.

- A teraz chwyć tutaj - powiedział Hank pokazując chłopcu, jak trzymać bambusowe kije i związać je linką, by chata miała solidny szkielet.

Hank skończył wiązanie i spojrzał na Smitty - za pomocą kamienia usiłowała wbić w piasek bambusowy patyk. Annabelle biegała wokół niej i oplątała jej nogi sznurkiem.

Widząc to Hank pomyślał, że dobry adwokat to związany adwokat. Teraz wystarczyłoby wyczekać na odpowiedni moment i byłby górą.

Margaret ofuknęła dziecko, a potem próbowała rozplątać pęta. Gdy się schyliła, jej długie jasne włosy związane w luźny węzeł przesunęły się na bok, a podarta sukienka podsunęła ku górze odsłaniając łydki.

Zagwizdał z uznaniem. Wspaniałe nogi. Do licha, w ogóle miała wspaniałe ciało i wspaniałą twarz. A także, niestety, niewyparzony język. On zaś miał poważny problem. Był zbiegłym więźniem, który utknął na bezludnej wyspie z kobietą adwokatem. Do diabła, nawet nie wiedział, że kobieta może być adwokatem. Świat stawał na głowie.

Theodore pociągnął go za rękaw.

- Co teraz będziemy robić?

- Popelnimy samobójstwo - wymamrotał Hank pod nosem nie odrywając oczu od Smitty. - Hej? - Spojrzał wreszcie na chłopca. - Nic.

Zlustrował bambusowy szkielet chaty. Wyglądał solidnie.

- Potrzebujemy czegoś do wypełnienia ścian.

- Jakiego wypełnienia?

- Liści palmowych. Dużych liści.

- Widziałem naprawdę wielgachne liście niedaleko strumienia - powiedział chłopak i ruszył biegiem.

Hank przeszedł przez prześwit między krzakami. Znalazł się jedynie kilkadziesiąt centymetrów od Smitty. Obok niej sterczały trzy kije bambusowe wetknięte pod co najmniej dziwnym kątem w mokry piasek. Gdyby Hank przeszedł odrobinę szybciej, podmuch powietrza przewróciłby je z łatwością.

Stał i czekał, aż Margaret odwróci się w jego stronę. Dwa z patyków zaczęły przechylać się ku sobie. Hank siłą powstrzymał się od śmiechu.

Mrucząc coś cicho, Smitty chwyciła je rękami. Annabelle raczkowała przy jej stopach. Trzeci patyk podzielił los poprzednich.

- Budujesz wigwam? - spytał Hank.

Zwróciła wzrok na patyki, lekko się pochyliła i obrzuciła Hanka lodowatym spojrzeniem. W tym samym momencie Annabelle dała o sobie znać głośnym krzykiem. Dzieciak zaplątał się zupełnie tuż przy jej kostkach. Puściła kije.

- A teraz, Annabelle, stój spokojnie, zaraz cię uwolnię.

Mała darła się i szarpała. Smitty też była związana. Hank pogłaskał się po brodzie, odszedł kilka kroków, a potem przystanął. Dziecko przestało krzyczeć. Hank obejrzał się. Smitty siedziała oplątana liną i obłożona bambusami, trzymając małą na kolanach.

- Hej, pani mecenas! - krzyknął. - Mam nadzieję, że w sprawach sądowych jesteś lepsza niż w budowaniu szałasów - powiedział i odszedł śmiejąc się głośno.

Nie była to rozprawa sądowa. Nie był to też szałas.

Zbudowała wigwam, jak to sarkastycznie nazwał. Margaret odeszła do tyłu, by z odległości ocenić wyniki swoich starań. Budując szkielet-ramę związała kije u góry, ale te przekłete badyle nie chciały stać prosto w piasku. Razem z Lydią uplotły płaskie, dość szerokie maty z liści i użyły ich jako pokrycia szkieletu.

Obeszła wigwam dookoła i przyglądała mu się z różnych stron. Nie był symetryczny, to pewne, ale stał. Spojrzała na Lydię.

- I co ty na to?

- Może być. - Dziewczynka wzruszyła ramionami.

Margaret otrzepała ręce i wytarła je o spódnicę.

- Moim zdaniem wykonałyśmy kawał dobrej roboty. - Uśmiechnęła się do Lydii. - Dziękuję ci za pomoc.

Dziewczynka nie odpowiedziała. Obserwowała brata i Hanka. Margaret poszła jej śladem spoglądając przez prześwit w krzakach. Hank podniósł małego, żeby mógł kłaść liście na górze ich kwadratowej chaty. Budowla wyglądała bardzo solidnie. Ściany i dach były z luźnych palmowych liści poprzątkanych między bambusowymi prętami. Spojrzała na swój wigwam. Stwierdziła, że mata robi wrażenie solidniejszej. Roześmiała się.

- Powinnam podziękować panu Wyattowi za pomysł. - Lustrując wigwam pomyślała o niepochlebnych słowach Hanka. - Zarzut odparty - wyszeptła do siebie.

- Co to znaczy, że zarzut jest odparty? - spytała Lydia.

Margaret zdziwiła się, że dziewczynka słucha, o czym ona mówi.

- Gdy w sądzie ktoś wysnuwa jakieś przypuszczenie dotyczące jakiegoś faktu, a ktoś inny udowodni, że tak nie jest, to jest to właśnie odparcie zarzutu. Udowadnia się, że ktoś był w błędzie. Zupełnie jak w czasie sprzeczki. Sposób na uświadomienie komuś, że coś jest prawdą, a coś innego nie jest.

Lydia zastanowiła się nad tym przez chwilę, a potem spojrzała na Margaret z dość dziwnym wyrazem oczu.

- Naprawdę jesteś adwokatem?

- Tak, jestem adwokatem.

- Chodzisz do sądu i w ogóle?

Przytaknęła. Dziewczynka nachyliła się i wzięła na ręce małą siostrzyczkę. Przytuliła ją.

- Moja mama była z nami w domu.

- Wiele kobiet zostaje w domu i zajmuje się rodziną. Ale coraz więcej zaczyna pracować. Sporo też jest kobiet wykształconych. Lekarek, dziennikarek, prawniczek. Czytuję gazetę, której redaktorem jest kobieta.

- Pani Robbins, nasza sąsiadka, jest nauczycielką. Zapytałam raz mamę, czy chciałaby być nauczycielką albo kimś takim. Odpowiedziała, że my wystarczymy jej za wszystko. - Lydia mówiła zaczepnie.

Margaret miała sporą wprawę w dyskusowaniu z twardogłowymi mężczyznami. Hank nie był pierwszym, z którym przyszło jej się zmierzyć, i zapewne nie ostatnim. Większość mężczyzn uważała, że rządzenie światem jest ich domeną. Już bardzo dawno temu dotarło do Margaret, że jej ojciec i wujowie byli wyjątkami potwierdzającymi regułę.

Pod ich czujnym okiem wyrosła w przekonaniu, że może być tym, kim zechce, jeśli tylko uczciwie na to zapracuje. Ojciec szanował jej osobowość, pomagał i wpływał na jej intelektualny rozwój, i nigdy nie powiedział, że czegoś nie może robić tylko dlatego, że jest kobietą. Uważał, że córka może się zajmować tym, czym chce. I w ten właśnie sposób Margaret przeżyła trzydzieści dwa lata.

Równie swobodnie czuła się w towarzystwie kobiet. Przekonywała je o swoim zapale do uczynienia świata lepszym, sprawiedliwszym dla wszystkich, dla kobiet i dla mężczyzn. Ale tylko koledzy, ojciec i wujowie rozumieli jej oddanie prawu. Ona nim żyła.

W tej chwili jednak nie miała pojęcia, jak ma wyjaśnić małej dziewczynce, dlaczego wybrała prawo. Nie chciała oczywiście w żaden sposób podważać tego, co powiedziała matka Lydii. Potrzebowała czasu na poważne zastanowienie się, jak ma postępować z dziećmi. Wiedziała, że powinna je rozumieć, myśleć jak one i widzieć świat ich oczami - w przeciwnym razie nie będzie w stanie im pomóc.

Cały czas jednak paraliżowała ją bezradność, jakby szła do sądu na rozprawę zupełnie nie przygotowana. A przecież czuła się za nie odpowiedzialna. Oprócz niej nie miały nikogo.

Patrzyła na Lydię bawiącą się z maleństwem. Nawet teraz dziewczynka nie uśmiechała się. Margaret zdała sobie sprawę, że nigdy nie widziała uśmiechu na jej buzi.

Lydia spojrzała na nią. Ona ma oczy staruszki, pomyślała Margaret. Zbyt poważne jak na dziewczynkę w jej wieku. Kiwnęła głową w stronę Annabelle.

- Zajmę się nią teraz, jeśli chcesz.

- Nie trzeba. - Lydia cofnęła się o krok. - Ona jest moją siostrą.

Margaret była zdumiona nieprzyjaznym tonem głosu Lydii. Dziewczynka odwróciła się ignorując ją ostentacyjnie. Zaczęła śpiewać Annabelle jakąś głupiotką piosenkę. Chwilę później wzięła małą za rękę i wolno odeszły. Dla Margaret było jasne, że Lydia celowo powiększała dystans między nimi. I te kilka metrów wydało się jej wieloma kilometrami.

- Panno Smith! Panno Smith! Coś złego dzieje się z Hankiem!

Margaret złapała Theodore'a za ramię, gdy wbiegł do wigwamu.

- Spokojnie, Theodore. Powoli.

- Ale Hank zachorował! Szybko! Proszę! On może umrzeć! - Malec wpatrywał się w nią. - Przecież każdy może umrzeć.

Margaret odwróciła się do Lydii.

- Zaraz wrócę - powiedziała i pobiegła w stronę chaty Hanka trzymając Theodore'a za rękę.

Słońce już prawie zaszło. Na purpurowym niebie widać było jedynie różowozłotą poświatę.

Weszła do ciemnej chaty. Hank leżał w rogu. Margaret poruszała się bardzo zwinnie. Theodore szedł zaraz za nią.

- Widzisz?

Margaret nachyliła się i przyjrzała Hankowi. Leżał przerażająco nieruchomo.

- Czy on umarł?

Przyłożyła ucho do jego piersi. Niespodziewanie pierś uniosła się wysoko. Hank głęboko wciągnął powietrze. Zachrapał. Theodore aż podskoczył.

- Wszystko w porządku. Odsuń się trochę - powiedziała Margaret i podsunęła się bliżej Hanka. Jej twarz prawie dotykała jego twarzy.

Od oparów whisky oczy zaszyły jej łzami. Jest sztywny, pomyślała kucając na piętach i machając dłonią, by choć trochę rozwiać odór. Tak, sztywny, a właściwie jest pijany w trupa. Nachyliła się nad nim i dostrzegła opróżnioną do połowy butelkę whisky, którą ścisnął w rękę.

Theodore podszedł bliżej.

- Śpi - skłamała zabierając butelkę.

Hank chrapał niczym stado głodnych świń. Zakrył oczy ręką i wymamrotał kilka słów, od których Margaret aż się zarumieniła. Położyła ręce na ramionach chłopczyka i starała się zasłonić sobą Hanka.

- Chodź. Możesz zostać z nami. Nie powinniśmy przeszkadzać panu Wyattowi w odpoczynku.

- Ale ja miałem spać tutaj.

Po buzi chłopca niczego nie można było poznać, jednak w głosie brzmiało rozczarowanie.

- Hank mówił, że mogę tu spać, bo pomagałem mu przy budowie. Obiecał, że pozwoli mi pograć na organkach.

- Wiem. - Delikatnie objęła go ramieniem i podprowadziła do wyjścia. - Innym razem, dobrze?

Za nimi rozległo się głośne chrapnięcie. Margaret miała ochotę stłuc Hanka Wyatta na kwaśne jabłko. Theodore szedł w milczeniu obok niej, ze spuszczoną głową. Właściwie włókł się noga za nogą. Margaret ogarnęła nowa fala złości.

Chłopiec doczłapał do palmy, przy której koza uwiązana była na noc, i zaczął cicho przemawiać do zwierzęcia. Margaret rozejrzała się dookoła. Zdawała sobie sprawę, że jej zdenerwowanie nie przyniesie nikomu nic dobrego.

Na granatowoczarnym niebie połyskiwało kilka gwiazd. Księżyc jeszcze nie wzeszedł. W pobliskich krzakach grały świerszcze. Fale miarowo uderzały o brzeg niczym bębny wojenne. Patrzyła na Theodore'a życzącego kozie dobrej nocy i z niechęcią wchodzącego do wigwamu. Ręce miał wsunięte głęboko w kieszenie, plecy mocno zgarbione. Serce się jej krajało, gdy widziała rozczarowanie dziecka, zwłaszcza że chłopiec wycierpiał w życiu znacznie więcej niż jakikolwiek inny pięciolatek.

Zatrzymując się na chwilę przy wejściu spojrzała na chatę mężczyzny. Jak można być takim egoistą? Uniosła butelkę z whisky i wpatrywała się w nią przez dłuższy czas. Potem pokręciła głową z dezaprobatą. Cóż za marnotrawstwo!

Gdy księżyc pojawił się na niebie, temperatura zdążyła obniżyć się o kilka stopni. Zerwał się wiatr. Szpary w ścianach wigwamu jaśniały na zewnątrz złotym światłem lampy. Margaret siedziała w środku trzymając na kolanach Annabelle. Lydia i Theodore leżeli opatuleni kocami.

Zgodnie z tym, co twierdził Theodore, był to czas na opowieści.

- I wtedy wilk powiedział - chłopiec zniżył głos - otwórzcie, świnki, i wpuscicie mnie albo dmuchnę i chuchnę, i zburzę wasz domek!

- Napaść, nielegalne wtargnięcie - wymamrotała Margaret.

Chłopiec przytaknął.

- To był bardzo zły wilk.

- Żły wilk! Cholela! Cholela! Żły wilk!

- Nie tak, Annabelle, to złe słowo, a w bajce to wilk jest zły. Brzydkie słowo - Margaret powtórzyła: - Brzydkie.

- Cholela! - Annabelle śmiała się głośno.

Margaret poddała się i dziękowała Bogu, że dzieciak jeszcze przez jakiś czas nie będzie umiał wymawiać „r”.

- Chcesz wiedzieć, co było potem? - zapytał Theodore.

- No pewnie - odparła.

- Wilk zdmuchnął domek z patyków, tak samo jak domek ze słomy, i obie świnki musiały biec i biec, i biec do domu swojego braciszka. Jego domek był z cegły. I wszystko powtórzyło się tak samo.

- To znaczy, że zły wilk... - Margaret spojrzała na niego.

- Cholela!

Tym razem Margaret zignorowała wybryk małej.

. - Zdmuchnął domek z cegieł? Musiał mieć niezłe płuca.

Nagle przyszło jej na myśl, że teraz Hank mógłby samym oddechem stopić kilka cegieł.

- Nic z tego. - Chłopiec uśmiechał się zadowolony.

- Nie zdmuchnął domku z cegieł?

- Aha. Próbował i próbował, ale sprytna świnka zbudowała bardzo mocny domek. W końcu wilk wdrapał się na dach i wskoczył do komina. Wiesz, co się potem stało?

- Co?

Chłopiec zbliżył buzię do twarzy Margaret. Czekala, a mały promiennie się uśmiechał. Wyczuła, że w ten sposób chciał bardziej dramatycznie zakończyć bajkę.

- Świnki podstawiły pod komin wielki garnek z gorącą wodą i wilk do niego wpadł. - Chłopiec otworzył szeroko oczy i wskazał palcem na Margaret. - Potem go ugotowały i zjadły calutkiego.

- Zjadły wilka? - Margaret udała, że jest jej niedobrze. - To okropne.

Lydia spojrzała na nią z politowaniem.

- Mama ciągle czytała nam tę historyjkę. Z takiej książki z bajkami. To ulubiona bajka Theo.

Margaret zauważyła, że chłopiec zmarszczył czoło w zamyśleniu. Przeniosła wzrok z powrotem na Lydię. Wyraz twarzy dziewczynki nie zmienił się. Margaret miała ochotę kopnąć mocno samą siebie. Była pewna, że w tej właśnie chwili rozczarowała dzieciaki, a zwłaszcza Theodore'a, zupełnie tak samo, jak zrobił to Hank.

Tuż przed świtem, zanim obudziły się ptaki, zanim wycofały się fale przypiływu, gdy cały świat pogrążony był we śnie, burza rozszalała się nad wyspą. Nadciągnęła z zachodu niosąc ze sobą nabrzmiąle ulewą chmury i wiatr. Chmurzyska zasłoniły księżyc i gwiazdy. Wiatr zawodził przeciągle niczym wyjący wilk. A potem dmuchnął i chuchnął, i zburzył ich domek.

Zapach mokrej koziej sierści przypominający do złudzenia smród panujący w starej więziennej szopie obudził Hanka. Obrócił głowę dość gwałtownie i zaraz tego pożałował. Miał potwornego kaca.

Zacisnął mocno usta i tego też pożałował. Miał okropny niesmak. Koza podeszła bliżej i przysunęła cuchnący, mokry pysk do jego twarzy. Głośno zabeczała.

Jęcząc Hank odturlał się od niej. W głowie waliły mu młoty, jak w kamieniołomie. Przycisnął skronie rękoma i czekał, aż minie fala bólu. Po kilku głębokich wdechach otworzył oczy na milimetr. Piekły i były przekrwione.

Jasne promienie słońca omal go nie oślepiły. Mrugał oczami i ocierał twarz dłońmi. Szybko jednak przestał i zaczął wpatrywać się w ręce z wyrazem niezadowolenia. Były mokre. Uniósł głowę kilka centymetrów powyżej ziemi, co wymagało wielkiego wysiłku, i spojrzał na ubranie. Był zupełnie przemoczony.

Usiadł powoli, bardzo powoli, tak żeby głowa mogła nadążyć za resztą ciała. Stopniowo widział coraz wyraźniej. Koza stała zupełnie blisko, wpatrywała się w niego i coś przeżuwała.

Hank patrzył na nią przez jakiś czas, zanim zauważył, że z koziego pyska wystaje kawałek metalu. Zmarszczył czoło. Co też takiego mogła jeść ta cholerna koza? Zaczął czołgać się w jej stronę. Koza cofnęła się o dwa kroki.

- Co tam masz?

Koza cofnęła się jeszcze kawałek. Mamrocząc kilka bardzo wyszukanych imion Hank czołgał się dalej. Koza żuła i cofała się.

- Tutaj, kózko. Chodź tu.

Koza mrugnęła.

- Chodź do mnie.

Posuwał się powoli. Koza wycofywała się. Zatrzymał się ze wzrokiem utkwionym w bydlęciu.

Raz... dwa... trzy! Wskoczył do przodu. Koza skoczyła do tyłu.

Hank wylądował twarzą w trawie. Czuł, że koza stoi teraz nad nim. Wziął głęboki wdech i powoli uniósł głowę. Coś twardego uderzyło go w potylicę. Po chwili koza potruczała w stronę zarośli.

Rozejrzał się po trawie. Obok leżała srebrna butelka. Usiadł i roztarł ręką bolące miejsce.

Marszcząc czoło podniósł butelkę. Oglądał ją ze wszystkich stron. Miała kilka zadrapań i były na niej nawet ślady zębów. Niemniej była to tylko stara butelka od perfum, podobna do tej, którą wyrzucił za burtę szalupy. Nie miała żadnych ozdób, żadnego kamienia. Nic. Była bez wartości.

Zaczerpnął powietrza, rozejrzał się i zamarł. Upuścił srebrne cacko i dokładniej zlustrował otoczenie.

- Co się, do diabła, dzieje?

Chatki nie było. Ani dachu. Ani ścian. Nawet śladu. Został jedynie bambusowy szkielet.

Wstał. Stopy zapadły się w błotniste podłoże. Zauważył pozostałości po burzy. Dookoła bambusowej konstrukcji leżały palmowe liście, które jeszcze wieczorem były ścianami i dachem. Część z nich leżała w pobliskich krzakach. Krople wody ściekały z liści drzew i krzewów. Znad kałuż unosiła się para.

Spojrzał w stronę wigwamu Smitty. Nad ziemią sterczał jedynie bezładny stos mat z liści, skrzyń i innych uratowanych z katastrofy przedmiotów. Zaklął i ruszył w kierunku prześwitu przekonany, że pod stertą znajdują się dzieci i Margaret. Gdy podszedł na odległość mniejszą niż metr, zauważył, że nikogo tam nie ma.

Ruszył wzdłuż plaży. Gdy przebiegł około trzystu metrów, usłyszał śmiech. Przystanął.

Smitty brodziła w płytkiej wodzie trzymając Annabelle za rączki. Kiedy tylko łagodna fala porannego przypływu zbliżała się do dziecka, kobieta unosiła je do góry pozwalając jedynie, by morska piana obmyła małe stópki. Niedaleko od nich Theodore wykopywał jamę w piasku. Raptem rozejrzał się, zaczął pokrzykiwać i skakać, pokazywał coś ręką. Z nadbrzeża przybiegła Lydia z pełnym naręczem bananów.

Hank przysłonił oczy dłonią i spojrzał w kierunku wskazywanym przez chłopca. Na wschód. Z każdą sekundą coraz bardziej przybliżało się do nich, wyskakujące raz po raz ponad gładką powierzchnię oceanu, stado morświnów. Rozbijając lustrzaną toń wyrzucały do góry białe pióropusze z kropelek wody.

Przypomniał sobie, jak pierwszy raz zobaczył stado morświnów baraszkujące w falach. Było w tym coś otrzeźwiającego - świadomość, że inne stworzenia żyły na tej samej ziemi; wiedza, że ludzie nie są jedynymi istotami chcącymi przetrwać. Jakaś dawno temu zapomniana częśćka jego jestestwa zareagowała dokładnie tak samo jak Theodore.

Patrząc na zwierzęta teraz, odczuwał ten sam podziw. Zdał sobie sprawę, że nie przeżywał niczego podobnego od bardzo dawna. Zbyt dawna.

Stał i płał w poczuciu wolności - mógł robić wszystko, na co miał ochotę. Rozkoszował się widokiem morskich ssaków, o których istnieniu nie pamiętał przez kilka ostatnich lat. Coraz bardziej rozżalony zastanawiał się, czego jeszcze pozbawiło go więzienie. Z oddali dochodziły tam głosy ptaków gniazdujących na klifie. Ich przekomarzania nie przypominały ptasiego świergotu, brzmiały raczej jak płacz człowieka. W więzieniu ludzie płakali. On też płakał, kiedy nikt nie mógł tego widzieć.

Odchylił do tyłu głowę i zaczerpnął pełne płuca świeżego morskiego powietrza. Był wolny. Nie usłyszy już głośniego zgrzytu drzwi celi zamykanych na noc. Nie słyszał tego zeszłej nocy, ale by mieć pewność, że tak będzie, wypił tyle whisky. Pozwoliło mu to także spać bez zachowywania ostrożności, spać smacznie i chrapać. Chyba nigdy nie będzie miał tego dość.

Otworzył oczy. Spojrzał w niebo. I wiedział, że nie jest przywiązany do palików. Nie jest zamknięty w drewnianej skrzyni i wystawiony na bezlitosne promienie. Jego kostki nie były skute łańcuchem, a on nie siedział w celi.

Po niebie szybowwały mewy. Zataczały kręgi nad morświnami. Pikowały w dół, drażniąc się z morskimi pływakami. Po prawej stronie, spomiędzy skał, wytrysnęła struga wody. Rozpylone krople załamywały promienie tworząc tęczę na porannym, jasnym błękitcie. Morze było spokojne. Fale, zamiast rozbijać się o brzeg, omywały go łagodnie.

Smitty i Annabelle śmiały się głośno. Znowu na nie popatrzył. Smitty stała w płytkiej wodzie trzymając małą na biodrze. Fale chlupotały dookoła jej łydek, wilgoć pokrywała skórę, która wydała mu się przezroczysta.

- Hank! Hank! - wołał Theodore biegnąc po plaży. Zatrzymał się gwałtownie przy Hanku. - Patrz! - zawołał.

Mężczyzna spojrział na wyciągnięte ręce chłopca. Kawałki niebieskiego, zielonego i brązowego szkła wypolerowane i zaokrąglone przez ziarenka piachu i fale leżały na małych dłoniach oblepionych mokrym piaskiem.

- Wiesz, co to jest?

- Kawałki kolorowego szkła.

- Aha. Panna Smith powiedziała, że gdybyśmy stopili piasek z plaży i pozwolili mu potem ostygnąć, wiesz, co by było?

- Co?

- Szkło!

Hank zerknął w stronę Smitty śmiejącej się do Annabelle.

- Tak powiedziała?

- Aha.

Fala uderzyła w nią dość mocno. Margaret uniosła małą szybko i wysoko do góry. Nawet z tej odległości Hank widział wspaniałe nogi Smitty. Obramowane promieniami światła, prześwitywały przez zmoczoną sukienkę. Z uniesionymi ramionami, opromieniona słońcem, jawiła mu się w całej okazałości. Margaret była pięknie zbudowana.

Do licha, aż mu dech zapało. Jasna kaskada potarganych włosów opadała jej na plecy. Wilgotne i kręcone, i tak cholernie kobiece, że nawet za wagon pełen złota nie zrezygnowałby z tego widoku.

- Popatrz jeszcze na to.

- Tak, mały.

Hank nie odrywał od niej wzroku. Gdyby przesunął się odrobinę w lewo i do przodu, miałby znacznie lepszy widok. Theodore ciągnął go za dół koszuli.

- W ogóle nie zwracasz na mnie uwagi.

Hank odchrząknął. Spojrzenie miał utkwione w Smitty. Dzieciak pociągnął znowu.

- Hank?

Żadnej reakcji.

- Hank? - Głos malucha stał się zupełnie cichy.

Mężczyzna usłyszał w tym głosie coś, o czym nie myślał przez wiele, wiele lat. Ból, że jest się ignorowanym. Świetnie wiedział, co się czuje, gdy ktoś traktuje cię tak, jakby cię nie było.

Spojrział w dół. Theodore wpatrywał się w niego z takim podziwem i nadzieją, że wywołało to w mężczyźnie poczucie winy - stan, którego nie chciał doświadczać już nigdy w życiu.

Chłopczyk błyskawicznie schował szkieleta do kieszeni i wydobył z nich coś innego. Uniósł do góry zapiaszczoną rączkę.

- Widzisz?

W otwartych dłoniach spoczywała niewielka, ale piękna muszla.

Patrząc na nią mężczyzna roześmiał się w duchu. Nie trzeba było wagonu pełnego złota, by odciągnąć jego wzrok od najwspanialszego ciała, jakie widział od wielu lat. Wystarczyła jedna mała biała muszelka. Tylko frajer mógł nabrać się na coś takiego. Pokiwał głową. Tak, takie było jego życie.

Ocalone z katastrofy skrzynie i kufrы okazały się czymś więcej niż tylko wylowionymi rupieciami. Dla Margaret były prawdziwym skarbem. Umożliwiła to zręczność Hanka w otwieraniu wszelkiego rodzaju zamków, ale tego oczywiście nigdy by mu nie powiedziała. Była teraz zajęta przeglądaniem zawartości jednego z dwóch kufrów, które otworzył.

Głośno westchnęła i wyprostowała zgarbione plecy. Zauważyła, że Annabelle śpi obok. Patrzyła przez chwilę na dziecko. Nie poruszyło się. Trzymając w ręku swoje znalezisko, Margaret odwróciła się.

- Patrzcie - powiedziała głośnym szeptem pokazując małe francuskie mydło.

Lydia i Theodore wpatrywali się w nią niewiele rozumiejąc. Zresztą bardzo podobnie zareagowali, gdy znalazła szczotki i proszek do zębów.

Wyciągnęła w ich stronę rękę.

- Widzicie? To mydło. Prawdziwe mydło! Możemy się wykąpać i umyć włosy. - Przymknęła oczy. - Kąpiel. Prawdziwa kąpiel.

Westchnęła i mocniej zacisnęła palce na kostce mydła.

- Ha!

Położyła ręce na piersi i spojrzała na Theodore'a.

- Kąpiel nie zrobi ci żadnej krzywdy, młodzieńcze.

Chłopak aż się zatrzęsł i zmarszczył nos. Poczwała na sobie wzrok Hanka. Wpatrywał się w mydło.

- Zatrzymam je - powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu i wsunęła mydło do kieszeni sukienki. Już wcześniej ukryła tam, jak w sejfie, szczotki i proszek do zębów.

Przez ostatnie pół godziny kłóciła się z Hankiem o to, co jest im potrzebne do przetrwania. Margaret zgromadziła ubrania, szczoteczki do zębów, szczotkę do włosów i satynową wstążkę, którą Lydia żywo się zainteresowała.

Hank zyskał scyzoryk, narzędzia i krzemienną zapalniczkę. Skończył właśnie otwieranie zamka kolejnego kufra i podniósł wieko. Patrzyła, jak wyjmując czapkę z dużym daszkiem. Obejrzał ją i włożył na głowę. Pasowała jak ulał.

Rozmiar musi być nielichy, pomyślała Margaret. Potem mężczyzna znowu pochylił się i zaczął wyrzucać ze środka skrzyni różne rzeczy, jego zdaniem bezużyteczne.

Koza przydreptała do nich. Przeszła obok Hanka i upuściła coś obok niego. Spojrzał na nią z niechęcią, schylił się i podniósł to. Widać było, że jest rozczarowany. Zamachnął się i rzucił „prezent” w stronę wody. Zwierzę zabczało przeraźliwie i pobiegło w ślad za ciśniętym przedmiotem.

- Co to było?

- Jakaś stara bezwartościowa butelka - powiedział i ponownie zaczął wyrzucać rzeczy z kufra.

- Bez przerwy coś wyrzucasz.

- Tylko szmelc - wymamrotał i upchnął jakiś przedmiot z powrotem w kufre.

Margaret oparła na biodrach ręce zaciśnięte w pięści.

- Co tam chowasz?

- Czy o to ci chodzi? - spytał trzymając w ręku dyndający na jednej tasiemce damski gorset. Dumnie uniosła do góry podbródek.

- Wezmę to, jeśli łaska.

Mężczyzna popatrzył na nią, ale jego wzrok nie koncentrował się na wysoko uniesionym podbródku - można śmiało powiedzieć, że było wręcz przeciwnie. Po kilku sekundach spojrzał ostentacyjnie na gorset i zaczął go oglądać ze wszystkich stron.

- Myślisz, że będzie dobry?

Wyrwała mu go z ręki.

- Bardzo, bardzo śmieszne.

Po chwili Hank parsknął śmiechem.

- Nareszcie coś sensownego. - Wyciągnął z kufra talię kart. Przetasował je z biegłością urodzonego gracza. Bawił się nimi niczym iluzjonista.

Theodore patrzył na niego jak urzeczony.

- Nauczysz mnie tego?

- Wykluczone! - wtrąciła Margaret.

- Jasne! - powiedział równocześnie Hank.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

- To jeszcze dziecko!

- I bardzo dobrze. W jego wieku najlepiej zaczynać naukę.

Podał karty chłopcu, który natychmiast usiadł na piasku i próbował je tasować. Karty rozsypały się dookoła. Boleśnie rozczarowany malec pozbierał je skrupulatnie i podał Hankowi.

- Patrz uważnie.

Hank nachylił się nad Theodore'em. Ułożył swoją dłoń nad ręką chłopaka. Ściskając karty sprawił, że jedna po drugiej lądowały na rączce malucha układając się w równy stos.

Margaret nie odzywała się. Nie mogła powiedzieć słowa, ponieważ buzia Theodore'a promieniowała radością. Chłopiec uśmiechał się do Hanka. Kątem oka obserwowała Lydię. Dziewczynka także wpatrywała się w brata i Hanka.

- Może i Lydię pokażesz tę sztuczkę.

- Nie mam ochoty na tasowanie jakichś głupich kart - powiedziała dziewczynka i dostojnym krokiem ruszyła w stronę kozy.

Margaret zaczekała, aż Hank wyprostuje plecy. Dopiero wtedy spojrzała mu w oczy.

- Wyrzucasz ubrania, szczotki do włosów, grzebienie i wstążki twierdząc, że są bezużyteczne, a zatrzymujesz talię kart?

Wzruszył ramionami.

- Niepotrzebne mi wstążki do włosów.

- Ale Lydii bardzo by się przydały.

Hank spojrzał na Lydię.

- A tym razem dlaczego się mazgai?

- Cierpi.

- No to niech się szybko nauczy, jak przestać.

Margaret pokiwała głową. Była rozgoryczona. Zdaje się, że Hank nie miał w ogóle zamiaru pomóc jej w tej sprawie. Popatrzyła na dziewczynkę - stała obok kozy i głaskała sierść zwierzaka.

Margaret ruszyła już w tamtą stronę, gdy Lydia odwróciła się i spojrzała na nią. Przez chwilę mierzyły się wzrokiem, po czym mała wyprostowała plecy, jakby umiała czytać w myślach Margaret, i obróciła się na pięcie.

Margaret stanęła w pół kroku. Chciała pomóc, ale nie bardzo wiedziała jak. Postanowiła dać dziewczynce trochę czasu. Sama też tego potrzebowała, by przeanalizować sytuację i znaleźć jakiś sposób dotarcia do tego dziecka.

Skierowała wzrok na Hanka, który był zajęty wyrzucaniem rzeczy z kufra. Stos rósł bardzo szybko. Zdumiona Margaret podeszła bliżej. Na stercie, którą gromadził dla siebie, leżały już kości do gry, krzemienna zapalniczka, pistolet, scyzoryk, para czarnych spodni i pasek. Wszystko, poza kośćmi do gry, na pewno było użyteczne i potrzebne.

Margaret była niezadowolona z tego, że przedmioty mogące okazać się przydatne dla niej i Lydii odrzucał na bezładny stos. Miała właśnie zamiar odejść, gdy zauważyła następną stertę przedmiotów.

- A to co takiego?

- Dla ciebie.

- Słucham?

- To dla ciebie. Kobiety potrzebują takich rzeczy.

Garnki, kilka rondli, patelnie, szczotka do szorowania i mała szczotka do ubrań - zupełnie taka, jakiej do czyszczenia odzieży używają pokojówki - żelazko, koszyk z przyborami do szycia, fartuszek kuchenny i czepek piętrzyły się w nieładzie.

Margaret skrzyżowała ręce na piersi.

- Nie sprzątam. Nie umiem ani szyć, ani gotować.

- Jesteś sprytną kobietą. Masz rozum i wykształcenie. Nauczysz się. - Przerwał na chwilę. - Pani mecenas sama przecież powiedziała: mężczyźni polują, kobiety gotują!

- Przyzwyczaiałam się już do tego, że mężczyźni, którym wydaje się, że są lepsi ode mnie, wypominają mi to, co powiedziałam.

- Mnie się nic nie wydaje. - Hank wstał. - Ja to wiem.

Patrzyła na niego przez chwilę. Drapał się po szyi.

- Odrobina mydła mogła by temu zaradzić.

- Zaradzić czemu?

Znacząco wpatrywała się w jego brodę.

- Swędzeniu.

Pełnemu zarozumiałości spojrzeniu, którym ją obdarzył, towarzyszył lubieżny uśmiech. Rzuciła okiem na dzieci stojące w niewielkiej odległości. Pochyliła się w stronę mężczyzny i wyszeptła:

- Nie waż się tego powiedzieć.

- Czego powiedzieć? - spytał głosem niewiniątka.

- Tego, co miałaś na myśli.

Roześmiał się nieprzyjemnie.

- Zdawało mi się, że to ty myślisz za nas wszystkich. Ja nie myślę, złociutka, ja... działałam!

Mogłaby przysiąc, że wypiął przy tym pierś. Chyba mu się w głowie przewróciło. Sięgnęła do kufra, którego zawartość właśnie przeglądała. Rzuciła w Hanka skórzanym etui.

- Łap i działaj coś!

Wpatrywał się w etui.

- To przybory do golenia.

- Widzę - stwierdził i otworzył je.

- Jest tam brzytwa, kubek, pędzel, grzebień i szczoteczka do zębów.

- Taaa... - Tym razem energiczniej podrapał się po brodzie.

Wzruszył ramionami.

- Brak mydła.

Odwrócił się w stronę sterty przedmiotów odrzuconych jako bezwartościowe i miał zamiar cisnąć tam przybory toaletowe.

- Czekaj! Masz! - Margaret bez zastanowienia wcisnęła mu do ręki francuskie mydło.

Jego palce zacisnęły się na pachnącej kostce z zadziwiającą szybkością.

- Dzięki, Smitty.

Rzucił mydło do góry i złapał przed jej nosem.

- Nawet nie śmiałem cię o to prosić. - Zaczął się śmiać, ale widać było, że nie jest rozbawiony, tylko drwi z niej. Wpatrywała się w niego.

- A zatem czas na kąpiel. Prawdziwą kąpiel. - Ruszył w stronę strumienia. - Baw się tu dobrze, złociutka.

Patrzyła na jego plecy. Była na siebie strasznie zła. Mężczyzna zaczął pogwizdywać. Melodia podejrzenie przypominała The Old Gary Mare.

Zdenerwowanie powoli mijało. Teraz była już tylko zła. Szedł beztrosko wziąć kąpiel trzymając w ręku jej mydło. Z ogromną łatwością i ot, tak po prostu, przechytrzył ją. Zrobiła dokładnie to, czego oczekiwał.

Tego ranka Hank dowiedział się o Smitty kilku rzeczy. Idąc przemyślał to raz jeszcze. Ostentacyjnie „zgubił” mydło. Nie musiała reagować, tak jak zareagowała. Zresztą, gdy rzucił mydło do góry, mogła je złapać przed nim. Poruszała się tak szybko, tak cholernie szybko. Szybciej, niż się tego spodziewał.

Zatrzymał się i patrzył, jak biegła w stronę skał otaczających jezioro przy wodospadzie. Zgarnęła ręką postrzępioną spódnicę i trzymała ją na wysokości kolan. Miał teraz wspaniały widok na jej nogi.

I jeszcze coś. Smitty bardzo pięknie kołysała biodrami. Obejrzała się przez ramię, jakby spodziewała się zobaczyć go zaraz za sobą. Pomachał do niej, a potem usiadł na kamieniu i czekał.

Minęło jedynie kilka minut i jej głowa wychyliła się zza skały, w dole.

- Nie mogę się tu kąpać. Nie ufam ci - powiedziała.

Nie odpowiedział jej. Zerwał banana z najbliższego drzewka i zjadł go.

Margaret wspięła się na skałę. Zaczęła upychać do kieszeni szczoteczki i proszek do zębów, wyjęła natomiast zgubione przez niego mydło. Trzymając je w ręku wpatrywała się w nie przez dłuższy czas. Potem spojrzała na Hankę.

- Licząc na to, że dasz mi słowo i nie będziesz podglądał, jestem, zdaje się, w błędzie?

Skończył jeść banana.

- Właśnie.

- Tak myślałam.

Spojrzała pożądliwie na mydło. Po chwili milczenia westchnęła i dodała:

- Wygrałeś.

Odrzucił skórkę banana i wziął od niej kostkę. Śmiał się.

- Umiesz przegrywać.

- Widzę, że jesteś kiepskim zwycięzcą. - W tonie jej głosu była jednak rezygnacja. Oparła brodę na dłoni. - Oczekiwałam chyba zbyt wiele. Miałam nadzieję, że zachowasz się po ludzku i nie będziesz podpuszczał mnie jak kretyn.

- Nigdy nie porzucaj nadziei, Smitty!

Stał, podrzucając do góry mydło, jakby celowo się z nią drażnił.

- Sprytna kobieta, jaką przecież jesteś, powinna o tym doskonale wiedzieć.

Zaczął przechadzać się po skale, ale po niedługiej chwili zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na Margaret.

- A skoro mowa o nadziei, to mogłabyś pomarzyć o pojawieniu się tu dobrej wróżki albo anioła stróża. A nawet dzina z czarodziejskiej lampy! - Parskając śmiechem obszedł skały. Wychylił się zza nich jeszcze na moment i dodał: - I nie zapomnij o świętym Mikołaju!

Rzucony banan przeleciał obok jego głowy.

Dobłą godzinę później Hank stał zanurzony po pępek w jezioru obok wodospadu. Namydlał się już po raz trzeci. Smitty miała rację. To było wspaniałe.

Żadnych ograniczeń. Żadnego robienia wszystkiego na czas i według ustalonego porządku. Żadnych strażników czekających z nahajkami i batami, by wychłostać go, gdyby ich zdaniem marudził o minutę za długo. Nie musiał namydlać się, płukać i wyskakiwać z balii starając się zdążyć, zanim cerberzy puszczą w ruch batogi.

Gruba warstwa piany pokrywała jego szyję i policzki. Zanurzył w wodzie brzytwę i zaczął się golić.

- Hank!

Spojrzał w kierunku zwalistych skał utworzonych przez zastygłą lawę. Głos Smitty dochodził zza tej naturalnej przegrody.

- Hank?

- Aha.

- Czy jesteś przyzwoitym człowiekiem?

Roześmiał się bardzo głośno.

- Nigdy nie byłem przyzwoity, złociutka.

Zapadła cisza.

Z łatwością wyobraził ją sobie stojącą po drugiej stronie skały, z dłońmi opartymi na biodrach, mrużącą coś pod nosem. Zaśmiał się i wrócił do golenia.

Po chwili zawołał jednak:

- Mówiłaś coś?

Cisza. Zaczaj golić podbródek.

- Myślę - usłyszał w końcu.

O rany, zaczynają się kłopoty. Spojrzał na słońce i z jego położenia zorientował się, że rano dopiero się zaczyna.

- Tak wcześnie? - zawołał do niej.

- Co, tak wcześnie?

- Nic. - Golił drugi policzek.

- Słyszałaś, co mówiłam?

- Przecież myślałaś, a nie mówiłaś.

- Właśnie! Nadal uważam, że powinniśmy współpracować.

Ponownie przejechał brzytwą po policzkach i szyi. Przez głowę przemknęła mu myśl o tym, jak najlepiej mogliby współpracować. Gdybyż tyle nie mówiła i przestała myśleć.

- Chodzi mi zwłaszcza o budowę chaty. Przez większość ranka zastanawiałam się nad całą sytuacją... - gadała jak najęta.

Hank wypłukał brzytwę, obmył twarz i pogładził się po policzkach. Były gładziutki.

- Gdybyś tylko posłuchała...

Zanurkował. Wypływając na powierzchnię otrząsnął się z wody.

- Jest to oczywiście najsprawiedliwsza decyzja i najbardziej logiczny kompromis, jaki możemy osiągnąć w tej sytuacji.

Palcami odgarnął włosy z twarzy. Wyszedł z wody i dłonią starł kropelki przyłączone do owłosienia na klatce piersiowej i brzuchu. Wciągnął na siebie czarne spodnie i zapiął je.

- Jeśli ktoś nie ma szans obrony, powinien zastanowić się nad jakimś porozumieniem. Dla dobra dzieci i nas samych, jeśli połączymy nasze wysiłki, możemy skutecznie...

Przerzucił sobie brudne ubranie przez ramię i ruszył w kierunku skał. Wyłonił się po drugiej stronie akurat w chwili, gdy dopinał klamrę paska.

- Jestem pewna, że dostrzeżesz w końcu wszystkie korzyści wynikające z tej propo... - Przerwała w pół słowa.

Na to nie był przygotowany. Wsunął koniec paska w szlufkę i spojrzał do góry.

Smitty stała wyżej i patrzyła na niego. Miała otwarte usta. Milczała.

Obejrzał się za siebie. Spojrzał na lewo i na prawo, a potem znowu na nią.

- Coś nie tak?

Zamknęła usta. Nie powiedziała ani słowa. Hank złożył ręce na piersi i obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem, które miało wyrażać niezadowolenie.

Po dwóch czy trzech sekundach, w czasie których napięcie rosło, zauważył, że z trudem przełknęła ślinę, spuściła wzrok i zaczęła wpatrywać się w jego stopy.

- Proponowałam właśnie połączenie naszych wysiłków.
 - Po co?
 - Żeby wspólnie budować - oświadczyła.
 - He? O czym ty, do diabła, mówisz?
 - Chatę - powiedziała szybko. - Miałam na myśli wspólne zbudowanie chaty.
 - Po co?
 - Po to. - Wskazała na prześwit pomiędzy drzewami.
- Stali obok siebie i patrzyli na to, co zostało z ich budowli.
- Twoja konstrukcja ciągle stoi, mimo że była burza.
 - Mhm.

- Maty, które zrobiłyśmy z Lydią, wytrzymały deszcz i wiatr. Tyle że nasza konstrukcja nie wytrzymała. Ściany twojej chaty wywiało, ale szkielet ocalał. Dlatego najsensowniej byłoby teraz odbudować twoją chatę używając naszych mat. Wspólnym wysiłkiem.

Przez dłuższą chwilę patrzył na nią, a potem przeniósł wzrok na pozostałości po chacie. Podrapał się po gładko ogolonym policzku. Znowu spojrzął na Margaret.

- Ja zdecyduję o tym, gdzie ją zbudujemy.
- Wydaje mi się, że najkorzystniej byłoby postawić ją blisko wody.
- Żeby nas zmywało, gdy tylko trochę popada?

Popatrzyła na niego, a potem na resztki wigwamu. Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Wiedział, że teren położony był zbyt nisko i gdyby rzeczywiście zaczęła się ulewa, gdyby nadeszły monsunowe deszcze, woda ze strumienia i jeziora zalałaby cały rejon, który wybrała na obozowisko.

Obrócił się i przyłapał ją na wpatrywaniu się w jego tors.

- Monsuny - powiedział i zorientował się, że w ogóle go nie słucha.

Miała lekko rozchylone usta. Dopiero teraz dotarło do niego, dlaczego Margaret zachowuje się tak dziwnie. Zapewne nie był jedynym człowiekiem na tej wyspie, który poczuł wolę bożą.

Nie roześmiał się, choć kosztowało go to sporo wysiłku, tylko podszedł bliżej. Potrząsnęła głową, a potem spojrziała na niego i cofnęła się o krok. Przyglądał się jej przez chwilę, lecz dał za wygraną. Znowu patrzyła mu prosto w oczy, choć głośno łąpała powietrze, a on założyłby się o każdą sumę, że zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Partnerstwo? Ty i ja? - zapytał.

Cofnęła się o krok.

- Równoprawne partnerstwo.

- Kobieta partnerem?

- Dosłownie. - Cofnęła się jeszcze o krok, ale drogę zagroziła jej skała.

Wzruszył ramionami i zmniejszył dzielącą ich odległość. Patrzył na nią.

- Czy to oznacza „tak”?

Skinał głową.

- Zatem... w takim razie... - Nieznacznie się wyprostowała i rozejrzała dookoła. Wyglądała tak, jakby chciała go odepchnąć i uciekać gdzie pieprz rośnie. Odetchnęła głęboko, wyprostowała ramiona i podała mu rękę. - Zgoda.

Popatrzył na jej wyciągniętą dłoń i uściśnął ją na zgodę. Uśmiechnął się. A ona, trochę już spokojniejsza, nieśmiało odwzajemniła uśmiech.

Chwycił ją w objęcia. Z całej siły przyłgnął do jej ust. Nie mógł sobie życzyć lepszej reakcji. Próbując złapać oddech, rozchyliła wargi. Wsunął pomiędzy nie język i przytulił ją jeszcze mocniej.

Opuściła ręce. Stała się bezwładna. Gdyby nie trzymał jej za biodra, pewnie zapadłaby się w piasek. Równie nagle, jak ją pocałował, odsunął ją od siebie. Patrzył.

Odyskiwała równowagę i wpatrywała się w niego oniemiała. Nie poruszyła się. Zdziwiająca! Nic nie mówiła. A sadząc po wyrazie twarzy, także nie myślała.

Odsunął się jeszcze bardziej.

- Jasne, złociutka.

Uniósł rękę i lekko klepnął ją po pupie. Rozchylone usta Smitty zamknęły się błyskawicznie. Zesztywniała.

- Masz sprawę załatwioną. - Mrugnął do niej i odszedł pogwizdując.

Było takie stare żydowskie przysłowie, które Margaret kiedyś przeczytała: „Kiedy łajdak całuje cię w usta, policz zęby”. Sprawdziła - nadal miała trzydzieści dwa zęby, nie była jedynie pewna, czy ktoś nie ukradł jej serca.

Zeszła na dół, na plażę, i skierowała się w stronę Lidii i Annabelle. Berbecь biegał dookoła siostry. Potem mała usiadła na piasku, chwyciła banana i wyciągnęła rączkę w stronę starszej siostry.

Lydia spojrzała na owoc bez entuzjazmu.

- Robię się chora na jego widok.

- Ja też jestem chora - wymamrotała Margaret siadając na piachu blisko linii wody. Tak, widocznie zachorowała, pomyślała, i zaczęła rozmasowywać grzbiet nosa. Chciała odnaleźć w sobie wolę do zapomnienia o Hanku Wyatcie. O jego istnieniu.

Jej umysł wciąż wypełniony był obrazem mężczyzny wyłaniającego się zza skały, z pochyloną głową, nagim torsem, zapinającego pasek przy spodniach. Było w tym coś przewrotnie intymnego, zupełnie jakby sama stała się częścią tamtej chwili.

On się tym zupełnie nie przejmował, ona natomiast była bardzo przejęta. Także tym, jak wyglądał po kąpieli. Miał silnie zarysowane szczęki, włosy czarne, jak diabeł, klasyczne rysy. Przystojny mężczyzna.

Była chora.

Marszcząc czoło wpatrywała się w piasek i obserwowała fale omywające brzeg blisko jej stóp. Przytknęła palec do ust. Dotknęła go końcem języka. Był na nim smak banana i proszku do zębów. I Hanka.

Coś musiało być z nią nie tak. Szok. Opóźniona reakcja na przeżycia, jakich doznała podczas katastrofy statku. Musiało istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie powodu, dla którego czuła coś tak straszliwie nielogicznego.

Przytknęła dłoń do czoła. Może miała gorączkę? Sprawdziła policzki. Nie były rozpalone. Zaczęła zastanawiać się, czy to aby nie malaria powoduje, że człowiek staje się zupełnie bezwolny, tak jak to się jej przydarzyło.

W nagłym przypływie desperacji zaczęła szukać na ciele śladów ukąszeń komara. Nic nie znalazła. Podobnie poszło jej ze znalezieniem logicznego wytłumaczenia własnej reakcji na Hanka.

Pocałował ją. Ale przecież nie spotkało jej to po raz pierwszy w życiu. Miała trzydzieści dwa lata, a zachowała się jak podłotek - zupełnie straciła głowę.

Oparła głowę na rękę i głęboko westchnęła. Nie było w tym żadnego sensu. Czuła się tak, jakby wkroczyła do innego świata, dziwnego podziemnego świata Alicji w Krainie Czarów. Była to rzeczywistość, w której nie знаła nawet samej siebie. Przymknęła oczy i zobaczyła, jak gra w krykieta z flamingiem. Potem wyobraziła sobie Hanka stojącego za nią - trzymała dłonie w jego rękach, pomagał jej uderzyć piłkę.

Gwałtownie otworzyła oczy. Bała się zamknąć je znowu, bała się tego, co mogłaby jeszcze zobaczyć. Zaczęła rozglądać się po plaży.

Ani Hanka, ani Theodore'a nie było w zasięgu wzroku. Poszli na północny kraniec wyspy. Przeszukiwali plażę w nadziei znalezienia czegoś użytecznego.

- Nie, Annabelle. Nie chcę tego.

Margaret spojrzała na Lydię, która odsuwała od siebie rączkę małej. Szkrab starał się wepchnąć jej banana do buzi.

- Nie dosłyszałam. Co powiedziałaś? - zwróciła się do Lidii.

- Mam powyżej uszu bananów. Czy nie ma tu nic innego do jedzenia?

- Są owoce drzewa chlebowego. To te wielkie, okrągłe bochny, ale Hank mówi, że trzeba je ugotować przed jedzeniem. - Przerwała na chwilę. - Jak się gotuje owoce drzewa chlebowego?

Spojrzała na jedno z drzew. Lydia nie odezwała się. Margaret westchnęła, odwróciła się od niej i wpatrzyła w piasek. Po jakimś czasie zauważyła czarną muszelkę, podniosła ją i trzymała w ręku.

- Jest tu całe mnóstwo małży.

Lydia zmarszczyła nos.

- Małże są pyszne. - Otworzyła muszelkę. - Zwłaszcza te z zielonym czubkiem.

Lydia jęknęła.

- Naprawdę. Jest taka mała włoska restauracja w North Beach. Podają tam najlepsze małże, gotowane w białym winie. - Margaret zapatrzyła się na trzymaną w ręku czarną muszelkę. Obracała ją w palcach.

- Gdybym miała choć blade pojęcie o tym, jak się je przygotowuje. - Spojrzała na Lydię. - Nie jestem najlepszą kucharką.

- Mama świetnie gotowała.

Margaret dostrzegła nadarzącą się okazję. Uśmiechnęła się do dziewczynki.

- Poważnie?

Lydia przytaknęła.

- A co gotowała?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Jedzenie - powiedziała i zaczęła się oddalać.

- Dokąd idziesz?

- Hank powiedział, że potrzebujemy drewna wyrzuconego przez morze. Widziałam tego trochę, tam dalej, na plaży.

- Pomogę ci. - Margaret wstała.

- Nie musisz - odpowiedziała Lydia. - Sama dam sobie radę.

Margaret usiadła na skale. Oparła brodę na dłoni. Łokieć dotykał kolana. Annabelle baraszkowała w pobliżu. W pewnej chwili dziewczynka miała ochotę włożyć sobie do buzi pełną garstkę wodorostów. Odebrała jej wodne zielsko.

- Nie! - Pogroziła małej palcem. - Tego nie rób.

Annabelle mrugnęła kilka razy, a potem zmarszczywszy czołko zaczęła wpatrywać się w wodorosty. Margaret podniosła banana i obrała go.

- Spójrz, Annabelle. Widzisz? Ba-nan. Banan. Trzymaj. Zajadaj. - Wyciągnęła rękę w stronę małej.

Dzieciak wpatrywał się w nią. Kobieta odgryzła spory kęs i przewracała oczami.

- Mhhhm, mniam, mniam.

Mój Boże, zachowuję się jak idiotka. Dziecko było, zdaje się, podobnego zdania, bo szybko zaczęło bawić się paluszkami u nóg ignorując jej obecność.

Wyrzuciła banana przez ramię. Wszyscy święci, ile może się w życiu zmienić w ciągu jednej nocy. Do dziecka mówiła jak dziecko, rozmyślała o skazańcu, o człowieku, który gardził wszystkim, w co wierzyła. Rozpaczliwie starała się porozumieć z dziewczynką, która nie chciała mieć z nią nic wspólnego.

Wzięła Annabelle na ręce. Niewidzącymi oczami wpatrywała się w ocean. Wszystko było nie tak, jak powinno. Kilka minut później ruszyła wzdłuż plaży.

Hank szedł piaszczystą łachą północnej części laguny ciągnąc za sobą rodzaj „wózka”. Była to drewniana kratownica z przywiązaną do niej liną, do połowy załadowana kamieniami, linami, kawałkami drewna - wszystkim, czego mogli potrzebować do budowy solidniejszego schronienia.

Był przekonany, że nocna burza nieźle zakotłowała morzem i że fale powinny wyrzucić na brzeg masę różnego rodzaju skarbów, które mogą się przydać. Właśnie dlatego szedł teraz plażą. Piasek był jeszcze mokry po deszczu, ale sechł szybko, w miarę jak robiło się coraz cieplej. Słońce mocno przygrzewało.

- Hank! Tutaj! Jest coś! Zobacz! - Theodore stał kilka metrów dalej.

Wiatr bawił się wystającą ze spodni koszulą chłopca. Theodore podwinął nogawki, podobnie jak to zrobił Hank. Próbował zrobić sobie czapkę ze skórki banana i wodorostów, ale figlarny podmuch zerwał mu ją z głowy zostawiając jedynie łydę wodorostu, która zwisała z jednej strony głowy niczym wielkie ucho. Stał po kostki w wodzie; w jednym ręku trzymał mokry koniec podniszczonej liny.

Hank podszedł do niego.

- Widzisz? - Chłopiec, dumny ze swego znaleziska, uniósł linę do góry.

Mężczyzna zmierzwił rude włosy na główce malca. Reszta bananowo-wodorostowej czapki spadła na ziemię.

- Mhm. Świetnie się sprawiłeś. Połóż ją na kratownicy obok drewna.

Zanim dokończył zdanie, chłopiec ułożył linę i od razu powędrował z powrotem nad wodę. Pochylony zaczął przeczesywać dłońmi wodorosty zaśmiecające plażę.

- Hank! Chodź tu! Tylko popatrz!

Hank pomyślał, że w takim tempie uda mu się zebrać dość drewna jedynie na niewielkie ognisko. Podszedł jednak do chłopca i spojrzął na muszelkę, którą maluch prezentował mu w całej okazałości. Była dokładnie taka sama jak dwadzieścia poprzednich.

Stał przez chwilę, a potem powiedział:

- Słuchaj, mały...

Theodore spojrzął na niego. Klęczał teraz na stosie wodorostów z rączkami pełnymi muszelek. Hank wskazał głową plażę.

- Pójdę tam i przeszukam tę część plaży. Zostaniesz tutaj i sprawdzisz, czy nie ma czegoś w wodorostach. Wszystko, co znajdziesz, układaj na kupkę.

- Dobra!

- I nigdzie nie łaż. Chciałbym mieć cię przez cały czas na oku. Zrozumiałeś?

Theodore bardzo poważnie skinął głową. Mężczyzna ruszył przed siebie.

Muddy leżał w butelce z trzema pluszowymi poduszkami pod głową. Z oddali dochodził go szum fal. Żadnych innych odgłosów. Żadnego ptasiego harmidru. Cisza i spokój. Wszystko było tak, jak być powinno. Czytał kieszonkowe wydanie powieści.

W Przygodach Bowiego Bradshawa Burzyciela straszliwy Tom Tortura uciekał na koniu dzielnego prawnika Bradshawa. Zabrał ze sobą dziewczynę Burzyciela, Clementine Purdy.

Tę książkę Muddy wrzucił do butelki, zanim pozwolił swemu ostatniemu panu wypowiedzieć trzecie życzenie. Tom wycelował właśnie colta w plecy Bowiego, gdy Muddy usłyszał, że coś dzieje się na zewnątrz butelki. Zaczął nasłuchiwać.

Dumm... dumm... dumm!

Książka wypadła mu z rak. Dżinn z napięciem wpatrywał się w zatyczkę tkwiącą w szyjce butelki. Czyżby to były kroki?

Dumm... dumm... dumm...

Znowu. To na pewno kroki.

Zerwał się z posłania i zaczął podskakiwać. Purpurowy turban zsunął mu się na jedno oko. Muddy odruchowo przesunął go na właściwe miejsce. Dzwoneczki na zakrzywionych do góry noskach jego ciżem pobrzękiwały głośno. Demon machał energicznie rękoma.

Jestem tutaj! Jestem tutaj! Znajdź mnie!

Nagle zastygł w bezruchu i znowu nasłuchiwał. Czekał pełen nadziei.

Nic. Cisza. Tylko szum morza.

Muddy stał wpatrzony w zatyczkę. Potem przeniósł spojrzenie na dywan, westchnął i z powrotem ułożył się na posłaniu. Coś takiego przydarzało mu się już tyle razy w ciągu minionych lat, że rozczarowanie stało się dla niego czymś zwyczajnym.

Rzucił okiem w stronę książki, ale stracił całe zainteresowanie problemami Bowiego Bradshawa. Leżał z brodą opartą na dłoni i marzył o odrobinie szczęścia. Chciał, by wreszcie coś się wydarzyło w jego nudnej i samotnej egzystencji.

W sekundę później butelka drgnęła gwałtownie, a potem kiwała się w górę i w dół. Muddy objął się o ściany i dna srebrnego więzienia. Upadł na poduszki i w ostatniej chwili zrobił unik, by nie oberwać w głowę opadającym bezwładnie kijem baseballowym.

I wtedy to się stało. Zatyczka odskoczyła. Jasnożłote światło zalało wnętrze butelki.

Otoczony purpurową chmurą Muddy uniósł się do góry. Ssanie, podobne trąbie powietrznej, ciągnęło go wyżej i wyżej. Czuł zawirowania powietrza wokół turbana i złotych kolczyków zdobiących mu uszy. Magiczny, purpurowy dym kłębił się dookoła niego. Dżinn wynurzył się z otworu w szyjce butelki prosto w słodko pachnące, gęste powietrze tropiku.

Obłok wirował, gdy dżinn zataczając kręgi zbliżał się do ziemi. Dotknął nogami piasku. Z prawą ręką przytkniętą do czoła ukłonił się bardzo nisko w geście powitania. Dym powoli rzedniał.

Starożytne słowa przemknęły mu przez myśl. Tak, znał je na pamięć. Wystarczająco wiele razy powiedział już: „Bądź pozdrowiony, panie”, by i tym razem dać sobie radę. W chwili słabości, która go ogarnęła, wyobraził sobie, że stoi przed bohaterskim Bowiem Bradshawem.

Wypowiedział formułkę powitania i uniósł głowę. Zatknął ręce za pas szarawarów.

- Ufff... Witaj, łaskawco! To twój szczęśliwy dzień!

Usłyszał głośne westchnienie. Za każdym razem było tak samo. Niewiara. Sceptycyzm. Cynizm. Rozgarnął ręką resztkę dymu i kilkakrotnie mrugnął oczami.

Ostre światło słoneczne oślepiło go na chwilę. Kręcił głową i raz po raz przecierał oczy, a po chwili zaczął wpatrywać się w twarz swego nowego pana - małego rudowłosego chłopca.

- Jesteś dzieckiem!

- Jesteś dżinnem!

Muddy zamknął wreszcie usta. Chłopiec był Amerykaninem. Piegowaty rudzielec, nieduży - mierzył niecały metr. Był ubrany w podarte brązowe spodnie z podwiniętymi nogawkami i plamami mokrego piasku na kolanach. Z wypchanych kieszeni wystawały kawałki drewna i porośniętej glonami liny.

Bosy. Na palcach stóp miał pianę morską. Obok prawej nogi dzieciaka na stercie muszelek i kawałków kobaltowego szkła leżała zatyczka od srebrnej butelki. Wstęga wodorostów o kolorze greckich oliwek opasywała szyję chłopca nad rozpiętym kołnierzykiem brudnej białej koszulki. Nad czołem malca widniała korona z miękkich zielonych skórek banana, beznadziejnie udająca czapeczkę, choć bardziej przypominała tropikalną wersję oliwnego wieńca Nerona.

- Jak Boga kocham, prawdziwy dżinn - powiedział chłopiec z takim podziwem i wiarą, że Muddy gotów był w nagłym odruchu paść przed nim na twarz.

On wierzy... Wierzy! Chwała Allachowi. Trzeba to jakoś uczcić!

Malec spoglądał to na dżinna, to na srebrną butelkę. Przysunął ją do oczu i próbował zajrzeć do środka. Potem znowu przeniósł spojrzenie na Muddy'ego. Zmarszczył czoło.

- Jak się tam dostałeś?

Muddy bacznie przyglądał się chłopcu.

- W taki sam sposób, w jaki święty Mikołaj wchodzi do domów przez komin.

Oczy malucha stały się wielkie jak złote denary.

- Znasz świętego Mikołaja?

Dżinn skrzyżował ręce na piersi.

- A czy renifery unoszą się w powietrzu? - spytał dżinn.

- Jego renifery tak. - W głosie chłopca nie było cienia wątpliwości.

Tak! Tak! Tak! On naprawdę wierzy!

Chłopiec pod różnym kątem zaglądał do butelki.

- Tak, znam świętego Mikołaja, możesz być tego tak samo pewny jak tego, że jego renifery pomykają po niebie - zapewnił Muddy uderzając się kciukiem w pierś.

Demon został obdarzony piegowatym uśmiechem.

Muddy wziął głęboki wdech i aż trzykrotnie przesunął złote bransolety zdobiące przeguby jego dłoni. Przyłożył prawą dłoń do czoła i skłonił się.

- Bądź pozdrowiony, panie!

Pochylony zerknął przez palce na malca, który jak zauroczony nie odrywał od niego oczu.

- Jestem Muhdula Ali, starożytny purpurowy dżinn z Persji. W nagrodę za uwolnienie mego najpokorniejszego i niegodnego jestestwa z samotni srebrnej, niczym nie ozdobionej butelki...

- Hę?

Ciągle pochylony, Muddy uniósł trochę głowę i mrugnął porozumiewawczo do swego nowego pana.

- Zaczekaj chwilę. Nie doszedłem jeszcze do najważniejszego. Na czym to ja skończyłem? - zapytał i mamrocząc jakieś starożytne słowa wpatrywał się w piasek. - Ach, tak, z samotni srebrnej, niczym nie ozdobionej butelki, ja, najwdzięczniejszy z twoich dłużników, purpurowy dżinn, niewolnik... - Przerwał i spojrzał na chłopca. - Jak ci na imię?

- Theodore.

- Niewolnik mego pana, Theodore'a, tu i teraz pozwalam mu wyrazić trzy życzenia. - Muddy wyprostował się. Ponownie skrzyżował ręce na piersi i czekał.

- Życzenia? Mogę mieć życzenia?

Muddy skinął głową.

- Trzy życzenia.
- Kurczę blade!
- Masz rację.
- He?
- Kurczęta są blade. Ale na twoim miejscu nie chciałbym ich tutaj mieć. Wszystko zapaskudzą.

Widać było, że chłopiec niczego nie rozumie. Dżinn machnął ręką.

- Zresztą, to nieważne.

- Już wiem, czego chcę! Wiem! Wiem! - Theodore podskakiwał podekscytowany. - Chciałbym, żeby tata i mama znowu żyli.

Tak. Demon powinien uprzedzić chłopca, że są jednak pewne granice. Smutno opuścił ręce wzdłuż ciała.

- Wybacz, panie, ale moja potęga nie może przywrócić im życia.

- Nie możesz? - Twarz chłopca wydłużyła się. Muddy pokręcił głową. - Dlaczego?

- Mogę spełniać jedynie życzenia dotyczące tego świata.

Chłopak stał i patrzył w piasek. Leniwa fala obmyła mu stopy i kostki, ale on zdawał się tego nie zauważać. Nawet nie drgnął. Po chwili duszniejszej niż tropikalne powietrze malec przykucnął i zebrał kilka muszelek leżących przy jego nogach. Jedną z nich zaczął obracać w rączce. Muddy był pewny, że dzieciak nie widzi muszelki. Kiedy w końcu malec spojrzał na niego, dżinn zobaczył wilgotne oczy cierpiącego dziecka.

- To było moje jedyne życzenie. Nie mam innych.

W jakiś czas potem pochyłona do ziemi Margaret wpatrywała się w stosik drewna, który nie chciał się zapalić. W chwili, gdy użyła kolejnej zapalki, sznurek opasujący talię, szarpnął ją do tyłu.

Odwróciła się.

- Annabelle! Chodź do mnie.

Czekała.

- Annabelle.

Zapalka już się dopalała.

- Au! - Wypuściła ją i włożyła do ust oparzone palce. Dziewczynka zaczęła biegać dookoła niej. Margaret usiadła na piętach.

- Chodź tu natychmiast. Annabelle, mówię do ciebie!

Mała przystanęła; pacnęła pupą na piasek i uśmiechnęła się. Po dłuższej chwili pomachała małą rączką w jej stronę.

- Ceść!

- Proszę cię, chodź do mnie. - Mówiąc to Margaret klepała piasek obok siebie. - Chodź.

Dzieciak wetknął dwa palce do buzi i znowu uśmiechnął się szeroko.

Kobieta także usiadła na piasku. Oparła łokcie na podciągniętych kolanach. Dzielilo ją od dziecka jakieś sześć metrów. Annabelle wpatrywała się w nią, jakby to było najważniejsze zajęcie na ziemi. Margaret nie spuszczała z niej z oczu.

- Dlaczego nie robisz tego, o co cię proszę? Dlaczego? Rozmawiam z tobą. Jestem cierpliwa. I ładnie prosiłam. Prosiłam i prosiłam, bez skutku. Beznadziejna sprawa. I ty dobrze o tym wiesz. - Margaret pukała się palcem w obojczyk. - Tutaj ja jestem dorosła. Rozumiesz? Ja. A ty jesteś tylko dzieckiem.

Annabelle uniosła dłoń i pomachała do niej.

- Ceść!

Margaret westchnęła. Przekonywanie małej nie miało sensu. Właściwie kiedy można zacząć przekonywać dziecko? A może to nie tak? Może nie wszyscy rodzimy się ze zdolnością do słuchania głosu rozsądku?

Równie fatalnie przebiegały rozmowy z Hankiem. I osiągała w rozmowie z nim te same rezultaty. To znaczy żadnych.

Rzuciła okiem na małże, które zebrała na plaży. Ugotowanie ich nie powinno być zbyt trudne, pomyślała. Ale rozpalenie ognia to już inna para kaloszy. Wpatrywała się w stosik drewna. Było zbyt mokre, by zająć się od wątego płomyka zapalki.

Zastanowiła się nad tym przez chwilę, a potem ujęła jeden z kawałków i przełamała na pół. Nie był przesiąknięty wodą. Wierzchnia warstwa zwilgotniała po prostu podczas

burzy. Umieściła szczapę w ognisku i spróbowała zapalić suchy środek trzecią zapałką. Wiedziała, że nie powinna zmarnować już ani jednej zapałki więcej.

Nic z tego nie wyszło. Przez ponad minutę nie odrywała wzroku od ułożonego stosu. Potrzebowała czegoś, co będzie paliło się wystarczająco długo, by drewno się zajęło. Rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu czegoś niepotrzebnego, co mogłoby posłużyć do tego celu.

Przetrząsnęła wszystko, co posiadali, i dała za wygraną. Nie znalazła niczego, co mogłaby poświęcić bez żalu. Sznurek w pasie znowu się naprężył. Miała dość! Obejrzała się za siebie.

- Annabelle!

Dzieciak kroczył w jej kierunku z butelką whisky Hanka w ręczce.

- Och, ty cudny dzieciaku. Mam wreszcie coś absolutnie niepotrzebnego. - Margaret uśmiechnęła się szeroko i wyciągnęła ramiona.

Mała zręcznie usadowiła się jej na kolanach i pozwoliła zabrać sobie butelkę.

- Jesteś wspaniałą małą dziewczynką. - Poglaskała delikatnie rude włoski.

Wyciągnęła korek i zbliżyła flaszkę do nosa. Wzdrygnęła się z obrzydzeniem. To było mocne. Przeczytała etykietę. Sto dwadzieścia stopni mocy, co, jak sobie przypominała, oznaczało sześćdziesiąt procent alkoholu. Uśmiechnęła się znowu.

Wzięła jeden z garnków podarowanych jej przez Hanka - wielkie dzięki mu za to, choć jest pyszałkiem i nicponiem. Wlała całą whisky, która była w butelce. Przytknęła zapaloną zapałkę i... szszszszsz! Błękitne płomienie tańczyły dookoła naczynia.

Wróciła do przygotowanego ogniska. Zaśmiała się bardziej złośliwie niż radośnie i włożyła jedną ze szczap w płomienie.

Kilka minut później siedziała już przy pięknie płonącym ognisku. Podniosła opróżnioną butelkę i uśmiechnęła się. Wyrzuciła ją w taki sam sposób, w jaki Hank ciskał rzeczy „i komu to potrzebne”. Siedziała z Annabelle na kolanach i patrzyła na wzbijające się w niebo języki ognia.

Westchnęła. Może gotowanie nie jest aż takie trudne.

Frank wracał wzdłuż plaży, gdy poczuł na sobie czyjś wzrok. Rozejrzał się i dostrzegł Lydię. Stała z naręczem drewnianych szczap.

To dziwne. Przypuszczał, że dziewczynka zostanie ze Smitty. Mała patrzyła w stronę gęstej dżungli i odległego wulkanu. Hank podszedł bliżej. Zatrzymał się jakiś metr od niej.

- Znalazłam drewno - powiedziała.

Hank wskazał głową na ciągniętą przez siebie kratownicę.

- Rzuć to tam.

- Myślisz, że ktoś nas odnajdzie? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- Hank! Hank! - wołał biegnący Theodore. - Zobacz, co znalazłem! Zobacz!

Następna muszla, pomyślał Hank i aż jęknął w duchu. Chłopak potknął się i upadł. Szybko jednak był z powrotem na nogach. Biegł trzymając coś w ręku.

Lydia dotknęła ramienia Hanka.

- Skąd wiadomo, że wulkan ma wybuchnąć?

Mężczyzna spojrzał na nią.

- W powietrzu widać dym i popiół. A dlaczego pytasz?

- Patrz. - Wskazała na zachód. - Czy to wulkan?

Hank odwrócił się. Ponad grubym kożuchem koron drzew, blisko linii odgradzającej dżunglę od plaży, unosiła się gęsta smuga czarnego dymu.

- To nie wulkan. Dym unosi się nad plażą! - Rzucił wszystko, co trzymał, i popędził. Dzieciaki biegly za nim.

Muddy zupełnie zapomniał wytłumaczyć Theodore'owi, dlaczego nie powinien biegać. Dlatego teraz wsadził sobie pod głowę ogromną poduszkę i leżał na łóżku, które już dawno temu przybił do dna butelki. Dobrze to obmyślił, bo gdy chłopiec mknął przed siebie, w srebrnej pustelni wszystko fruwało.

Głowa dżinna podskakiwała, kolana uderzały o otomanę. Dzwoneczki przy trzewikach dzyńdziły jak oszalałe. Odgłos uderzających o siebie przedmiotów odbijał się echem

po butelce. W pewnym momencie srebrny dom dżinna uderzył o coś tak mocno, że demon nie zdołał przytrzymać się łóżka i koziołkując rąbnął o przeciwległą ścianę.

Ogłuszony, usiadł. Pokazały mu się wszystkie gwiazdy. Otrząsnął się.

Cóż za szczęście! Butelka wreszcie przestała podskakiwać. Dżinn popatrzył na bałagan. Położył ręce na biodrach i powiedział:

- A Bowie Bradshaw uważał, że to on jest w tarapatach!

Usłyszał głośno wypowiedane słowa. Głos był znajomy. Mówiąc dokładnie, to, co dotarło do jego uszu, było przekleństwem. A potem wszystko zaczęło się od początku – bieg i potem hamowanie.

Poduszki latały w powietrzu. Dzbanek z winem oderwał się od zamocowania i szybował w jego stronę. Rozbił się tuż nad głową dżinna. Drzwiczki kredensu otwały się z hukiem. Uwolnione owoce rozsypały się dookoła. Granaty, figi, mango i daktyle niczym bile turlały się po dywanie.

Turban poleciał w jedną stronę, dżinn w drugą. Demon solidnie grzmotnął o podłogę. Oszołomiony spróbował usiąść. Sekundę później starożytne nargile obrały go sobie za cel. Widział, jak się zbliżają. Bardzo szybko.

Nargile musnęły jego głowę i z głośnym „bang!” uderzyły w mosiężny puchar. Dżinn miał wrażenie, że w jego głowie rozległ się pałacowy gong.

Siedział, w jakiś dziwny sposób spokojny, i próbował ściągnąć z siebie nargile. Był w nielichych opałach. Mrugał, ale i tak nie widział nic poza ciemnością panującą we wnętrzu metalowej bańki. Uniósł do góry rękę i wymacał otwór. Rurki do wody oplątały mu szyję niczym ramiona ośmiornicy.

Przeklął zdrowo przodków idioty, który wynalazł to urządzenie do palenia opium. Niewiele mu z tego przyszło poza tym, że słowa wróciły do niego odbite echem od mosiężnych ścianek. Sięgnął wyżej i złapał uchwyty przymocowane do bocznych ścianek. Mocno pociągnął.

Głowa uwięzła jednak na dobre. Siedział i ledwo docierało do niego, że butelka przestała już szaleć. Miał teraz inny problem.

Ciągnął i ciągnął. Nawet nie drgnęło. A żeby Allah wyrzucił tę przeklętą rzecz na najgorętszą i najbardziej odludną pustynię! Najpierw jednak powinien uwolnić z niej moją głowę, pomyślał dżinn.

- Co ty, do diabła, wyrabiasz, złotko?

Margaret posadziła sobie Annabelle na biodrze i rozejrzała się. Dzieliła ich smuga czarnego dymu. Hank krzyczał.

- Chociaż cię nie widzę, słyszę za to znakomicie.

- Do cholery, kobieto! - Nagle Hank znalazł się obok niej, chwycił ją za ręce i wyciągnął z dymu na czyste powietrze. - Masz zamiar spalić całą wyspę?

Annabelle rozplakała się. Margaret kołysała ją uspokajająco. Gniewnie spojrzała na mężczyznę.

- Przestań wrzeszczeć.

Popatrzyła na dziecko.

- Już dobrze, maleńka, on po prostu nie myśli, dopóki nie zaczniesz krzyczeć.

Dziecko nie przestawało płakać. Hank rzucił groźne spojrzenie na małą, a potem popatrzył na Margaret tak, jakby bał się, że poda mu dziecko, jak to zrobiła w szalupie. Odsunął się, żeby być poza zasięgiem jej rąk, i wpatrzył się w ognisko. Miał minę, jakby chciał zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Theodore podszedł bliżej do Margaret i pociągnął ją za brzeg spódnicy.

- Znalazłem dżinna.

Annabelle ciągle popłakiwała. Margaret otarła jej łzy i nie przestawała kołysać.

- Nie znam nikogo, kto nazywałby się Dżinn, Theodorze. - Margaret odwróciła się do chłopca.

- On nazywa się Muddy.

- Nie, nie ma tu nudy, kochanie. - Kobieta pogłaskała chłopca po głowie. - Przecież ciągle robimy coś ciekawego. - Ujęła go za ramię i pociągnęła za sobą.

- Odsuń się, Theodorze, ogień jest coraz większy.

Hank kopał nogą piasek w stronę ogniska.

- Co ty, do diabła, wyrabiasz?

- Gotuję.

Spojrzał w dół i zauważył okopcony garnek.

- Zawartość jest czarniejsza od lawy. - Wyprostował plecy i znowu patrzył na kobietę. -

Gotujesz czy zwęglasz?

Margaret uniosła dumnie podbródek.

- Muszle małży są czarne.

- Wiem, złociutka, ale nie dymią.

- To para. Gotuję je na parze.

- Para jest biała. Dym jest czarny. - Posługując się rąbkiem koszuli wyciągnął garnek z ognia za uszko.

Tak, tego nie potrafiła zrobić, bo ogień był znacznie większy, niż się spodziewała. Obrócił garnek dnem do góry, potrząsnął i dopiero potem spojrzał na kucharkę.

- Przywarło jak diabli.

Miała dwa wyjścia: albo dalej się spierać, co nie miało jednak najmniejszego sensu, albo skapitulować. Zapatrzyła się na płomień. Gotowanie okazało się nie taką znowu prostą sprawą.

Zanim odpowiedziała, Hank upuścił garnek i przykucnął. Podniósł pustą butelkę po whisky i wpatrywał się w nią przez kilka sekund. Później przeniósł wzrok na kobietę.

- Co się stało z moją whisky?

- Potrzebowałam czegoś do podpalenia ogniska, więc... - Głos jej zamarł.

- Zużyłaś whisky tylko po to, żeby rozpalić ognisko i spalić garnek małży?!

- Nie. Dzięki whisky ogień palił się wystarczająco długo, aby mogło zająć się drewno. Było mokre po deszczu, a dopiero, gdy zapłonęło, mogłam gotować małże.

Patrzył na pustą butelkę, jakby chciał ją wyrzucić, a może rzucić nią w kogoś.

- Lydia ma już dość bananów, a mówiąc szczerze, ja także.

Mamrotał pod nosem jakieś przekleństwa.

Theodore przysunął się bliżej do Margaret i znowu pociągnął ją za sukienkę. Wyszeptał dość głośno:

- Dlaczego Hank jest czerwony na buzi?

- Jest mu po prostu gorąco, Theodorze.

- Masz rację, cholera, jest mi bardzo gorąco! - krzyczał Hank.

- Przestań, proszę, wrzeszczeć i przeklinać.

- Będę wrzeszczał i przeklinał, jak wszyscy diabli!

- Zastanawiam się, czy dzinnowi w butelce też nie jest gorąco - powiedział Theodore. -

Nie pytałem go o to. Zapytam teraz.

- Tak, Theodorze, to ładnie z twojej strony - odezwała się Margaret i spojrzała chłopcu w oczy. - Ale teraz muszę porozmawiać z Hankiem w cztery oczy.

Spojrzała na mężczyznę.

- Zachowujesz się poniżej krytyki. Zużyłam po prostu odrobinę whisky w trochę lepszym celu.

- Odrobinę? Butelka jest pusta! - Hank potrząsał butelką odwróconą do góry dnem. - Pusta!!

- Za to moja butelka nie jest pusta. W środku siedzi najprawdziwszy dzinn - odezwał się Theodore pokazując srebrną flaszkę. - Chcecie zobaczyć?

Ani Margaret, ani Hank nie zwrócili uwagi na chłopca. Rozpoczęli właśnie bój, a kobieta nie miała najmniejszego zamiaru ustępować. Mężczyzna także. Hank potrafił być uparty. Ona to wytrzyma.

- Szczerze mówiąc nie bardzo wiedziałam, ile alkoholu powinnam użyć - stwierdziła.

- Ten alkohol miałem wyłącznie na własny użytek.

- Zauważyłam zeszłej nocy. - Spojrzała mu prosto w oczy, przekonana, że jasno i wyraźnie dała mu do zrozumienia, co myśli o piciu.

Odczekała chwilę i dodała:

- Sposób, w jaki zużyłam alkohol, był mądrzejszy i korzystniejszy dla nas wszystkich. Jestem przekonana, że gdybyś przestał teraz krzyczeć i przemyślał to, doszedłbyś do wniosku, że postąpiłam logicznie, mądrze i sprawiedliwie.

- Za dużo myślisz, do jasnej cholery. - Hank chodził w kółko i mamrotał coś o powodach, dla których mężczyźni piją.

- Też chciałbym się czegoś napić - przerwał im Theodore, który cały czas trzymał w wyciągniętej ręczce butelkę w nadziei, że może któreś z nich wreszcie na nią spojrzy.

Margaret złożyła ręce na piersi.

- Jest mnóstwo wody.

- Dżinn powiedział, że mogę mieć trzy życzenia. Trzy prawdziwe życzenia.

- Nie ma na tej wyspie nikogo o imieniu Dżinn, Theodorze. Żebyś nie wiem jak sobie tego życzył, to niemożliwe.

- Ale ja znalazłem dżinna w butelce! Prawdziwego dżinna! Patrzcie! - zawołał i wyciągnął zatyczkę.

Purpurowe kłęby zaczęły unosić się nad szyjką. Zapanowała kompletna cisza.

Z oddali dochodził szum fal i krzyki mew, ale te dźwięki słyszeli tu stale.

Milczenie, które zapanowało, było tu jednak czymś wyjątkowym. Purpurowy dym wydobywający się z szyjki srebrnej butelki wzbijał się do góry w sposób, w jaki ludzie najczęściej wyobrażali sobie pojawienie się ducha. Kłębił się, zwijał i unosił. Zdawał się krążyć nad nimi niczym jastrzęb wypatrujący ofiary.

Margaret wymieniła z Hankiem spojrzenie. Oboje byli zbici z tropu i zaskoczeni. Lydii aż dech zaparło, a Theodore skakał dookoła wołając:

- Widzicie! Widzicie!

Dym rozwiewał się; jego resztki opadały w stronę piasku i tam rzedły zupełnie.

- Co to jest, do diabła? - Hank podszedł bliżej marszcząc czoło.

Margaret przytuliła mocniej Annabelle. Wpatrywała się w dym, a potem w przedziwną postać, która się pojawiła.

- O mój Boże... - wyszeptła.

Muddy stał na zewnątrz butelki. Niczego jednak nie widział. Nargile tkwiły na jego głowie. To powinno wyglądać dość interesująco, pomyślał.

Kobieta krzyknęła:

- Nie, Hank! Nie nożem!

Muddy wrzasnął:

- Noże? Gdzie?

Instynktownie obrócił głowę zapominając, że nic nie widzi. Nargilowe rurki do wody poleciały najpierw na lewo, potem na prawo. Ich mosiężne końcówki uderzały z łoskotem o ścianki. Bębenki w uszach o mało mu od tego nie popękały.

- Żadnych noży! - krzyknął i podniósł do góry ręce.

Zrobił to szybciej, niż Bowie Bradshaw wyciągał rewolwer. Stał teraz bez ruchu. Serce waliło mu jak młotem. W głowie dudniło. Kolana lekko się ugiwały.

- Muddy?

- Jestem tu, panie. - Muddy zamilkł na chwilę, a potem dodał: - Czy nie ma już żadnych noży, panie?

- Nie mam pojęcia, co z ciebie za paskuda, kolego - Muddy usłyszał męski głos - ale jeśli skrzywdzisz dzieciaka, użyję noża tak szybko, że nawet nie zorientujesz się, kiedy wypruję ci bebechy.

Dżinn wstrzymał oddech.

- Nie, Hank! - zawołał Theodore.

- Hank, proszę - włączyła się kobieta. - Nie wydaje mi się, żeby on... żeby to chciało skrzywdzić kogokolwiek. Spójrz, obie ręce trzyma przecież podniesione wysoko do góry.

- Tak, Hank. - Muddy wyciągnął ręce jeszcze wyżej. - Widzisz? Trzymam ręce w górze.

Demon usłyszał czyjeś kroki. Zesztywniał. Czuł, jak ze strachu cierpnie mu skóra. Zamknął mocno oczy i czekał. Nic się jednak nie wydarzyło.

Po kolejnej, trwającej całą wieczność minucie, usłyszał niski, męski głos:

- Co to jest, do diabła?

- Jestem dżinnem! - krzyknął Muddy bardzo głośno. Rezonans omal nie powalił go na ziemię.

- Taaa, a ja jestem Aladynem.

- Hank... - W głosie kobiety słychać było ostrzeżenie.

- On naprawdę jest dżinnem - upierał się Theodore. - I zna świętego Mikołaja.

Muddy jęknął w duchu. Może jednak uda się jakoś ich przekonać. Miał straszną ochotę złapać się rękami za głowę, ale był zbyt wystraszony - Idioto! że też nie mogłeś powiedzieć o kimś innym! - by opuścić ręce.

- On jest dzinnem! - Theodore zaczynał się denerwować. - Wiem o tym! Obiecał mi spełnić trzy życzenia, bo wypuściłem go z butelki. - Rozpłakał się.

- Theodorze... - powiedziała spokojnie Margaret starając się pocieszyć chłopca.

- Jest! Jest! Powiedz im, Muddy! - Theodore krzyczał coraz głośniejszym głosem. - Powiedz im, kim jesteś!

- Jestem Muhdula Ali, purpurowy dzinn z Persji... - Muddy pochylił się w ukłonie i natychmiast tego pożałował.

Upadł twarzą do przodu. Nargile uderzyły o piasek z głośnym „bang!” Oby Allah przeklął to wstrętne dzbanisko! Leżał płasko na ziemi i mamrotał coś. Stłuczony o mosiężną ściankę policzek bolał go okropnie.

- To gorsze niż jazda na pijanym wielbłądzie - powiedział.

Jego głos zabrzmiał tak, jakby dzinn miał złamany nos.

- Theodorze, odsuń się! - ostrzegła kobieta. - Hank, proszę!

- Jestem zupełnie niegroźny! - krzyczał demon. - I żadnych noży! - Echo powtarzało jego słowa wewnątrz nargili przez co najmniej minutę.

Leżał i pojękiwał. Na zewnątrz znowu zapanowała cisza.

- Muddy? - zapytał cicho Theodore. - Nic ci nie jest?

- Nic, panie. Mam po prostu mały kłopot. - Przerwał na chwilę, a potem spytał: - Czy ten facet, Hank, jest ciągle tutaj?

- Mhm, ten facet, Hank, jest ciągle tutaj, a razem z nim jego nóż - odpowiedział męski głos.

Muddy głośno przełknął ślinę.

- Nie mam najmniejszego zamiaru kogoś krzywdzić. Chciałbym się podnieść, to wszystko. - Odczekał chwilę. - Pokój? Zawieszenie broni?

Hank nie odpowiadał. Sekundy zdawały się zmieniać w minuty.

- Wstawaj, ale bardzo powoli - odezwał się w końcu mężczyzna; w jego głosie słychać było groźbę. - Naprawdę powoli i spokojnie.

Muddy stanął na czworakach, ale jego głowa, ze względu na ciężar nargili, ciągle jeszcze spoczywała na ziemi. Złapał za uchwyty po bokach dzbana i prostując plecy zdołał jakoś unieść uwieczoną mózgowicę.

- Co ty właściwie masz na głowie? - zapytał Theodore.

- To nargile, panie, taka wodna fajka. Nie mogę jej zdjąć. - Muddy ciągnął ciężar z całych sił, potem jęknął boleśnie.

- Czy to boli?

Muddy przytaknął - i był to kolejny nierozważny ruch. Dwa razy uderzył czołem o mosiężną ściankę. Przestraszył się, cofnął gwałtownie i upadł na plecy. Rozciągnął się jak długi. Znowu zobaczył gwiazdy.

Gdy po sekundzie czy dwóch minęło oszołomienie, powiedział najciszej, jak potrafił:

- Boli tylko wtedy, gdy usiłuję to zdjąć albo gdy mówię i gdy się przewracam.

Zapadła pełna napięcia cisza. Muddy zastanawiał się, gdzie dokładnie znajduje się Hank ze swoim nożem.

- Chciałbym... - zupełnie niespodziewanie krzyknął Theodore - chciałbym, żeby nargile zniknęły z głowy Muddy'ego.

W mgnieniu oka wodna fajka zniknęła w chmurze purpurowego dymu. Hank wpatrywał się w cudaka z kolczykami w uszach, ubranego w dziwaczne pantalone. Osobnik leżał z głową na piasku.

Patrzył na każdego z nich po kolei, potem uniósł dłoń, pomachał niepewnie i powiedział:

- Witajcie, ludzie.

- Nie ruszaj się - ostrzegł Hank skradając się w jego stronę.

Podchodził wolno, poruszając nożem ze zręcznością, jakiej nauczyć może jedynie ulica, a on przecież pobierał nauki od ponad trzydziestu lat.

Dzinn patrzył na Hankę, a potem przeniósł spojrzenie na ostrze noża, które rozblysło odbitym promieniem słonecznym. Przerażone oczy demona zrobiły się okrągłe jak

spodki. Teraz bał się jeszcze bardziej niż przedtem. Ze strachu cały dygotał, aż kolczyki w uszach śmiesznie podrygiwały.

Miał smagłą cerę i duży nos, wyraźnie zarysowane brwi, czarne oczy i ostro zakończoną brodę ozdobioną smolistą kozią bródką. Włosy też miał czarne - sterczały na wszystkie strony niczym liście rosnących na wyspie ananasów.

Chociaż leżał płasko na ziemi, widać było, że ma solidny brzuch. Ubrany był w kolorową kamizelkę (której, zdaniem Hanka, nie włożyłby żaden mężczyzna, nawet za ciężkie pieniądze) i bufiaste purpurowe spodnie przepasane szerokim gogusiowatym pasem.

Zresztą to było nic w porównaniu z jego butami. Zrobiono je z błyszczącej zielononiebieskiej materii (takiej samej, jakiej używa się do szycia sukni wieczorowych), bogato ozdobiono, tak że skrzyły się w świetle słońca niczym klejnoty. Hank przyjrzał się bliżej obuwiu dziwaka. Niewiele brakowało, a roześmiałyby się w głos. Czubki ciżemek były zadarte wysoko do góry i, jakby tego było mało, z obu zwisały dzwoneczki podobne do tych, które zwykle zdobią końską uprzęż.

Hank przeniósł spojrzenie na przeguby rąk nieznanego. Przed jego wnikliwym spojrzeniem nie dało się ukryć, że zdobiące je bransolety wykonano z osiemnastokaratowego złota - za każdą z nich można by przeżyć co najmniej miesiąc. I to przy wysokich kosztach utrzymania.

Przez dłuższą chwilę Hank przyglądał się twarzy obcego. Duże czarne oczy zdradzały ostrożność. Śledziły teraz każdy ruch Hanka. Twarz gościa stawała się czerwona od długiego wstrzymywania oddechu.

- Wstawaj! - Hank skinął nożem w stronę džinna.

Zanim dzwoneczki zdążyły zadzwonić, demon stał już na nogach. Chociaż wyglądał na stukniętego, było widać, że jest zupełnie niegroźny. Może dlatego, że strasznie się trząśł. Trudno było uwierzyć, że ktoś ubrany w szarawary niczym tancerka brzucha z Klubu Marokańskiego może być dla kogokolwiek niebezpieczny.

Hank uniósł do góry nóż i rzucił szybkie spojrzenie na Smitty. Siedziała na skale zdumiona w najwyższym stopniu i bardzo błada. Odwrócił się z powrotem do obcego.

- Dobra, stary. Wyduś to z siebie wreszcie.

- Co?

- Twoje zasady gry.

Dżinn zmarszczył czoło.

- Szachy? Badminton? Base....

Hank zrobił krok do przodu.

- Nie jestem aż taki głupi. Kim jesteś? Jakimś mesmerystą? Magiem? Kim?

- Już mówiłem. Jestem džinnem.

- Taaa... A ja ci mówiłem, że jestem Sindbadem.

- Ściśle rzecz biorąc, powiedziałeś, że jesteś Aladynem.

Hank przystawił ostrze noża do szyi dziwadła.

- Sindbadem, oczywiście. Jestem tylko głupim ignorantem, który pewnie źle usłyszał...

- Nie rób mu krzywdy! Proszę! Nie rób mu krzywdy! - Theodore zaczął płakać, podbiegł i chwycił Hanka za rękaw.

- Odsuń się, mały.

- Muddy mnie nie skrzywdzi. To džinn. Spełni moje życzenia.

- Nie bądź naiwny. Dżinny nie istnieją, mały.

- Hank! - Głos Smitty zabrzmiał ostrzegawczo. Wpatrywała się w niego ze zmarszczonym czołem, potem skierowała wzrok na Theodore'a.

- Och, do diabła, przecież nie ma takich rzeczy, Smitty. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. Mały też mógłby już przestać wierzyć w podobne bzdury.

Lydia skierowała wzrok na Hanka i odezwała się po raz pierwszy:

- W takim razie, jak ten nargil czy jak tam on to nazwał zniknął z jego głowy?

- Sztuczka! Ruch ręką, lusterko - argumentował Hank.

- To nie sztuczka! Miałem takie życzenie. Zużyłem na to jedno z trzech moich życzeń!

- Dzięki ci, panie Theodorze. To było bardzo wspaniałomyślne.

Hank przyglądał się tej wymianie uprzejmości i przez cały czas się zastanawiał, jak ten stary lis ukrył nargile.

- Jeśli zabierzesz nóż z mojej szyi, udowodnię, że jestem tym, za kogo się podaję, że jestem dzinnem.

- Zgoda. - Hank roześmiał się złośliwie.

- Sceptycyzm jest równie stary, jak ten piasek. – Demon westchnął, jakby był zmęczony podobnymi rozmowami. – Przez dwa tysiąclecia udowadniam sceptykom, niedowiarkom, kim jestem.

- Miej na względzie, że gdy tylko zauważę niebezpieczeństwo grożące komuś z nas, jeden fałszywy ruch z twojej strony... – Hank trzymał nóż na wysokości twarzy dzinna i uśmiechał się lodowato - to będę ostatnim niedowiarkiem, z którym miałaś do czynienia.

Hank powoli się cofnął. Chwycił Theodore'a za rękę i odciągnął w stronę skały, gdzie siedziała milcząca Smitty. Na kolanach trzymała Annabelle. Lydia siedziała obok. Hank popatrzył na nie przez bardzo krótką chwilę.

- Patrzcie! O, kurczę blade! - Theodore zaczął podskakiwać. - Patrzcie na Muddy'ego!

Hank cofnął się, uniósł do góry rękę z nożem i wpatrywał się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał obcy. Nikogo tam jednak nie było.

Błyskawicznie rozejrzał się po okolicznych krzakach, myśląc, że ten stary lis właśnie tam się ukrył. Potem usłyszał, jak Margaret i Lydia jednocześnie głęboko wciągnęły powietrze. Hank wreszcie go zobaczył i zaklął.

- Cholela! - powtórzyła za nim Annabelle.

Hank nie mógł oderwać wzroku od tego, na co patrzył. Nie potrafił. Po prostu wpatrywał się w niebo.

„Stary lis" fruwał w powietrzu.

- To niemożliwe - powiedział Hank.

Margaret patrzyła na niego ze zdumieniem, gdy uparcie zaprzeczał temu, co widział.

- Jego tam nie ma. - Przymknął oczy i potrząsał głową.

- Widzę go! To czary! - wołała Lydia. - On jest dzinnem!

Hank otworzył oczy i spojrzał na dziewczynkę. Zmarszczył czoło. Potem utkwiał wzrok w Margaret.

- Też to widzisz?

Jakby to była celowa złośliwość, dzinn przeleciał akurat w tym momencie przed nosem Hanka zostawiając za sobą smugę purpurowego dymu. Hank znowu zamrugał oczami i krzychał uparcie:

- Nie widziałem tego! Nie widziałem!

- A ja widziałam - odezwała się Margaret.

- Ty? Wykształcona, logicznie myśląca panna widzisz cudaka w czerwonych spodniach, z kolczykami w uszach, który fruwa dookoła nas?

Skinęła głową.

- Przecież wiesz równie dobrze jak ja, że dzinny nie istnieją!

- Widzę go. Dzieci również. Ty także. Wszyscy go widzimy. I dlatego właśnie musimy przyjąć, że jednak istnieją.

- To niemożliwe - powtarzał Hank, a potem zaczął mamrotać pod nosem: - Lustra. Gdzie są lustra?

Dzinn fruwał dookoła niego niczym natrętna pszczoła, zawisł mu nad głową, a potem wzbil się prawie pionowo do góry.

Hank głośno jęknął. Brwi na jego zmarszczonym czole niemal się stykały.

- Przyjęcie założenia, że wszystko w naszym irracjonalnym świecie można uzasadnić rozumowo, jest nielogiczne – wyjaśniała Margaret.

Hank wpatrywał się w nią zupełnie oszołomiony. Nagle jego wzrok stał się przytomniejszy. Wydawało się, że dotarło do niego wreszcie znaczenie wypowiedzianych przez nią słów. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w piasek. Znowu spojrzał na Margaret i wymachując nożem, spytał:

- Naprawdę wierzysz w te bzdury?

- Muszę wierzyć. Przecież zaprzeczanie temu, co widzę, nie ma sensu - powiedziała Margaret obserwując lot dzinna. Odwróciła się do Hanka, który usiadł na pobliskiej skale, oparł zaciśnięte dłonie na kolanach i patrzył w dół. - Hank, widzę, jak on fruwa.

Wolno uniósł głowę i popatrzył na demona, który przelatywał właśnie nad czubkami palm kokosowych, a potem zanurkował i przeleciał obok Hanka. Dzięki Bogu, nie dotknął jego głowy. Przy następnym przelocie dzinn zerwał Hankowi czapkę z głowy.

- Oddawaj! Ty draniu... - krzyczał Hank starając się chwycić demona. Nie udało mu się.

Kilka sekund później czapka wylądowała bezpiecznie obok jego nóg. Złapał ją i szybko nałożył na głowę.

- Pokaż mi tę butelkę, mały.

Theodore wręczył mu srebrny przedmiot.

- Znalazłem ją i mogłem mieć trzy życzenia.

Hank zbliżył flaszkę do oczu i obejrzał z fachowością jubilera oceniającego klejnot. Ściągnął usta, bo coś mu się przypomniało.

- Wygląda zupełnie tak samo jak ta, którą wyrzuciłeś do morza - powiedziała Margaret starając się, by jej głos brzmiał naturalnie.

Oczy zwięziły mu się i widać w nich było obietnicę rychłego odpłacenia pięknym za nadobne. Uśmiechnęła się do niego niewinnie i dodała:

- Właściwie wyrzucałeś ją dwukrotnie.

Kłócili się przez ponad godzinę. Muddy przysiadł na pobliskiej skałce; oparł brodę na rękach. Patrzył to na nią, to na niego. Wyglądał jak widz na meczu tenisowym.

- Theodorze - powiedziała Margaret - nie bój się. Hank wcale nie chciał być dla ciebie niedobry.

- Jak diabli!

- Przestań go straszyć! To w końcu tylko mały chłopiec. Jestem przekonana, że nie rozumie nawet, jakie to ważne.

Margaret skierowała spojrzenie na Theodore'a i przykucnęła. Jej oczy znalazły się na wysokości oczu chłopca.

- Rozumiesz, że tylko ty możesz nas zabrać z tej wyspy?

- Rozumiem - odpowiedział malec posępnie.

- Jedno twoje życzenie i wszyscy wrócimy do domu. - Chłopak wpatrywał się w swoje bose stopy.

- Nie mam domu.

Muddy zauważył, że kobieta cofnęła się prawie niezauważalnie. Wstała, wzięła głęboki wdech i zaczęła pocierać grzbiet nosa. Powinna była to przewidzieć.

- Słuchaj, mały. - Hank wyszedł przed kobietę. - Uwierz mi, jest jak jest, rozumiesz? Musisz chcieć zabrać nas z tej wyspy.

Przez dłuższą chwilę Theodore wpatrywał się w mężczyznę. Jego usta zacisnęły się zupełnie tak samo jak usta Hanka, gdy się przy czymś upierał. Milczał zawzięcie.

Muddy uważał dotąd, że to wielbłądy są uparte. Pokiwał głową i patrzył na Annabelle. Małe szczęśliwe stworzenie z burzą płomiennych kędziorów na głowie. Siedziała na skale. Wpatrywała się w niego i uśmiechała mimo dwóch paluszków wetkniętych do buzi.

Dżinn pomachał do niej.

Odpowiedziała tym samym gestem, ześliznęła się ze skały i ruszyła w jego stronę. Była tylko kilka kroków od dżinna, gdy skończyła się linka. Szarpnęła, ale sznurek nie puszczał. Spojrzała na smycz i powiedziała:

- Choleła!

Muddy siłą powstrzymał się od śmiechu. Przeniósł wzrok na pozostałych. Nie byli ludźmi, z jakimi miał do tej pory do czynienia. W czasie dwóch tysięcy lat nigdy nie spotkał się z rodziną, choćby taką jak ta, nieprawdziwą. Byli jednak bardzo interesującą gromadką.

Theodore stał obok siostry, cichej, zagadkowej dziewczynki o imieniu Lydia. Dzieci rozmawiały ze sobą podczas gdy Hank spacerował nerwowo, jęcząc co jakiś czas. Margaret, która była znacznie piękniejsza od Heleny Parysa, stała z rękami skrzyżowanymi na piersi w pozie manifestującej upór.

W końcu pochyliła swą piękną głowę z jasnymi puklami i spojrzała w oczy chłopca.

- I co będzie?

- Nie chcę stąd odchodzić.

- Na rany Chrystusa! - krzyknął Hank.

Muddy uśmiechnął się złośliwie. Kobieta uderzyła mężczyznę łokciem w żebra.

- Przestań na niego krzyczeć. Pogarszasz tylko całą sprawę.

- Chyba nie może już być gorzej!

Chłopiec stał spokojnie, ale robił wrażenie, że jego upór staje się coraz bardziej zacięty. Spojrzał na Hankę, a potem na Margaret.

- Podoba mi się tutaj.

Hank jęknął głośno. Theodore podszedł do niego.

- Powiedziałaś, że bezludne wyspy to najlepsze miejsca.

- O czym ty mówisz, mały?

- Pamiętasz zagadkę?

Hank wyglądał, jakby marzył o tęgim kopniaku, bo na to właśnie zasłużył.

- „Na bezludnych wyspach nie ma więzień ani sierocińców” - cytował Theodore słowo po słowie. - Tak powiedziałaś.

Wyraz twarzy Margaret wskazywał, że miała ochotę spełnić marzenie Hanka o kopniaku.

- Nie chcę być w sierocińcu. Nie ma tam kołder. Hank powiedział, że jest tam zimno i źle, jak w więzieniu. - Chłopiec mówił bardzo szybko. - Hank ma czerwone blizny na plecach, bo go bili w więzieniu tylko dlatego, że nie mieli nic lepszego do roboty. Nie chcę, żeby ktoś bił mnie albo moje siostry.

Margaret odwróciła się w stronę Hanka.

- Dlaczego opowiadałaś mu takie rzeczy?

- Nie opowiadałem.

- W takim razie on to zmyślił. - Jej oczy zwęziły się w szparki. - O, wybacz, zapomniałam. Przecież każdy pięciolatek sam wie wszystko o więzieniach i sierocińcach.

Hank nerwowo kopał nogą piasek.

- Bez przerwy zadawał mi pytania, do jasnej cholery! - Machnął ręką. - Po prostu odpowiadałem na pytania.

- Znalazłeś chyba najodpowiedniejszy moment, żeby nagle zagrać rolę pana Prawdomównego.

- Pozwól, że sam to załatwię. - Odsunął ją łokciem na bok.

- Oczywiście, jak mogłam zapomnieć. Jesteś mężczyzną. - W jej głosie słychać było zjadliwą ironię.

Hank przeszedł obok niej szepcząc pod nosem:

- W końcu zrozumiałaś, gdzie jest twoje miejsce.

Muddy aż gwizdnął. Powinna mu przyłożyć. Głupiec z niewyparzoną gębą, pomyślał o Hanku. Przecież to on właśnie mógł znaleźć butelkę, miał nawet dwie szanse.

- Żałuję, że ojciec uczył mnie, jak pisać mowy obrończe, zamiast mi pokazać, jak kogoś sprać na kwaśne jabłko - powiedziała Margaret do Hanka, a potem spojrzała na Muddy'ego. Hank szedł w stronę Theodore'a.

- Posłuchaj, mały. Wymienimy się.

- Jak to, wymienimy?

Hank zdjął z głowy czapkę. Wyciągnął z niej organki i zaczął wymachiwać nimi kusząco przed buzią chłopca. Potem wrzucił je z powrotem do czapki.

Theodore śledził każdy jego ruch. Widać było, że jest zaciekawiony, ale też ostrożny.

Mężczyzna wyciągnął rękę z czapeczką w kierunku chłopca.

- Moja czapka i organki za butelkę i dzinna.

Dzinn zerwał się na równe nogi.

- Życzeń nie można scedować na kogoś innego. Theodore jest moim panem i to on może mieć życzenia. On i tylko on.

Hank i Margaret zamyślili się. Muddy patrzył na nich przez chwilę i dodał:

- Nie możecie też zmuszać mojego pana, by wypowiedział swoje życzenia, a potem przejąc butelkę. Nikt, kto dowiedział się o moim istnieniu, nie może zostać później moim panem.

Hank zaklął pod nosem i rzucił na dzinna spojrzenie, które mogło zabić. Margaret westchnęła z rezygnacją. Muddy usiadł z powrotem na skale, skrzyżował nogi i oparł policzek o rękę.

- Dobra, mały, zawrzyjmy układ - ciągnął nie zrażony Hank. - Chcemy wydostać się z tej wyspy, rozumiesz?

Theodore potaknął.

- Masz trzy życzenia.

Dzinn uniósł do góry jeden palec i podniósł się.

- Wybacz. Pan Theodore ma jedynie dwa życzenia. Wspaniałomyślnie i nie dbając o własne korzyści życzył sobie, aby zniknęły nargile.

Spojrzenie Hanka dawało do zrozumienia jasno i wyraźnie, co myślał o tym życzeniu.

Muddy usiadł i zaczął kiwać nogą. Dzwoneczek na ciżemce podzwaniał wesoło.

Hank odwrócił się powoli i znacząco spojrzał na trzewik. Dżinn zamarł w bezruchu.

Hank skierował wzrok na chłopca. Wysunął kciuk i palec wskazujący.

- Dwa życzenia.

Margaret chrząknęła wystarczająco głośno, by Hank ją usłyszał i spojrzał również na nią. Znacząco unióśł palce do góry.

- Możesz zabrać nas z tej wyspy i ciągle jeszcze zostanie ci jedno życzenie. I będziesz mógł życzyć sobie, czego tylko zapragniesz. Jasne?

Jakiś czas Theodore wpatrywał się w piasek, a potem spojrzał na Hanka.

- Już próbowałem życzyć sobie tego, czego pragnę najbardziej.

- Nie rozumiem. Jak to „próbowałeś”? - zapytała Margaret.

- Chciałem, żeby rodzice znowu byli z nami, ale Muddy nie może ich ożywić. To wbrew zasadom życzeń. Może spełniać tylko życzenia dotyczące tego świata.

Nastąpiła długa cisza. Chłopiec popatrzył na Hanka, a potem na Margaret.

- Nie chcę niczego. Chcę tylko zostać tutaj.

Margaret podeszła do Hanka.

- Pozwól, że ja się tym zajmę.

Stała obok Theodore'a, który stał ze spuszczoną głową. Bosą stopą rysował na piasku esy-floresy. Uklękła przy nim. Miała twarz na wysokości jego buzi.

- Theodorze. - Położyła dłonie na jego wątych ramionach. - Wiem, że jesteś bardzo spostrzegawczy i rezolutny. Ja jestem bezstronnym obserwatorem, bo nigdy nawet nie widziałam sierocińca. Mogę cię jedynie zapewnić, że dam z siebie wszystko, żeby znaleźć najlepszy z nich dla ciebie i twoich sióstr. Kiedy zastanowisz się nad tym, na pewno będziesz mógł jasno określić to, czego oczekujesz. - Zastanawiała się przez chwilę. - Musimy po prostu wziąć pod uwagę wszystkie fakty i twoje oczekiwania. Rozważyć dokładnie każde rozwiązanie i zdecydować, które punkty w naszym myśleniu są najistotniejsze i ważne dla ciebie. Po szczerzej rozmowie i porządnej analizie możemy znaleźć jakieś rozwiązanie satysfakcjonujące i ciebie, i mnie, będące najlepszym rozwiązaniem dla wszystkich. I wszyscy będą się cieszyć.

Chłopiec wpatrywał się w nią przez moment, a potem powiedział:

- Lubię, jak wszyscy się cieszą. Najczęściej jest tak na przyjęciu urodzinowym.

Hank roześmiał się.

- Ot, wyjaśniła!

Margaret patrzyła to na Hanka, to na Muddy'ego. Dżinn ciągle siedział na skale. Głowę miał opuszczoną. Zachrapał, szybko się wyprostował i przerażony rozejrzał się dookoła.

- Theodorze, starałam się wyjaśnić ci, że jeśli porozmawiamy o twoich obawach dotyczących naszej sytuacji, to może zrozumiesz, że najlepszym wyjściem będzie wydostanie się z wyspy.

- Ale ja nie chcę stąd odchodzić. Tu jest fajnie.

- Chyba powinniśmy brać także pod uwagę zdanie innych, na przykład twoich sióstr.

- Lydii? - Chłopiec poklepał siostrę w rękę. - Chcesz iść do sierocińca?

Dziewczynka pokręciła głową i objęła brata, jakby chciała go ochronić. Widać było wyraźnie, że oboje będą twardo stali przy swoim.

- Chcemy zostać tutaj - powiedzieli zgodnie.

Hank przetasował karty.

- To się nazywa poker, mały.

Karty śmigały w powietrzu jak piórka na wietrze i układały się na piasku w równy wachlarz.

- Kurczę blade! Nauczysz mnie tego?

- Jasne, mały.

Hank zerknął na Margaret, która próbowała właśnie nakarmić bananem najmłodsze dziecko.

- Ale najpierw nauczę cię, jak się gra w prawdziwą męską grę.

Smitty spojrzała na Hanka i przewróciła oczami. W tej samej chwili skórka od banana wylądowała na jej ramieniu. Mężczyzna roześmiał się. Już jej przecież wyjaśnił, że to

jedyna droga do zmuszenia dzieciaka, by ich stąd wy dostał. Ona była zbyt sceptyczna. A Hank wiedział, że dzięki temu właśnie może przejąć kontrolę nad sytuacją.

Odwróci uwagę dzieciaka grą, którą potrafił sterować jak małe dziecko, i znajdują się w domu szybciej, niż zdążyłby zwrócić komuś portfel. Popatrzył na chłopaczka, czekającego z niecierpliwością. Uśmiechnął się do niego i zaczął wyjaśniać zasady gry.

Godzinę później, gdy padło około stu pytań, obaj trzymali w rękach karty. Hank siedział ze szczękami mocno zaciśniętymi - miał dość odpowiadania raz po raz na to samo pytanie i z trudem powstrzymywał się, by nie wrzasnąć na chłopaka.

Pierwsza zasada cwane go szulera: zdobyć zaufanie naiwniaka. Hank nawet nie patrzył na rękę, gdy wykladał kartę. Sięgnął do daszka czapki i obrócił ją tyłem do przodu. Zasada druga: nie lekceważ uśmiechu fortuny. Theodore wpatrywał się w niego z przejęciem.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Na szczęście.

- Aha.

Chłopczyk umilkł na chwilę, a potem znowu spojrzał na przeciwnika.

- Nie mam niczego „na szczęście”. Mam tylko siostry.

- Nie jestem zbyt nią szczęściarą, Theo - z westchnieniem odezwała się Lydia, dodała jednak szybko: - Masz jeszcze przecież Muddy'ego i butelkę. Możesz ich użyć jako talizmanu.

- No jasne! - Theodore wyciągnął zatyczkę z butelki.

Purpurowy dym zaczął wydobywać się na zewnątrz. Hank kręcił głową i starał się nie widzieć tego, co działo się przed jego oczami.

- Tak, panie?

Cudak z dzwoneczkami przy butach znowu się pojawił. Na dodatek miał na głowie turban.

- Muddy, będziesz mi przynosił szczęście, dobrze?

Dzinn rozejrzał się na wszystkie strony. Był zupełnie zbity z tropu.

- Cokolwiek rozkażesz, panie.

Hank wpatrywał się w odzienie demona. Przeszedł go dreszcz. Odwrócił wzrok. Widok dziwadła nie był przyjemny dla oka. Zwrócił spojrzenie na Theodore'a. Dzieciak zapatrzył się w karty i zagryzał usta. Zmarszczone czoło świadczyło o dużym wysiłku umysłowym.

- Zapomniałem, co bije co?

Hank odliczał w duchu. Przy pięćdziesięciu powiedział:

- Kolor jest najmocniejszy. Rozumiesz?

Mały skinął głową.

- Jesteś pewny?

- Kolor jest najmocniejszy - powtórzył chłopak.

- Karetę bije fula.

- Mhm.

- Fula bije strita. Strit trójkę, a trójka bije parę.

- Dobra.

- Zrozumiałeś tym razem? - syknął Hank przez zaciśnięte zęby.

- Theodorze - powiedziała Smitty zbliżając się do graczy. Potem przyklękła obok chłopca. - Umiesz czytać? - spytała.

- Nie. - Pokręcił głową. - Ale Lydia umie. - Odwrócił się w stronę siostry. - Umiesz, prawda?

Lydia przytaknęła.

- Napiszę to na piasku, a Lydia będzie mogła w razie czego przeczytać ci wszystko. Nie będziesz musiał już więcej pytać Hanka.

Przez następne pięć minut na piasku powstawała lista. Hank w tym czasie pstrykał palcami. Patrzył na nich i dopiero po jakimś czasie zorientował się, że obserwuje wyłącznie Smitty.

W jasnych włosach miała resztki rozgniecione go banana, ale nie to zainteresowało go najbardziej. Błądził wzrokiem po jej ciele i utkwiał spojrzenie w jednym miejscu. Miała wspaniałe nogi. Klęczała teraz na piasku i w miarę pisania musiała się cofać. Sukienka

podjechała powyżej kolan odsłaniając nogi w całej okazałości. Były smukłe, długie i białe.

O Boże, jakże on uwielbiał kobiece nogi. Zawsze uganiał się jedynie za tymi kobietami, których nogi zdawały się nie mieć końca. Patrzył, jak wstawała i odeszła z powrotem do dziecka. Jej biodra kołysały się kobieco.

- Hank?

Oderwał od niej oczy i spojrzał na chłopca. Theodore uśmiechał się do niego.

- Jestem gotów - powiedział malec.

Hank westchnął.

- Dobra.

- Asy to najwyższe karty?

- Tak jest - przytaknął Hank.

- I mogę dostać nowe karty?

- Mhm. Ile chcesz?

- Nie wiem.

Dzieciak wpatrywał się w swoje karty przez kolejne pięć minut. W końcu spojrzał na Hanka.

- Cztery. Chcę cztery karty.

Mężczyzna zaśmiał się w duchu triumfalnie. Podał malcowi cztery karty.

- A ty, ile bierzesz?

- Jedną.

- O! - Malec zrobił przerwę i spytał: - Tylko jedną kartę?

Hank wzruszył ramionami.

- Liczę na fart.

- Co to fart?

- Nic takiego, o czym musiałbyś wiedzieć! - wtrąciła się Smitty wołając przez ramię.

Hank popatrzył na swoje karty. Miał fula na królach. Zmusił się jakoś, by nie okazać tego chłopcu, który wpatrywał się w niego dziwnie zamyślony. Potem malec spojrzał na listę przygotowaną przez Smitty.

- Zapomniałem, co to kolor.

Dżinn, który do tej pory stał spokojnie, aż jęknął cicho. Hank o mało nie zawył.

- Wszystkie karty w jednym kolorze, Theo – powiedziała Lydia wskazując na karty brata. - Jak te dwie czarne, podobne do koniczyny.

Demon zamknął oczy, bo nie mógł na to patrzeć.

- Stawiam organki. - Hank przerwał na chwilę chcąc osiągnąć lepszy efekt. - I podnoszę stawkę o czapkę. - Wrzucił oba przedmioty do garnka przepelnionego już muszelkami.

Smitty odwróciła się i spojrzała na niego. Rzucił jej szybkie porozumiewawcze spojrzenie, podczas gdy mały wpatrywał się w organki, jakby były zrobione z karmelu. Mężczyzna zauważył, że ramiona kobiety rozluźniły się trochę. Odczekał chwilę i powiedział:

- Musisz przebić moją stawkę, mały.

Chłopiec położył karty na piasku, kolorem do dołu, i przeszukał kieszenie spodni. Zmarszczył czoło i popatrzył na Hanka.

- Nie mam niczego, co mógłbym postawić.

- Nie masz?

Malec kręcił głową. Był po dziecinnemu bardzo poważny. Hank znowu policzył do pięćdziesięciu, popatrzył gdzieś w dal i jeszcze raz policzył. Tym razem do dziesięciu. Zwrócił twarz w stronę dzieciaka.

- Wydaje mi się... - Przerwał i pokręcił głową. - Nie, nie, tak nie da rady...

- Co? - zapytał podekscytowany chłopiec.

- Pomyślałem właśnie, że mógłbyś postawić życzenie.

Theodore znowu zmarszczył czoło i spojrzał na dżinna.

- Muddy mówił, że nie mogę ci oddać życzenia.

- Mhm, tak powiedział. - Hank udawał, że się nad czymś zastanawia.

Przez dobre dwie minuty drapał się po brodzie, a potem powiedział:

- Coś ci powiem, mały. Możesz postawić życzenie, a jeśli wygram, będziesz musiał życzyć sobie tego, co zechcę. Jeśli ty wygrasz, zabierzesz moją czapkę, organki i będziesz mógł zatrzymać swoje życzenie dla siebie.

Theodore wysuwał język w kąciку ust i lekko go przygryzał. Po kilku bardzo długich i pełnych napięcia minutach spojrzął na dzinn i zapytał:

- Mogę tak zrobić?

- Tak, panie. Jeśli będziesz sobie tego życzył, to nie będzie złamaniem zasad.

Spojrzenie, jakie dzinn posłał Hankowi, mówiło wyraźnie, że przejrzał już jego zamiary.

Dzieciak popatrzył na Hanka.

- Zgoda. Przebijam twoją stawkę życzeniem i sadzam.

- Sprawdzam, nie sadzam.

Lydia i dzinn nachylili się. Czekali.

- Dobra, sprawdzam - powiedział Theodore.

Hank wyłożył swoje karty.

- Ful na królach, mały. Patrz i płacz! - Roześmiał się zacierając ręce.

Dzinn westchnął i pokręcił głową. Lydia cofnęła się. Widać było, że jest rozczarowana.

Chłopiec wpatrywał się w karty Hanka leżące na piasku, potem przeniósł wzrok na listę wyrysowaną obok. Zmarszczył czoło i poszukał wzrokiem Lydii.

- Co bije fula?

- Karetą - powiedziała czytając.

- I asy są najwyższe?

Przytaknęła.

Theodore spojrzął na Hanka. I na Muddy'ego. Znowu zaczął wpatrywać się w swoje karty.

Mężczyzna podnosił już garnek, ale zatrzymał się. Twarz malca nagle pokraśniała z zadowolenia. Zwrócił oczy na dzina i powiedział:

- Chcę mieć karetę asów.

Ostry, fałszywy dźwięk organków przeszywał powietrze. Muddy skrzywił się i zatkał uszy rękami. Patrzył przed siebie. Jakies trzysta metrów dalej Theodore biegał po piasku. Na głowie miał czapkę Hanka obróconą tyłem do przodu i głośno wygrywał na organkach.

Hank patrzył ponuro na chłopaka i wymamrotał do Margaret:

- Zaraz popękają mi bębenki.

Przysiadła obok niego na skale i przecierała oczy, jakby była śpiąca. Westchnęła bardzo ciężko.

- W każdym razie mając buzię zajętą organkami nie może powiedzieć „życzę sobie”.

Chłopiec wydobył właśnie z instrumentu bardzo wysoki i bardzo fałszywy dźwięk.

Wszyscy się wzdrygnęli.

- Boże... - jęknął Hank.

Margaret rzuciła okiem na chłopca.

- Jest na pewno utalentowany... ale w innej dziedzinie.

- Taaa... ma talent do pokera. - Hank przeczesał ręką włosy.

- Do tej pory nie mogę uwierzyć, że zmarnował życzenie na grę w karty - powiedziała Margaret wpatrując się w ziemię. I jakby mówiąc do siebie, dodała: - Powinnam była wziąć taką możliwość pod uwagę.

Hank bezmyślnie przetasował karty, a potem zapatrzył się na nie.

- To było genialne posunięcie.

Margaret spojrzała na niego.

- Co było genialnym posunięciem?

- Paskudne karty, jakie dałem dzieciakowi. Najgorsze rozdanie, jakie zrobiłem kiedykolwiek.

Na twarzy kobiety pojawił się wyraz powątpiewania. Skierowała wzrok na Muddy'ego. Dzinn wzruszył jedynie ramionami - zdecydował nie mieszać się do niczego i uznawał to za jedyne bezpieczne dla siebie rozwiązanie.

Znowu patrzyła na Hanka.

- Oszukiwałeś pięcioletniego chłopca?

Mężczyzna popatrzył na nią jak na wariatkę. Oho, zaraz będzie awantura, pomyślał Muddy.

- Tak, do diabła! Oszukiwałem!

- O, przepraszam, myślałam po prostu, jak głupia, że dorosły mężczyzna może zwyczajnie wygrać z dzieckiem, zwłaszcza w tak męskiej grze.

Nagły ryk organków wypełnił powietrze i zagłuszył odpowiedź Hanka. Zdaniem Muddy'ego dobrze się stało dla obojga. Potrafił bowiem czytać z ruchu warg.

Theodore powtórzył zabawę jeszcze trzykrotnie. Dźwięk przewiercał dzinnowi zęby aż do korzeni. Spojrzał na Margaret i zauważył, że z wrażenia otworzyła usta. Hank mruczał pod nosem; brzmiało to jak: „Jęk tysiąca umierających gęsi”.

- Hej, Hank! - Malec podbiegł do mężczyzny machając organkami.

- Co, mały?

- Słyszałeś? - Theodore wygrał jeszcze pięć dodatkowych, równie fałszywych nut. - Jak ci się podoba?

Hank zamrugał, rzucił spojrzenie w stronę Margaret, która jednak dała mu po prostu znak, żeby radził sobie sam.

- Robię jakieś postępy? - Chłopczyk wpatrywał się w Hanka jak w wyrocznie.

Mężczyzna milczał jak głaz. Patrzył na Theodore'a z tym samym fatalistycznym i trochę zakłopotanym wyrazem oczu, jaki demon widział u pani O'Leary, gdy oglądała płonące Chicago.

Małuch spojrzał na organki z nadzieją, jaką mogą mieć tylko bardzo młodzi ludzie.

- Chciałbym...

Hank i Margaret zerwali się z miejsc w tej samej chwili. Oboje przypadli do dzieciaka.

- Żadnych życzeń! - wołali oboje.

Hank pierwszy zakrył chłopcu usta ręką. Chłopiec patrzył szeroko otwartymi oczami. Kilkakrotnie zamrugał.

- Zrozumiałeś, mały?

Theodor skinął głową. Hank bardzo powoli odsunął rękę.

- Przepraszam - odezwał się chłopiec spuszczać głowę. - Zapomniałem. Jeszcze chwila i wypowiedziałbym ostatnie życzenie, prawda?

Margaret objęła wąskie ramiona dziecka.

- Theodorze, dałeś nam słowo, że się z nami naradzisz, zanim wypowiesz swoje następne życzenie. Wiem, że bardzo się starasz, żeby dotrzymać tej obietnicy.

Piegowata buzia stała się bardzo poważna. Chłopiec przytaknął.

- A my obiecaliśmy ci w zamian, że nie będziemy już prosić, żebyś zabrał nas z wyspy. Taka była umowa.

- Pamiętam.

Poklepała go po plecach.

- Byłam pewna, że nie zapomniłeś.

- Czy teraz gram już trochę lepiej? - Powiedziawszy to przyłożył organki do ust i dmuchnął z całej siły. Twarz mu poczerwieniała.

Margaret wzdrygnęła się, a Hank zgarbił i objął głowę dłońmi.

- Czy to dobrze brzmi, Hank?

Hank odwrócił się bardzo powoli. Przez chwilę patrzył przed siebie, jakby nie widział wyraźnie. Potem znalazł oczami Theodorem.

- Noszę twoją czapeczkę tyłem do przodu, na szczęście, i bardzo się staram. Czy teraz brzmiało lepiej?

- Taaa...

- Lydia dostaje szału. Powiedziała, że gram tak głośno, aż orzechy kokosowe spadają na ziemię. A jeden o mało nie walnął jej w głowę.

Po kilku sekundach krępującej ciszy Hank uderzył lekko w daszek czapki na głowie chłopca.

- Dobra, mały, popracujemy nad tym.

Theodore uśmiechnął się szeroko.

- Dobra! Bo chyba okropnie gram! - Obrócił się na pięcie i pobiegł.

Nagle przystanął i tym razem spojrzał na Muddy'ego.

- Ty ziewasz - powiedział.

- Tak, panie.

- Chcesz wrócić do butelki?

- Tak, panie.

W butelce było cicho i przytulnie. Spokój. Żadnych kłótni. Żanych organków.

Chłopiec wygrzebał butelkę z kieszeni spodni i wyciągnął przed siebie.

- Zostaw butelkę tutaj, Theodorze - powiedziała Margaret. - Zaopiekuję się nią.

Dzieciak spojrział na butelkę, potem na Muddy'ego. Dżinn skinął potakująco głową. Ufał tej kobiecie. Chłopiec postawił flaszkę na skale obok demona. Uśmiechnął się, pomachał ręką i pobiegł wzdłuż plaży z organkami przytkniętymi do ust.

Muddy westchnął i zaczął lewitować w kierunku otworu butelki.

Dom, pomyślał. Tam czekał go spokój, cisza i dobra książka. Purpurowy dym gęstniał powoli i kłębił się. Sekundę później dżinn gładko prześliznął się przez otwór w szyjce. Ostatnią rzeczą, jaką słyszał, był daleki dźwięk organków powtarzany przez echo.

Margaret usiadła na kamieniu i wpatrywała się w biały piasek u swoich bosych stóp. Powietrze stawało się coraz gęściejsze, słońce było coraz wyżej i coraz mocniej świeciło. Czula jego ciepło na plecach. Dzięki Bogu, zapanowała cisza.

- To nie jest dzieciak - odezwał się Hank. Spojrzała na niego. Patrzył w ślad za Theodore'em. - To jakiś pięćdziesięcioletni karzeł.

Rozumiała stan, w jakim się znajdował. Bardzo szybko przekonała się, że dzieci to jakby inny gatunek stworzeń.

- Niełatwo jest przyznać się, że jakiś pięciolatek zabrał ci wszystko, co miałeś najcenniejszego.

Nie odezwał się więcej.

- Zapomniałam. Tobie nie jest łatwo przyznać się do czegokolwiek.

Obejrzał się i przygwoździł ją spojrzeniem.

- Potrafię przyznawać się do różnych rzeczy.

- O! A do jakich?

- Do tego, że mam rację, a ty jej nie masz. - Zaśmiał się jadowicie.

- Już przez to przesłam.

- Tak, złociutka, z całą pewnością.

Wstała i podeszła do butelki stojącej na kamieniu. Trzy życzenia, pomyślała. Ujęła butelkę i powoli obracała ją w rękach. Trzymała butelkę dżinna. Przez sekundę zastanowiła się, czy ktokolwiek w domu uwierzyłby jej. Jeśli oczywiście wróci kiedyś do domu. To była bardzo smutna myśl.

Zwróciła wzrok w stronę Hanka.

- A gdybyśmy musieli zostać na tej wyspie przez bardzo długi czas?

- Trudno. Bywałem w gorszych miejscach.

Margaret rozejrzała się po otaczającym ją tropikalnym raj. Przeszedł ją dreszcz. Przychodziły jej na myśl takie słowa jak „dwadzieścia lat” albo „trzydzieści lat”.

- O, mój Boże... - Ciężko usiadła na skale. Całe jej ciało stało się nagle bezwolne. Przejęła się posępną i całkiem prawdopodobną wizją. A gdyby nigdy ich nie odnaleziono?

Hank patrzył na sztywno wyprostowane plecy Margaret idącej plażą. Determinacją przypominała pruskiego sierżanta. I miała energię niemieckiego owczarka.

Do diabła... Znowu zaczęła myśleć. Ruszył powoli jej śladem. Niedługo potem zatrzymał się i oparł o kostropaty pień palmy. Nie mógł oderwać oczu od kobiety. Niczym bóbr zabierający się do pracy nad tamą, Margaret zbierała skrupulatnie kawałki drewna wyrzucone przez fale i układała je w stos u podnóża skalistego klifu wdzierającego się w morze, tam gdzie grunt był suchy.

Hank się przyglądał. Margaret zbierała drewno. Stos rósł. Rzuciła w jego stronę przelotne spojrzenie, ale nie przerwała pracy przez następne kilka minut. W końcu odeszła kilka kroków od sterty, oparła ręce na biodrach i krytycznym wzrokiem zlustrowała wyniki swojej pracy.

- Dobrze się bawisz? - zapytał Hank.

Kilkakrotnie zmieniała ułożenie kilku szczap. Wreszcie była zadowolona z rezultatu - naprawdę trudno było domyślić się dlaczego.

- Jeśli chcesz coś zbudować, Smitty, to przypominam ci, że mieliśmy budować chatę.

Przestała układać drewno i zdecydowała się w końcu spojrzeć na niego.

- Gdyby przepływał jakiś statek, powinniśmy być na to przygotowani - powiedziała, ponownie pochyliła się nad stertą i coś przekładała.

- Mhm.

Była w połowie wykopywania nogą płytkiego rowu dookoła stosu, gdy nagle przystanęła, spojrzała koso na Hanka i odezwała się:

- Nie waż się mówić do mnie w taki pobłażliwy sposób.

- Przecież powiedziałem jedynie „mhm”.

- I tak zabrzmiało to fałszywie. - Wyprostowała się; przez chwilę przeszukiwała wzrokiem plażę. - Zastanawiam się, czy nie zbudować jeszcze jednego. - Odwróciła się i przysłoniła ręką oczy, bo stała teraz pod słońce. - Może tam.

Mężczyzna skrzyżował ręce na piersi.

- Czy możesz mi powiedzieć, co skłoniło cię do zajęcia się tym właśnie teraz?

- Czym? - zapytała przez ramię.

Wskazał ręką na stos.

- Skąd ta nagła potrzeba budowania ognisk?

Margaret stała przez dłuższą chwilę. Widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Mocno objęła się ramionami, jakby nagle zrobiło się jej bardzo zimno.

- Nic. - To było wszystko, co miała do powiedzenia.

Mimo takiej odpowiedzi mężczyzna nie odchodził.

- Ognisko sygnalizacyjne z wyłowionych kawałków drewna zbudowałem na skałach już pierwszego ranka naszego pobytu na wyspie.

Odwróciła się w jego stronę. Ciągle jeszcze obejmowała się ramionami.

- Naprawdę?

Potaknął.

Opuściła ręce wzdłuż ciała, a potem przetrąła dłonią czoło. Z westchnieniem podeszła do Hanka. Przystanęła zupełnie blisko, ale nie patrzyła na niego. Jej uwaga skupiona była na bezkresnym oceanie rozciągającym się za laguną.

- Co będzie, jeśli nikt nas nie odnajdzie?

A więc o to chodziło. Hank przykucnął na piasku. Podniósł prążkowaną muszelkę i podobnie jak Margaret zapatrzył się w otaczający ich bezmiar wody.

- W końcu ktoś jednak tu przyplynie.

- Nie ma na to żadnej gwarancji. Może minąć dwadzieścia lat.

- Równie dobrze może to być jutro.

Przez dłuższy czas Margaret milczała. Dochodził ich jedynie odległy dźwięk organków Theodore'a, łoskot fal rozbijających się o skały i pobliski odgłos wody z chłupotem obmywającej piaszczystą plażę.

- Czy ktoś na ciebie czeka? - spytała.

- Na mnie? - Roześmiał się i kilkakrotnie podrzucił w dłoni muszelkę. - Niby kto, Smitty, kochanka czy żona?

Wzruszyła ramionami.

Hank wrócił do wpatrywania się w ocean. Wrzucił muszelkę do wody. Wstał.

- Jestem sam. I nie mam nikogo. - Czekał, licząc, że spojrzy na niego.

Nie zrobiła tego. Usiadła na piasku i podciągnęła kolana pod brodę. Przyglądała się falom. Usiadł obok niej, ot tak, żeby patrzeć na to samo. Nie poruszyła się, co szczerze go zaskoczyło.

Przeniosła wzrok na srebrną butelkę.

- Spójrz, jest bardzo stara.

Rzucił pobieżnie okiem na połyskujący przedmiot. Margaret trzymała butelkę w ręku tak, by srebro odbijało promienie słońca.

- Widzisz te ryty i wzory? Nie były zrobione maszynowo. Są zbyt nierówne. Wszystko, co wyszło spod ludzkiej ręki, jest niedoskonałe.

Nie odzywał się. Chciał wiedzieć, do czego ona zmierza. Wahala się przez chwilę, a potem zapytała:

- Jak myślisz, co by się stało, gdyby to któreś z nas znalazło butelkę?

Jego śmiech nie był przyjemny.

- Już by nas tu nie było.

- Tak, mnie też się tak wydaje. Byłabym z powrotem w San Francisco. - Przerwała na chwilę i zagrzebała stopę w mokrym piasku. - A gdzie ty byś był?

Wzruszył ramionami.

- Gdzieś w Stanach.

- Czy nie ma takiego miejsca, które mógłbyś nazwać domem?

- Wychowałem się w Pittsburgu.

- Co w takim razie przywiodło cię na Morza Południowe? Nie każdy tu trafia.

- Ty trafiłaś.

- Tylko na wakacje. W każdym razie to miały być wakacje. - Spojrzała na niego spod oka. - Nie wydaje mi się, żebyś ty także wybrał to miejsce na wakacje.

Zwrócił na nią oczy.

- A co to ma być, przesłuchanie?

- Nie. - Roześmiała się. - Zwykła ludzka ciekawość. Nie musisz się od razu naburmuszać.

- Słyszałem, że jest tu sporo forsy, złota, pereł wielkości

twoich oczu. Ludzie przyjeżdżają tu w poszukiwaniu skarbów.

- Zatem przybyłeś tu szukać skarbów.

- Mhm, można tak powiedzieć. - Zaczai się śmiać. Skierowała oczy w jego stronę, zmarszczyła czoło.

- Co w tym takiego śmiesznego?

- Nie miałem zamiaru niczego szukać. - Wyjął z kieszeni talię kart. - Miałem wspaniały plan, jak wyciągnąć majątek od frajerów, którzy już skarby znaleźli.

- Ale złapali cię i skończyłeś w więzieniu - powiedziała rzeczowo.

- Nie, nie złapali. - Nie potrafił ukryć zgorzknienia w głosie. - Na tych wyspach nie istnieje pojęcie niewinnego, któremu winę trzeba dopiero udowodnić. - Rzucił muszelką w nadpływającą falę.

- Kodeks Napoleona - wyszeptala i bezmyślnie zaczęła coś rysować palcem na piasku. - Czasami my, Amerykanie, bierzemy wszystko jako zupełnie naturalne, podczas gdy jest to coś, co powinniśmy bardzo sobie cenić.

Zapadła cisza, ale tym razem było to wspólne milczenie, jakie nigdy jeszcze im się nie przytrafiło. Wiatr-figlarz bawił się liśćmi pobliskiej palmy. Krab piaskowy przebiegł pas plaży i ukrył się w bezpiecznej norce na linii wody - jedynie bąbelki były dowodem jego obecności.

Po kilku minutach Smitty ponownie zainteresowała się butelką.

- Gdybyś to ty ją znalazł - obracała srebrną flaszkę w rękach - i miałbyś możliwość wypowiedzenia trzech życzeń, o co byś prosił?

- O wolność - odpowiedział bez chwili namysłu.

Czuł na sobie jej wzrok i wiedział doskonale, czego oczekiwała. Chciała zapytać go o wyrok. Zobaczył ciekawość, zainteresowanie i inteligencję malujące się na jej twarzy. Jednak uznał, że powiedział już i tak zbyt dużo.

- A czego ty byś chciała?

Podniósł leżący obok nogi patyk i zaczął dziobać nim piasek. Czekał na jej odpowiedź.

- Zastanawiam się - powiedziała po dłuższym milczeniu.

Zaśmiał się w duchu. Cóż to za niespodzianka - myśląca Smitty. Odrzucił patyk i patrzył, jak fala zabiera go, by za chwilę wyrzucić z powrotem na brzeg.

- Jakie życzenia może mieć pani mecenas? Wygrać każdą sprawę?

- Nie. Kocham ten rodzaj wyzwania, jakie tworzy prawo, sposób, w jaki się ciągle zmienia. To mnie fascynuje. - Przerwała na moment. - Jest coś wyjątkowego w próbowaniu uczynienia świata bardziej sprawiedliwym.

- To brzmi jak jedna z twoich kontradycji, złociutka. Świat nie może być sprawiedliwy.

- Wierzę, że może być sprawiedliwy i że może na nim panować równość.

- To pogoń za cieniem.

- Po to istnieje prawo ustanowione dla nas wszystkich. Pomyśl o tym. Bez prawa panowałby chaos.

- Z prawem też mamy niezły chaos. - Roześmiał się tym razem bardziej zjadliwie. - Jak myślisz, jaki będzie ten cholerny świat za sto lat?

- Będzie znacznie lepszy. Sprawiedliwszy. Zapanuje równość. Będzie prawie doskonały.

Kręcił po prostu głową. Doskonały świat, cóż za idealistyczny obraz. Spojrzał na nią. Taaa, pomyślał, no cóż, jest prawnikiem.

- Dobra, ale wróćmy do twoich życzeń, Smitty. Czego może sobie życzyć prawniczka pracująca po to, aby świat stał się doskonały?

- Pamiętaj, że jestem także kobietą, nie tylko adwokatem.

- Czego w takim razie życzyłaby sobie kobieta?

Pokręciła głową.

- Nie mogę mówić za wszystkie kobiety. Tylko za siebie. Chciałabym wrócić do domu.

- Miałaś trzy życzenia, co w takim razie z pozostałymi?

- Nie wiem, naprawdę nie wiem - powiedziała tak, jakby mówiła do siebie. - To dziwnie brzmi.

- Nie. - Odczekał chwilę i dodał: - Prawdopodobnie nie myślałaś o tym wystarczająco długo.

Powoli przesunęła się i zwróciła przodem do niego. Hank bardzo się starał zachować powagę. Margaret wybuchnęła śmiechem.

- Znowu się wygłupiłam?

- Tak, Smitty, i to fest.

Przestała się śmiać. Wiatr rozwiewał jej włosy i smagał kosmykami twarz. Hank patrzył, jak odgarnia pukle z ust, najpełniejszych ust, jakie zdarzyło mu się podziwiać. Jej ciało i twarz były dokładnie takie, o jakich marzyli mężczyźni w więzieniu - zniewalające spojrzenie, pełne piersi i biodra, wąska talia i nogi, które zdają się nie mieć końca.

Hank był teraz aż do bólu świadom jej urody. Ale nie tak, jakby to miało miejsce w przypadku każdej innej kobiety. Było to bardzo dziwne uczucie. Przyglądał się jej jeszcze przez chwilę i zdał sobie sprawę z kilku innych rzeczy dotyczących Smitty. Był świadom tego, że mogą pozostać na wyspie bardzo długo. Był świadom, jak cholernie długo musiał sobie radzić bez kobiety.

Jej delikatny piżmowy zapach mieszał się z zapachem morza i gęstego powietrza. Był to zapach kobiety, który mężczyźni tak bardzo lubią. Zapach, który mógł doprowadzić do tego, że niektórzy z nich przekraczali pewną linię i po prostu brali to, co chcieli.

On nie zmusił nigdy żadnej kobiety do niczego. Nie potrzebował. I nie zastanawiał się zbyt wiele nad mężczyznami, którzy tak postępowali. Zawsze potrafił znaleźć jakąś wymówkę, by odejść od kobiety. Nigdy też nie było to zbyt brutalne.

Teraz jednak, gdy wpatrywał się w jej profil, a ona rysowała coś bezmyślnie na piasku, poczuł nieodpartą chęć, by jej dotknąć. Przysunął się bliżej, celowo kładąc rękę zaraz za nią.

Stała przodem do niego. Jej oczy rozszerzyły się, gdy zauważyła, jak jest blisko. Popatrzyła na jego usta, a potem zapatrzyła się w jego oczy. Rozchyliła wargi. Głęboko odetchnęła. Wolną ręką odsunął niesforny kosmyk włosów z jej ust i policzka. Objął ją i zanim zdążyła pomyśleć, co się dzieje, pocałował.

Były takie czasy, gdy rzeczywistość zdawała się czymś znacznie gorszym od najśmielszych nawet wyobrażeń. Dla Margaret rzeczywistość objawiła się jako fala - zimne, mokre uderzenie oceanu. Woda obmyła ją, a w sekundę później Margaret zdała sobie sprawę, że turla się po plaży z Hankiem. Jej język był w jego ustach, odwzajemniała pocałunek. Hank leżał na niej przygważdżając do mokrego piasku. Jedną ręką przytrzymał jej głowę.

Druga ręka znajdowała się między jej nogami.

Otworzyła oczy. Zrzuciła go z siebie i wstała tak szybko, że aż zrobiło się jej ciemno przed oczami. Zakryła oczy dłonią i wzięła głęboki wdech starając się uspokoić.

Z włosów i twarzy ściekały jej krople wody. Kolejna fala nadpłynęła i obmyła jej nogi sięgając prawie do kolan. Stopy zapadały się w piachu. Morze ciągnęło ją do siebie. Jej ciało także miało swoje plany. Ona sama opierała się obu pokusom. Hank podniósł się i podszedł do niej. Jego cień przesłonił ciepło promieni słonecznych.

Nie chciała patrzeć na niego. To wszystko nigdy się nie zdarzyło. Ponownie głęboko zaczerpnęła powietrza. Bez słowa odwróciła się i zrobiła krok przed siebie.

Chwycił ją za ramię i zmusił, by stanęła przodem do niego.

- Uciekasz?

Stała sztywno wyprostowana. Zażenowanie, wstyd i złość opanowały ją na dobre.

- Nie.

- Jesteś straszną kłamczuchą.

- Pozwól mi odejść.

Nie pozwolił.

- Daj spokój - powiedziała prawie szeptem.

Zakłął i uwolnił jej rękę. W jakiś sposób znalazła dość sił, by na niego spojrzeć.

Także był zły. Oczy płonęły mu gniewem. Uśmiechnął się jadownicie i wyciągnął przed siebie rękę.

- Idź. Zwiewaj tak szybko, jak potrafisz, ale pamiętaj o jednym - utknąłem tu. Ty także. I nic na to nie poradzisz, tak samo jak nie możesz cofnąć tego, co zaszło między nami.

- Nie chcę, żeby cokolwiek było między nami.

- Uwierz mi, złociutka, że ja także nie mam na to ochoty. - Przesunął palcami po włosach i startł z twarzy krople wody.

Mimo złości i zażenowania Margaret czuła, że coś dzieje się teraz między nimi. Pojawiło się napięcie i jeszcze coś - oba te uczucia były jej zdaniem niepożądane. Ale nawet ona nie mogła zaprzeczyć ich istnieniu. Hank miał rację. Odwróciła się do niego tyłem i przycisnęła ramiona do ciała. Po minucie powiedziała cicho:

- W doskonałym świecie byłbyś lekarzem... sędzią albo profesorem. Każdym, tylko nie bandytą.

Przysunął się do niej. Stał teraz bardzo blisko. Jego długi, prawie czarny cień kładł się na piasku.

- Ale ten świat nie jest doskonały i nie jestem ani lekarzem, ani profesorem - mówił jej do ucha niskim, zachrypłym głosem. - Trzeba jednak być bandytą, żeby wiedzieć, że świat nigdy nie będzie sprawiedliwy. Chcesz wiedzieć dlaczego?

Pokręciła głową. Nie chciała tego słuchać. Złapał ją za ramiona i obrócił do siebie.

- Dlatego.

Jego wargi mocno przycisnęły się do jej ust.

Zesztywniała. Nie odpowiedziała pocałunkiem. Ręce miała opuszczone po bokach, nogi złączone, oczy otwarte i pełne złości. On też miał otwarte oczy. Jego spojrzenie było zimne i okrutne. Świdrował ją wzrokiem, jakby chciał, by zobaczyła wszystko tak, jak on to widzi.

Zręcznie puścił ją, lekko odpychając od siebie. Wyraz jego oczu nie złagodniał.

- Rusz mózgowicą i pomyśl o tym. Jestem podobny do wielu mężczyzn. Zbyt wielu. Łapią, co im wpada w ręce. I nieważne jak. Pogódź się z tym, złociutka.

Patrzyła za nim, gdy odchodził. Przyłożyła dłoń do czoła i po prostu stała. Działo się z nią coś niedobrego. Nie miała pojęcia, jak długo tkwiła w tym miejscu wpatrując się w horyzont, a potem w wodę. Po kilku następnych minutach opadła na piasek i pogrążyła się w myślach.

Poczuła się bardzo samotna, znacznie bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Samotna i zagubiona. To idiotyczne.

Zaczęła spisywać na piasku listę słów, pojedynczych, oderwanych słów. Hank. Mężczyzna. Margaret. Pocałunek. Miłość? Ohyda! Wina? Parność. Gorąco. Słońce. Silne przeżycie. Coś... Nic. Patrzyła na spis. Po sekundzie nerwowo wszystko startła.

Dwie godziny później Margaret odgarnęła z twarzy kosmyk włosów i patrzyła na przypalone resztki trzech ryb. Każda z nich mierzyła co najmniej trzydzieści centymetrów. Teraz przypominały bardziej małe, szerniałe złote rybki.

Wzięła jeden z rożenków wystruganych przez Hanka. Drewno było solidnie okopcone. Patyk złamał się na pół. Druga połowa razem z rybą wpadła do ogniska. Margaret patrzyła w ogień nie mogąc uwierzyć, że oto spaliła kolejny posiłek.

- Czy ryby są już gotowe? - spytał Hank podchodząc do niej razem z dziećmi.

Spojrzała na ryby, a potem na niego.

- Tak, można to tak ująć.

- To dobrze! - Obszedł ją dookoła, rzucił okiem na ognisko i wrzasnął: - A niech to cholera, Pięknotko!

Mocno zakłopotana, mając świadomość porażki, Margaret popatrzyła na dzieciaki. Widać było, że są głodne. Zmusiła się do uśmiechu.

- Czy ktoś chce banana?

Działo się coraz gorzej. Był to jeden z tych paskudnych dni, kiedy nic się nie udaje, a człowiek marzy tylko o tym, żeby wreszcie nadeszła noc. Smitty zajęła się dziećmi.

Wykąpała Theodore'a i pozwoliła mu zająć się własnymi sprawami. Po chłopcu przysła kolej na mycie Lydii. Dziewczynka wypucowała się dokładnie i przebrała w znalezionej w jednym z kufrów flanelową koszulę nocną.

W jasnych promieniach słonecznego popołudnia Margaret wyszczotkowała włosy dziewczynki i związała je niebieską wstążką. Suszenie i czesanie włosów Lydii, przerywane chwytaniem Annabelle, która zdawała się robić wszystko, żeby wpaść do wody, i powstrzymywaniem jej przed zjedzeniem motyla, dwóch żuków i liści zerwanych z okolicznych krzaków, trwało ponad godzinę.

- Gotowe - powiedziała Margaret i ze szczotką w ręku odeszła o kilka kroków. Miała nadzieję, że zobaczy uśmiech na twarzy dziewczynki.

Wystarczyłyby choć cień zadowolenia w oczach. Lydia przyklękła nad brzegiem jeziora i na widok własnego odbicia zmarszczyła czoło. Podniosła się szybko.

- Zabiorę Annabelle, teraz ty będziesz mogła się wykąpać - powiedziała. I ani słowa więcej.

Żadnego „dziękuję” albo „podoba mi się”. Nic. Lydia wręczyła Margaret mydło. Zupełne fiasko. Patrzyła na odchodzącą w stronę skał dziewczynkę i zawołała:

- Lydia!

Mała obejrzała się.

- Podoba ci się nowa fryzura?

Lydia wzruszyła ramionami.

- Mama zawsze zawiązywała mi żółtą wstążkę – powiedziała i zniknęła razem z siostrzyczką za skalnym wyłomem.

Margaret pokręciła głową. Odłożyła mydło, rozebrała się i weszła do wody. Pomyślała, że następnym razem powinna pozwolić dziewczynce samodzielnie wybrać wstążkę.

Przyjrzała się własnemu odbiciu. Wyglądała tak, jakby ją ktoś połknął i wypluł. Prawdę powiedziawszy, nawet gorzej. Zanurkowała i wypłynęła na powierzchnię. Ponownie spojrzała na swoje odbicie i zastanowiła się, kim jest kobieta patrząca na nią z lustra wody. Była adwokatem, nie była matką.

Była inteligentną i zdolną kobietą, której większość rzeczy przychodziła w sposób naturalny, bez większego wysiłku. Ojca i wujów zawsze zadziwiała łatwość, z jaką zgłębiała zawilosci prawa, jakby urodziła się już z wiedzą na ten temat. Zawsze potrafiła znaleźć jakieś wyjście z trudnej sytuacji.

Ale tu, na wyspie, z dziećmi i Hankiem, wszystko brało w łeb. Nie rozumiała zupełnie dzieci, tak samo jak nie rozumiała Hanka. Chodziło przecież nie tylko o jej brak smykałki do robienia rzeczy tak prostych jak choćby gotowanie. Stało się to swego rodzaju symbolem rzeczy, które są dla niej nieosiągalne.

Dzieci nie uznawały żadnych porządków, a to rozbijało całą jej metodyczność. Pełniąc teraz rolę matki nie miała zupełnie czasu dla siebie. Zaczęła zastanawiać się, jak prawdziwe matki radzą sobie, by wszystko było zrobione na czas, mimo że pociechy ciągle im przeszkadzają.

W pięć minut później wydarzyło się coś, co szybko sprowadziło ją na ziemię.

Annabelle zaniósła się płaczem. Margaret słyszała ją wyraźnie. Podpłynęła do brzegu jeziora, gdzie na skalnej półce leżała pozostawiona samej sobie kostka mydła.

Dzieciak krzyczał:

- Mama!

Margaret próbowała się namydlić. Annabelle wołała raz po raz. Margaret mocniej pocierała skórę, powtarzając sobie, że z małą jest Lydia i że za chwilę wszystko na pewno będzie w porządku. Umyła włosy i zanurkowała, ale nawet pod wodą słyszała przeciągły krzyk małej.

Wyszła z wody i wytarła się. Nałożyła flanelową koszulę nocną (wyciągniętą z tego samego kufra, co przyodziewek Lydii). Rękawy były za krótkie, podobnie dół. W obwodzie piersi brakowało około trzech centymetrów.

- Moja maleńka - szeptała pod nosem podciągając rękawy powyżej łokci i wspinając się po skałach. Dzieciak darł się, wierzał i kopnięciami odpychał od siebie siostrę. Potem mała zauważyła Margaret i zawołała jeszcze głośniejszym głosem:

- Mama!

Lydia zbladła.

- Maaaaaama!

Margaret wyciągnęła rękę do Annabelle.

- Wezmę ją - powiedziała.

Starsza siostra spojrzała na młodszą, która wyrwała się z jej objęć i pochlipywała, aż od płaczu dostała czkawki. Podała ją Margaret. Widać było, że robi to bardzo niechętnie, że bardzo cierpi. Potem odwróciła się i na sztywnych nogach odeszła.

- Lydia, zaczekaj, proszę! - zawołała Margaret sadowiąc sobie dziecko na biodrze.

Dziewczynka nie zareagowała.

- Przepraszam... ja...

Lydia zniknęła za skałą po drugiej stronie prześwit. Wpatrując się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą widać było niewysoką postać, Margaret poddała się ogarniającemu ją poczuciu porażki. Pytała samą siebie, jak to się dzieje, że inteligentna i wykształcona kobieta mimo najlepszych chęci wszędzie wprowadza zamęt.

Spojrzała na Annabelle. Dziecko spało smacznie przytulone do jej ciała.

W tej właśnie chwili Margaret, inteligentna i wykształcona kobieta, zdała sobie sprawę z czegoś jeszcze - nie miała absolutnie żadnych zdolności do natychmiastowego przedzierzgnięcia się w matkę.

Ciche pukanie w ściankę butelki obudziło Muddy'ego. Przetarł zmęczone oczy i popatrzył na zatyczkę. Gdyby to jemu trafiła się okazja wyrażenia trzech życzeń, jednym z nich byłoby z pewnością posiadanie normalnych drzwi.

Zsunął nogi na dywan. Odezwały się dzwoneczki przy cizmach. Wstał i przeciągnął się.

- Muddy? - doszedł go głośny szept. - Nie śpisz już?

Przyłożywszy dłonie do ust, dzinn krzyknął:

- Nie, panie!

Zatyczka odskoczyła, a w otworze szyjki pojawiło się wielkie niebieskie oko.

- Wyjdiesz?

- Tak, panie, gdy tylko odsuniesz oko od butelki.

- Ach! - Oko mrugnęło i wycofało się. - Teraz dobrze?

Muddy uniósł się nad dywan i w sekundę później prześlizgiwał się przez szyjkę flaszki. Dym szybko rzedniał. Oczom demona ukazał się Theodore, znowu zaglądający do butelki.

- Co ty tam masz? - dopytywał się malec.

- Może sam chciałbyś zobaczyć?

Chłopak przerwał absorbujące go zajęcie. Spojrzał na dzinna. Po jego twarzy widać było, że dałby wszystko za możliwość wejścia do butelki.

- Naprawdę mógłbym?

Muddy rozłożył ręce - był to głupawy gest, który jednak jakiś matoł uznał w zamierzchłej przeszłości za bardzo „dzinnowy”. Oby Allah wybaczył mu ten żalony pomysł!

Demon skierował wzrok na chłopca, który wiercił się w miejscu podekscytowany. Wyciągnął przed siebie dłoń.

- Podaj mi po prostu rękę, panie.

Theodore podbiegł i chwycił dzinna za palce. W chwilę potem purpurowy dym, niczym miniaturowa trąba powietrzna, zawirował dookoła nich, po czym obaj unieśli się w powietrze.

- Kurczę blade!

Krażyli dookoła butelki jak ptaki nad gniazdem. Theodore zaczął chichotać, a potem roześmiał się głośno. Muddy postanowił zafundować mu kilka dodatkowych okrążeń w kłębach dymu.

Robili właśnie ostatnie kółko i znikali w szyjce butelki, gdy Lydia wyłoniła się zza skały.

- Patrz, Lidi! Patrz! To ja! Frunę do butelki!

I już ich nie było.

- Gdzie mały?

Margaret ułożyła Annabelle w skrzynce przerobionej na dziecinne łóżeczko i dopiero wtedy spojrzała na Hankę. Patrzył na nią niezbyt przyjaźnie.

- Theodore? Nie widziałam go.

- Ani ja. - Hank rozglądał się po okolicy. - A gdzie jest Lydia?

- Odeszła stąd kilka minut temu.

- Rany boskie! Nie możesz ich upilnować?

Wstała powoli. Ręce zacisnęła w pięści.

- Jedną chwileczkę...

- Idź po nią.

Niespiesznie policzyła do dwudziestu pięciu, a potem odezwała się spokojnie i rzeczowo:

- Nie mogę odejść od małej. Właśnie zasnęła.

Zaklął wystarczająco głośno, by obudzić dziecko. I udało mu się to.

Annabelle zaczęła płakać, a Hank znowu puszył się jak paw.

- No, tak. Teraz już nie śpi.

Margaret spoglądała to na niego, to na małą.

- Dobrze - powiedziała wreszcie i ruszyła w stronę skał. - Poszukam Lydii.

- Dokąd ty, do cholery, idziesz?

Nie oglądając się za siebie, uniosła koszulę powyżej kolan i zaczęła szybko biec.

- Smitty! Nie możesz zostawiać mi tego dzieciaka! Niech to szlag! Wracaj!

Przyspieszyła, mocniej ściskając w dłoni koszulę. Oddech stał się płytki, jak u biegacza. Tak, nie straciła tej umiejętności. O nie, sir! Biegła niczym długonoga antylopa - zresztą właśnie takie przezwisko nadały jej koleżanki, gdy jeszcze startowała w szkolnej drużynie.

- Smitty! Cholera!

Śmiała się ze splatanego złośliwego figla i pokonała ostatnie trzysta metrów trasy w bardzo krótkim czasie. Udało jej się zrobić z Hanka durnia.

Annabelle wpatrywała się w Hanka znad krawędzi skrzynki. Z tak poważnym i onieśmiałym spojrzeniem mogłaby śmiało występować jako sędzia.

- Cholela! - powtórzyła, wetknęła sobie dwa paluszki do buzi i dalej go obserwowała.

Patrzył na nią spod oka. Dziewczynka kucnęła chowając główkę za drewnianą ściankę, by za chwilę pojawić się ponownie.

- A kuku!

- Taaa... taaa, a kuku i tobie.

Mała powtórnie ukucnęła.

Hank przewrócił oczami. Wspaniale! Będziemy tu siedzieć i bawić się w „a kuku” przez cały cholerny dzień. Pokryta rudymi loczkami główka wychynęła zza brzegu skrzyni i para błyszczących oczu napotkała jego wzrok.

- Tata!

- O, nie! Nie ma mowy! - Wyciągnął przed siebie ręce, jakby chciał się przed czymś obronić, i tak gwałtownie się cofnął, że wpadł na drzewo. - Żaden tata! - Wskazywał kciukiem swoją klatkę piersiową - Hank! Rozumiesz, mała? Ja jestem Hank.

Dziewczynka uśmiechnęła się do niego szeroko, po czym wyjęła z buzi palce i pomachała rączką.

- Ceść!

Hank nerwowo przechadzał się w tę i z powrotem, przeczesał ręką włosy i klął w duszy na czym świat stoi - a trzeba przyznać, że repertuar miał nielichy. Annabelle wydostała się w tym czasie ze skrzynki i ruszyła biegiem w jego stronę na krótkich, niezupełnie jeszcze wprawnych nóżkach.

Hank osłupiał. Dziewczynka trzymała w ręku banana. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem - niewinność z cynizmem. W końcu Hank schylił się, a ona wręczyła mu banana.

- Jesteś głodna, mała?

Tylko się roześmiała. Obrął owoc. Podsunęła się bliżej. Nie wiedzieć kiedy wsadziła mu palec do nosa.

- Noś - powiedziała na tyle wyraźnie, na ile to było możliwe w jej wykonaniu.

Zaskoczyła go. To prawda.

- Noś Hanka.

Roześmiał się.

- Mhm. To mój nos.

Usiadł na piasku i wyciągnął w jej stronę banana.

- Trzymaj, mała.

Chwyciła owoc i ścisnęła tak silnie, że miąższ wytrysnął jej między jej malutkimi paluszkami. Przyjrzała się temu uważnie, przeniosła wzrok na Hankę i powiedziała:

- Choleła!

- Masz absolutną rację. Jesteś sprytna, mała.

Kawałek banana został jednak wepchnięty do buzi, potem Annabelle zaczęła oblizywać sobie rączkę. Wdrapała się Hankowi na kolana, usadowiła wygodnie, oparła pleckami o jego pierś. Nóżki zwiesiła po obu stronach jego uda.

Hank nie mógł oderwać od niej oczu. Machała jedną nogą. Miała pulchne stopy, pulchne ręce i pulchne nogi, które robiły wrażenie zbyt krótkich na to, aby rzeczywiście mogły być jej w czymkolwiek pomocne.

- No więc, mała... gdzie masz włosy?

- Włossss - powtórzyła za nim i wskazała na swój nos marszcząc go zabawnie.

- Nie. To nos.

- Włossss.

- Nos.

- Włossss - nie dawała za wygraną i dwa razy porządnie wydmuchała przez nos powietrze.

Mężczyzna roześmiał się i pokiwał głową.

- To raczej odgłos.

Jeszcze raz wydmuchała powietrze nosem i zaśmiała się razem z nim.

Popatrzył na rude włoski.

- Hmm, prawdopodobnie nie musisz wiedzieć nic o włosach do czasu, aż dorośniesz.

Zręcznie ześliznęła się z jego kolan i zbliżyła buzię do jego twarzy. Uniosła do góry umorusany palec i zaczęła pakować mu go w oko.

Złapał ją za przegub ręki.

- O, nie, nie wolno.

- Oci.

- Mhm. To są moje oczy.

Wytarła lepiącą się rękę o jego spodnie.

- Nogi.

- Mhm.

- Dupa! Dupa! Dupa! - Przy każdym słowie uderzała go lekko w usta.

Wpatrywał się w dziecko przez dłuższą chwilę. Mała schyliła się i zgarnęła kolejną garść bananowego miąższu.

- Smitty ma rację, mała. Nie powinnaś używać takich słów. To brzydkie słowa.

- Bzydki wilk. - Nadęła policzki i wypluła banana. Cofnął się odruchowo, ale i tak musiał się wytrzeć.

- Taaa... taaa, mała. - Podał jej następny owoc. - Jedz. Później pogadamy.

Wrzuciła banana w piasek. Spojrzał na nią groźnie.

- Nie masz już ochoty na banana, he?

- Nie.

- Dobra, wcale nie mam ci tego za złe, chyba wszyscy mamy ich już dość. - Rozejrzał się dookoła, ale dostrzegł jedynie stertę niedojrzałych owoców.

Podrapał się po brodzie. Potem postawił dziewczynkę na nóżki i sięgnął po jej rączkę.

Była wypačkana resztkami rozgniecionego owocu. Rąbkiem koszuli wytarł jej paluszki, wziął małą na ręce i podrzucił do góry.

Zacząła się głośno śmiać.

- Ecie! Ecie!

Zanim zrobił to po raz kolejny, kątem oka zauważył łązącą w pobliżu, znieawidzoną kozę, która spokojnie pasła się na trawie blisko drzewka imbirowego.

Przez pełną minutę obserwował bydlę bardzo uważnie, a potem popatrzył na Annabelle.

- Co powiesz na odrobinę mleka, mała? Mleka się nie gotuje, więc Smitty nie będzie miała okazji go zmarnować... chociaż po niej można się i tego spodziewać.

Koza obrzuciła ich spojrzeniem i zabeczała. Hank ponownie przyjrzał się jej bardzo dokładnie. Nie robiła wrażenia zaniepokojonej. Opuściła łeb i spokojnie skubała źdźbła.

Hank rozejrzał się wokoło i posadził małą na kamieniu.

- Nie ruszaj się stąd. Rozumiesz?

Uśmiechnęła się. Przez chwilę patrzył na nią, a potem wzruszył ramionami.

- Do licha, mogę to chyba uznać za „tak”.

Przez prześwit w zaroślach dotarł do skarbów Pięknotki. Zabrał żeliwny garnek i ruszył w stronę kozy. Kiedy był już tylko jakiś metr od niej, koza zwróciła na niego uwagę. Rozpoczął się pojedynek na spojrzenia.

Koza mrugnęła pierwsza i wróciła do skubania trawy. Niezle, pomyślał, i podszedł jeszcze bliżej. Powoli wsunął garnek pod wymię. Jeszcze wolniej kucnął. Oparł ręce na zgiętych kolanach i zerknął na zwierzę.

Żuła trawę nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Sięgnął do wymienia.

Bydlę ruszyło się, i to tak, że zadem ocierało mu się teraz o twarz.

- Cholela!

Rzucił małej karcące spojrzenie. Dziewczynka cały czas siedziała na kamieniu i obserwowała go tak uważnie, jakby od tego zależał jej los. A Smitty próbowała mu wmówić, że zajmowanie się dzieckiem jest bardzo trudne. Och, te kobiety... Wszystko stanowi dla nich problem.

Ponownie zwrócił się przodem do kozy. Cios kopytem trafił go prosto w brzuch. Wypuścił powietrze z płuc i zgiął się wpół.

- Boże...

Potrząsnął głową; odzyskał możliwość koncentracji wzroku akurat w chwili, gdy koza znajdowała się już poza jego zasięgiem. Wziął głęboki wdech. Sekundę później skoczył w kierunku bydlęcia.

Ta cholerna bestia uciekała prawie tak szybko jak Smitty. Ganiał ją po całej polanie, wbiegał pomiędzy drzewa, okrążał krzaki, potem w dół, plażą i dookoła skał.

Przez następne pięć minut koza wymykała mu się skutecznie. Mała klaskała w rączki i śmiała się radośnie powtarzając każde przekleństwo, które ciskał. Obszedł skały i po raz ostatni postanowił złapać kozę. Jednak znowu umknęła.

Leżał na brzuchu starając się odzyskać oddech. Trwało to jakiś czas. Cholera, chyba się starzał. Uniósł trochę głowę i zobaczył jedynie kozi ogonek znikający między gęstymi krzakami dżungli.

Annabelle klaskała.

- Fajne! Fajne!

Spiorunował ją wzrokiem.

- Myślisz pewnie, że to strasznie zabawne?

Uśmiechnęła się szeroko.

- Taaa, pamiętaj jednak, że wiem, kiedy się wycofać.

Uklęknął, ponownie wziął głęboki wdech i wstał. Ruszył w kierunku miejsca, gdzie zostawił garnek Smitty.

- Ceść!

- Tak, tak, mała. Wiem, że tu jesteś. - Nachylił się i podniósł naczynie.

- Cholelna koza!

Hank zatrzymał się w pół kroku, odwrócił w stronę małej i spojrzał na nią zdumiony.

- Co takiego?

W tej samej chwili koza ubodła go prosto w zadek.

Margaret zapuściła się w dżunglę graniczącą z plażą. Znalazła się w innym świecie. Liście paproci i pnący się, wszędobylski bluszcz tworzyły naturalne ściany wąskiej ścieżki prowadzącej zygzakiem w głąb coraz mroczniejszego i gęściej zarośniętego bambusami królestwa roślin. Było duszno i parno. Czuło się wszechobecną wilgoć.

Nawet dźwięki słyszane tutaj wydawały się inne. Ptaki wyśpiewywały swoje trele, owady brzęczały, grały i cykały w oszałamiającym tempie. W gęstym powietrzu ta tropikalna symfonia nabierała przedziwnego brzmienia. Wysokie drzewa hebanowe, dostojeństwem przypominające kolumny w gmachu sądu, opuszczały długie gałęzie, które splatały się z pnączami.

Tęczowo kolorowe orchidee znaczyły swą obecność jaskrawą barwą widoczną na tle ciemnozielonych połyskujących liści bluszczu. Strzępy mgieł przesuwwały się niczym smętne duchy, niedostępne dla palących promieni słonecznych.

Na płatkach kwiatów, na liściach drzew, krzewów i pnączy krople rosy zlewały się w krótkotrwałe rzeki, spływające wolno w dół. Skóra Margaret nie różniła się w tym od liści. Potoki wilgoci spływały po niej obficie. W miarę jak zapuszczała się coraz dalej,

ścieżka stawała się szersza. Było coraz ciemniej. Deszczowy las, pokryty grubym baldachimem z liści witał ją otchłanią zielonego mroku.

Zupełnie nagle zapanowała cisza. Świat dookoła jakby zastygł w bezruchu. Żadnego wiatru. Żadnego dźwięku. Po prostu dżungla.

Margaret zwolniła tempo marszu. Nagle, niby wycięty ręką olbrzyma maleńki raj, ukazała się jej oczom polana, gdzie fuksje i orchidee zwisały z gałęzi drzew niczym naturalne klejnoty. Promienie słońca przeświecały przez pokryte kropelkami rosy liście rzucając na wszystko roziskrzone światło do złudzenia przypominające blask kryształowych żyrandoli. Pokryta mchem i porostami ziemia połyskiwała tęczowo. To było prawdziwe imperium kolorów.

I właśnie tutaj, na spróchniałym pniu powalonego drzewa, siedziała Lydia. Zwrócona tyłem do Margaret, nie zauważyła jej nadejścia. Ramiona dziewczynki co chwila wstrząsał szloch. Kobieta przystanęła bezszelestnie. Bała się poruszyć. Lydia płakała. Ukryła twarz w dłoniach i szlochała. Była zbyt młoda, by tak rozpaczać.

Margaret rozumiała jej poczucie osamotnienia. Pamiętała własny strach i wszechogarniającą samotność, choć otaczała ją miłość ojca i wujów. Płakała tak samo jak Lydia. Jej także towarzyszył pusty, rozdzierający serce szloch, krzyk rozpacz po stracie najbliższych.

Instynktownie wyciągnęła rękę w stronę dziewczynki, ale wstrzymała się, niepewna, co powinna zrobić. Jak wytłumaczyć komuś tak młodemu, że czas i dojrzałość złagodzą poczucie zagubienia i pomogą pogodzić się ze wszystkim? Dla Lidii wydarzenia z niedawnej przeszłości były jeszcze zbyt świeże i zbyt bolesne.

Margaret usłyszała za sobą trzask łamanych gałązek. Coś biegło przez dżunglę. Błyskawicznie ukryła się za porośniętym dzikim winem pniem drzewa. Ścieżką truchtała koza, zdążając wprost na polankę.

Lydia odsłoniła twarz i odwróciła się. Przez chwilę zwierzę i dziewczynka mierzyli się wzrokiem. W końcu mała otarła oczy wierzchem dłoni.

- Chodź tu, kózko. Chodź.

Nikomu, ani Hankowi, ani Theodore'owi, ani nawet Margaret nie udało się oswoić bydłęcia na tyle, by stało spokojnie podczas najbardziej nawet nieśmiałych prób wydojenia. Dziewczynka pogłaskała kozę. Zwierzę przysunęło się bliżej i zaczęło szturchać ją pyskiem.

- Dobra kózka - szeptała Lydia i położyła głowę na włochatym grzbiecie. Obejmując kozę za szyję, znowu się rozplakała.

W beładnych słowach opowiadała jej o tym, jak bardzo jest samotna, zagubiona i zrozpaczona. Urywane strzępki zdań zdawały się nie mieć żadnego sensu, ale Margaret pojmowała ich znaczenie.

Zanosząc się płaczem dziewczynka opowiadała, jak bardzo była przerażona, opuszczona przez wszystkich i że nikt jej nie rozumiał. Objęła kozę na tyle mocno, że zwierzę głośno zabeczało, ale nie ruszyło się z miejsca.

Lydia odrobinę rozluźniła uścisk i głaskała kozi grzbiet.

- Przepraszam - powiedziała do kozy - za mocno cię przytuliłam. Nie chciałam tak bardzo cię ścisnąć. To chyba... Chyba przez to, że się boję... bo nie ma już nikogo, kto by mnie przytulił.

Margaret oparła się o pień drzewa, pocierała czoło dłonią i starała się zebrać myśli. Odczekała kilka minut i zawołała:

- Lydia!

Zaraz potem ruszyła w jej stronę robiąc tyle hałasu, ile tylko można.

- Lydia! - Przystanęła na skraju polany. - O! Więc tu jesteś.

Dziewczynka zdążyła się już wyprostować. Siedziała sztywna, jakby połknęła kij.

Przez kilka następnych sekund Margaret nie poruszyła się.

- Jakie to ładne miejsce.

Mała nie odezwała się słowem. Dobrze... i co teraz?

Dziewczynka bawiła się brodą kozy. Margaret nagle weszła na polanę. Przystanęła obok Lidii.

- Co tu robisz?

- Zaplatam kozie warkoczyk na brodzie.

- O?! Po co?

- Bo to dziewczynka, a moja mama zawsze mówiła, że dziewczynki powinny nosić warkocze.

Kobieta usiadła przy dziecku. Ich ramiona delikatnie otarły się o siebie. Lydia odsunęła się o kilka centymetrów. Margaret spojrzała na włosy małej związane niebieską wstążką.

- Nigdy się tego nie nauczyłam.

- Czego?

- Plecienia warkoczy. - Mówiąc to Margaret roześmiała się z nadzieją, że może to właśnie skruszy między nimi pierwsze lody. - Przez całe życie nie mogłam się tego nauczyć.

Lydia milczała.

- Powinniśmy dać kozie jakieś imię. Według mnie wołanie na nią „koza” nie jest miłe. Zgadzasz się ze mną?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Mogłabyś nadać jej imię - zaproponowała Margaret.

- W tej chwili nic nie przychodzi mi do głowy – powiedziała Lydia puszczając brodę kozy.

Margaret wpatrywała się w płataninę łądyg dzikiego wina wijącego się w splotchach po zarosłej mchem ziemi. W jej uczuciach panował podobny mętlik. Nie wiedziała, co powiedzieć, by ulżyć Lydii. Pragnęła pomóc dziewczynce, tym bardziej że jednocześnie wiedziała, iż w ten sposób może pomóc samej sobie. W końcu zwróciła oczy na małą i zapytała:

- Dlaczego tu przyszedłeś?

- Bez powodu.

Ostentacyjnie rozejrzawszy się dookoła, Margaret powiedziała:

- To bardzo ciche i trochę odosobnione miejsce.

- Lubię być sama. - Lydia splotła dłonie na kolanach.

- Naprawdę? Ja nigdy nie lubiłam. Po tym, jak umarła moja mama, minęło bardzo dużo czasu, zanim mogłam wytrzymać w samotności.

Kostki na zaciśniętych dłoniach dziewczynki pobiełały. Odwróciła się do Margaret. Na policzkach widać było ślady łez, oczy miała zaczerwienione, usta lekko opuchnięte.

- Twoja mama umarła?

Margaret potaknęła i zapatrzyła się we własne dłonie. Miała wrażenie, że gdyby Lydia patrzyła jej teraz prosto w oczy, trudno by jej było słuchać uważnie.

- Po tym nigdy nie chciałam być sama. Myślę, że bałam się wtedy, że gdy zostawię kogoś z bliskich, to on także umrze. - Przerwała na chwilę, a potem dodała: - Niczego tak się nie bałam jak samotności, niczego.

- Nie jestem sama - powiedziała Lydia niepewnie, jakby walczyła ze sobą wymawiając te słowa. - Mam Annabelle i Theodore'a.

- Masz rację, oni są z tobą.

Zapadło milczenie. W końcu dziewczynka przerwała je pytaniem:

- A kto tobie został?

- Ojciec i wujowie.

- Nie masz ani braci, ani sióstr?

Margaret pokręciła głową.

- Ojej.

Lydia zerwała orchideę z pobliskiej gałązki i bezmyślnie bawiła się nią. Po chwili zaczęła obrywać różowe płatki, które powoli opadały na ziemię.

- Wiedzieli, że się boisz?

- Nie mam pojęcia. Ojciec miał wtedy ze mną sporo kłopotów.

Nie dość, że rozpaczał po mamie, to musiał jeszcze martwić się o mnie.

- Płakał po niej?

- Tak myślę.

- A ty płakałaś?

- Tak. Płacę do tej pory. Ale teraz już rzadziej.

- Naprawdę? - Dziewczynka wydawała się zaskoczona. - Ile miałeś lat, jak ona umarła?

- Siedem. - Margaret zaczęła przypatrywać się kwitnącym dookoła kwiatom. - Byłam za mała, żeby dobrze ją zapamiętać, i za duża, żeby zapomnieć o niej zupełnie.

- Ja będę ich zawsze pamiętać - powiedziała Lydia cicho; w jej głosie słychać było upór. - Zawsze.

Trochę niezdarna w tej nowej sytuacji, Margaret siedziała obok Lydie. Otworzyła się przed tym dzieckiem. Chciała wskazać jej drogę, jak wyjść ze ślepej uliczki bólu i rozpacz. Teraz rozumiała jeszcze lepiej, przez co sama przeszła - pomagała jej wiedza o tym, że mijający czas łagodzi stratę i bolesne wspomnienia.

Patrzyła na Lidę. Nic sympatii zawiązała się między nimi.

- Tak - powiedziała spokojnie i pewnie - zawsze będziesz o nich pamiętać.

- Poczekaj, muszę się upewnić, że wszystko dobrze zrozumiałem. Chcesz, żebym wziął za rękę faceta z kolczykami w uszach, dzwoneczkami przy butach i czerwonych pantalonach, poleciał z nim otoczony purpurowym dymem i skurczył się na tyle, żeby zmieścić się w butelce?

Twarz Muddy'ego niczego nie wyrażała, ale kosztowało go to sporo wysiłku. Hank stawał się coraz bardziej interesujący jako ewentualny władca dzinna.

- Nie wiem, co jeszcze możemy zrobić. - Margaret rozłożyła ręce i patrzyła na Hanka nerwowo chodzącego w tę i z powrotem. - Theodore sam stamtąd nie wyjdzie.

Hank przeciągnął ręką po włosach, obrócił się na pięcie, skrzywił jak po cytrynie i rozpoczął nową wędrówkę - tym razem mocno utykał na prawą nogę.

Margaret ze zmarszczonym czołem obserwowała jego poczynania.

- Coś ci się stało w nogę?

Zatrzymał się nagle i zrobił w tył zwrot z wprawą pruskiego żołdaka. Spojrzał na nią ponuro.

- Nie.

- W takim razie dlaczego kulejesz?

W jego oczach pojawiły się złośliwe ogniki. Skierował wzrok na kozę skubiącą trawę w niewielkiej odległości od Margaret. Lydia stała przy bydlęciu i głaskała je jak ulubionego kociaka.

- Nie ugnę się! - krzyknął i zapatrzył się w przestrzeń. Wyraz jego twarzy świadczył wymownie, że sprawa jest zamknięta.

O, nie, Muddy nie miał najmniejszej ochoty na wtrącanie własnych trzech groszy. Było nie było, radził sobie jakoś przez dwa tysiące lat. Poza tym wystarczyło, że Hank spojrzał na niego, nawet kiedy nie był rozwścieczony, żeby dzinn wiedział jedno - lepiej się do niczego nie mieszać.

- Hank, musimy się dowiedzieć, dlaczego Theodore nie chce wyjść z butelki. Powiedział dzinnowi, że chce, byś do niego dołączył. Musisz wejść tam razem z Muddym. A jedyne wyjście to wziąć go za rękę.

- Jeżeli kłamiesz, chłopie, to będzie to twoje ostatnie kłamstwo - powiedział Hank i spojrzał ponuro na demona. Muddy nie odezwał się słowem.

- Dlaczego miałby kłamać? - zapytała Margaret.

- Wydaje mi się, że Hank obawia się podać mi rękę - powiedział dzinn z kamienną twarzą, choć Hank zrobił się czerwony jak burak.

- Myślisz, że on naprawdę tego się boi? - zapytała Margaret takim tonem, że Muddy miał ochotę jej pogratulować. Zamiast tego mrugnął do niej szelmowsko.

- Jestem tu, do jasnej cholery, i wcale nie boję się podać ręki jakiemuś świrowi w czerwonych gaciach.

- O! To świetnie. - Margaret wyraźnie się odprężyła. - Udawaj, że po prostu się z nim witasz.

Po kilku minutach wyklinania i kłótni Hank stanął przed dzinnem z wyciągniętą ręką. Muddy ujął podaną dłoń. Siedzący w nim diabełek kusił, żeby choć raz ją połechtać, ale obawą przed silnym ciosem zwyciężyła i dzinn przybrał bardzo poważny wyraz twarzy.

- Daj znać, kiedy będziesz gotów.

Hank obrzucił wszystkich gniewnym spojrzeniem, ale i tak najsurowiej popatrzył na dzinna.

- Chcesz może powiedzieć jakieś ostatnie słowo? - spytała Margaret ze śmiechem i wygodnie usadowiła Annabelle na biodrze.

- Bardzo zabawne, Smitty.

- Żadnej pożegnalnej przemowy? - W oczach zabłyśły jej złośliwe ogniki.

- Taaa... Mam coś do powiedzenia. Przywiąż tę cholerną kozę, kiedy mnie tu nie będzie.

- Czyżbyś znowu oberwał po tyłku? - zdziwiła się.

Milczenie Hanka było wymowną odpowiedzią.

- O! Właśnie wymyśliłam dla niej imię! - odezwała się Lydia, po raz pierwszy czymś podekscytowana. Wszystkie oczy zwróciły się na nią.

- Dla kozy! Możemy nazywać ją Zadobijką!

Margaret uśmiechnęła się do dziewczynki.

- To wspaniałe imię.

Po raz pierwszy Lydia uśmiechnęła się z dumą. Muddy natomiast zauważył, że Margaret odczuła ulgę.

- Skończmy wreszcie, do diabła, całe to zamieszanie - gderliwie przerwał im Hank.

Hank zgrabił się i popatrywał na dziewczynę tak podejrzliwie, jak Parys powinien był oglądać konia trojańskiego.

- Musimy zwrócić się na wschód - powiedział Muddy bardzo rzeczowym i spokojnym głosem.

- Masz szczęście, że nie padło na ciebie, Smitty. Musiałabyś cholernie długo myśleć, zanim wybrałabyś właściwy kierunek.

- Wschód jest tam - odezwała się Margaret, wskazując północ.

Hank prychnął lekceważąco i odwrócił się od niej.

- Niech Allah pobłogosławi ten lot - pomodlił się głośno dziewczyna, wychodząc z założenia, że nada to całej sytuacji właściwy melodramatyczny wymiar. I zaraz dodał scenicznym szeptem: - I nie dozwól, Panie, by ponownie wydarzył się ten krwawy... potworny wypadek.

Widać było wyraźnie, że Hankowi robi się niedobrze. Raz po raz zaciskał szczęki. Wpatrywał się w ziemię i bez przerwy pocierał ręką czoło.

Muddy mrugnął do Margaret, a potem zwrócił się do Hanka.

- Jestem gotów.

Odczekał pełną minutę i dodał:

- Szykujmy się zatem. - I znowu przerwał.

Hank wpatrywał się w niego wzrokiem skazańca idącego na egzekucję.

Trzymając mocno podaną rękę, dziewczyna ostrzegł:

- Uważaj...

Oczy mężczyzny zwięziły się w szparki.

- ...stary!

I unieśli się. Pionowo w górę.

- Suuuuuukinsyyyyyyyyyn!

Na jakieś tysiąc pięćset metrów. Przez jakiś czas Hank mrugał starając się przegnać sprzed oczu purpurowy dym. Niewiele to jednak pomogło. Wnętrze butelki wyglądało jak raj dla śmieciarzy. Zdarzyło mu się odwiedzić parę sklepów z rupieciami - były zdecydowanie mniej zagracone niż to miejsce.

W każdym kącie były upchnięte jakieś urządzenia. Niektóre z nich miały w środku koła zębate, pasy transmisyjne i dziwne mechanizmy. Starożytny topór wojenny sąsiadował z misą pełną fig i daktyli. Obok pysznił się zegar wypełniony wodą i piaskiem.

Przy zegarze znajdowało się coś, co przypominało sznurzy labirynt.

Trójnog i aparat fotograficzny, upudrowana peruka, klamerki do butów, kolekcja kamizelek - wszystkie w bardzo krzykliwych kolorach. Śmieszna plansza do gry przypominająca szachownicę stała naprzeciw katarynki, która z kolei oparta była o podgrzewacz łóżka i miechy.

Hank cofnął się gwałtownie i uderzył łokciem w ogromną grecką wazę pełną powieści w kieszonkowych wydaniach. Zmarszczył czoło i wyciągnął jedną z książek. Skierował wzrok na dziewczynę, który przysiadł na brzegu otomany obitej materiałem w pomarańczowo-czerwone pasy; jej nóżki przypominały smocze łapy. Dziewczyna siedziała ze skrzyżowanymi nogami, z brodą opartą na dłoni. Poruszał lekko jedną stopą - słychać było cichutkie dzwonięcie.

Hank czuł się tu bardzo nieswojo. Spojrzał na podłogę i zauważył sterty gazet, broszur i zwójów poutykanych pod kanapą.

Obejrzał ściany. Jedwabne draperie - purpurowe, czerwone i żółte - zwieszały się niczym poły namiotów z mrożącego krew w żyłach koszmaru. Zwiewna jak pajęczyna moskitiera była przyczepiona do mosiężnych haków w kształcie pytonów, tkwiących w ścianie butelki.

Wszędzie walały się poduszki. Kolorowe, ozdobione frędzelkami, małe i duże zaścielały niewielkie, ale na pewno stare perskie dywany, których też było tu sporo.

W pobliżu swego prawego ucha Hank zauważył gong. Odwrócił się w jego stronę akurat w chwili, gdy wyrzeźbiony w drewnie zegar zaczął wygrywać kretyńską melodyjkę, a maleńki drewniany mężczyzna i maleńka drewniana kobieta z blaszkami zamiast kapeluszy wysunęli się zza drzwiczek znajdujących się na cyferblacie, ruszyli do przodu, spotkali się pośrodku drogi, skłonili i zderzyli głowami wydzwanając godzinę.

Odwrócił spojrzenie od zegara i zamarł, gdy zobaczył coś, czego nie oglądał od wielu lat. Oparty o krwawą w kolorze ścianę stał kij baseballowy. Obok leżała czarna rękawica Ala Spaldinga i piłka. Na sztywnych nogach podszedł bliżej i ujął kij w rękę. Objął dłonią trzonek - drewno miało swój ciężar - instynktownie sprawdził wyważenie. Trzymał kij przed sobą i nie mógł oderwać od niego oczu.

Pamięcią powrócił do czasów, gdy miał jedno głupie marzenie, nie, to nie było marzenie - miał szansę. Teraz, po tylu latach, owa szansa wydała mu się epizodem z życia kogoś innego, stała się częścią zmyślonej przez kogoś opowieści, którą kiedyś usłyszał, opowieści, kłamstwa, wymówki - jakby żywcem wziętej z historyjek o rybakach przechwalających się połowem.

Trzymał kij i wpatrywał się w niego. Może dlatego, że przez ostatnie cztery lata był w więzieniu, może dlatego, że zaczynał się starzeć, cokolwiek by to było, patrzył na przeklęty kij baseballowy i głupi kawałek drewna stał się dla niego symbolem tego wszystkiego, co stracił przez czterdzieści lat, symbolem wszystkich drzwi, które mogły stanąć przed nim otworem i rzucić promień światła na ciemną ścieżkę, którą wybrał dla siebie, bo tak strasznie lękał się, że życie jest znacznie gorsze, niż mu się wydawało.

Przymknął na moment oczy i zobaczył samego siebie biegnącego bardzo szybko. Zewsząd atakowały go pięści, a on był przygotowany na przegraną, bo gdzieś głęboko w środku tak cholernie bał się stanąć do walki i wygrać.

- Hej, Hank!

Odwrócił się na pięcie. Theodore stał za nim w odległości kilku kroków. Przez jakiś czas patrzył na małego nieprzytomnym wzrokiem, złapanym w pułapkę zagubienia między przeszłością a teraźniejszością. Odłożył kij na miejsce i dopiero wtedy skupił uwagę na postaci Theodore'a.

Los chyba znowu zadrwił sobie z niego, bo chłopiec miał na głowie czapeczkę Chicago White Stockings. Szyję zdobił mu wieniec z gałązek oliwnych, a ubranie przykrywała toga, opadająca fałdami na podłogę obok nadpalonych skrzypiec. Chłopak oparł sobie na ramieniu raketę badmintonową. W piątce trzymał lotkę zdobną w piórka. Teraz unosił raketę i machał nią do niego.

Hank zerknął na dzinna siedzącego na dywanie i przypatrującego mu się z ogromnym zainteresowaniem. Posłał mu groźne spojrzenie.

Oczy demona rozszerzyły się. Ręką błyskawicznie sięgnął do greckiej wazy po jedną z kieszonkowych powieści.

- Nie zwracaj na mnie najmniejszej uwagi - powiedział Muddy aż zbyt uprzejmie.

Położył się na dywanie i zaczął czytać. Hank odczekał chwilę, ale dzinn nie odrywał oczu od książki.

- Podejdz, mały.

Theodore wpatrywał się w niego; nie poruszył się.

- Wpadłem w jakieś tarapaty?

- Mhm. Powiedziałem, żebyś tu podszedł.

- Nie chcę.

- Jeśli to ja podejść do ciebie, możesz być pewny, że będę jeszcze bardziej wkurzony.

- Chciałbym...

- Żadnych życzeń! - Hank rzucił się w stronę dzieciaka z wyciągniętymi rękami.

Mały zakrył sobie usta rączką i patrzył niewinnymi oczkami. Nie powiedział słowa. Hankowi wydało się, że słyszy tłumiony śmiech. Zerknął na dzinna. Demon leżał spokojnie i sprawiał wrażenie pogrążonego w lekturze.

Hank pokiwał głową i ponownie odwrócił się do chłopca.

- Dlaczego nie chciałeś wyjść z butelki, mały?

- Dlatego.

- Czekam na odpowiedź.

Theodore stał wpatrując się we własne stopy.

- Bo chciałem, żebyś ty też to wszystko zobaczył.

- I dlatego nie chciałeś stąd wyjść?

Dzieciak skinął głową.

- Nie pomyślałeś o tym, że wystarczy mnie poprosić? - Hank wpatrywał się w malca.

Chłopiec skinął głową.

- Bałem się, że się nie zgodzisz.

Do diabła, pomyślał Hank, mały miał rację. Nigdy by się nie zgodził.

- Widzisz, mały, w życiu nie można narzucać innym tego, czego sami chcemy. - Mówiąc wyobrażał sobie minę Smitty, gdyby to usłyszała. Rzuciłaby na pewno jakąś uwagę o kotle, który przyganiał garnkowi.

- Ale to można zrobić.

- Tym razem ci się udało. A co będzie następnym razem? Zapomnij o tym, mały.

- Spuścisz mi manto?

To trochę Hanka otrzeźwiło.

- Ojciec cię prał?

- Czasami.

Hank splótł ręce z tyłu i zapatrzył się w jeden punkt. Dżinn momentalnie z powrotem wsadził nos w książkę. Po chwili mężczyzna skierował wzrok na chłopca.

- Nie jestem twoim ojcem, mały.

Przez dłuższą chwilę malec nie odezwał się słowem, a potem wyszeptał:

- Nie moglibyśmy poudawać, że jesteś?

- Chcesz, żebym przetrzepał ci tyłek?

- Nie.

- To dobrze, bo ja nie biję dzieci.

Dzieciak wymamrotał coś pod nosem.

- Nie słyszę, co mówisz.

Theodore zwrócił oczy na Hanka. Był bardzo poważny.

- Zgodzę się nawet na lanie, jeśli zechcesz... jeśli ktoś zechce... - Malec przerwał i bardzo szybko dodał: - Chcę mieć tatę.

Słyszając westchnienie Hank zerknął na dżinna. Książka drżała w pulchnych, upierścienionych dłoniach. Chłopczyk spoglądał na Hanka i wpatrywał się, jakby czekał na jego „tak”. Hank spuścił oczy, potem zapatrzył się na zegar.

- Nie gniewaj się, mały, ale nie jestem dobrym materiałem na ojca.

- Co to jest materiał na ojca?

Hank roześmiał się; w tym śmiechu słyhać było odrobinę goryczy.

- Do licha, gdybym tylko wiedział. Sam nigdy nie miałem ojca - powiedział i spojrzał na malca. Było jasne, że te słowa nie zrobiły na nim spodziewanego wrażenia.

- Czy koniecznie trzeba mieć ojca, żeby zostać ojcem? Nie można się tego nauczyć?

Mężczyzna podrapał się po brodzie. Żadna odpowiedź nie przychodziła mu do głowy. Przykucnął, by mieć oczy na poziomie oczu chłopca.

- Słuchaj, jestem sierotą i ty też jesteś sierotą, więc coś nas łączy. A może po prostu zostaniemy dobrymi kumplami?

Mały zastanawiał się.

- Nigdy nie miałem kumpla. Co robią kumple?

Hank wzruszył ramionami.

- To samo, co my robiliśmy do tej pory. Będziesz mógł mi pomagać, jak wtedy, przy żaglu i przy chacie.

- A czy kumple robią razem różne rzeczy?

- Jasne.

- I łowią ryby?

- Mhm. Możemy łowić ryby.

- A pływają?

- No pewnie.

- Nie umiem pływać.
- Możesz się nauczyć.
- Jeśli ja mogę się nauczyć pływać, to dlaczego ty nie możesz się nauczyć być ojcem?

Hank gotów był przysiąc, że usłyszał w tym momencie wymamrotane gdzieś z tyłu: „No, ciekawe, co ty na to, stary”, ale gdy rzucił okiem na dzinna, ten nawet nie drgnął.

- Nauka idzie znacznie lepiej, gdy się jest młodym – odpowiedział patrząc chłopcu w oczy.

Theodore znowu pograżył się w myślach.

- Ach, to pewnie ma związek z twoim losem.
- Jakim losem?
- Nie wiem. Smitty mówiła nam, że nie wybierałaś sobie swojego losu.
- Naprawdę?

Dzieciak skinął głową.

Zdaniem Hanka ta wersja była znacznie lepsza od powiedzenia gromadce maluchów, że jest nędznym łajdakiem, co było prawdą, o czym on i Smitty świetnie wiedzieli.

- Nauczysz mnie grać w baseball?

Hank gwałtownie odwrócił się na pięcie.

- Skąd wiesz, że... - Przerwał w pół słowa.

Chłopczyk trzymał już w rękach kij i trochę przestraszony patrzył na Hanka.

Dopiero teraz Hank z zakłopotaniem zdał sobie sprawę, że wydarł się - na dzieciaka z powodu, o którym mały nie miał zielonego pojęcia. Nikt z obecnych nie miał.

Zerknął na dzinna. Nie czytał już książki. Przewiercał Hanka wzrokiem i rzucone mu wyzywające spojrzenie tym razem nie odniosło żadnego skutku. Hank wyjął chłopcu kij z ręki i cisnął na stos poduszek.

- Wynośmy się stąd, mały.

- Ale...

- I to już. - Hank wziął go za rękę. - Wynośmy się.

Małec popatrzył na niego, odłożył raketę do badmintona i lotkę. Zdjął czapkę, wieniec i togę. Wszystko starannie złożył i oddał dzinnowi.

- Dziękuję, a teraz musimy już iść.

Zanim demon podszedł do Hanka, ułożył wszystkie rzeczy na dywanie. Potem wziął za rękę chłopca i obaj zbliżyli się do mężczyzny. Bez słowa wyciągnął rękę i podał ją Hankowi. W sekundę później wysliznęli się z butelki.

Margaret klęczała przy Hanku leżącym na piasku. Unosząca się dookoła niego purpurowa mgła rzedła powoli. Theodore, Muddy i Lydia trzymająca na rękach pograżoną we śnie Annabelle stali pochyleni nad nimi.

- Czy on umarł? - zapytał chłopczyk.

- Nie, kochanie.

Hank jęknął. Margaret spojrzała na pozostałych.

- Wraca do siebie. - Położyła mu rękę na piersi. - Hank?

- Udało mi się? - zapytał słabym głosem. - Przeżyłem, czy wypadłem z gry?

- Straciłeś przytomność na kilka minut.

Stęknął głośno i otworzył oczy. Robił wrażenie dezorientowanego. Spojrzał najpierw na Margaret, potem na dzieci. W końcu jego wzrok spoczął na Muddym.

Zamrugął kilka razy. Był w fatalnym stanie - wyglądał, jakby najadł się jakiegoś świństwa. Przetarł oczy ręką i zaklął jak wysoko wykwalifikowany szewc.

Margaret omiotła wzrokiem całą gromadkę i przewróciła oczami.

- Nic mu nie jest, dzieci. Mówiłam przecież, że nie ma się czego bać. Najpewniej upadł po prostu na głowę. Biegnijcie już. Muddy pójdzie z wami.

- Zaczekajcie! - Theodore nachylił się nad Hankiem. - Dobrze się czujesz, Hank?

- Pewnie, mały - odpowiedział Hank zachrypniętym głosem.

- To dobrze. Czy nadal jesteśmy kumplami?

- Mhm.

Chłopiec okręcił się dookoła i ruszył biegiem.

- Lydia! Czekaj na mnie!

Hank spojrzał gniewnie na Margaret.

- Co się, do diabła, stało?

- Jak tylko wyskoczyliście z butelki, puściłeś rękę dzinna.

Zaklął szpetnie.

- Szkoda, że nie spadłeś na buzię.

Zmrużył oczy.

- Gdybym upadł na buzię, nie mógłbym tego zrobić. - Błyskawicznie wysunął rękę, przewrócił kobietę na ziemię i bardzo mocno pocałował.

Odpychała go uchylając głowę.

- Przestań! - Odwróciła się i zauważyła dzieci stojące pod palmami i przyglądające się całej scenie. Poczwała, że oblewa się szkarłatnym rumieńcem - w wieku trzydziestu dwu lat!

- Hej, Lydia! Muddy! Stańcie! - wołał Theodore. - Widzieliście? Hank i Smitty się całowali!

- A niech cię diabli wezmą Hanku - wyszeptała Margaret jadownicę.

- Złego diabli nie biorą, Smitty. - Hank usiadł. - Myślałem, że sprytna kobieta, taka jak ty, domyśliła się tego już dawno.

- To jeszcze dzieci.

Zerknął w stronę maluchów i zawołał:

- Smitty pomagają mi właśnie złapać oddech, maluchy! Idźcie dalej!

Spojrzał na Margaret.

- Jeżeli nie chcesz jeszcze raz dostać „buzi”, to rusz pupcię, złociutka.

Wstał bardzo powoli narzekając pod nosem, „że się starzeje”. Uniósł do góry ramiona, a potem rozmasował sobie tył głowy. Skrzywił się i wytarł dłoń o przód koszuli. Zerwał banana rosnącego w zasięgu ręki. Obrął go i zjadł.

Margaret obserwowała go przez jakiś czas.

- Gdyby Karol Darwin mógł cię teraz zobaczyć...

- Kto?

- Karol Darwin. Przyrodnik. Udowodnił, że pochodzimy od małpy.

Posłał jej zagadkowe spojrzenie.

- Wszystkiego, co wiem, nauczyła mnie ulica, Smitty. Nie było tam Darwinów. - Wyprostował się jeszcze bardziej i patrzył wyzywająco na Margaret. - Nie zastanawiam się nad życiem. Ruszam głową, żeby przeżyć.

Dopiero teraz Margaret zdała sobie sprawę, że Hank jest naprawdę rozzłoszczony. W jego głosie było więcej goryczy niż zwykle. Przynęła się i delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Hank?

Patrzył na nią z góry z zaciętym wyrazem twarzy.

- Nie masz się czego wstydzic.

Spojrzał na jej rękę, a potem przeniósł wzrok gdzieś ponad jej głowę.

- Powinnaś iść do dzieci.

Odprawiał ją.

- Hank...

Nie mówiąc słowa wszedł na skałę wrzynającą się w biały piasek i zeskoczył na plażę. Z rękami w kieszeniach stanął tyłem do Margaret i wpatrzył się w lagunę.

- Hank, proszę...

- Skąd ci, do cholery, przyszło do głowy, że się czegoś wstydzę?

Musiła poruszyć rzeczywiście bardzo czułą strunę. Patrzyła teraz na muskularne plecy. Zrobiła kilka kroków w jego stronę.

- Wcale nie chcę z tobą walczyć.

- I dobrze, bo z pewnością byś przegrała. A teraz wynoś się stąd, do wszystkich diabłów.

Przez następne kilka dni pogoda im sprzyjała. Jedyne wiatry, jakie wiały, były łagodną bryzą. Ku wielkiej uldze Margaret nie spadła nawet kropla deszczu. Rozbitkowie rozpoczęli pracę przy budowie nowej chaty według wspólnie ustalonego projektu.

W ciągu paru dni stanęła mocna konstrukcja mogąca oprzeć się monsunowej nawałnicy, o której Hank ciągle coś przebąkiwał. Solidne ściany zrobiono z mat uplecionych z palmowych liści przywiązanych do bambusowych ram.

Chatka stanęła w połowie drogi między poprzednimi siedliskami, niczym na neutralnym gruncie. Długa i wąska konstrukcja, przypominająca bungalow, zaopatrzona została w szczelnie zamykane okiennice mające bronić dostępu tropikalnej ulewie; teraz,

podparte bambusowymi drążkami nie przeszkadzały światłu słonecznemu i wietrzykowi w dostaniu się do wnętrza.

Do środka prowadziły drzwi. Podobnie jak okiennice, zostały wykonane z twardych bambusowych prętów dokładnie ze sobą powiązanych. Obok drzwi stała beczka ze świeżą wodą. Koprowe hamaki służące do spania i maty do siedzenia były częścią wyposażenia domku.

Kufer z płaskim wiekiem udawał stół, a niewielkie beczułki znakomicie sprawdzały się w roli stołków. Lampa naftowa była jedynym źródłem światła po zmroku, ale bardzo szybko skończyło się paliwo.

Nie mieli zbyt wielu wygod.

O kuchnię stoczono małą sprzeczkę. Wszystko dlatego, że Hank zrobił uwagę na temat konieczności powołania ochotniczej straży pożarnej. Margaret przyznała mu rację dopiero wtedy, gdy spaliła pięć mango, a potem przez ponad godzinę spisywała na piasku listę owoców rosnących na wyspie, które wymagały gotowania, i tych, które można było jeść na surowo.

Hank wciąż był ponury. Z sobie tylko wiadomego powodu Margaret była pewna, że dyskusja o Darwinie nie miała z tym nic wspólnego.

Jego żal nie dotyczył w szczególności jej, kierowany był raczej do całego świata. Hank ciągle milczał i sprawiał wrażenie człowieka, który tylko wyczekuje okazji, by z byle powodu wdać się w bójkę.

Głosem nie znoszącym sprzeciwu kazał Theodore'owi nie wypuszczać dzinna z butelki. Narzekał przy tym, że Muddy wtrąca się do wszystkiego i każdemu przeszkadza - każdemu, to znaczy jemu, rządzącemu bez przerwy na temat „tego cholernego czerwonego dymu”.

Ale prawdą było, że Hank ciężko pracował. W końcu, przyciśnięty do muru przez wszystkich, zgodził się nawet na wypuszczenie demona ze srebrnego więzienia, by pomógł im w układaniu dachu. Co prawda pomoc dzinna została wzięta pod uwagę dopiero po tym, jak Hank spadł dwa razy z rusztowania.

Hank przepadał na całe noce. Gdy Margaret budziła się rankiem, chrapał już jednak w hamaku. Odsypiał pijaństwo, nie było co do tego wątpliwości. Trzeciej nocy Margaret postanowiła iść za nim. Tego dnia szczęście wyjątkowo jej dopisywało, bo spaliła tylko połowę ryby i trzy owoce drzewa chlebowego.

Wyszła z chaty i skierowała się w stronę plaży. Księżyc w nowiu ozdabiał czarne niebo. W jego świetle piasek wydawał się ciemniejszy, a morze bardziej szare niż srebrzyste. Z oddali dochodził chłupot fal rozbijających się o skały. I nic poza szumem morza nie zakłócało ciszy nocy. Żadnych mew, brzęczenia owadów, ludzkich głosów - jedynie mocarny szept Pacyfiku.

Szła plażą. Jej stopy cicho deptały mokry piasek. Wiatr igrał z jej włosami i spódnicą. Przeszukiwała oczami wysoki brzeg i skały. Wpatrywała się w ciemne miejsca, gdzie palmy na tle nocnego nieba wyglądały jak wyciągnięte w górę ludzkie ręce.

Doszła w końcu do maleńkiej zatoki i tam wdrapała się na skały. Zobaczyła, że Hank siedzi na niewielkiej piaszczystej łasze. Z trzech stron otaczały go skały, przed sobą miał tylko morze. Światło księżyca oblewało jego sylwetkę srebrną poświatą, a nocna bryza zwiewała mu włosy do tyłu. Siedział na piasku z łokciami opartymi na kolanach i wpatrywał się w czerń oceanu.

Margaret zamarła w bezruchu. Ostrzeżona szóstym zmysłem zrozumiała, że smutek, z którym się teraz bratał, był rzeczywiście ogromny. Nigdy go takim nie widziała. A może po prostu tego nie zauważała?

Przez kilka minut Hank sprawiał wrażenie, jakby był częścią bezkresnego i bardzo odległego miejsca. Widziała jedynie zarys jego twarzy, szyję i ramiona. Był niczym szklana figura – tylko smolisty obrys. Żadnych szczegółów... Linie, po prostu nic nie znaczące linie obrysowujące kształt.

Zrobiła krok w jego stronę. Przypadkowo trącony kamyczek stoczył się ze skały. Odwrócił się gwałtownie. Nagle stał się czujny. Margaret zeszła na piasek wychłodzony nocnym powietrzem.

- Co ty tu robisz?

- Świątuję. - Uniósł butelkę do ust i pociągnął spory łyk.

- Masz jeszcze whisky?

- To rum.
- Skąd go wytrzasnąłeś?
- Znalazłem skarb. - Roześmiał się i ponownie pociągnął z butelki.

Haust był spory. Potem Hank otarł usta wierzchem dłoni. Trzymał butelkę w wyciągniętej ręce.

- Napij się, złociutka. Coś mi się zdaje, że to ci nie zaszkodzi.
- Zaprzeczyła ruchem głowy.
- Brak ci odwagi?
 - Nie potrzebuję niczego, żeby widzieć świat we właściwych kolorach.
 - A ja owszem.
 - Może tylko tak ci się wydaje. To kula u nogi.
- Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią ze złością.
- Kula? Taaaa... masz rację. - I wypił jeszcze trochę.
 - Nie zależy ci.
 - Nic a nic.
 - Przecież to takie marnotrawstwo.
 - To zależy.
 - Od czego?
 - Od tego, czy mówisz do siebie, czy do mnie. – Roześmiał się.
 - Trudno z tobą wytrzymać.
 - Mhm. Wiem. Ale założę się, że jak pociągniesz łyceczek, będzie ci znacznie łatwiej.
 - Co to ma niby oznaczać?

Nie odpowiedział. Bywało tak już wcześniej, gdy jego milczenie wydawało się czymś gorszym od słów, które wypowiadał. Wpatrywał się w butelkę. Myślami był o tysiące kilometrów stąd. Potem roześmiał się, jakby drwił z samego siebie, pokiwał głową i napił się. Stała kilka metrów od niego i bacznie obserwowała. Zastanawiała się, jakie musiał mieć życie, skoro doprowadziło do takiego stanu.

Tkwiała w nim jakaś ułomność pogrążająca go coraz bardziej. Było to wyraźnie widoczne. A w niektóre dni, takie jak ten, obnosił się z nią jak bohater ze swoimi orderami.

Był szorstkim, cynicznym mężczyzną odgradzającym się od ludzi niewidzialnym murem.

Hank Wyatt miał duszę pokrytą bliznami i posiniaczoną, jak ktoś, kto przeszedł przez piekło w bardzo młodym wieku i do tej pory próbuje wyrównać rachunki z losem.

- Tak mi przykro - powiedziała łagodnie.

Rzeczywiście było jej przykro i naprawdę go żałowała. Spojrzał na nią, jakby właśnie sobie przypomniał o jej obecności. Łyknął z flaszki i odwrócił spojrzenie w stronę morza.

- Mnie też, złociutka, jest przykro, cholernie przykro.

Pokręciła głową i powoli odeszła.

Niewykluczone, że to właśnie picie skłoniło go do myślenia. Może miała w tym swój udział wycieczka do butelki dzinna. Może wspomnienia, które go tam ogarnęły. Od tamtego czasu bowiem przesiadywał każdej nocy w tym zakątku. Sam. Rozpamiętywał minione lata i starał się utopić je w takiej ilości alkoholu, żeby nie wiedzieć nawet, kim był ani kim mógł zostać. Whisky i rum świetnie pomagały zapomnieć o marzeniach i porażkach.

Dlatego pił i rozważał każdy szczegół wszystkich błędów, jakie popełnił. A przez czterdzieści lat popełnił ich niemało. Gdy był dzieckiem, powtarzano mu słowa ostrzeżenia, słowa, którymi wcale się nie przejął - że zniszczy sam siebie. „Nigdy niczego nie osiągniesz, Henry”.

Jako piętnastolatek usłyszał podobne sformułowanie. Był zły, a siwy właściciel drużyny baseballowej darł się na niego: „Nikt nie zniszczy ci życia. Ty sam je sobie zniszczysz, tępy sukinsynu”. Przyznawał, że Billy Hobbart, stary posiwiasty człowiek, miał wtedy rację.

Hank miał teraz czterdzieści lat i nie przedstawiał sobą zbyt wiele. Zastanawiał się, co jeszcze zdoła w sobie zniszczyć. A może nigdy nie było w nim czegoś, co mógłby zniszczyć? Tak długo walczył, nie chcąc stać się taki jak inni, i wmawiał sobie, że to oni właśnie są frajerami. Dziś jednak zaczął się zastanawiać, czy to aby nie on był jedynym frajerem.

Muddy pytał samego siebie, czy przeznaczenie rzeczywiście istnieje. Trudno było mu uwierzyć, że coś sprawiło, by Margaret Smith spotkała się z Hankiem Wyattem, nie mówiąc już o tym, że na miejsce spotkania została wybrana bezludna wyspa na Pacyfiku. Przeznaczenie było bezlitosne albo miało paskudne poczucie humoru. Czarnego humoru.

Przez następny tydzień Muddy obserwował postępy Margaret w tropieniu. Była jak fretka. Udało się jej odnaleźć kolejne dwie butelki z napojami Hanka. Przybiegła do chaty w środku nocy z butelkami ukrytymi w fałdach spódnicy. Przekradła się do ciemnego kąta.

Rzuciła okiem w stronę chrapiącego w hamaku, Hanka i ukryła flaszki w żeliwnym garnku, który cicho zakryła pokrywką. Po południu, gdy Muddy siedział na dachu kończąc pracę przy utykaniu mat, zauważył, jak z radosnym, choć nie pozbawionym złośliwej satysfakcji śmiechem, wlewała do lampy brandy wartę fortunę. Paliwa wystarczyło na dwie noce.

Trzeciej nocy Hank wkroczył do akcji. Wpadł jak burza do chaty.

- Gdzie jest, do cholery, moja woda?

Margaret zamknęła za nim bambusowe drzwi i odwróciła się tyłem.

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Posłuchaj, Smitty. Lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś była czysta.

- Rano się kąpałam.

- Bardzo śmieszne.

Podszedł do niej i spojrzał groźnie.

- Przestań udawać, że nie wiesz, o czym mówię. Wiemy oboje, że zakopałem butelki, a ty je odkopałaś. Twoje ślady były na piasku wszędzie dookoła tego miejsca. Możesz przestać udawać niewiniątko. A teraz gadaj, gdzie brandy?

- Znalazłam dla niej lepsze zastosowanie – powiedziała podkręcając płomień w lampie; uśmiechnęła się chłodno i założyła ręce na piersi.

Przy ścianie stały ustawione rzędem, niczym trofea, dwie kwadratowe butelki od brandy i wysoka butelka po rumie - wszystkie puste.

Hank spojrzał na butelki i powiedział:

- Została mi jeszcze jedna i niech mnie szlag trafi, jeśli pozwolę ci się do niej dorwać.

Był rozwścieczony.

- To oznacza wojnę, Smitty - powiedział i wybiegł z chaty.

Margaret wpatrywała się w drzwi. Była zamyślona. Spuściła na chwilę oczy, a potem odwróciła się od bambusowych wrót. Muddy spojrzał na nią.

- Jesteś bardzo odważną kobietą, Margaret Smith. Odważniejszą niż większość ludzi. On nie spocznie, dopóki jego nie będzie na wierzchu. Zdaje się, że planuje zemstę.

Wzruszyła ramionami. Pocierała dłonią ramię, jakby czuła się niepewnie.

- Lepiej, żeby był trzeźwy i zły niż pijany i rozżalony nad sobą. - Popatrzyła na dzinną.

- Przyjmę na siebie całą jego złość, jeśli tylko może mu to pomóc.

Kilka minut później Muddy wrócił do swojej butelki, do ciszy, spokoju i poczucia bezpieczeństwa w dobrze znanym otoczeniu. Zabrał się do czytania powieści Historia Dzikiego Zachodu: Opowieści przy ognisku, napisanej przez Buffalo Billa. Otworzył ją, przeczytał jedną stronę, a potem położył książkę na piersi i włożył ręce pod głowę. W czasie ostatnich kilku dni folklor Dzikiego Zachodu przestał być dla niego tak bardzo interesujący jak kiedyś.

Wpatrywał się w otwór butelki. Zatyczka nie była umieszczona na swoim miejscu. Do środka butelki sączyło się światło lampy. Dżinn leżał i uśmiechał się lekko. Być może mimo wszystko przeznaczenie wiedziało, co robi.

Następnego ranka Hank siedział na skale obok chaty. Przez całą noc obmyślał zemstę. Zwyczajny, dokonany wprost odwet nie wchodził w grę. Chciał dobrać się do Smitty w sposób doskonały. Doszedł do wniosku, że najlepiej będzie uśpić jej czujność, a gdy nie będzie się niczego spodziewała, wtedy być! Zrobi to. Jeszcze nie wiedział, co „to” miało być.

Podrapał się po zarośniętej brodzie i wrócił do przerwanego czyszczenia pistoletu - sześciopalcowego Colta 38. Miał tylko pięć kul, a w uratowanych kufrach i skrzynkach nie znalazł żadnej amunicji.

Ostentacyjnie pucował magazynek, bo kątem oka zauważył, że Smitty mu się przygląda. Zachowywała się tak, jakby spodziewała się, że za chwilę do niej strzeli.

Oczywiście, że nie strzeli, ale odrobina strachu dobrze jej zrobi. Może właśnie dzięki temu wygra całą wojnę.

Odłożył pistolet na bok i zabrał się do ostrzenia noża o zastygłą lawę. O wartości męzczyzny zawsze świadczyła jego dbałość o narzędzia i broń. Usłyszał głośne beczenie i obejrzał się akurat w chwili, gdy Zadobijka pojawiła się truchając z jego ostatnią butelką whisky w pysku. Ciągnęły się za nią obgryzione kawałki liny, zwisające po obu stronach rogatego łba.

Hank poderwał się na równe nogi.

- Niech to jasna cholera! Jak to znalazłaś?!

Upuścił nóż i rzucił się w stronę kozy, ale bydlę nie zwróciło na to uwagi i spokojnie szło dalej plażą. Zeskakując ze skały wzbił do góry tuman piachu. Dopiero kiedy zaczął biec, Zadobijka ruszyła klusem. Hank nie miał pojęcia, że koza może biec tak szybko. A przecież mogłaby zrobić zwrot i staranować go równie łatwo jak kafar rozgniatający glinę. Jednak to głupie stworzenie wolało uciekać w stronę gęstych zarośli dżungli z ostatnią flaszką Hanka.

Gonił ją zawzięcie. I nawet nie dlatego, że wyjątkowo zależało mu na whisky, choć z drugiej strony tolerowanie wybryków Smitty nawet świętego doprowadziłoby do pijaństwa. Nie, chodziło po prostu o zasadę. Przeklęta słaba płęć - tak ludzka, jak zwierzęca - bez przerwy pozbawiała go czegoś do picia.

Kwadrans później Hank wygramolił się z dżungli. Pot ściekał mu po twarzy i szyi. Ubranie było zupełnie mokre. Do spodni poprzyczepiały się liście paproci i płatki jakichś kwiatów. Obklepiły go także komary i pluskwiaki. Czuł straszny ból rozsadzający płuca, ale nie zwracał na to uwagi. Trzymał w ręku butelkę whisky. Ruszył w stronę prześwitu w zaroślach. Wszedł na polanę i uniósł rękę z butelką do góry, jakby złapał właśnie piłkę baseballową i czekał na aplauz.

Smitty stała obok drzwi chaty. Posłała mu kose spojrzenie.

- Ostatnia butelka, złociutka! - zawołał. - Mam ją. Przegrałaś ostatnią bitwę. - Schylił się; z jedną ręką wspartą na kolanie łapał oddech. Śmiał się jeszcze, gdy wyprostował plecy.

- Rzuć butelkę, Hank.

- Idź do diabła! Oddaj ten pistolet, Smitty! Możesz komuś zrobić krzywdę!

Pokręciła przecząco głową.

- No, w takim razie będziesz musiała mnie zastrzelić, złociutka, bo ja nie mam najmniejszego zamiaru rozstawać się z flaszką.

- Świetnie - powiedziała kierując broń w jego stronę. Roześmiał się.

- Ooooooo! Ależ jestem przerażony! - Zrobił krok w jej stronę. Trzymała broń obiema rękami. - Hej, złociutka. Jeszcze trochę i uwierzę, że wiesz, co robisz. - I znowu się roześmiał.

Wycelowwała, a on zauważył, że jej palec wskazujący znalazł się na cynglu.

- Zaczekaj chwilę, Smitty, właśnie...

Kula trafiła w butelkę. Kawałki szkła i whisky utrzymywały się przez moment w powietrzu niczym śnieżna burza. Hank zamarł. Spojrzał na swoją prawą rękę.

Zniknęła z niej butelka, trzymał teraz jedynie szklaną szyjkę.

- O, kurde... - Zamknął otwarte usta i zwrócił wzrok na Smitty.

Uśmiechnęła się, dmuchnęła w lufę pistoletu jak rasowy rewolwerowiec i zupełnie spokojnie weszła do chaty.

Margaret kończyła zawiązywać wstążki na warkoczykach Lydii.

- Dobrze. Gotowe!

Lydia odwróciła się. Przedziałek był przesunięty od środka głowy o dobre pięć centymetrów. Jeden warkocz, luźny i nierówny, znajdował się tuż nad jej uchem, podczas gdy drugi zaczynał się jakieś sześć centymetrów wyżej, był zbyt ciasno zapleciony i sterczał pod kątem prostym.

Margaret zagryzła usta.

- Wydawało mi się, że są mniej więcej równe. - Sięgnęła po szczotkę do włosów. - Spróbuję jeszcze raz.

Lydia z westchnieniem usiadła z powrotem na beczce. Nie odezwała się słowem, gdy Margaret rozczesywała jej włosy i rozgarniała je po obu stronach głowy.

Rzuciła okiem na Annabelle. Dzieciak spał obok na palmowej macie.

Lydia wpatrywała się we własne dłonie; wydawała się nieobecna duchem. Po minucie spytała jednak:

- Jak nauczyłaś się pływać?

- Ojciec mnie nauczył.

- Aha.

- A dlaczego pytasz?

- Chciałam po prostu wiedzieć.

Margaret nie przerywała szcزتkowania włosów dziewczynki, czekała, co będzie dalej.

- Czy ojcowie zajmują się córkami?

- Niektórzy tak.

- A czego jeszcze nauczył cię tata?

- Nauczył mnie jazdy na nartach i skakania na skakance.

- Naprawdę?

Margaret roześmiała się.

- Zmusił wujków, żeby trzymali sznur, i sam skoczył dwa razy, żeby mi pokazać, jak to się robi. Wszystko to działo się w parku, na oczach innych ludzi. A trzeba ci wiedzieć, że jest bardzo wysoki. Teraz, gdy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że musiało to wyglądać co najmniej dziwnie, gdy wysoki, szanujący się prawnik skakał w parku przez skakankę. – Uśmiechnęła się do wspomnień i przez moment zastanawiała się nad tym, co jej ojciec robi teraz. Czy dowiedział się już o katastrofie statku?

- On też jest prawnikiem?

Margaret potaknęła, odetchnęła głęboko i powiedziała:

- Jest sędzią Sądu Najwyższego.

- Czego jeszcze cię nauczył?

- Raz zabrał mnie na tor łyżwiarski. Złamał sobie wtedy rękę. Nauczył mnie jeździć konno. Gdy miałam trzynaście lat, pokazał mi, jak strzelać z pistoletu.

Lydia zamilkła na chwilę. Dopiero za jakiś czas odezwała się:

- Mój tato był botanikiem. Mama mówiła nam, że jego praca jest ważna i że dlatego tak mało z nami przebywa.

- To nic niezwykłego, Lydio. Ja i mój tato... cóż, zbliżyliśmy się do siebie dopiero po śmierci mamy.

Po kolejnych kilku minutach ciszy Lydia zapytała:

- Czy pamiętasz jeszcze, jak wyglądała twoja mama?

- Miała rude włosy, zupełnie jak Theo i Annabelle, i niebieskie oczy, jak twoja mama.

Lydia odchyliła do tyłu głowę i spojrzała na Margaret.

- Tak mi się wydaje, ale dobrze nie pamiętam. - Na chwilę zamilkła, a potem spytała: - Czy po śmierci ludzie zostają aniołami?

- Nie wiem.

Obie zadumały się.

- Wierzysz w niebo?

- Tak.

- Myślisz, że ludzie, którzy są w niebie, przyglądają się nam?

- Chciałabym, żeby moja mama patrzyła na mnie i żeby twoi rodzice też mogli cię widzieć. Jesteśmy przecież jakąś ich częścią, która tutaj została. Może nas strzegą.

- Jak anioł stróż?

- Mhmmm. - Margaret przerwała na chwilę i dodała: - Powiem ci coś, czego jeszcze nikomu nie mówiłam, ale chcę, żeby to zostało między nami. To będzie taki nasz sekret, dobrze?

Dziewczynka ponownie kiwnęła potakująco.

- Pamiętam, że raz, kiedy byłam w twoim wieku, bawiłam się z innymi dziećmi na jakimś przyjęciu urodzinowym. Ganiałimy za obręczą od beczki. Potoczyła się ze wzgórza i reszta dzieci chciała, żebym pobiegła za nią. Wszyscy wiedzieli, że świetnie biegam i jestem w tym lepsza nawet od chłopców. No więc rzuciłam się w pogoń za obręczą. Ta toczyła się i toczyła pomiędzy drzewami i przez mniejsze, zarośnięte trawą pagórki. Biegłam coraz szybciej, bo obręcz zmierzała wprost na klif znajdujący się nad brzegiem zatoki. Obręcz przestała się toczyć dokładnie na krawędzi klifu. Kiedy zobaczyłam, że tam jest, zwolniłam, bo byłam pewna, że nie wpadnie do wody. Byłam

od niej o parę metrów, zrobiłam krok do przodu i ktoś złapał mnie za ramię i pociągnął do tyłu. Stało się to tak nagle, że przestraszyłam się. Spojrzałam w bok, ale nikogo nie było. Rozejrzałam się dookoła - byłam tam zupełnie sama. Ani żywej duszy w zasięgu wzroku. Sekundę później odwróciłam się w stronę obręczy i zobaczyłam, że dokładnie w tym miejscu, gdzie chciałam postawić nogę, ziemia oderwała się od klifu. Nasiąknięty wodą grunt razem z obręczą spadł w dół na skały.

Margaret przerwała na chwilę opowieść.

- Gdybym wtedy się tam znalazła, na pewno bym zginęła.

Lydia wpatrywała się w nią.

- Myślisz, że to była twoja mama?

- Nie wiem.

- A ja myślę, że to ona - powiedziała dziewczynka z takim przekonaniem, z jakim sama Margaret nigdy nie myślała o tej sprawie.

Do dziś czuła na sobie tamten uścisk, jakby stało się to przed chwilą. A ponieważ nie było w tym żadnego sensu, nigdy o tym nie rozmawiała. Aż do tej chwili. Teraz była pewna tego uścisku, tak samo jak widząc na własne oczy dzinna unoszącego się w powietrzu uznała, że on jednak potrafi latać.

Zwróciła oczy na Lydię i westchnęła. Warkoczyki sterczały teraz niczym krowie rogi.

- Chyba nie idzie mi to zbyt dobrze - powiedziała.

Dziewczynka sięgnęła do warkoczy, pomacała je i zmarszczyła czoło.

- Chcesz, żebym je rozplotła?

Lydia pokręciła przecząco głową. Jeden z warkoczy opadł prawie rozpleciony, ale mała nie zwróciła na to uwagi. Objęła Margaret w pasie i przytuliła się.

- Dziękuję - powiedziała tylko.

Cholera, ona znowu zaczęła myśleć. Hank poznał to od razu po sposobie, w jaki stąpała. Stał po pas w wodzie. Skończył właśnie poranne pływanie i patrzył na Margaret maszerującą plażą w jego stronę.

Smitty zatrzymała się na linii wody, założyła ręce na piersi. Zrobiła to w ten denerwujący sposób, który zapowiadał, że zaraz zacznie jakąś głupią dyskusję albo będzie się czegoś domagała, albo też wygarnie mu, w czym nie miał racji.

- Musimy porozmawiać o dzieciach.

- A co z nimi? - Odgarnął włosy z twarzy i przetarł oczy. Nie patrzyła na jego twarz. Gapiła się na tors. Spojrzył więc na tę część swojego ciała, wytarł ją kilkakrotnie ręką, ale niczego interesującego nie zauważył.

- Moim zdaniem potrzebujemy... - Przerwała, pokręciła głową i mrucząc pod nosem coś, czego nie dosłyszał, zaczęła pocierać grzbiet nosa dwoma palcami. - Zacznę jeszcze raz. - Spojrzała mu w oczy.

- Śmiało. - Pomachał do niej.

- Potrzebna jest nam rozpiska, coś w rodzaju harmonogramu. Żeby wiedzieć, kiedy oboje spędzamy czas z dziećmi, a kiedy zajmujemy się nimi oddzielnie. Tak, potrzebujemy planu.

Teraz on skrzyżował ręce na piersi.

- Mam już jakieś wspólne plany z chłopcem.

- Ale trzeba w to włączyć Lydię. Ona też potrzebuje, żeby się nią zająć, może nawet bardziej niż on.

- To dziewczyna.

Jedna brew na twarzy Margaret znalazła się wyżej od drugiej.

- I..

- Ty jesteś kobietą. Powinna być z tobą.

- Ale ona straciła także ojca.

- Nie nadaję się na zastępczego tatuśka, Smitty. Powiedziałem to już małemu i powtarzam teraz tobie. Zapomnij o tym.

- Może poczuć się odrzucona i to z powodu płci.

Uśmiechnął się złośliwie.

- Płec przyciąga, a nie odrzuca, złociutka. Chcesz, żebym ci to udowodnił?

- Staram się rozmawiać z tobą poważnie, a ty celowo zachowujesz się obrzydliwie jak zboreźnik.

- Dobra, w takim razie pozwól, że powiem ci coś z zupełnie innej beczki, Smitty. Nie jestem jeleniem. Proszysz mnie o pomoc po tym, jak ukradłaś, spaliłaś i „rozstrzelałaś” moją wódkę. Przecież to ty właśnie chcesz, żeby świat był sprawiedliwy, a ludzie równi sobie. - Roześmiał się. - To jak w powiedzeniu o myciu ręki: „ręka rękę myje”. Żadnego mycia, złociutka. Koniec rozmowy.

- Chodzi o Lydię, a nie o mnie.

- To twój problem, Smitty. Zresztą za dużo myślisz.

- Zrozum, że i tobie, i nam wszystkim jest lepiej, kiedy nie jesteś pijany.

- Gdybym był pijany, może byłbym mniej obrzydliwy i zbereźny.

Mamrotała coś, gdy fala dosięgła jej bosych stóp. Rzuciła mu jedno z tych swoich spojrzeń prosto w oczy.

- Nie słyszę cię - powiedział Hank.

Westchnęła, jakby właśnie kończyła się jej cierpliwość. Dopiero po chwili zaproponowała:

- Wyjdź z wody, to nie będę musiała stać tu i krzyczeć do ciebie.

Uklonił się z ironią.

- Jasne, złociutka. Wszystko, co każesz - powiedział i wyszedł z wody.

- O mój Boże! - zapiszczała i gwałtownie obróciła się na pięcie. - Jesteś goły!

- W czym problem? - Rozłożył ręce. - Zrobiłem tylko to, co chciałaś.

- Zawstydzanie mnie nie ma najmniejszego sensu! - powiedziała przez ramię, stając tyłem do niego.

- Co w takim razie powiesz na kompromis, złociutka? - Celowo przerwał na chwilę. - Niech no się zastanowię. Hmmmm... Myślę, że mogłabyś się rozebrać. Wtedy oboje bylibyśmy goli. Jeżeli dzięki temu poczujesz się lepiej, to nie krępuj się, śmiało.

Pokręciła przecząco głową i nie odwracając się ruszyła przed siebie.

Hank przyłożył dłonie do ust i przez nie zawołał:

- Smitty, czy ktoś ci już powiedział, że nie masz za grosz poczucia humoru?

- Nie przysłałam na ten świat dla twojej uciechy, Hank! - odkrzyknęła nie przerywając marszu.

Pokiwał głową i powiedział do siebie:

- Tak ci się tylko wydaje, złociutka.

Pobiegł w stronę palmy i podniósł spodnie. Przez chwilę wpatrywał się w nie z szatańskim uśmiechem. Spojrzał na plażę, ale kobiety już tam nie było. Podrapał się po policzku. Tak, tak, w końcu sama nawarzyła sobie tego piwa. Przypomniawszy sobie, że Smitty sama nie uwarzyłaby piwa. Prawdopodobnie spaliłaby wszystko. Znowu rzucił okiem na ubranie i roześmiał się. Zemsta miała być słodka. Zgarnął jej rzeczy.

Wstał bardzo wcześnie właśnie z tego powodu i czekał, aż Margaret wyjdzie, by wziąć codzienną kąpiel w jeziorku obok wodospadu. Prześliznął się nie zauważony, przypadł do skał otaczających lustro wody. Zacierał ręce z radości. Życie jest piękne!

Była w wodzie. Słysząc było wyraźnie chlupotanie. Zachichotał i czekał. Zastanawiał się, czy nie warto by rzucić na nią okiem, kiedy już dopełni się jego zemsta. Nic by się przecież, do diabła, nie stało. Chyba nic.

Spozierał zza krawędzi skały. Dostrzegł płynącą pod wodą kobietę o białej skórze i długich smukłych nogach. Cicho zagwizdał przez zęby. Odczekał jeszcze kilka minut i jego cierpliwość została nagrodzona widokiem pupci, najładniejszej na tym padole.

Przekradł się za skałę i zgarnął jej ubranie. Ona w tym czasie pochylała się nad wodą i zanurzała w niej włosy. Uniesione ramiona odsłaniały piersi.

Zatrzymał się w miejscu, bo widok był zbyt piękny, by przepuścić taką okazję. Zbliżył się do skały z całą zręcznością, na jaką było go stać. Przystanął, by ostatni raz rzucić na nią okiem.

O, kurde, chłopie!

W sekundę później zniknął za wyłomem skalnym. To był jego szczęśliwy dzień. Widział piękną nagą kobietę, a teraz miał wiadro po brzegi wypełnione ostrygami.

Po zabranii jej rzeczy i zostawieniu ich w chacie, poszedł nurkować i przypadkiem trafił na kolonię mięczaków. Trzymając kubeł pełen muszli myślał raczej o znajdujących się w nich perłach niż o jedzeniu. Wyciągnął wiadro na plażę i wysypał ostrygi na piach. Włożył koszulę i spodnie. No, chodźcie do mnie, cudne perełki tej wyspy.

Wyjął z kieszeni nóż, usiadł na piasku i zaczął otwierać ostrygi, jedną po drugiej.

Ostryga za ostrygą. Wszystkie puste.

Wpatrywał się w wiadro wypełnione bezwartościowymi małżami. To były morza południowe, ojczyzna najwspanialszych i najcenniejszych pereł, jakie zostały kiedykolwiek znalezione. A w tych pieprzonych ślimakach miałyby nie być ani jednej?

Zaklął i wrzucił ostatnią ostrygę do kubła. Coś małego i połyskującego odbiło się rykoszetem od ścianki i uderzyło go w ramię. Przeszukał piasek dookoła siebie i znalazł.

Małeńka mlecznobiała perła. Uniósł ją pod słońce. Miała sporo skaz i promienie z łatwością przez nią przeświecały, a to oznaczało, że nie była wiele warta, bo prawdę powiedziawszy trudno było nazwać ją perłą. Hank pobawił się nią przez chwilę i mimo wszystko wsunął znalezisko do kieszeni.

- Co tam masz? - spytał Theodore, który stał o kilka metrów dalej.

- Jedzenie.

- Aha. - Mały stanął na palcach. - Jakie jedzenie?

- Ostrygi.

- Aha. - Chłopiec podszedł bliżej i zmarszczywszy czoło nachylił się nad wiadrem. - Co to ostrygi?

- Jedzenie.

- Jakie jedzenie?

Hank uśmiechnął się.

- Ostrygi.

Dzieciak chichotał.

- Co to ostrygi?

- Jedzenie - powiedział Hank i ręką zmierzwił rudą czuprynę chłopca. - I będziesz je jadł, mały.

Theodore uśmiechnął się do niego, ale zaraz wrócił do wpatrywania się w wiadro.

- Ostrygi nie różnią się właściwie od ślimaków - wyjaśniał Hank.

- Fuj! - Maluch zmarszczył nos. Pochylił się jeszcze niżej nad wiadrem, jeszcze bardziej zmarszczył nos. Potem spojrział na Hankę. - Czy one też się palą?

Hank zaczął się śmiać. Podszedł do wiadra i wziął uchwyt w rękę.

- Nie. Tylko Smitty gotuje wszystko w ten sposób. - Przerwał na chwilę, uśmiechnął się i lekko szturchnął chłopca w ramię. - Hej tam! Mam dla ciebie zagadkę. Co byś zrobił, gdybyś się zgubił?

Dzieciak wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Powinieneś wtedy usiąść i poczekać na porę kolacji... Na pewno zauważyłbyś smugę dymu i w ten sposób trafiłbyś do domu.

- To jak sygnały dymne!

- Mhmmm. - Hank odchrząknął. No, gdzie była Smitty w chwili, gdy udało mu się błysnąć tak świetnym dowcipem? No, gdzie?

Obok stał jednak tylko Theodore z rączkami założonymi do tyłu. Wpatrywał się w Hankę z wyrazem twarzy świadczącym o głębokim namyśle - buzia małego była zbyt poważna jak na jego wiek.

Hank objął go ramieniem.

- Czemu posmutniałeś, mały?

Theodore wzruszył ramionami.

- Myślałem, że jesteśmy kumplami.

- Bo jesteśmy - odpowiedział malec.

- No, to wyduś to z siebie.

- Słyszałem, jak Smitty mówiła, że nauczy się gotować, choćby miała przyplącić to życiem.

I zabrać nas wszystkich ze sobą do nieba, dodał w myślach Hank, przypominając sobie, jak zeszłego wieczora gotowała owoc drzewa chlebowego - trwało to tak długo, że prawie nic nie zostało do jedzenia.

- Nie chcę, żeby Smitty umarła, jak wszyscy.

- Mały, to tylko takie powiedzenie. Gotowanie jeszcze nikogo nie pozbawiło życia. - Hank zerknął na malca i szybko dodał: - A co do umierania... Trzeba się z tym pogodzić. Nikt i nic nie żyje wiecznie.

- Dlaczego?

- Bo śmierć jest częścią życia.
- Dlaczego nie możemy żyć i żyć, na zawsze?
- Dlatego, że coś musi umrzeć, żeby coś innego mogło żyć.
- Nie chcę umierać.
- Kiedy umieramy, zostaje po nas jakaś cząstka na świecie.

Hank przykucnął, by mieć twarz na poziomie buzi chłopca.

- Pamiętasz tę grę w słówka, w którą przed chwilą się bawiliśmy, i która zawsze kończy się zadawaniem tego samego pytania? Tworzy się wtedy coś takiego jak błędne koło, mam rację?

- Mhm.

- Życie na tym właśnie polega. - Hank narysował okrąg na piasku. - Na początku ziemia była jedynie prochem, potem powstał człowiek, żył i żył, a potem umarł i znowu stał się prochem, częścią ziemi. Rozumiesz?

- Trochę.

Hank nabrał w dłoń piasku.

- Wyciągnij rękę.

Mężczyzna wysypał piasek na dziecięcą dłoń.

- Dotknij go.

Theodore gładził ziarenka kciukiem. Później zacisnął piąstkę.

- Powiedz mi, jakie to uczucie?

- Małe kamyki.

- Masz rację. Garstka piasku, który trzymasz, była kiedyś kamieniem, ogromną skałą. Zupełnie jak jedna z tych na klifie.

- Naprawdę piasek był skałą?

Hank skinął głową.

- Ale morze, wiatr i czas rozkruszyły skałę na piasek. I ten piasek, który trzymasz, mógł być jakąś skałą gdziekolwiek na świecie.

- O raju!

- Naprawdę.

- I w Chinach też?

- Jasne, mały. A pamiętasz, co mówiła Smitty o topieniu piasku?

- Tak, wtedy robi się szkło.

- Racja. Można też mieszać piasek ze specjalnymi chemikaliami, otrzymywanymi z różnych skał, kamieni i pyłu. Jeśli mieszać to wszystko z wodą, otrzymuje się cement albo beton. Cementu używa się do budowania...

- Pomników w parkach i podobnych rzeczy.

Hank przytaknął.

- Z życiem jest podobnie. Nawet jeśli coś nagle przepada, tak jak ogromna skała, to wcale nie oznacza, że zniknęło bezpowrotnie. Skała istnieje przez cały czas jako piasek albo szkło, albo cement. Nigdy nie przepada zupełnie. - Wskazał okrąg narysowany na piasku. - Tak jak tutaj, rozumiesz?

- To znaczy, że jakaś część mamy i taty jest ciągle tutaj?

Mężczyzna skinął głową. Dotknął palcem piersi chłopca.

- Ty jesteś ich częścią, tak samo jak twoje siostry. A przecież wy wszyscy tu jesteście.

Małec pokiwał głową, zamyślił się, a potem powiedział:

- Co się stanie, kiedy my też umrzemy?

- Wasze dzieci będą żyły.

- A czy ty masz dzieci?

Hank roześmiał się.

- Nie.

- Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

- W takim razie, co się stanie, jak umrzesz?

Przez dłuższą chwilę Hank wpatrywał się w chłopca.

- Przypuszczam, że mnie pochowają, zamienię się w proch, a potem, lubię to sobie tak wyobrażać, powieje silny wiatr i zanieś mnie do jakiegoś naprawdę wspaniałego miejsca.

- Nie myślisz o niebie?

Oczy Hanka ponownie spoczęły na dziecku. Potem dotknął palcem skroni i powiedział:

- To... - skierował palec na pierś - i to, idzie do nieba, rozumiesz?

Theodore potaknął.

- Mam do ciebie jeszcze jedno pytanie, podobne do zagadki - odezwał się Hank rzucając jedną z muszli do wody. - Ta muszelka to była ostryga, która kiedyś żyła w morzu, potem umarła, a teraz jest tylko muszelką. Woda i piasek pokruszą ją i wiesz, co się w końcu stanie po bardzo, bardzo długim czasie?

Twarz malucha pojaśniała z zadowolenia.

- Zmieni się w piasek!

- Jesteś sprytnym malcem, wiesz o tym?

Uśmiech był jedyną odpowiedzią.

- Chodźmy. - Hank podniósł się i wziął wiadro. - Trzeba je odnieść.

Ruszył plażą, a w sekundę później chłopiec zrównał z nim krok. Hank spojrzał na niego i zwolnił dostosowując szybkość marszu do możliwości „kumpla”.

Theodore chwycił rączkę wiadra z drugiej strony. Nieśli je teraz obaj. Chłopczyk zadartł głowę do góry i spojrzał na Hanka.

- Czy ostrygi idą do nieba?

- Jasne, mały.

- Skąd wiesz?

Hank przystanął, postawił wiadro i wyjął perłę z kieszeni.

- Widzisz? Wiesz, co to jest?

- Perła?

- Mhm. Perły znajduje się w ostrygach.

- Naprawdę?

- No. Wyciągnij rękę. - Hank położył białą kulkę na małej dłoni. - Wiesz coś o niebie?

- Tam mieszka Bóg i aniołowie.

Teraz Hank wyjął z wiadra muszlę i położył sobie na otwartej dłoni.

- Widzisz tę muszlę, mały?

Theodore skinął głową.

- Jest chropowata i brzydka z zewnątrz, ale zajrzyjmy do środka. - Otworzył muszelkę pokazując macicę perłową.

- Wygląda jak perła.

- Dobrze! - Hank uśmiechnął się. - Słyszałeś kiedyś o Perłowych Wrotach?

Chłopiec patrzył to na Hanka, to na muszlę, to na trzymaną przez siebie perłę. Buzia zarumieniała mu się z zadowolenia, roześmiał się.

Hank mrugnął do niego porozumiewawczo, podniósł kubeczek.

- No, to idziemy.

Theodore drobnił kroczyki starając się nadążyć.

- Jesteśmy kumplami, Hank, prawda?

- Mhmm.

- Mhmm - powtórzył chłopiec niskim głosem starając się go naśladować.

Hank mimo woli uśmiechnął się. Dzieciak trzymał rączkę wiadra z drugiej strony i dotrzymywał mu kroku. Kątem oka Hank zauważył, że malec stara się naśladować także jego chód.

- Ej, mały.

- Hę? - Theodore pomylił krok i spojrzał na Hanka.

- Zajmę się tym sam. - Hank przełożył wiadro do drugiej ręki.

Chłopczyk zmarszczył czoło. Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, Hank szturchnął go w bok i krzyknął:

- Prześcignę cię!

Theodore wystartował jak z procy.

- Oszukujesz! - wołał.

- Taaa... musisz jednak dać staruszkowi jakieś fory, no nie? Hej, Smitty! Przynieśliśmy ci coś nowego do przypalenia! - drwił Hank wchodząc do chaty razem z chłopcem. Rozejrzał się po wnętrzu.

Z ogromnej sterty znajdującej się w ciemnym kącie doszedł go jęk. Hank odstawił wiadro z ostrygami i przeszedł przez izbę.

- Smitty?

- Idź i utop się! - Margaret leżała zwinięta w kłębek. Kolana miała przyciśnięte do piersi. Głowę ukryła między kolanami.

- Co ty wyrabiasz?

- Opanowuję się, żeby cię nie zastrzelić.

- Ach, tak. Chodzi o twoje rzeczy. - Roześmiał się złośliwie. - Zwinąłem ci je sprzed samego nosa, złociutka. - Przyjrzał się ubraniu, które miała na sobie. - Widzę, że już je znalazłaś.

- Zajęło mi to jednak kilka godzin - powiedziała cicho i popatrzyła na niego ze smutkiem.

Hank przyjrzał się jej uważniej i zamarł.

- Ale się opaliłaś - odezwał się chłopczyk.

Nie, to nie była opalenizna. Ona była spieczona. Twarz. Szyja. Policzki, usta, a nawet powieki. Ramiona i dłonie. Wszystko było mocno zaczerwienione. Jedyne w kącikach oczu zostały białawe plamki. To było cholerne poparzenie słoneczne.

Margaret spojrzała na siebie i wyszeptala:

- Jak widzisz, znalazłam już coś innego do przypalenia, więc to, co przyniosłeś, nie jest mi potrzebne.

Hank poczuł się tak fatalnie, że gorzej już nie można. Chciał coś powiedzieć, ale właściwe słowa wyleciały mu z głowy, jeśli oczywiście istniały jakieś właściwe słowa, odpowiednie do tej sytuacji. Stał po prostu, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Margaret poruszyła się próbując usiąść, ale skończyło się na jęknięciu.

- Pomogę ci. - Wyciągnął rękę.

Odwróciła się zbyt gwałtownie. Twarz wykrzywił jej grymas bólu, oczy zaszyły łzami.

- Nie uważasz, że pomogłeś mi już wystarczająco?

- Taaa, złociutka, chyba masz rację. - Ujął ją delikatnie w pasie i postawił na nogach. Jęknęła tylko raz. - Możesz chodzić?

Skinęła głową i przeszła chwiejnym krokiem kilka metrów.

- Smitty...

- Nie poradzę sobie z pilnowaniem małej.

- A gdzie ona teraz jest?

- Śpi, o tam. - Spróbowała unieść rękę, ale zdołała jedynie westchnąć głośno i zagryzła wargi z bólu.

- Gdzie Lydia?

- Posłałam ją po owoce.

Theodore podbiegł do kufra, którego używali jako stołu, i chwycił stojącą na nim srebrną butelkę.

- Mogę poprosić Muddy'ego...

- Nie! - krzyknął Hank.

Zmitygował się, przeczesał ręką włosy i dodał:

- Prosiłem cię, żebyś zostawił butelkę w spokoju.

Chłopiec spojrzał posepnie na Hankę.

- Nie lubisz Muddy'ego.

Nie odpowiedział. Ruszył w stronę drzwi.

- Hank! - zawołała go Smitty.

- Za moment będę z powrotem! - krzyknął przez ramię.

- Dokąd idziesz? Poczekaj, proszę! Nie mogę zajmować się Annabelle. Nie dam rady nawet jej podnieść! - Margaret była na granicy szloch.

Zatrzymał się w drzwiach.

- Zostań tutaj i pomóż Smitty, mały. Wrócę za kilka minut.

Minęło kilka godzin, zanim Margaret mogła wykonać jakikolwiek ruch nie mając przy tym wrażenia, że skóra jej pęka. Cień jakiejś postaci pochylił się nad nią.

- Czujesz się choć trochę lepiej?

Zobaczyła Hanka.

- Ciągłe jestem w fatalnej formie.

Stał przy niej i wyglądał jak ktoś, kto myśli, że jego ręce i stopy są zbyt duże. Na krótką, ale pełną napięcia chwilę odwrócił od niej wzrok, ale potem ponownie skierował na nią spojrzenie.

- Czy to, co ci dałem, pomogło?

- Tak. Już mnie tak nie boli.

Hank wrócił do chaty w niedługim czasie. Przyniósł naręcze grubych, połyskujących liści. Wycisnął z nich sok i powiedział, by natarła nim skórę. Był to rodzaj naturalnego medykamentu, który stosowali w więziennych kamieniołomach, gdy ktoś za długo był wystawiony na działanie słońca. Obserwował ją bardzo uważnie.

- Powinnaś pójść na plażę.

- Jest tam na pewno coś akurat dla mnie. Trochę więcej słońca.

- Próbuję powiedzieć ci, co powinnaś zrobić.

- Och, wybacz. Zapomniałam. Jestem kobietą. Ty jesteś mężczyzną. Powiedz mi w takim razie, mnie, głupiej gęsi, co takiego powinnam zrobić.

Hank zaczął masować sobie kark. Kręcił przy tym głową.

- O Boże, ależ ty potrafisz być denerwującą suk...

- Tylko nie kończ! - Uniosła rękę. - Nie kończ!

- Do diabła! Przepraszam! Cholera jasna! - Ponownie przeczesał włosy palcami, potem wetknął ręce w kieszenie i zaczął chodzić nerwowo. Margaret poznała go już na tyle, by wiedzieć, że właśnie teraz Hankiem targały sprzeczne uczucia.

- Zabranie moich rzeczy to była podłość, Hank.

- Skąd mogłem, do diabła, wiedzieć, że będziesz łąziła i poparzysz się na słońcu?

- Nie „łąziłam” i „nie poparzyłam się na słońcu”. Nie miałam po prostu w co się ubrać.

- Więc, do licha, co robiłaś? Stałaś ot tak, goła, na słońcu?

- Tak, i przez jakiś czas siedziałam w wodzie - wyszeptwała.

Nic na to nie powiedział. Spojrzał jedynie dając tym do zrozumienia, że ma chyba nie po kolei w głowie.

- Myślałam, że będziesz czekał na mnie, gdy będę wychodziła z wody - przyznała się bardzo cichym głosem.

- Mnie już tam nie było. - Spojrzał na nią trochę zbity z tropu.

- Tak, ale zdałam sobie z tego sprawę... jakieś dwie godziny później.

- O tym nie pomyślałem - wymamrotał bardziej do siebie, w zamyśleniu wpatrując się w podłogę.

Zbyt ją wszystko bolało, żeby mogła czymś w niego rzucić, zresztą nie czuła się na siłach, by stanąć do walki.

- Idź stąd, proszę. Proszę. Idź i zajmij się dziećmi. Ja niestety nie mogę tego zrobić. Po prostu nie mogę.

Patrzył na nią przez chwilę, a potem odwrócił się i miał właśnie zamiar odejść, gdy zatrzymał się. Stał tyłem do niej, ręce cały czas trzymał w kieszeniach.

- Jeśli pójdziesz na plażę parę razy dziennie i zanurzysz się w morzu, słona woda bardzo pomoże ci w leczeniu skóry.

- Teraz chce mi się tylko spać - wyszeptwała układając delikatnie rozpalony policzek na piekącym ramieniu. Przymknęła zapuchnięte powieki.

Hank dał dzieciakom do jedzenia ostrygi ułożone na połówkach muszli. Lydia, Theodore i Annabelle siedzieli w koło na macie położonej pośrodku chaty. Hank ustawił przed nimi jedno z akcesoriów Smitty - ogromną patelnię. Ułożył na niej muszle z surowymi mięczakami.

Usiadł obok dzieci, wziął w dłoń jedną muszelkę, uniósł ją i pozwolił, by jej zawartość zsunęła mu się do ust. Aaaaaaach... Brakuje tylko odrobiny sosu Tabasco i kilku piw pod ręką... Taaaa.

Zjadł jeszcze trzy, zanim zdał sobie sprawę, że maluchy wpatrują się w niego. Spojrzał na nie sponad krawędzi trzymanej właśnie przy wargach muszli. Jego wzrok wędrował od prawej do lewej strony.

Trzy pary dużych i bardzo poważnych niebieskich oczu śledziły każdy jego ruch.

Przełknął i pomachał ręką.

- No, zaczynajcie. Jedzcie.

- Nie jestem głodna - cicho powiedziała Lydia.

- Ani ja. - Theodore kręcił głową.

Hank spojrzał na najmłodsze z rodzeństwa. Wyciągnęła rączkę i kilka razy dotknęła palcem ostrygi, a potem powoli przytknęła sobie palec do nosa. Zrobiła kwaśną minę.

- Choleła!

Hank jeszcze raz obrzucił całą trójkę spojrzeniem.

- Jeść!

Maluchy popatrzyły na patelnię, jakby siedział na niej potwór.

- Spróbujcie! Są pyszne! No, dalej!

Lydia przez dłuższą chwilę wpatrywała się w jedną muszelkę. Delikatnie wzięła ją w dwa palce. Uniosła do ust, zerknęła na nią zezując i głośno przełknęła. Spojrzała na Hankę i znowu na muszelkę. Upuściła ją, jakby trzymała w ręku rozżarzone żelazo.

- Nie mogę! Po prostu nie mogę! - Wzdrygnęła się cała i kilkakrotnie wytarła palce o sukienkę.

- Hej, kumplu. - Hank wskazał głową na chłopca. - Jesteś przecież mężczyzną. Pokaż tym mazgającym się dziewczynom, jakie są niemądre.

Mały pokręcił głową.

- No, dalej!

Theodore ujął muszelkę, a potem wymienił błyskawiczne spojrzenie z Lydią. Widać było, że ma niezłego stracha. Przytknął muszelkę do buzi, zmarszczył nos i zamarł w bezruchu. Hank pokazywał mu gestem, żeby nie przerywał. Chłopiec wziął głęboki wdech i z wymiotował.

Hank przyskoczył do niego w mgnieniu oka, zakrył mu usta ręką i wyprowadził go z chaty. Prawie zaniósł chłopca pod ten sam oleander, przy którym wcześniej jemu samemu żołądek wywracał się na drugą stronę.

Wrócił szybko i z wrażenia otworzył usta.

Annabelle wcierała sobie ostrygę we włosy i ucho. Lidia siedziała wpatrując się w splecione na kolanach dłonie.

- Co się tam dzieje? - zapytała Smitty zaspianym głosem.

- Wydawało mi się, że miałas ochotę spać.

- Bo miałam.

Wziął w ręce patelnię z ostrygami i podszedł do niej.

- Nie chcę tego jeść!

- Naprawdę? - Z trudem obróciła głowę i pociągnęła lekko nosem.

- A czym je karmisz?

- Ostrygami! - Potrząsnął patelnią.

- Przyprawiasz mnie o ból głowy.

- Tak? - Wyciągnął w jej stronę rękę z patelnią. - Spójrz na to!

- Uhmrmmm. - W oczach Margaret pojawiło się ożywienie. Sięgnęła i zgrabnym ruchem opróżniła muszelkę. - Dobre! - powiedziała z pełnymi ustami.

- Masz cholerną rację, są pyszne!

Sięgnęła jeszcze po trzy następne i połykając je, smakowicie mlaskała:

- Mniam, mniam.

Nagle znieruchomiała. Zrobiła wielkie oczy. Policzek miała wypchnięty ostrygą.

Hank obserwował Margaret z napiętą uwagą. Widać było, jak przesuwa w ustach ostrygę z jednej strony na drugą. Potem przytknęła rękę do ust i coś wypluła.

- O, Boże... Tylko popatrz!

Hank zamrugał kilka razy.

- Perła!

Zaparło mu dech w piersi. Nie poruszył się. Nie mógł. Smitty trzymała w ręku najpiękniejszą czarną perłę, jaką kiedykolwiek miał okazję oglądać.

- Czy powiedziałaś właśnie to, co wydaje mi się, że powiedziałaś? - Margaret wpatrywała się w Hankę z otwartymi ustami.

Hank trzymał na rękach rozwrzeszczaną, kapiącą i wrywającą się Annabelle.

- Wepchnęła sobie tę cholerną perłę do nosa.

Margaret zamrugała oczami.

- Ale, jak... - Przerwała i pokręciła głową. - Zresztą nieważne.

Hank patrzył na dziecko, jakby raptem zamieniło się w dwugłowego potworka, potem przeniósł spojrzenie na Margaret i zmarszczył czoło.

- Czy to niebezpieczne?

- Nie, oczywiście, że nie. Przecież to najnormalniejsza rzecz pod słońcem. Każdy miał kiedyś perłę wepchniętą do nosa.

- Cholera! Smitty! Potrzebuję twojej pomocy. Jak mamy wyciągnąć jej tę pieprzoną perłę?

Widać było, że jest bardzo przejęty. Zaczął nawet szybciej chodzić.

Margaret obejrzała dokładnie nos małej. W pobliżu przegrody zauważyła niewielkie wybrzuszenie.

- Trzeba będzie tutaj naciskać, to może uda się ją wypchnąć.

- Już to robiłem. Właśnie wtedy zaczęła wrzeszczeć i kopać.

- Trzymaj ją dobrze, teraz ja spróbuję. Najpierw jednak trzeba będzie położyć ją na kufrze.

Podeszli do „stołu” i ułożyli na nim dziecko.

- Przytrzymaj ją, Hank.

- Ona mnie nienawidzi - wymamrotał.

- Mama! Mama! - Annabelle usiłowała wstać.

Buzia małej była czerwona ze złości. Łzy spływały po policzkach. Dziecko starało się dosięgnąć Margaret, kopało przy tym nogami, a Hank robił wszystko, by je utrzymać. Pobladał przy tym, jakby ktoś wbijał mu zaostrome pędy bambusa za paznokcie.

- Spokojnie, maleńka. Już dobrze, Annabelle. Już dobrze. - Margaret chwyciła dziewczynkę za rękę i pochyliła się nad nią.

Wyciągnęła dłoń w kierunku nosa małej. Annabelle zawyła, jakby miała za chwilę umrzeć. Wykręcała głowę i uderzała nią o wieko kufra.

- Cholera! - Hankowi trzęsły się ręce. - Nie możesz tego jakoś wyciągnąć?

- Cóż za świetny pomysł. Podaj mi łom, dobrze? Wepchniemy go jej do nosa i po krzyku. Dzieciaki i drzwi właściwie niczym się nie różnią.

Hank zaklął.

Margaret starała się zebrać myśli, ale wiedziała jedno: dwoje dorosłych ludzi stało nad zapłakany maluchem i żadne z nich nie miało w ogóle pomysłu na to, co powinni zrobić.

- Potrzyмай ją przez moment, muszę się zastanowić. - Margaret odsunęła się od dziewczynki i zaczęła porządkować w myśli fakty starając się przeanalizować sytuację.

Hank podniósł małą z kufra i trzymał przed sobą. Wpatrywał się w jej nosek i zapłakane oczy. W kilka sekund później posadził ją z powrotem na wieku. Dziewczynka i mężczyzna mierzyli się teraz wzrokiem. Wyciągnął w jej stronę palec chcąc odpędzić natrętnego komara. Mała ponownie uderzyła w płacz. Tym razem jeszcze głośniej.

Patrzył teraz na Annabelle tak samo, jak sędzia patrzył na Margaret, gdy po raz pierwszy pojawiła się na rozprawie. W chwilę potem Theodore i Lydia wbiegli do chaty. Spojrzeli na młodszą siostrę. Lydia wzięła z talerza banana.

- Co jej jest?

- Wsadziła sobie perłę do nosa - odpowiedziała Margaret.

- Eee - skomentowała zajęta obieraniem owocu Lydia. - Robi to bez przerwy.

Hank z wrażenia otworzył szeroko usta. Wyglądał jak muł.

- Wkłada sobie perły do nosa? - krzyknął.

- Nie perły tylko groszki - powiedział rzeczowo Theodore.

Przekleństwa Hanka były wyjątkowo siarczyste. Annabelle powtórzyła je z entuzjazmem zachrypniętym od płaczu głosem.

- Raz nawet wsadziła sobie tam kamyczek - dodała Lidia z pełną buzią.

- I monetę z Indianinem, pamiętasz, Lydia?

- A co działo się potem? - spytała Margaret wpatrując się w małą.

Annabelle siedziała cichutko na kufrze zajęta ssaniem palców. Po zaróżowionej twarzyczce płynęły łzy. Przyglądała się jednak wszystkim bardzo podejrziwie.

- Mama zawsze wtedy zmuszała ją do kichania.

- Kichanie? - Margaret pokręciła głową, dotykając palcem ust. - Tak, kichanie mogłoby załatwić sprawę.

Hank podniósł małą z kufra tak szybko, że nawet Margaret była tym zaskoczona.

- Co masz zamiar zrobić?

- Będę patrzył. - Mówiąc to usiadł razem z małą na macie leżącej na podłodze.

Posadził ją sobie na kolanach, oparł ją plecami o siebie, w dłoniach trzymał jej maleńkie stopki.

- Gdzie masz oczki, mała?

- Oćki. - Annabelle wskazała na swoje oczy.
- Bardzo dobrze. A teraz... gdzie masz nos?
- Włossss... - Zmarszczyła buzię i wydmuchała powietrze przez nos, a właściwie przez jedną tylko dziurkę.

- Grzeczna dziewczynka. - Hank rzucił Margaret przelotne spojrzenie i wyszeptał w jej stronę: - Patrz.

Kobieta skinęła głową.

- Nos? - zapytał Hank ponownie i delikatnie podsunął rękę pod jej buzię.

- Włossss... - Twarzyczka znowu się wykrzywiła.

Hank zakrył jej usta dłonią. Mała bardzo mocno dmuchnęła przez nos. Perła wystrzeliła z jednej dziurki niczym z Colta kaliber

- Mam ją! - Hank chwycił kuleczkę w powietrzu.

W sekundę później zamarł w bezruchu. Wciągnął głęboko powietrze i oparł się o kufer z wyraźną ulgą. Uważnie obejrzał dziecko, a potem spojrzał na Margaret.

Z czoła, nosa i znad górnej wargi ściekały mu kropelki potu. Koszulę miał zupełnie moką. Widać było, że ma bardzo napięte mięśnie szczęk. Wyglądał na człowieka, który właśnie przeszedł przez piekło i miał darowane życie tylko po to, by mógł opowiedzieć o tym innym.

- Dzień pełen wrażeń, no nie, Hank?

Powoli dochodził do siebie, a gdy zrozumiał, co Margaret właśnie powiedziała, posłał jej wymowne spojrzenie.

- Przecież nie ma o czym mówić, żadna sprawa... - Margaret odwróciła się powoli i ruszyła w stronę posłania. Po zrobieniu dwóch kroków przystanąła, obejrzała się i naśladując jego sposób mówienia wycodziła: - Wielka mi rzecz, pilnowanie dzieciaka! Z czym tu może być problem?

Było mu trudniej niż uciec z więzienia.

Hank nosił Annabelle na barana, gdy tylko dziewczynka nie spała, a jeśli spała, i tak był w pobliżu. W zasięgu jej rączek nie znajdowało się już nic, co mogłoby zmieścić się do nosa. Ze starszą dwójką było znacznie mniej zachodu.

Ale przeznaczenie postanowiło jeszcze raz zagrać mu na nosie. Przez następne trzy dni padało bez przerwy. Żaden tam deszczyk. Żadna ulewa.

Po prostu oberwanie chmury. Potop.

Pierwszego dnia Lydia i Theodore kłócili się, dokuczali sobie nawzajem i szturchali się przy byle okazji. Hank musiał aż uciec się do groźby, że jeśli nie przestaną, zmusi ich do połknięcia pięciu surowych ostryg dziennie.

Chłopak snuł się z kąta w kąt prawie do południa, a potem zaczął marudzić. Najpierw chciał iść na ryby. Gdy Hank wytłumaczył mu jakoś, że to niemożliwe podczas tak gwałtownej ulewy, uparł się, że chce uczyć się pływać. Nie bardzo rozumiał, dlaczego nie można pływać w czasie burzy - w końcu i tak jest się wtedy zupełnie mokrym.

I tak przez resztę dnia uprzykrzał się wszystkim, bo nie wiedział, czym się zająć. Narzekał, że Lydia nie pozwoliła mu bawić się z Zadobijką. Narzekał, że Hank nie chciał grać z nim w pokera. Narzekał, bo musiał zostać w chacie. Narzekał, bo Hank nie pozwolił mu wypuścić Muddy'ego z butelki. I wreszcie narzekał, bo Hank pozwolił mu grać na organkach, ale tylko przez dziesięć minut (zdaniem Hanka o dziewięć minut za długo, choć przecież jemu też czas włókł się niemiłosiernie).

Drugiego dnia Theodore wpatrywał się w deszcz przez uchylone drzwi. W pewnej chwili obrócił się w stronę Hanka i wzdychając melodramatycznie, powiedział:

- Chciałbym...

- Żadnych życzeń! - W mgnieniu oka dłoń Hanka zakryła chłopcu usta.

Dziesięć minut później Hank ustąpił i pozwolił małemu wypuścić dzinna z butelki. Pomysł był dobry - ulga prawie natychmiastowa.

Demon czytał dzieciakom książkę o Dzikim Zachodzie. Lidia i Theodore siedzieli na macie przed dżinnem ze skrzyżowanymi nogami. Oczy mieli szeroko otwarte. Co jakiś czas opowieść zapierała im dech w piersi.

Muddy czytał:

- Wielki wódz, Złoty Orzeł, spojrzał na swoich wojowników. Potem Indianin powiedział: „My oskalpować złych białych ludzi i rzucić zgubny urok na każdego, kto

szkodzić plemieniu!" Indianie rozpoczęli grę na głośnych bębnach wojennych, których donośne brzmienie niosło się przez ciemną, rozgwieżdżoną noc.

Hank bacznie obserwował zasłuchaną parkę. Zwrócił uwagę na jedną rzecz: ociekająca krwią opowieść trzymała w napięciu te dwa małe potwory przez resztę dnia, a nawet dłużej, bo wieczorem dzieciaki nie przestawały mówić o Indianach, bawołach i wojennej ścieżce.

Nieznośne dudnienie obudziło Hanka trzeciego dnia ulewy. Chłopiec przykrył żeliwny czajnik koszulką, obrócił go do góry dnem i walił weń butem z całych sił.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz?

- Ja być wielki wódz Płomień we Włosach! Ja być na wojennej ścieżce! - Towarzyszyło temu kilka uderzeń w czajnik.

- To mój bęben!

Chwilę potem rozległ się wrzask Lydii. Tego dźwięku nie sposób było pomylić z jakimkolwiek innym. Hank wiedział już aż za dobrze, że tak potrafią wrzeszczeć jedynie małe dziewczynki - przypominał krzyk człowieka żywcem obdzieranego ze skóry.

Poderwał, się na równe nogi i ruszył w jej stronę. Zanim znalazł się obok niej, usłyszał głośny szloch i biadolenie:

- Kózka! Moja kózka! Spójrz tylko na biedną Zadobijkę!

- Co, do ciężkiej... Theodore! - zawołał Hank podniesionym głosem.

- Ja być wielki wódz Płomień we Włosach! - Malec wypinał wątlą pierś i starał się podbródkiem dotknąć szyi. - Ja oskalpować kozę!

Zręcznym ruchem Hank złapał chłopaka za spodnie na siedzeniu i uniósł do góry. Miał teraz buzię malucha na wysokości swojej twarzy.

- A może masz ochotę zostać wielkim wodzem Płonący Tyłek?

- Mówiłeś, że nie bijesz dzieci.

- To było cztery dni temu. Zmieniłem zdanie.

Theodore zagryzł usta. Hank postał mu takie spojrzenie, że dzieciak aż się skulił.

- Czym to zrobiłeś?

- Nożyczkami.

Hank postawił malca na ziemi i wyciągnął rękę.

- Oddaj mi je.

Jak na dzieciaka, który zdołał przez parę godzin ostrzyc kozę, Theodore poruszał się teraz jak mucha w smole. Grzebał w kieszeni. Wyjął najpierw kilka muszelek, potem kamyki. Następnie kawałki kolorowego szkła. Przyszła kolej na drugą kieszeń. Pojawił się kawałek sznurka, kawałek połamanej muszli, kolejne dwa kamyki, fragment skorupy kraba i wreszcie małe śmieszne nożyczki w kształcie kolibra.

Hank zmarszczył czoło patrząc na nie.

- Skąd je wytrzasnąłeś?

- Lydia znalazła je w koszyku z przyborami do szycia.

- Zwróć je siostrze i przeproś ją.

Mały szurając nogami powlókł się w stronę Lydii. Dziewczynka pociągała jeszcze nosem.

- Przepraszam, Lydi. - Wyciągnął rękę z nożyczkami. - Masz.

Chwyliła je i przytuliła buzię do łysogo grzbietu bydlątka.

- Teraz marsz do kąta! - Hank wskazał ręką miejsce wykonania kary. - Tu! I nie waż się ruszyć, dopóki ci nie powiem. Zrozumiano?

Ze spuszczoną głową, noga za nogą, Theodore doszedł do kąta i ciężko usiadł.

Kiedy wreszcie czwartego ranka pokazało się słońce, Hank wiedział już jedno w sprawie dzieci - rozumiał jasno i wyraźnie, że do tej pory nie miał o nich zielonego pojęcia.

Kilka dni później Margaret siedziała na plaży osłaniając się przed promieniami słońca parasolem zrobionym z bambusa i bananowych liści. Lydia i Annabelle bawiły się krabami o parę metrów dalej. Mała biegła za stworzonkami i chichotała rozbawiona, Lydia zaś trzymała jedno w ręku.

Dziecięca wojna przerwała ten sielski nastrój w chwili, gdy Theodore wpadł jak bomba rozkopując nogami piasek. Każdego dnia przez godzinę, dwie, Hank uczył chłopaka pływać w jezioru obok wodospadu. Theodore przebiegł teraz obok Margaret ubrany w męskie slipy, które znaleźli w jednym z kufrów. Były o wiele za duże. Z tyłu związane w

węzeł jakoś trzymały się na biodrach malca i sięgały mu do połowy łydek. On jednak nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Pędził z rozłożonymi ramionami do wody. Wbiegając ochlapał wszystkich w promieniu kilku metrów.

Hank szedł zaraz za nim. Powolnym, kołyszącym krokiem schodził z wydmy. Kąpielówki zrobił sobie ucinając po prostu nogawki więziennych spodni. Oprócz nich nie miał nic na sobie. Przeszedł obok Margaret i zaczął obserwować Theodore'a baraszkującego w wodzie. Plecy Hanka poznaczone były ciemnoczerwonymi pręgami blizn.

Margaret zakryła usta ręką i na chwilę przymknęła oczy. Theodore widział już na pewno te blizny. Wiedziała, że nie powinna pokazać po sobie, jakie wrażenie na niej zrobiły. Duma Hanka nie zniosłaby litości ani od niej, ani od kogoś innego.

- Hank! Wygrałem!

- Oszukiwałeś, mały!

- Właż do wody! - wołał Theodore.

Nadpływająca falaomal go nie przewróciła. Chłopak śmiał się. Hank przebiegł obok dziewczynek i rzucił się głową w falę, wypłynął po drugiej stronie grzbietu. Jego czarne włosy błyszczały niczym foczefutro. Całe ciało, nawet ślady po razach, lśniło w promieniach słońca.

Margaret wydało się, że bryza znieruchomiła. Siedziała i obserwowała Hanka pokazującego małemu, jak płynąć z falą. Z jakichś powodów, nad którymi nie chciała się teraz zastanawiać, nie mogła oderwać od nich wzroku. Słyszała ich głośny śmiech. Patrzyła na improwizowane wyścigi - każdy z nich starał się być lepszy od drugiego i wybierał falę, która jego zdaniem mogła go wypchnąć dalej na piasek.

Po minucie otrząsnęła się z tego stanu. Obróciła się z zamiarem powiedzenia czegoś Lydii. Zauważyła na dziecinniej buzi wyraz cichej tęsknoty - dziewczynka obserwowała poczynania brata i Hanka, ich radość i zabawę, dokazywanie na spienionych grzywach fal. Margaret wstała i niby od niechcenia podeszła do Lydii.

- Masz ochotę wejść do wody?

- Nie umiem pływać - odpowiedziała dziewczynka nie podnosząc wzroku.

- W chlapaniu się to zupełnie nie przeszkadza, jeśli zachowuje się trochę ostrożności.

Mała popatrzyła na swoją sukienkę i pokręciła przecząco głową.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście.

- Popatrz na te mazgajowate dziewczyny! - wołał Theodore. - Nie umieją pływać! Nie umieją pływać! Żałujcie, że nie jesteście facetami! - Zrobił głupią minę, włożył sobie kciuki do uszu i machał rozczapierzonymi palcami.

Hank stał obok niego. Muskularne ramiona skrzyżował na piersi. Śmiał się razem z chłopcem. Lydia zwróciła oczy na Margaret. Widać było, że ma ogromną ochotę dołączyć do tamtych dwóch.

- Co zrobiłaby twoja mama, gdyby chciała wejść do wody? - spytała Margaret.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała dziewczynka. Z ogromną powagą spojrzała Margaret w oczy. - A co ty byś zrobiła?

Margaret upuściła parasol na koc leżący na piasku.

- Nie zniosę dłużej naigrawania się z nas przez tych dwóch. Wchodzę! - Mówiąc wzięła na ręce Annabelle i usadowiła ją sobie na biodrze, a potem zerknęła na Lydię. - Idziesz?

Dziewczynka spojrzała na brata, który zachowywał się obrzydliwie, nurkując w fale, tak jakby tylko mężczyźni to potrafili.

Ująwszy Annabelle za pulchną rączkę, Lydia popatrzyła na Margaret.

- Gotowa? - zapytała Margaret.

Theodore podśpiewywał. Lydia przyglądała się bratu jeszcze przez chwilę. Nieśmiały uśmiech rozjaśnił jej twarz. Skinęła potakująco głową. W kilka minut później wszystkie trzy chlapały się w wodzie. Margaret unosiła Annabelle nad falami, które rozbijały się o jej spódnicę i opryskiwały roześmiane twarze.

Muddy był wolny. Nareszcie. I fruwał. Za nim snuła się purpurowa smuga. Wzbijał się w błękitne niebo ponad plażą. Chłodne powietrze owiewało mu brodę i twarz. Poły kamizelki uderzały o nagi tors, gdy wznosił się po spirali niczym dym z dania przygotowywanego przez Margaret.

Przeleciał nisko nad plażą, gdzie Theodore i Lydia zajęci byli kopaniem dołków w piasku. Skierowali na niego roześmiane twarzyczki, wskazywali go sobie palcami i śmiali się, jak tylko dzieci potrafią.

Muddy zanurkował w dół i chwycił z głowy chłopca czapkę. Patrzył później na wysiłki malca podskakującego do góry. W chwilę potem przeleciał nad nimi po raz kolejny i upuścił zdobycz nad głową Lydii. Posłała mu szeroki uśmiech i pomachała czapeczką. Ponownie wzleciał do góry, zrobił całą serię salt. Dzwoneczki przy ciźmach dzwoniły niczym kuranty. W sekundę później wylądował na piasku pomiędzy dziećmi. Stopy dotknęły ziemi, ramiona wyciągnął na boki, a twarz ozdobił szerokim uśmiechem. Zawsze miał skłonność do popisywania się.

- Pofruwaj ze mną, Muddy! Proszę! - wołał Theodore podskakując.

Hank stał nie opodal z rękoma na piersi niczym u pałacowego gwardzisty. Przeszył dzinna bardzo surowym wzrokiem. Pokiwał głową z politowaniem i wszedł do wody. Zanurkował w nadpływającą falę.

Muddy wiedział, że Hank nadal go nie akceptuje, że jest dla niego wyłącznie jednym wielkim utrapieniem. Demon stanął dokładnie między dziećmi z wyciągniętymi ramionami.

- Chodźcie, zabiorę was oboje.

- Mnie też? - zapytała Lydia niemal piszcząc z uciechy.

- A chcesz polatać?

- Lydia jest mazgajem.

- Nie jestem - dziewczynka odpowiedziała na ten zarzut zdecydowanym głosem i wyciągnęła rękę.

- Trzymajcie się mocno - ostrzegł Muddy i wzbił się w sposób tak łagodny, jak jeszcze nigdy w ciągu całych dwóch tysięcy lat.

Mając po jednym dziecku z każdej strony, dzinn leciał z wiatrem w zawody kreśląc w powietrzu łagodne pętle. Na piasku tańczyły rzucane przez fruującą trójkę cienie. Pęd rozwiewał włosy i zaróżowił dzieciakom policzki. Przelecieli nad Margaret, która obserwując ich lot, odchyliła parasol z bananowych liści i przysłoniła oczy dłonią.

Lecieli nad wysokimi palmami kokosowymi ocierając się o ich liście, a potem opadli w dół nad kryształowo czyste fale, by obserwować świetnie widoczne morskie dno. Zrobili kilka okrążeń nad Hankiem - tylko dlatego, że Muddy nie potrafił sobie odmówić tej maleńkiej przyjemności.

Odrobinę mocniej ściskając dłonie maluchów, Muddy, mrugnawszy do nich porozumiewawczo, wzniósł się nad kłębiaste obłoczki, i wyżej... wyżej... wyżej... przez białe, ociążałe chmury, które zrosiły im twarze kropelkami wilgoci. Gdy wyłonili się z powrotem, mokre policzki załśniły w promieniach słońca.

Unosili się w powietrzu dzięki magii, której dar dzinn otrzymał w zamierzchłej przeszłości. Ale nie tylko. W szybowaniu ponad wodami Pacyfiku, przez błękitne niebo, bardzo pomagały radosne uśmiechy piszczących z uciechy dzieciaków - były nawet potężniejszą siłą od czarów.

Margaret siedziała na plaży owinięta kocem niby burnusem. Oparła rączkę parasola na ramieniu i obracała nim, jakby brała udział w paradzie wielkanocnej.

Obserwowała lot dzieciaków. Nikt w San Francisco w to nie uwierzy, pomyślała. Nawet jej ojciec, który uważał córkę za najrozsądniejszą osobę na świecie. Odwróciła na chwilę wzrok i zerknęła na Annabelle śpiącą obok na kocyku. Kawałek ceraty wydobytej z szalupy posłużył Margaret do zrobienia czegoś w rodzaju parawanu osłaniającego małą od słońca.

Orzeźwiająca bryza wiała od morza, poruszając lekko ceratą. Igrała z liśćmi na parasolce i przyciskała flanelową spódnicę do nóg Margaret, która podciągnęła kolana pod brodę, objęła je ramionami, a stopy zagrzebała w piasku.

Morze było lazurowe. Z oddali dochodził szum fal rozbijających się o rafę. Z bliższej odległości słychać było bzyczenie much uwijających się nad kępą wodorostów wyrzuconych na brzeg, po których biegały kraby szukając miejsc na wykopanie norek, by ukryć się przed nadciągającym przyptywem. Hank wyszedł z wody i ciężko opadł na piasek obok Margaret.

- Powinnaś wejść do morza, Smitty. Nurkowanie to wspaniała zabawa.

Margaret patrzyła na lagunę. Na niebiesko-chłodną wodę. Nie odezwała się jednak.

- Jest tam tyle ostryg, że nigdy nie zdołałabyś ich zjeść, złociutka.

Spojrzała na niego.

- Myślisz zapewne, że to właśnie mnie będą trafiały się perły.

- Masz rację. - Roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Wyświadczysz mi przysługę? - spytała w końcu.

- Hę?

- Chciałabym, żebyś nauczył Lydię pływać.

- Ty też umiesz pływać.

- Uczysz Theo, bez problemu mógłbyś uczyć wtedy i Lydię. Ja ciągle jeszcze nie mogę wystawiać się na słońce.

- Według mnie jesteś już zupełnie zdrowa.

- Wierz mi, że nie.

Patrzył na nią przez chwilę.

- Byłaś w wodzie dziś rano.

- Powiedziałeś przecież, że słona woda przyspieszy proces gojenia skóry.

- Taaa... ale to było ponad tydzień temu.

- Ale aż do dzisiaj wszystko zbyt mnie bolało, żebym mogła się zamoczyć - powiedziała. - Chyba jestem już za długo na słońcu. - Dotknęła dłonią czoła i bardzo głośno westchnęła. - Trudno mi nawet zebrać myśli.

Patrzył na nią przez chwilę, a ona miała nadzieję, że dał się nabrać na to przedstawienie.

Po minucie milczenia Hank odezwał się wreszcie:

- Dobra, będę ją uczył.

- Dziękuję - odpowiedziała Margaret słabym głosem, starając się, by wypadło to jak najbardziej naturalnie.

- Ale tylko do czasu, gdy poczujesz się lepiej. Zrozumiałaś?

Skinęła głową i ciasniej owinęła się kocem. Hank utkwiał wzrok w falach, więc skorzystała z okazji, by znowu mu się przyjrzeć.

Na opalanej skórze połyskiwały kropelki słonej wody. Morska piana zostawiła ślady dookoła jego kostek. Uniósł teraz rękę i palcami przeczesał mokre czarne włosy, odgarniając lepiące się do śniadej twarzy kosmyki.

Spodnie z odciętymi nogawkami sięgającymi do połowy ud były jego jedynym ukłonem w stronę przyzwoitości. Resztę ciała eksponował bez żenady: opalony na brązowo tors pokryty gęstymi czarnymi włosami, które wąskim paskiem opuszczały się na płaski umięśniony brzuch, znikwały w mokrych bawełnianych spodenkach oblepiających ciało i pojawiały się na udach i łydkach. Nogi były długie i muskularne - mięśnie uwypuklały się przy każdym ich ruchu.

Patrzyła na jego ramiona, gdy odchyłał się do tyłu, opierał łokcie o piasek i topił wzrok w morzu. Obserwowała kropelki wody ściekające po wzniesieniach mięśni i spadające na białą plażę.

Nie miała pojęcia, jak długo nie odrywała od niego oczu. Poczucie czasu opuściło ją, a w zamian pojawiła się absurdalna fascynacja surowym wyglądem mężczyzny - ciemnymi włosami, świetnie ukształtowanymi mięśniami i nabrzmiałymi żyłami znaczącymi ciało tu i ówdzie nierównymi liniami. Była świadoma różnic, jakie istniały pomiędzy nią i nim. Nie tylko inaczej patrzyli na świat i wyznawali różne filozofie życia, także ich fizyczność była odmienna.

Odwrociła od niego wzrok. Czuła się niezręcznie z powodu bliskości Hanka i jego skąpego odzienia. Dotknęła ręką ust, które nie wiedzieć czemu nagle stały się zupełnie suche. Zerknęła na niego, chcąc sprawdzić, czy w ogóle zwraca na nią uwagę.

Hank marszczył czoło obserwując powietrzne wyczyny Muddy'ego, ciągnącego za sobą Lydię i Theodore'a.

- Ciągle nie wierzę własnym oczom.

- Ani ja. - Margaret utkwiała spojrzenie w piasku.

- To wszystko nie ma za grosz sensu.

- Wiem - powiedziała unosząc dłoń i masując dwoma palcami grzbiet nosa. Zamknęła oczy. Starła się zapomnieć o tym, co widziała.

Kiedy je otworzyła, Hank wpatrywał się w nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy. W chwilę później odwrócił głowę. Siedziała obok niego z dłońmi ułożonymi na kolanach. Podciągnięta spódnica odsłaniała jej nogi kilka centymetrów powyżej kostek. Margaret przyjrzała się dokładnie swoim stopom, a potem zlustrowała zarys kolan i łydek. Marzyła teraz o jednym - by zrzucić z siebie ubranie i zanurzyć się w wodzie.

Uparła się jednak, że zmusi Hankę, by uczył Lydię pływania, i teraz było za późno na odwrót. Annabelle poruszyła się niespokojnie na kocyku obok, a w sekundę potem usiadła. Mrugając oczkami popatrzyła na dorosłych z bardzo poważną miną i uśmiechnęła się.

- Cześć!

- Cześć! - Margaret rozśmieszył widok buzi dzieciaka, który wiedział o czymś szalenie zabawnym, ale nic nie mówił zatrzymując ten sekret dla siebie. Jakiś cień zakrył postać małej. To Hank - przesunął się trochę i spoglądał przez ramię na szkraba. Margaret poczuła na włosach blisko ucha ciepło jego oddechu. Przeszedł ją dreszcz, na ciele wystąpiła gęsia skórka, choć Margaret była przecież szczelnie okutana ciepłym kocem.

- Cześć, mała! - odezwał się wesoło Hank.

Annabelle pomachała do niego rączką i roześmiała się głośno. W chwilę potem wstała i podreptała w jego stronę. Hank usiadł prosto, a ona bez żenady wdrapała mu się na kolana i usadowiła wygodnie, opuszczając nóżki po obu stronach jego uda. Oparła się o jego brzuch i dopiero wtedy zdecydowała się odchylić główkę, by popatrzeć na Hankę. Złotorude włoski były wyraźnie widoczne na tle czarnych włosów rosnących na jego piersi.

- Cześć!

Margaret zamarła w bezruchu. Była zupełnie wytrącona z równowagi. Z ogromnym wysiłkiem powstrzymywała się od wybuchnięcia płaczem. Czowała, jak ścisła ją w gardle; pierś bolała od tłumionego szlochu, łyzy cisnęły się do oczu.

Odwróciła głowę i odetchnęła głęboko. W głowie miała pełną pustkę.

Przez następne dwa dni Hank i Lydia chlapali się w przejrzystej wodzie jeziora, podczas gdy Theodore skakał z wodospadu, co z kolei bardzo dopingowało dziewczynkę do jeszcze szybszej nauki.

Hank przepłynął na drugi brzeg, gdzie w cieniu drzewa chlebowego siedziała Margaret, ubrana w sukienkę zakrywającą ją od szyi po kostki nóg.

Przytrzymując się kamienistego wyłomu, Hank spojrzał na nią. Twarz miała zroszoną kropelkami potu. Otarła je jednak szybko i zaczęła wachlować się bananowym liściem.

- W wodzie jest znacznie chłodniej, Smitty.

- Tak, zapewne.

- Nie weszłaś do wody, od kiedy zająłem się Lydią.

Wzruszyła ramionami.

- Do diabła, owiń się czymś, co nie będzie krępowało ci ruchów, i wskakuj do wody.

Spiorunowała go wzrokiem.

- Słońce już ci nie zaszkodzi. Zahartowałaś się solidnie.

Podciągnął się na rękach i wyskoczył z wody. Położył się na skałach, tuż przy nogach Margaret. Cofnęła się, ale on przysunął się bliżej.

- Spójrz! - Podciągnął jej spódnice do kolan i przytknął ramię do łydki. - Jesteś opalona prawie tak jak ja.

Szarpnęła spódnice opuszczając ją aż do kostek.

- Nigdy więcej tego nie rób!

- Jak rany, Smitty, czy myślisz, że nigdy przedtem nie widziałem kobiecych nóg? - Pokiwał głową z politowaniem i skoczył do wody.

Gdy się wynurzył, Margaret starannie unikała jego oczu, patrzyła za to na jego tors.

- U kobiety widziałem już wszystko, co jest do zobaczenia.

Zauważył w jej oczach błysk emocji, choć Margaret nie odezwała się nawet jednym słowem.

- Wierz mi, złociutka, twoje nogi nie różnią się niczym od tysięcy innych kobiecych nóg.

Odwrócił się i popłynął przecinając gładką taflę zamaszystymi ruchami... Wiedział, że powiedział właśnie największe kłamstwo w życiu.

Od tamtej pory minęło kilka dni. Hank przyszedł na zalaną słońcem, senną od skwaru plażę. Smitty siedziała tu samotnie i rysowała coś palcem na piasku.

Przystanął na chwilę i po prostu na nią patrzył. Wiatr bawił się włosami Margaret spływającymi pasmami na szyję. Hank podszedł bliżej. Zauważyła go i szybko starła swoje dzieło. Zastanawiał się, co takiego narysowała lub napisała. Podszedł bliżej i zatrzymał się o kilka kroków od niej. Margaret była ubrana we flanelową sukienkę szczelnie ją okrywającą. Poza twarzą, dłońmi i bosymi stopami, resztę ciała spowijał ciemny materiał. Pociła się. Czoło zraszały jej krople wilgoci, spływały po policzkach i szyi. A jego nazywała upartym osłem!

Usiadł obok niej, bardzo blisko. Posłała mu mordercze spojrzenie. Hank roześmiał się, bo wszystko wskazywało na to, że wykańczała nie jego, tylko samą siebie. Milczał; czekał, żeby odezwała się pierwsza. Oparł się łokciem o piasek i patrzył na mewy dokazujące w powietrzu. W pewnej chwili poczuł na sobie jej wzrok.

Wpatrywała się w jego pierś. Spuścił głowę i zlustrował dokładnie własny tors, ale niczego, co byłoby warte uwagi, tam nie dostrzegł. Kiedy uniósł głowę, Margaret starannie unikała jego wzroku.

- Jeżeli masz zamiar siedzieć tu i jednocześnie coś ugotować, to będzie prościej, jeśli zawołamy ludożerców, a ty wystąpisz jako główne danie.

- Ależ jesteś dowcipny.

- Staram się.

- To daruj sobie. Próbuję zebrać myśli.

Roześmiał się.

- Nie mów! Ty i myślenie?

Czekał, ale ona uparcie milczała. Jej włosy stały się jaśniejsze pod wpływem tropikalnego słońca, które okradło je z części złocistego poblasku. Była błyskotliwa, choć drażnienie się z nią na ten temat sprawiało mu przyjemność. Lubił to. Lubił jej bardzo kobiece usta. Lubił sposób, w jaki się z nim kłóciła. Pobudzała go do myślenia, co wcale nie było takie złe. Podobało mu się wyzwanie, jakie mu rzuciła - że niełatwo odgadnąć, co jej chodzi po głowie.

- Co cię gryzie, złociutka?

- Nie jestem złociutka, Hank.

- Mogłabyś być.

Powoli zwróciła twarz w jego stronę.

- Pocałuj psa w nos.

Znowu się roześmiał.

- Dobrze, jeśli nie chcesz rozmawiać, moglibyśmy się po prostu... - Miał już na końcu języka dość wulgarnie słowo, ale powstrzymał się przed powiedzeniem go.

Z jakiegoś powodu, choć się nad tym nie zastanowił, czuł, że to słowo byłoby dla niej obraźliwe. Zapatrzył się przed siebie udając, że niczego nie powiedział. Kiedy ponownie na nią spojrzął, wyczytał w jej twarzy te same odczucia, które gościły w jego myślach. Była to świadomość obecności drugiej osoby. Usiadł prosto i przysunął się do niej trochę bliżej.

Patrzyła na niego i nagle wyciągnęła przed siebie dłoń, jakby chciała go powstrzymać albo odgrodzić się od niego. Widział wyraźnie, że było to działanie instynktowne, reakcja zupełnie naturalna. Nie powiedział słowa, ale też nie zbliżył się już bardziej.

Jej ręka opadła niczym biała flaga kapitulacji, a on sięgnął po nią. W chwilę potem trzymał Margaret w ramionach. Leżał na piasku. Jej ciało przylgnęło do niego.

Ujął jej głowę w ręce i całował usta. Mocno i namiętnie. Smakowała lepiej niż wszystko, czego do tej pory próbował w swoim cholernym życiu. Brakowało mu tego. Brakowało mu dotyku kobiety. Długich, gorących pocałunków. Kobiecego sutka muskającego usta. Smaku i zapachu kobiety. Godzin w łóżku spędzonych na niespiesznym kochaniu się.

- Nie! - krzyknęła i usiadła między jego nogami, na piętach. Złapała oddech, wstała i odwróciła się od Hanka. Objęła się ramionami i zapatrzyła w morze.

Podniósł się również i stanął za nią. Przez moment milczał zażenowany.

- Ciągłe myślisz, złociutka? Czy jeszcze nie pojęłaś, że myślenie nie rozwiąże problemów z tym, co właśnie się stało?

- Odejdź.

- Mogę odejść, ale to nie załatwi sprawy.
- Może nie, ale będzie to wyraźna poprawa.
- Rozmawiaj ze mną, Smitty.
- Nie potrafię. - Pokręciła głową.
- Co cię, do cholery, gnębi?
- Nie wiem - odpowiedziała. - Nie rozumiem, dlaczego odczuwam takie rzeczy. Ja... ja cię nie kocham.

Roześmiał się.

- Miłość nie ma z tym nic wspólnego.
- Czy kochałeś już kogoś?
- Ja? Zakochany? - Śmiał się naprawdę szczerze i głośno. - Chyba tylko we własnej ręce.

Spojrzała na niego, uniosła lekko głowę.

- Nie zwracaj na to uwagi. To dowcip rodem z taniej piwiarni.
- Tak, wiem. Spodziewałam się jednak, że masz w tych sprawach większe doświadczenie ode mnie.

- Mhm. Całe lata doświadczeń.

Wyprostowała się i cofnęła o kilka kroków. Dopiero teraz Hank zrozumiał, że ten rodzaj dowcipów i drażnienia się zupełnie do niej nie docierał. Smitty miała przecież zdrowe poczucie humoru, ale teraz jakby zupełnie je straciła.

Wpatrywał się w jej sztywno wyciągniętą szyję. Uśmiechnął się.

- Nie masz żadnych powodów do zazdrości, złociutka.

Obróciła się na pięcie. Otworzyła usta z wrażenia.

- Co takiego?

- Już ci mówiłem. Żadnej żony. - Uniósł ręce do góry w geście poddawania się. - Żadnej kochanki. Nie masz powodów do zazdrości.

Zamknęła usta i przez dłuższą chwilę patrzyła na niego przymrużonymi oczami.

- Cały jestem twój!

Nie poruszyła się. Po chwili przytknęła dłoń do policzka, jakby była zupełnie zaskoczona.

- A mówią, że cuda się nie zdarzają - powiedziała.

Nawet on musiał się roześmiać. Ona jednak daleka była od śmiechu.

Spojrzeni na siebie jednocześnie. Cisza zdawała się rozciągać w nieskończoność, jak dzień w więzieniu. Podszedł do niej.

- Cóż złego w tym, żeby wyciągnąć po mnie rękę, złociutka? Skorzystaj z okazji zabawienia się. Obiecuję, że zabawa będzie świetna. - Wskazującym palcem uniósł jej brodę. - Myślenie o tym tylko skomplikuje całą sprawę.

Margaret zeszywniała i cofnęła się o kilka kroków.

- Wszystko straciło sens. To, co robisz, jest bez sensu. Muszę pomyśleć.

- Myślisz wystarczająco za nas oboje. Do diabła, Smitty, myślisz za wszystkich ludzi na tym cholernym świecie.

- Po prostu jedno z nas musi posługiwać się głową.

Zaśmiał się. Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Masz zbyt twardą głowę, żeby od czasu do czasu coś do niej dotarło.

- Mam twardą nie tylko głowę - wymamrotał pod nosem.

Odwróciła się od niego i ruszyła przed siebie.

- Och, nie, nie odchodź. Tym razem nie pozwolę ci odejść. - Chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie tak zwinnie, że aż jej dech zaparło.

Stał obok niej, cały sprężony, i podniósł ją, zanim zdążyła choćby mrugnąć. Nie potrafiła wywinąć się z jego objęć.

- Jeśli ci się wydaje, że możesz mnie do czegoś zmusić, to radzę, przemyśl to jeszcze raz.

Milczał.

- Puść mnie.

- Nie bardzo wiem, czy bardziej potrzebne jest ci rozgrzanie czy też ochłodzenie. - Ruszył w stronę wody. - Chyba jednak ochłoda. Potrzebujesz tego od czasu, gdy Lydia pływa jak ryba.

Westchnęła cicho.

- Domyśliłeś się?

Roześmiał się i podrzucił ją w ramionach.

- Postaw mnie na ziemi, Hank.

- Nie mam ochoty. - Wszedł do wody. Wciąż trzymał ją na rękach i szedł. Woda stawała się coraz głębsza. – Pamiętasz rum? I płonące banany? Pamiętasz tajemnicze zniknięcie brandy? A whisky, którą zużyłaś do bardziej praktycznych celów?

- Hank...

- Masz jakieś ostatnie słowo?

Margaret spojrzała na lustro wody i zmierzyła Hanka groźnym spojrzeniem.

- Nawet o tym nie myśl.

- Nie będę, złociutka.

- Tak będzie lepiej dla ciebie.

- Nie będę o tym myślał. - Usunął się wrzucając ją w nadpływającą falę.

Wrócił powoli na plażę. Z rękoma opartymi na biodrach patrzył na jej zmagania z żywiołem, rozpaczliwe machanie rękoma, zachłystywanie się wodą.

Wsadził ręce w kieszenie i ruszył plażą, pogwizdując. Gdy doszedł do skarpy, przystanął i obejrzał się. Margaret gramoliła się na brzeg mamrocząc coś pod nosem.

- Hej, Smitty!

Stała na piasku wyzymając spódnicę z wody. Przytknął dłonie do ust i zawołał:

- Nie będę myślał! Zostawiam to tobie!

Następnego ranka Margaret szła plażą zdecydowanie stawiając kroki. Miała na sobie namiastkę kostiumu kąpielowego. Zatknęła za pasek dół spódnicy robiąc z niej coś w rodzaju spodnek gimnastycznych. Przystanąła. Czekąca, aż Hank ją zauważy.

Płynął z falą do brzegu. Przystanął w wodzie sięgającej mu do pasa. Na widok Margaret zamuroowało go. Nie uśmiechnął się. Nie powiedział słowa. Patrzył po prostu zachłannie, jakby nie mógł oderwać od niej oczu.

Tak samo jak kiedyś zrobiło się jej sucho w ustach. Przez moment zastanawiała się, jak wygląda w jego oczach. Chciała robić wrażenie pewnej siebie kobiety, dla której obnażenie połowy ciała nie stanowiło problemu. W końcu nie była przecież jakąś młodą nieśmiałą gąską. Była kobietą. W dodatku pracowała zawodowo. Była inteligentna.

- Mogę się przyłączyć?

Ze śmiechem powoli wynurzał się z wody. Nie była głupia. Rzuciła mu spodnie z uciętymi nogawkami. Odwróciła się i czekała.

- Skończyłeś?

- Tak.

Odpowiedź usłyszała tak blisko ucha, że aż podskoczyła przestraszona. Obróciła się. Bała się, że zrobił jej kawał i trzyma spodnie w ręku. Nie zrobił. Miał je na sobie.

Spojrzała w jego ciemne oczy. Igrał w nich mroczny uśmiech.

- Mam szaloną ochotę na ostrygi.

Uniósł wyżej głowę i złożył ręce na piersi.

- Na ostrygi, Smitty, czy na perły?

- Na ostrygi, choć gdybym znalazła perły, byłoby to miłe.

Wyciągnął rękę w jej stronę.

- W takim razie chodź ze mną.

Patrzyła na jego otwartą dłoń i w chwilę potem wsunęła w nią swoją. Nie poruszyła się jednak. Wzrok utkwiała w splecionych dłoniach. Jego była szorstka i opalona, z silnymi palcami i szerokim nadgarstkiem. Jej - znacznie bledsza, szczupła, z długimi palcami. Jak bardzo się różnią, pomyślała.

- Chodź, Smitty.

Wbiegli do wody cały czas trzymając się za ręce, choć fale uderzały tak mocno, jakby chciały ich rozłączyć.

- Musimy przepłynąć kawałek, potem przejść łachą i dopiero wtedy pokażę ci królestwo ostryg.

Skinęła głową. Kolejna fala obmyła ich ciała.

- Tamte ostrygi były przepyszne. W ogóle przepadam za ostrygami.

Zaśmiał się.

- Wiem coś o tym - powiedział.

- Brakuje tylko paru kropel sosu Tabasco - dodała.

Zatrzymał się i roześmiał jeszcze głośniej.

- I co w tym takiego śmiesznego?

- Nie uwierzyłybyś - powiedział kręcąc głową.

Przeszli przez płyczną laguny. Fale przyływu omywały im nogi. Potknąwszy się, Margaret złapała Hankę w pól, żeby nie upaść. Otoczył ją wtedy ramieniem, podniósł i postawił na nogi, jakby nie ważyła więcej niż piórko.

To było zupełnie nowe doznanie. Mężczyźni nie nosili zwykle na rękach kobiet, które dorównywały im wzrostem. Gdy jego dłonie objęły ją w pasie, poczuła lekki dreszcz.

Teraz jednak stał za nią niczym mur, gotów podtrzymać ją, gdyby jakakolwiek fala chciała brutalnie zbić ją z nóg. I korzystała z jego pomocy. Poczula na ramieniu szorstki dotyk włosów porastających jego ciało, stalową twardość muskularnej piersi i silnych ud. Jedna z fal uderzyła tak niespodziewanie, że Margaret upadłaby, gdyby nie podtrzymał jej udem i nie pomógł odzyskać równowagi. Po kilku minutach zmagania się z morzem dotarli do piaszczystej łachy. Idąc wzdłuż niej doszli do postrzępionej rafy koralowej.

Hank ujął ramię Margaret.

- To tutaj. Chcesz zanurkować?

Skinęła głową.

- Gotowa?

Skinęła głową.

- To świetnie, złociutka. Oddychaj głęboko. Dziesięć razy powinno wystarczyć.

Oboje wciągali powietrze w płuca. Potem Hank spojrział na nią, wziął ją za rękę i skinął głową. Trzymając się za ręce zanurkowali w niebieskozieloną głębię, gdzie woda była czysta jak powietrze. Dla Margaret był to zupełnie nowy świat, nieznan i fascynujący.

Różnokolorowe ryby - żółte, czerwone, pomarańczowe i fioletowe - pływały dookoła nich. Wykonywały jakiś rybi taniec wpływając w skały i pojawiając się ponownie w miejscach, gdzie czerwone anemony o metrowej średnicy leżały na dnie niczym modlitewne dywany. Morskie rośliny o różowych, żółtych i karminowych liściach wolno kołysały się poruszane leniwym prądem.

Hank ciągnął ją za sobą mocno trzymając jej dłoń. Gdy zanurzyli się głębiej, Hank wskazał ręką biało-różowo-czarny koral, wyrastający z pobliskiej skały niczym ogromny grzyb. Małe rybki w kolorach tęczy - całe tysiące stworzonek w gęstych od połyskujących ciałek ławicach - przeszywały jak srebrzyste strzałki błękitną otchłań, która, zdaniem Margaret, miała kolor niebios.

Margaret i Hank wpływali do tego obcego świata - świata tak czarownie pięknego, że wydawał się nieprawdziwy. Wślizgiwali się do podwodnego rajy pyszniącego się barwami o bajkowych odcieniach. Czuli się tak, jakby znaleźli się nagle w samym środku tęczy. Docierające tu promienie słoneczne igrały z kolorami rybich łusek i listkami roślin, sprawiając, że lśniły i migotały piękniej od klejnotów.

Gdy Hank pokazał kciukiem do góry, wypłynęli na powierzchnię. Margaret chciwie łapała powietrze.

- Zanurkujmy jeszcze raz - powiedziała ciężko dysząc i szykując się do ponownego zanurzenia.

- Nie tak szybko, złociutka. Odpocznij parę minut. Staraj się wciągać powietrze głęboko, ale powoli.

Morze miało w sobie coś hipnotyzującego. Nietrudno było im teraz zrozumieć mit o syrenach. Świat czarów, świat piękna. Przyzywał do siebie w jakiś niesamowity sposób, który nie miał nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem, ciekawością czy wiedzą.

Było w tym coś pierwotnego, żywiołowego. Margaret czuła się tak, jakby w tej właśnie chwili zostały uchylone małe drzwi prowadzące do świata stworzonego tylko po to, by mogła go odkryć.

Oddychała głęboko, chcąc jak najszybciej odpocząć i zanurzyć się ponownie.

Hank śmiał się z niej.

- Spokojnie. Morze ci nie ucieknie.

- Chcę to wszystko zobaczyć, Hank. Wszystko. I to zaraz.

- A co z ostrygami?

- Także chcę je obejrzeć. Tam na dole jest cudnie.

Spojrziała mu w oczy i położyła dłoń na jego piersi. Dokładnie w miejscu, gdzie biło serce. Uśmiechnęła się szczerze.

- Chcę ci podziękować za to, że zabrałaś mnie tutaj. To najpiękniejsze miejsce, jakie widziałam w życiu.

Nawet oczy Hanka miały tu inny wyraz. Nie było w nich cynizmu, niczego poza wrażliwością na piękno świata. Rozgarniając rękami wodę Hank patrzył na Margaret takimi właśnie oczami. Poczowała się zmieszana tym, że tak bardzo przejęła się wyrazem jego oczu.

A potem on wszystko zepsuł. Zepsuł zupełnie, bo wyciągnął do niej rękę, przyciągnął do siebie i pocałował.

- Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego tak się wściekasz - mówił Hank wychodząc za nią z wody.

- I nigdy się nie dowiesz. - Spojrzała na niego surowo, odgarnęła z twarzy mokre włosy i ruszyła przed siebie. - Masz zakuty łeb i tylko jedno ci w głowie.

- Przecież tylko się całowaliśmy, do cholery.

Nie odezwała się.

- Cholera, po prostu cię nie rozgrzałem.

Wypuściła głośno powietrze i odwróciła się do niego.

- A mógłbym. Mogłem też dotknąć cię, gdziekolwiek bym zechciał. Włożyłaś mi język do połowy gardła, złociutka.

- Nie znoszę tego. Naprawdę.

Zaśmiał się, przeszedł obok niej i przystanął.

- Nie, to nieprawda. - Klepnął ją w pośladek. - Wcale ci to nie przeszkadzało.

Niewiele brakowało, a uderzyłaby go.

- Przecież naprawdę za tym przepadasz.

Odszedł od niej. Margaret czuła cały czas na pośladku ciepło jego ręki. W ustach błękał się jej jeszcze smak pocałunku Hanka. Rozejrzała się dookoła, nie bardzo wiedząc, gdzie się znajduje.

Bardzo powoli uniosła dłoń do warg, głęboko zaczerpnęła powietrza. W tej chwili na nic więcej nie mogła się zdobyć. Wiedziała już, gdzie jest, nie wiedziała jednak, kim jest.

Z przerażeniem, bardzo z siebie niezadowolona, zdała sobie sprawę, że Hank ma rację. Przepadała za tym.

Przez następny tydzień Margaret zajęła się sprawami dla niej najważniejszymi. Miała zamiar nauczyć się gotować i przede wszystkim zrozumieć, dlaczego Hank Wyatt miał na nią taki dziwny wpływ.

Jednym słowem, postanowiła przejść próbę ognia. I było tak rzeczywiście. Spaliła zupełnie trzy ryby, dwie patelnie pełne mewich jaj, orzech kokosowy (choć Hank przekonywał ją, że jak świat światem nikt nigdy nie gotował jeszcze kokosa), cztery owoce drzewa chlebowego, dół spódnicy, a nawet solidnie przypiekła trzy własne palce.

Masę czasu poświęcała też na obserwowanie Hanka - szukała odpowiedzi na postawione sobie wcześniej pytanie. Hank natomiast poświęcił się dobudowywaniu do chaty jeszcze jednego pomieszczenia. Miał to być pokój do zabaw dla dzieci, gdy na dworze rozszaleje się ulewa, a w razie czego można było urządzić tam sypialnię. Budowę rozpoczął po tym, jak Annabelle budziła go bladym świtem przez trzy dni z rzędu i cieszyła się bardzo, gdy ziewał. Jakby tego było mało, już drugiego dnia wprowadziła do pobudki pewne urozmaicenie - szarpała brzeg hamaka tak skutecznie, że Hank zlatywał na podłogę, a gdy już był w zasięgu jej małych rączek, wpychała mu do nosa banana. Tak naprawdę dodatkowe pomieszczenie miało więc być dla Hanka.

Margaret nie spuszczała oka z mężczyzny. Obserwowała go przy pracy, gdy pocił się w słońcu i w czasie zabawy z Theodore'em - zresztą Hank wciągał chłopca do wszystkich zajęć, a z czasem dołączyła do nich Lydia.

Pewnego ranka Margaret zasypywała właśnie garściami piachu zwęglone szczątki czegoś, co w zamierzeniu miało być śniadaniem, gdy dziewczynka przebiegła obok niej. Włosy miała zaplecione w dwa równe warkocze, a środek głowy ozdobił jej idealnie prosty przedziałek. Trochę później, tego samego dnia, już po lekcji pływania Theo i Lydii, Margaret przysła na plażę.

Usiadła na piasku. Gdy zobaczyła, że to Hank tak wspaniale zaplata dziewczynce warkocze, z najwyższym trudem ukryła zaskoczenie, jakim był dla niej ten widok.

To jednak nic w porównaniu z wrażeniem, jakie zrobił na niej uścisk, którym Lydia podziękowała Hankowi. Margaret odwróciła twarz w drugą stronę i odczekała chwilę w tej pozycji - chciała, by obeschły łyzy mogące natychmiast zdradzić jej stan ducha.

Hank radził sobie znakomicie również z Annabelle. Nosił ją na barana, pozwalał dotykać gałęzi i liści roślin. Podnosił ją do góry, by mogła zrywać kwiaty. Pokazywał ptaki. Zwracał jej uwagę szczególnie na kolibry latające od jednego kielicha kwiatowego do drugiego. Śmiał się głośno, gdy dziewczynka piszcząc z uciechy, po dziecinnemu podniecona widokiem mew, alk i rybołówek szybujących po niebie. Klaskał razem z nią gdy pojawiły się pelikany, niezgrabnie drepczące po plaży w asyście znacznie od nich mniejszych ptaków szukających resztek walających się po piasku.

Jeszcze bardziej zagadkowy był dla Margaret sposób, w jaki teraz na nią patrzył - jakby wiedział coś, o czym ona nie miała w ogóle pojęcia.

Dlaczego fascynowało ją to, jak się poruszał? Przecież przedtem nigdy nie zwracała uwagi na męski chód. Czemu stała codziennie rano na brzegu, gdy on się kąpał? Przecież potem zawsze czuła się fatalnie. Dlaczego teraz wspięła się na skały i zerknęła zza wyłomu, gdy się golił? Miała w końcu trzydzieści dwa lata. Była prawnikiem.

Trzeźwe myślenie, kierowanie się logiką i mądrością to jej atrybuty. Tylko że... trzęsły się jej ręce. Czuła się zupełnie rozbita - wyczerpywała ją świadomość, że teraz nic nie sprawia jej przyjemności.

Stała niedaleko jeziora; wiedziała, że powinna stamtąd odejść, ale nie ruszała się z miejsca. Czekala na plusk wody, gdy będzie nurkował. Nic takiego jednak nie następowalo. Nagle zrozumiała. Bardzo dobrze rozumiała. Przecież to, co robiła, było zawstydzające. Zakryła usta dłonią i pokręciła kilkakrotnie głową. Musi stąd odejść. To wszystko było po prostu... głupie.

Ześliznęła się po skałach. Na dole zatrzymała się. Ciężko dyszała. Rozmasowała sobie czoło. Pytała samą siebie, co też właściwie sobie wyobrażała. Głupia...

Odwróciła się.

Stał przed nią, oparty o najbliższą skałę, jakby czekał tu od dłuższego czasu. Ręce skrzyżował na piersi i uśmiechał się pyszałkowato.

Ruszył w jej stronę. Margaret cofnęła się. Nagle zapragnęła, by ziemia rozstała się pod jej stopami. Dała krok do przodu, potem do tyłu.

- Brałaś lekcje od kozy?

- O czym ty mówisz?

- Nieważne. - Zbliżył się o dwa kroki.

Przesunęła się do tyłu. Uderzyła plecami o pień palmy kokosowej. Odskokczyła na lewo. Był jej cieniem.

- Bawisz się w nowy rodzaj partnerstwa, złociutka?

Chciała go wyminąć, ale wpadła na skałę. Jego ręce oparły się o kamień po obu jej stronach. Gdy spróbowała precyzyjnie się pod jednym z ramion, opuścił je niżej. Była w pułapce.

- Nie wyobrażaj sobie za dużo. - Starala się patrzeć bardzo groźnie.

Uśmiechnął się - tak zapewne uśmiecha się kot, gdy trzyma w pazurach ptaka, pomyślała, choć nigdy nie widziała uśmiechniętego kota. Przysunął się tak blisko, że poczuła na policzku oddech Hanka.

- Moglibyśmy opracować razem piersi. - Przerwał na chwilę. Widać było wyraźnie, że kpi sobie z niej w żywe oczy. - Potrzebujemy piersi... to jest... planu. - Roześmiał się. - Co powiesz na twoje piersi przeciw moim, złociutka?

Poczuła, że oblewa się rumieńcem. Miała ochotę zapaść się pod ziemię. Jednak znacznie fatalniejsza od zakłopotania sytuacją była przerażająca świadomość, że mimo wszystko coś do niego czuje, choć przecież zdawał się ostatnim mężczyzną, w którym mogłaby się zakochać.

Zagryzła wargi i zamknęła oczy. Nie mógł jej bardziej poniżyć. Gorsze jednak od jej położenia i nawet od tego, że przyznała się przed sobą do uczucia, jakim darzyła Hanka Wyatta, było to, że on o tym świetnie wiedział.

Wpadła jak śliwka w kompot. Śmiał się w duchu, spoglądając na nią. Nie miała odwagi podnieść na niego oczu. Czekał. Jednego się przy niej naprawdę nauczył - cierpliwości.

Niespodziewanie nogi ugięły się pod nią; osunęła się i usiadła ciężko na piasku. Podciągnęła kolana i ukryła w nich twarz. Wpatrywał się w nią. Co, do diabła?

- Smitty?

Chyba płakała.

Zupełnie zaskoczony, stał wciąż w tej samej pozycji. Zmarszczył czoło. To niemożliwe, żeby płakała. Powinna kłócić się z nim i walczyć, jak zwykle. Odczekał minutę, a potem przykucnął obok niej. Trzęsły się jej ramiona.

- Płaczesz? - Pochylił się, chcąc zobaczyć jej twarz. - To przecież niemożliwe. - Usłyszał wyraźny szloch. - Cholera! Ty rzeczywiście płaczesz!

Płakała. Wstał zmieszany, spojrzał na prawo, potem na lewo. W pobliżu nie było nikogo.

- Smitty. - Cofnął się o krok. - Nie płacz już, dobrze?

Rozpłakała się jeszcze głośniejsze. Ten dźwięk był dla niego istną torturą.

- Daj spokój. Wyglupiałem się po prostu.

Nie przestawała szlochać.

- Przestań, Smitty! Posłuchaj, nie chciałem... - Przerwał w pół zdania i zaczął od nowa.

- No, dobrze, powiedzmy, że miałem ochotę trochę cię pomęczyć. - Przesunął ręką po włosach. - Ale, do cholery, od kilku tygodni dopiekam ci do żywego! I nigdy nie płakałaś.

Beczała coraz głośniejsze. Z trudem łapała oddech.

Wpatrywał się w nią i wiedział, że to właśnie on doprowadził ją do takiego stanu. Od bardzo wielu lat nie czuł się tak podle. Myślał o tym, kim się stał, pytał sam siebie, czy było to wynikiem wielu lat spędzonych w więzieniu, gdy był wyrzucony poza nawias normalnego życia. Czy człowiek zaczyna wtedy ciągnąć innych za sobą w to bagno? Wytarł dłoń o spodnie.

Zastygł w bezruchu. Opanowało go jakieś nieznanne, mroczne uczucie.

Naprawdę zanosila się płaczem. Jezu! Ależ to było głośne.

- Smitty...

Próbował coś wymyślić. Chciał powiedzieć choć jedno słowo, które powinien powiedzieć. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy.

Włosy opadły jej na twarz. Objęła kolana ramionami. Trzymała je tak mocno, jakby były jedyną istniejącą na świecie opoką. Przez moment miał głupie wrażenie, że malała z każdą chwilą.

- Przestań już płakać, dobrze? - Znowu musiał wytrzeć spocone dłonie o nogawki spodni. Wziął głęboki wdech. - Proszę - wyrzucił z siebie.

Nic nie pomagało. Ponownie ukucnął obok niej.

- Spójrz na mnie, Smitty. - Przerwał na chwilę i dodał: - Proszę.

Nie poruszyła się.

- Proszę.

A więc powiedział to słowo. Za trzecim razem nie było to już takie trudne. Spojrzał na nią. Ciągle skulona. Ciągle płacząca.

- O, cholera! - Złapał ją za rękę i podniósł do góry. Przytuliła się do niego, oparła głowę na jego ramieniu. Jej ciało było zupełnie wiotkie.

- Ja... ja... nie eh... eh... chciałam... te... tego - odezwała się bardzo cicho. Jąkała się, z trudem łapiąc oddech.

- Wiem. - Ruszył w kierunku chaty.

- Po... po... prostu stało się. To... to... głupie, wiesz? Zupełnie bez... bez sen... sensu.

- Oczywiście, złociutka.

Jej mokra twarz dotykała jego szyi.

- Jak mogło do tego dojść?

- Nie pytaj mnie.

- Staram się nic sobie z tego nie robić.

- To widzę. - Potarł brodą o czubek jej głowy.

- Nie chciałam się tym przejmować. Ty... ty nie jesteś mężczyzną, na którym powinno mi zależeć, rozumiesz?

- Rozumiem.

Znowu się rozpłakała. Delikatnie pogłaskał ją po plecach.

- Och, Hank... - szlochała.

- Co, złociutka?

- Przecież ja cię nawet nie lubię!

- Gdybym był na twoim miejscu, też bym za sobą nie przepadał.
- Naprawdę?
- Mhm. Czasami jestem po prostu upartym draniem.
- Tak, to prawda.

Przez chwilę milczała. Spojrzała na nią. Najwyraźniej znów o czymś rozmyślała. Ale przecież, do diabła, i tak było to lepsze, niż gdyby miała płakać.

Oddechnęła głęboko i wyszeptwała:

- Dlaczego? Przecież nie ma w tym żadnej logiki. – Jej oddech muskał mu szyję.

W końcu spojrzała na niego. Twarz miała zaróżowioną, mokrą od łez, i w ogóle fatalnie wyglądała.

- Dlaczego akurat my?
- Dlatego, złociutka, że życie tym razem i tobie rozdało blotki.

W chwili gdy wnosił Margaret przez drzwi chaty, odzyskała już pełną kontrolę nad sobą. Ciągle jeszcze tuliła twarz do jego ramienia. Chciała, żeby trzymał ją na rękach. Świadomość, że nie musi już tak desperacko panować nad sobą, wpływała na nią odprężająco. Pogodziła się z tym, że nie jest doskonała i że wcale nie musi taka być. Może pozwolić, by przez jakiś czas uczucia - nieważne czy logiczne, czy też nie - kierowały jej postępowaniem.

Hank zatrzymał się w mroku chaty. Bardzo powoli opuszczał ją, aż dotknęła stopami podłogi. Jej ramiona były ciągle oplecione dookoła jego szyi. Jego ciepłe dłonie spoczywały na jej pośladkach. Hank oddychał ciężko. Zupełnie zastygł w bezruchu.

Stał i milczał.

Nie mogła opierać się dłużej. Nie mogła walczyć z tym, co było między nimi. Nawet nie chciała z tym walczyć. Zmęczyło ją ciągle wmawianie sobie, że nie czuje tego, co czuje. I choć rozum buntował się przeciw temu, serce szeptało, że ma rację. Spojrzała na Hankę, zastanawiając się, co teraz zrobi. W jego twarzy nie znalazła odpowiedzi. Po prostu wpatrywał się w nią. Wyczuła, że zwalczał w sobie coś i że nie było to dla niego łatwe. Ręce mu drżały.

Wyszeptwała jego imię, a on przymknął oczy, sięgnął do jej ręk i zdjął je sobie z szyi. Przez chwilę trzymał je po prostu w swoich dłoniach. Patrzył gdzieś, ponad jej głową. Wyraz jego twarzy nie zdradzał żadnych emocji.

Oparła głowę na jego ramieniu.

- Co masz zamiar teraz zrobić?

Puścił ją i cofnął się o krok.

- Wychodzę.

- Co takiego?

Cofnął się jeszcze bardziej i odwrócił od niej. Wpatrywała się w jego plecy. Dwa długie kroki i był już przy drzwiach.

- Wychodzę.

Stał jednak w drzwiach. Popołudniowe słońce obrysowywało jego sylwetkę. Było w nim coś onieśmielającego. Wypełniał sobą prawie całe drzwi, jak portret, który ledwo mieści się w ramach. Czuła jego napięcie. Miał taki nierówny oddech.

- Dlaczego wychodzisz?

Po chwili kłopotliwego milczenia odwrócił się do niej i oparł ręce o framugi.

- Bo tym razem... pierwszy raz... nie będę próbował wziąć tego, na co mam ochotę.

- Ale dlaczego? - wyszeptwała łamiącym się głosem.

- Bo to jest cholernie ważne.

W sekundę później już go nie było.

Margaret siedziała w ciemnej chacie. Głowę oparła na dłoniach. Tak długo wmawiała sobie, że nic nie czuje do Hanki. Nie mogła jednak okłamywać samej siebie dłużej, niż udało jej się to z nim. Była teraz bezbronna, miała złamane serce i ogarniał ją coraz większy smutek. Wydało się jej, że słyszy jakieś odgłosy od strony drzwi. Jakaś jej cząstka ucieszyła się na myśl, że może to on.

Ale to nie był on. Nikogo tam nie było.

Zresztą wcale nie musiał tam stać. Widziała go i tak oczami wyobraźni. Zarys potężnej sylwetki oświetlonej promieniami słońca. Tak właśnie przychodzą aniołowie. Wiedziała jednak zbyt dobrze, kim był naprawdę. Na pewno nie aniołem. Był cierniem w jej sercu.

Hank pływał każdego wieczora. Musiał. Tylko w ten sposób mógł zmusić ciało do zaśnięcia - pływając do upadłego. Uspokajało to także gonitwę myśli. Chłodziło ogień w żyłach, ogień, z którym miał po raz pierwszy w życiu jakieś problemy. To także niezbyt mu się podobało.

Smitty zaczęła go unikać. Po zastanowieniu się doszedł do wniosku, że tak było lepiej. Przez ostatnie kilka dni, gdy tylko nie był czymś zajęty, patrzył na nią. Obserwował ją przy każdym zajęciu. Gdy przypalała posiłki, rozpalala ogień, biegala za Annabelle.

Zakradł się nawet raz za skały i ukryty w cieniu podglądał ją przy kąpieli. O Boże... Zrobił to jednak tylko raz. Żaden mężczyzna nie zniósłby więcej. Potem patrzył na nią jedynie wtedy, gdy w promieniach słońca szcztokowała włosy chcąc je wysuszyć.

Skutek był jednak taki sam.

Pewnego popołudnia obserwował ją, jak szła plażą. Nie miała pojęcia, że tam był. Zatrzymała się i napisała na piasku kilka słów. Hank wrócił w to miejsce znacznie później i przeczytał je. Pojedyncze słowa, nie tworzące żadnego sensu: chory, rozum, serce, Hank, pocałunek, nie, dlaczego?

Jednym słowem, z nią działo się to samo, co z nim. Nie był jeszcze pewny, co o tym wszystkim myśleć, i dlatego wymknął się w środku nocy i pływał. Po kilkunastu minutach wyszedł na brzeg, wciągnął spodnie i wrócił do chaty.

Było już dobrze po północy. Księżyc wisiał nisko na zachodniej stronie nieboskłonu. Hank wszedł cicho i bezszelestnie zamknął za sobą drzwi. Rzucił okiem na jej hamak. Był pusty. Rozejrzał się po pokoju. Czekał, aż oczy przyzwyczają się lepiej do ciemności. Zauważył zarys jej ciała na macie w rogu przybudówki. Spała obok Annabelle.

Podszedł do nich bez najmniejszego szmeru. Margaret spała na boku zwinięta w kłębek. Mała przytulała się do niej ułożona w zgięciu jej ramienia. Druga ręka kobiety opierała się lekko o piersi dziecka, jakby kontrolując bicie małego serduszka.

Ogarnęło go nieznanne uczucie. Stał, zupełnie wytracony z równowagi. Nie potrafił jednak wykrzesać w sobie dość sił, by odejść. To, co widział, wypełniało w nim jakąś pustkę. Po kilku minutach zwrócił wzrok na Theodore'a i Lydię. Oni również pogrążeni byli w głębokim śnie. Znowu popatrzył na Smitty.

Kiedys zastanawiał się, jak to możliwe, że ludzie decydują się na posiadanie dzieci. Nie potrafił tego zrozumieć. Tak było jeszcze kilka tygodni temu. Stojąc w ciemności i obserwując śpiącą gromadkę, zdał sobie sprawę, że w krótkim czasie poznał ich wszystkich lepiej niż kogokolwiek innego przez całe swoje życie. Poczuł w sobie przedziwną moc, której nie potrafił nazwać. Aż do szaleństwa chciało mu się na nich patrzeć.

Nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu, w końcu jednak zostawił ich. Położył się na hamaku, wyciągnął wygodnie i włożył ręce pod głowę. Zaczął obserwować pleciony z liści strop.

Noc powoli dobiegała końca. Gdzieś na zewnątrz księżyc powoli zachodził. Nie minie wiele czasu i nastanie najczarniejsza godzina nocy poprzedzająca świt. Słyszał kiedyś, że nazywają ją ciemnością przed wschodem słońca.

Znał świetnie tę ciemność, tak samo, jak znał samego siebie. Przez całe lata gościła w jego sercu. Spojrzał ponownie na dzieciaki, potem na Smitty i Annabelle. Położył się na boku i zamknął oczy. Nie wiadomo czemu ciemność rozjaśniło światło.

Przez otwór w butelce wpatrywało się w Muddy'ego wielkie niebieskie oko. Uśmiechnął się do niego i pomachał ręką. Oko cofnęło się. Dżinn zobaczył wysoko nad sobą buzię Lydii. Zadzwończy dzwoneczki przy cizmach. Demon zsunął nogi na dywan i stanął. Sprawdził, czy aby na pewno otwór butelki nie jest niczym zablokowany, uniósł ręce i wzbił się do góry.

Fiknął w powietrzu koziółka, zatoczył krąg i z rozłożonymi do lądowania ramionami zawisł nad dziećmi, czekając, aż dym się rozwieje. Wyprostował potem nogi, okręcił się dookoła siebie i dotknął stopami podłogi przy akompaniamencie dzwoneczków.

Lydia z zachwytem zasłoniła usta ręką i chichotała. Theo zrobił wielkie oczy.

- O, kurczę blade! - wyszeptał.

Muddy rozejrzał się. Znajdowali się w chacie. Nachyliwszy się w stronę chłopca, zapytał:

- Dlaczego szepcesz?

- Bo Annabelle śpi, nie widzisz?

Dziewczynka zwinięta w kłębuszek drzemała słodko w kącie pokoju. Muddy uśmiechnął się na ten widok. Ooooooooch... - westchnął w duchu.

W maleństwach było coś szczególnego. Niezależnie od tego, czy były to dzieci, króliczki, kociaki, szczeniaki, prosiątka czy nawet słońtka. Z jakiegoś dziwnego powodu i kaprysu natury, gdy patrzy się na nie, ogarnia człowieka przemożna chęć westchnięcia „Ooooooooch...” i coś ścisną w piersi, bardzo blisko serca.

Tak, większość dzieci robiła z dorosłych przygłupów potrafiących tylko powtarzać w kółko „puci-puci”. Było to odwieczne i uniwersalne prawo, niezienne od ponad dwóch tysięcy lat w każdym zakątku globu.

Dzinn zapamiętał szczególnie jedno dziecko. Był to chłopczyk urodzony w stajni. Na samo wspomnienie demon uśmiechnął się. Trzech mędrców przewędrowało kawał świata, by powiedzieć jedynie „Ooooooch...”, gdy zobaczyli niemowlaka w żłóbku wysłanym sianem. Swoją wzruszającą niewinnością maleństwa potrafią poruszyć serce nawet najbardziej zatwardziałego cynika. Nawet Muddy'ego.

Był co prawda jeden wyjątek.

Wielbłądziątka. Małe są prawie tak samo nieznośne jak dorosłe zwierzaki. Są mniejsze, to prawda, ale plużą na niewiele krótszą odległość, równie często i zaskakująco celnie.

- Nudzi nam się - powiedział Theodore wdychając przy tym tak ciężko, że jego wątła pierś ledwo to wytrzymała. Muddy spojrzał na niego, a potem na Lydię.

- Macie ochotę na wyprawę do butelki?

- Ja? Naprawdę? Zabierzesz mnie do środka?

- Czy to oznacza, że masz ochotę?

Brat i siostra jednocześnie skinęli głowami. Demon wyciągnął przed siebie ramiona i powiedział:

- Złapcie mnie mocno za ręce i zamknijcie oczy.

Minutę później byli już w butelce.

Hank zerwał kolejny owoc olejowca i rzucił go na piętrzący się obok stosik. Olejowce przypominały wyglądem zwykle orzechy włoskie, ale zawierały bardzo dużo tłuszczu roślinnego. Kiedy wetknęło się w nie kawałek włókna z kokosa i podpałiło, migoczący niebieski płomyk rozjaśniał mrok nawet przez kilka godzin. A światło było im bardzo potrzebne. W chacie nawet za dnia nie było widno, a w nocy panowała ciemność choć oko wykol.

Dwie ostatnie noce były właśnie takie cholernie ciemne. Brakowało paliwa do lampy. Smitty i tak na tyle dobrze gospodarowała zapasami, że starczyło ich na znacznie dłużej, niż Hank się spodziewał. Teraz jednak bardzo chciał oświetlić chatę płomykami orzechów, by móc patrzeć na śpiącą gromadkę. Każdej nocy obserwował ich, jakby bał się, że mogą zniknąć. Jakby spodziewał się, że był to jeden wielki żart.

Cha! Cha! Można się z ciebie pośmiać, Hanku Wyatcie! Jesteś głupcem. Czy myślałeś, że możesz mieć to wszystko? Cha! Cha!

- Hank! Hank! Spójrz tutaj!

Hank otrząsnął się z zadumy, a potem obrócił w stronę, skąd dochodził podniecony głos Theodore'a, i zamarł.

- Patrz! To piłka, rękawica i kij do baseballa! Muddy powiedział Lydii, że możemy wziąć, co tylko zechcemy, z jego butelki i bawić się na zewnątrz. Wziąłem wszystko do baseballa!

Malec ruszył biegiem w jego stronę. Pomykał tak szybko, że sportowa czapeczka spadła mu z głowy. Zatrzymał się gwałtownie. Zawrócił, podniósł czapkę i otrzepał ją o spódnie. Nasadził ją pewnym ruchem na głowę i znowu pobiegł. Przystanął przed Hankiem i spojrzał do góry. Patrząc spod daszka czapki, która tak dobrze znanym kształtem budziła w Hanku bolesne wspomnienia.

- Patrz!

Na twarzy chłopca wyraźnie widać było podekscytowanie. Uniósł do góry kij i piłkę.

- Pamiętasz baseball? Nauczysz mnie grać, Hank? Proszę!

Hank poczuł się tak, jakby w tej właśnie chwili zebrały się wokół niego wszystkie duchy z przeszłości, by wykrzykiwać upiorne nagany i reprimendy i zmuszać go do przypominania sobie rzeczy, o których chciał zapomnieć. Nie mógł się ruszyć, czuł, że traci nad sobą kontrolę i był z tego powodu strasznie zły.

Miał dość kłopotów ze Smitty. I z własną głupotą, przez którą jak bohaterski naiwniaczek zostawił dziewczynę, choć każdy nerw jego ciała krzyczał wtedy: „Jesteś świetny! Weź ją teraz! Do diabła, stary, jest twoja! Weź ją!”

Zamiast tego wpatrywał się w nią, gdy spała. Dacie wiarę?... A teraz to.

- Nauczysz mnie grać w baseball, Hank?

Hank odwrócił się w stronę drzewa i sięgnął po owoc.

- Nie mam pojęcia o tej grze, mały.

- Naprawdę?

- Mhm.

Hank cały czas stał tyłem do chłopca. Zapadło milczenie.

- I nigdy nie widziałeś meczu ani czegoś takiego?

- Po prostu nie znam się na tym, mały. Przepraszam.

Chłopiec nie odezwał się. Hank nie bardzo chciał się teraz odwracać. W końcu jednak on był tym, który pierwszy się poddał. Stał przodem do malca. Theodore wpatrywał się w kij i piłkę, jakby nagle zostały przez kogoś zniszczone.

- Coś ci powiem. Jutro nauczę cię łapać ryby. - Mówiąc to Hank sięgnął po następny owoc wiszący na gałęzi ponad jego głową. Objął go palcami. - Niestety, jeśli chodzi o baseball nie mogę cię niczego nauczyć.

- Aha. - W tym jednym słówku zawarło się rozczarowanie wszystkich dzieci świata.

Hank rzucił owoc na stertę i nawet nie spojrzął na dzieciaka. Zabrał się do zrywania.

- Wracaj do domu. Jest już prawie ciemno, a ty nie powinienesz ganiać sam po dżungli o tej porze.

- Przecież ty tu jesteś. Mogę zostać?

Nachyliwszy się Hank wziął ze stosu kilka owoców.

- Trzymaj. Wsadź je do kieszeni i zanieś Smitty. Powiedz, żeby je zapaliła. Ja też niedługo przyjdę.

Theodore zmarszczył czoło wpatrując się w mięsiste brązowe orzechy. Obracał je na różne strony.

- Co to jest?

- Olejowce.

- A co to są olejowce?

- Smitty będzie wiedziała.

Maluch spojrzął na Hanka zdziwiony.

- Jesteś dobrym kumplem i pobiegiesz.

Chłopczyk nie ruszał się z miejsca i robił wrażenie, jakby niezupełnie zgadzał się wykonać polecenie.

- Jesteśmy kumplami, pamiętasz?

Spuściwszy wzrok, dzieciak wepchnął owoce do kieszeni i ujął w rękę kij baseballowy. Przyglądał mu się przez chwilę z żalem w oczach, a potem puścił się biegiem między drzewa. Hank zastygł w bezruchu. Wspomnienia opadły go z nową siłą.

Muddy leciał nisko nad dżunglą. Pikował pomiędzy strzeliste hebanowce, oblatywał dookoła olbrzymie figowce z koronami przypominającymi kopuły meczetów. Zrobił kilka pętli nad wysokim ciemnowłosym mężczyzną, który stał obok olejowca nieporuszenie niczym posąg.

Poddając się sprzyjającym powiewom wiatru, Muddy zrobił kilka okrążeń, opuścił się na jedną z wyższych gałęzi smoczego drzewa, rosnącego nie opodal. Z porośniętego mięsistymi kwadratowymi liśćmi drzewa roztaczał się znakomity widok na prześwit w dżungli.

Niedługo potem Hank wyprostował zgarbione lekko ramiona, nachylił się i podniósł odłamaną gałąź hebanowca. Ujął ją w obie dłonie i zaczął potrząsać sprawdzając jej wytrzymałość i ciężar. Oparł ją na ramieniu, jakby to był kij baseballowy.

I znowu zastygł w bezruchu. Zły i milczący.

Po chwili wziął owoc z prawie metrowego stosu, rzucił go wysoko do góry i wziął zamach. Trafił. Orzech poleciał nad drzewami w kierunku chaty, jak wystrzelony z procy. Następny poszybował na wschód. Kolejny na południe. I jeszcze jeden na północ. Wybijał „wysokie piłki”. Uderzał nieprawidłowo. Zużył w ten sposób cały nagromadzony zapas owoców. Owoce śmigają w powietrzu niczym grad.

Kiedy zabrakło już owoców w zasięgu ręki, rzucił gałąź na ziemię. Zgiął się wpół i próbował złapać oddech. Pot błyszczał mu na twarzy i ramionach, ściekał strużkami po skroniach i szyi.

Muddy usłyszał jakieś poruszenie. Spojrzał w dół. Pod smoczym drzewem zobaczył Margaret i Theodore'a. Zastanawiał się przez chwilę, co robią. Kobieta nachyliła się nad chłopcem, dotknęła jego szczupłego ramienia i położyła sobie palec na ustach, prosząc go o zachowanie ciszy. Pokazywała ręką na dżunglę. Oboje wycofali się bezszelestnie między zarośla. Stali i patrzyli.

Hank ani drgnął. Zastygł pochylony, jak drzewo złamane przez zbyt silny wiatr. Theodore wpatrywał się w niego, jakby tracił właśnie najlepszego przyjaciela. Przeniósł wzrok na Margaret i powiedział bardzo cicho:

- Hank mówił mi, że nie potrafi grać w baseball.

Popchnęła delikatnie chłopca w głąb krzaków, bliżej drzew, i wyszeptwała:

- Zostawmy go teraz samego. Zgadzasz się?

- Ale przecież powiedział, że nie może mnie nauczyć. Mówił, że nie wie, jak się w to gra.

- Wiem, kochanie.

- To zupełnie tak samo jak wtedy, gdy powiedział, że nie umie być tatą.

Margaret spojrzała na chłopca i wyciągnęła do niego rękę.

- I zapomniał o zgadywance. Zapomniał. A on nigdy niczego nie zapomina. To jak z tym okręgiem.

- Hank musi teraz przemyśleć kilka bardzo ważnych i trudnych spraw. Jestem pewna, Theo, że niczego nie zapomniał, w każdym razie nie zrobił tego celowo.

Wyraz twarzy chłopca świadczył dobitnie, że malec niewiele z tego rozumie. Obrócił się i zerknął na Hankę po raz ostatni, a potem ze spuszczoną głową wziął Margaret za rękę i razem odeszli z tego miejsca.

Muddy obserwował ich odejście. Za chwilę sam zapuścił się w gęstwinę dżungli. Nie odeszli daleko, gdy Theo zaczął płakać.

Następnego ranka Lydia obwieściła, że za cztery dni będzie Boże Narodzenie.

Stojąca przed chatą gromadka skierowała oczy na dziewczynkę. Hank pokazywał właśnie Theo, jak wiązać węzły na lince przeznaczonej do łowienia ryb. Annabelle baraszkowała przywiązana sznurkiem do Margaret, zajętej zeskrobywaniem z patelni spalonego śniadania. Lydia w tym czasie bawiła się dziwnym urządzeniem podobnym do zegara, pełnym tajemniczych buteleczek i fiolek z wodą i piaskiem, kółeczek i trybików. Gdy obracało się jedno z kół zamachowych, mechanizm wydawał podejrzaną dźwięki - gulgotał, syczał i wystukiwał „tonk-tank”. Dziewczynka zabrała tę zabawkę z butelki dzinna.

- Domyśliłam się, co to jest - oznajmiła. - To czasomierz. - Wskazała na kółko z dźwigienką. - Popatrzcie tylko.

Hank podszedł do niej. Theodore go nie odstępował.

- Tutaj są godziny. - Lydia podniosła na nich oczy. - A tutaj są liczby od jednego do trzydziestu jeden. Widzicie? Okalają numery od jednego do dwunastu.

Przez prawie minutę Hank patrzył na urządzenie, potem skierował wzrok na dziewczynkę. Widać było, że jest zdumiony.

- Ona ma rację. Zgodnie z tym, co tu widać, dzisiaj jest dwudziesty pierwszy grudnia.

- Cztery dni do Gwiazdki? - dopytywał się Theo podskakując z radości. - To znaczy, że odwiedzi nas święty Mikołaj!

Margaret rzuciła Hankowi znaczące spojrzenie.

- Przyjdzie święty Mikołaj! - Theodore przerwał i zmarszczywszy czoło spojrzał na swoje bosa stopy. - Potrzebne będą skarpetki. - Ponownie zamilkł na chwilę, a potem zapytał: - Czy Mikołaj przychodzi, jeśli ktoś nie ma skarpetek?

Margaret spojrzała pytająco na Hankę. Udał, że bardzo się przejął i cofnął się o kilka kroków.

Margaret popatrzyła na Theo. Nie mogła zapomnieć wyrazu jego zapłakanej buzi z wczorajszego wieczora. Starła się wytłumaczyć dziecku, że Hank nie chciał wyrządzić nikomu przykrości. Niestety, mali chłopcy nie rozumieją dziwnych nastrojów ogarniających dorosłych.

Dla dzieci wszystko jest albo czarne, albo białe. Szczęściem, dzieci łatwo przystosowują się do nowych sytuacji. Porzucają szybko coś, co jeszcze wczoraj było najważniejsze, i to tylko dlatego, że w zasięgu wzroku pojawiło się coś nowego. Tak właśnie było i teraz - wystarczyło, że Hank obiecał zabrać Theodore'a na ryby, i już wszystko było w porządku. A teraz dodatkowo mały ekscytował się Bożym Narodzeniem.

Objęła go i przytuliła.

- Wydaje mi się, że widziałam jakieś wełniane skarpety w jednym z kufrow.

- Naprawdę?

Skinęła głową i wzięła na ręce Annabelle.

- Chodźmy. - Wyciągnęła rękę w stronę Lydii. - Chodźmy wszyscy razem.

Znacznie później tego popołudnia Hank przysunął do siebie Theo i unióśł wyżej linkę.

- Pokażę ci, jak to robić. - Spojrzał na malca i mrugnął szelmowsko. - Znacznie łatwiej jest złapać rybę, jeśli ma się długą wędkę. Prąd wody porusza wtedy linkę.

- Ale ty złapałeś sporo ryb na samą linkę.

Dzieciaki zawsze mają swoje zdanie.

- Tylko dlatego, że nie miałem czasu wystrugać odpowiedniego kijka.

W sekundę później linka drgnęła. Dzieciak zapiszczał i zaczął podskakiwać z emocji. Hank chwycił sznurek i owinął go sobie dookoła nadgarstka. To była cholernie duża ryba. Opuścił trochę ręce, tak że linka znalazła się na wysokości malca.

- Ciągnij!

I ciągnęli razem. Po kilku minutach ich zdobycz rzucała się po piasku.

Theodore nie przestawał podskakiwać, podczas gdy Hank zajął się wyciąganiem haczyka z rybiego pyska. Dołożył trofeum do dwóch złapanych wcześniej okoni.

Chłopiec spojrzał na rybę.

- Co to jest?

- Dorsz.

- Spory, nie?

- Mhm. Dzielnie się sprawiłeś, mały.

Zupełnie niespodziewanie, bez żadnego ostrzeżenia, malec zarzucił Hankowi ręce na szyję i przytulił się mocno. Hank był na to zupełnie nie przygotowany. Klęczał teraz po prostu z rękami opuszczonymi po bokach i dzieciakiem uwieszonym na szyi.

Bardzo powoli położył dłonie na plecach chłopczyka.

- Dzięki, Hank. Dam ci najwspanialszy prezent gwiazdkowy na świecie! Poczekaj, to zobaczysz!

- Prezent gwiazdkowy? - powtórzył za nim Hank i spojrzał dziecku w oczy.

- Jasne! Smitty powiedziała, że zrobimy prezenty gwiazdkowe dla każdego. Mogę teraz pobiec i opowiedzieć im o rybie? O moim dorszu?

- Pewnie, mały. Biegnij.

Theodore popędził plażą w stronę chaty.

Prezenty gwiazdkowe, pomyślał Hank. Cholera. Coś takiego nie zaprzętało mu głowy od lat. Minęło kilka dobrych minut, zanim przestał udawać, że łowi ryby, i skupił się na obserwowaniu wędki. Popadł w zadumę.

Smitty zabrała dzieci na plażę. Nie wiedzieć po co zbierali muszelki. Pewnie na prezenty, pomyślał, rozpamiętując słowa chłopca.

Słyszał śmiech. Dzień był słoneczny, jasny - jak ich twarze. Dzieciaki miały policzki zarumienione z emocji. Lydia trzymała w ręku brzeg sukienki, wrzucała tam muszelki i inne skarby, podczas gdy Theo biegał dookoła i zatrzymywał wszystkich przy każdym ze swoich znalezisk. Annabelle dokazywała obok Smitty, która przykucała co jakiś czas w pozycji bardziej odpowiedniej dla dziecka niż dla pani mecenas. Margaret kopała w piasku i paplała bez przerwy, podniecona tak samo jak dzieci.

Hank usiadł i stracił zainteresowanie wszystkim poza patrzeniem na wesołą gromadkę. Była to jedna z tych chwil, kiedy upływ czasu nie ma najmniejszego znaczenia. Zresztą, nic wtedy nie ma znaczenia.

Po jakimś czasie skierował wzrok na Pacyfik. Ocean był taki sam jak zawsze. Pofałdowane wydmy i płaska sierpowata linia brzegu też nie uległy zmianie. Takie same liście palm kołysały się od podmuchów tej samej bryzy. Takie same fale omywały brzeg. Takie same ptaki szybowały w powietrzu.

Ale w jakiś przedziwny sposób wszystko było jednak inne. On sam stał się kimś innym. Na dodatek nie był pewny, czy sprawia mu to przyjemność, czy nie.

Uzyskał tę pewność, gdy Smitty spojrzała na niego. Czuł na sobie jej wzrok, ciepły i ożywczy jak owiewający go wiatr. Odwrócił się w jej stronę akurat w chwili, gdy wstawiała z piasku. Powiedziała coś do Lydii, która skinęła głową, i wzięła na ręce Annabelle. Smitty ruszyła w jego stronę długimi krokami. Jej biodra kołysały się kobieco. Zaprzagnął znaleźć się teraz za nią i patrzeć, jak idzie.

Podeszła i uśmiechnęła się.

- Zbieramy muszle.

- Zauważyłem.

Odgarnęła z twarzy kosmyk włosów, którym igrał wiatr.

- Tak też myślałam. - Spuściła wzrok i zapytała: - Przyłączysz się?

Hank pokręcił przecząco głową i uśmiechnął się trochę ironicznie.

- Chciałbym złapać jeszcze kilka ryb. - Pociągnął za linkę. - Żebyś miała co spalić na obiad.

- Tak, ale musisz przyznać, że jestem przynajmniej konsekwentna. - W jej głosie słychać było rozbawienie. - Wolisz ryby przypalone, spieczone na wiór czy po prostu zwęglone?

Oboje roześmieli się głośno.

- Mam szczerą chęć podciągnąć się w gotowaniu - powiedziała, a jej głos zdradzał zarówno rozbawienie, jak też prawdziwą determinację. Nie było w nim krzty zaczepki.

Hank zdał sobie teraz sprawę, że ich docinki i wzajemne dokuczanie zmieniły się w czasie ostatnich kilku dni. Od pierwszego spotkania, jeszcze w łodzi, a potem na wyspie, ich rozmowy miały jeden cel - wyprowadzić drugą stronę z równowagi.

Teraz prowokowali się wzajemnie, ale służyło to jedynie załagodzeniu zadrażnień. Znacznie chętniej śmiali się razem, niż kłócili. Hank miał wątpliwości, czy istnieje na świecie druga kobieta taka jak Smitty. Kobieta, z którą mógłby drażnić się jak z nią i rozmawiać ot tak, po prostu. Przecież ona umiała śmiać się nawet z samej siebie.

Stała obok niego z rękami założonymi do tyłu. Wiatr oblepiał jej ciało cienkim materiałem sukienki. Postrzępiony brzeg spódnicy odsłaniał opalone nogi. Patrzył, jak wygrzebywała w piasku dołek palcami stopy - dopiero teraz zauważył, że miała taki nawyk.

Zwrócił twarz w stronę wody - był zaskoczony własną reakcją na obecność Smitty, reakcją która zdawała się wzmacniać z każdą minutą.

Pragnął jej. Ale chciał więcej niż tylko jej ciała. Patrzenie na nią potęgowało jedynie to wrażenie, przez co czuł się jeszcze bardziej niezręcznie.

Margaret odchrząknęła, uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Mamy problem.

Odczekał chwilę, zanim się odezwał.

- Mhm, też tak uważam, złociutka.

- To dobrze. Cieszę się, że zdajesz sobie z tego sprawę. Musimy coś zrobić ze świętym Mikołajem.

Szczerze mówiąc, Hank miał na myśli coś zupełnie innego. Spojrzał na Margaret.

- To znaczy?

- Powinniśmy przygotować jakieś prezenty. Zabawki? Coś, co można by włożyć dzieciom do skarpet. - Przerwała na chwilę. - Po tym, co przeszły, zasłużyły na wyjątkowe podarki. Zróbmy to dla nich.

Patrzył na nią. Podziwiał doskonałość rysów, gładkość cery opalanej na miodowy kolor, pobłyskujące złotem oczy, kształt ust, za pocałowanie których każdy mężczyzna oddałby życie.

- Zastanowię się nad czymś odpowiednim.

- Ja także. - Uśmiechnęła się.

Gdy odwróciła się i ruszyła z powrotem do dzieci, patrzył na nią zachłannie. Spełniło się jego marzenie sprzed kilku minut. Nie widział jednak kołyszących się łagodnie kobiecych bioder. Przed oczami miał jej uśmiech.

Tego wieczora Margaret była najbardziej zaskoczoną osobą na wyspie. Nie spodziewała się zupełnie, że Hank wkroczy do chaty ze świeżo ściętym, wyższym od niego drzewkiem sosnowym. Było proste, rozłożyste i zielone, z delikatnym

niebieskawym meszkiem na igłach, przez co przypominało do złudzenia zamawianą corocznie przez ojca i dostarczaną do ich domu jodłę. Zwykle miało to miejsce nazajutrz po święcie Dziękczynienia.

Nie mogła oderwać oczu od Hanka, który manewrował choinką przy wnoszeniu jej przez drzwi i wymijał chłopca. Theo był tak bardzo podniecony, że plątał się dookoła Hanka bardzo utrudniając mu zadanie.

Drzewko mocno pachniało żywicą - charakterystyczną wonią Gwiazdki. Mimo upału, tropikalnej wilgoci i oślepiającego słońca, delikatny zapach świąt Bożego Narodzenia wypełnił chatę.

Margaret nie mogła wprost uwierzyć że Hank był tym samym mężczyzną, z którym płynęła szalupą. Obserwowała go przez chwilę, gdy nagle ogarnęło ją poczucie winy - zdała sobie sprawę z czegoś jeszcze. Pomyślała, że bardzo go krzywdzi taką opinią. Przecież uratował im wszystkim życie, zanim jeszcze znaleźli się w łodzi.

Do poczucia winy dołączyły wyrzuty sumienia - nie powinna zachowywać się w stosunku do niego tak, jak zachowywała się od samego początku. Pozory uznała za prawdę o nim. Ponieważ był dość szorstki w zachowaniu, przyjęła, że jest bez serca.

Zasada działająca w obie strony - ponieważ była ładna, nie mogła być mądra. Ponieważ był biedny, nie zasługiwał na szacunek. Ponieważ był skazańcem, nie mógł być wartościowym człowiekiem. Ponieważ była kobietą, nie mogła być prawnikiem.

Starła się pokonać te uprzedzenia, chcąc zbliżyć się bardziej do doskonałości. On z kolei walczył z uprzedzeniami, starając się zachowywać tak, jak tego oczekiwano - sprawiał kłopoty.

- Gdzie mam to postawić?

Jego głęboki głos jak zwykle całkowicie ją zaskoczył. Dźwięk zdawał się dotykać jej skóry. Margaret zamrużyła kilkakrotnie i dopiero wtedy zrozumiała, o co pytał. Trzymał w rękach choinkę i zasięgał jej rady. Niewiele brakowało, a roześmiałyby się z powodu tak radykalnej zmiany w jego zachowaniu.

- Tam, gdzie stoisz, będzie znakomicie. - Podeszła do niego. Pieściła palcami gałązki, dotykała sprężystych igieł. Potem zwróciła twarz w jego stronę.

- Skąd wytrzasnąłeś to drzewko?

Wzruszył ramionami.

- W głębi wyspy wszystkie wzgórza są porośnięte tą odmianą sosny.

Margaret zerknęła na dzieci, które z szeroko otwartymi oczami wpatrywały się w zielone чудо. Dotknęła ramienia Hanka.

- Dziękuję, Hank.

Robił wrażenie trochę zakłopotanego, ale nie odezwał się. Zwrócił się do malców:

- Chodźcie bliżej. Potrzebna mi pomoc.

Gdy ruszył w stronę drzwi, Lydia i Theodore postępowali tuż za nim. Wrócili po jakimś czasie, roześmiani. Przynieśli beczkę wypełnioną mokrym piachem. Hank wetknął w nią drzewko. Rozmawiał z dziećmi i pozwalał im brać udział we wszystkich czynnościach. Opowiadał przy tym o drzewach występujących na wyspie - jak i gdzie rosną. Co jakiś czas odwracał się i „puszczał oko” do Annabelle, która dotykała iglastych gałązek z nabożną cziłą, a potem klaskała w rączki i śmiała się do rozpuku.

Margaret patrzyła na tę scenę z dziwnym uczuciem rozrzewnienia. Ten wysoki mężczyzna o potężnych ramionach, z bliznami po chłoście na plecach, mężczyzna, który na początku miał w sobie tyle delikatności co rozpędzony pociąg, był przecież człowiekiem, który uznawał jednak pewne wartości, który zasługiwał na szacunek, nawet jeśli starał się przekonać innych, że nie zależy mu na ich opinii. Bo przecież mu zależało.

Patrząc teraz na niego, Margaret wiedziała z całą pewnością, że Hank ma serce. Na nic zdały się jego starania, by to ukryć.

Dzień wigilii Bożego Narodzenia zaczął się zupełnie zwyczajnie. Był jak zwykle bezchmurny. Słońce samotnie przemierzało nieboskłon, a słabiutki wietrzyk leniwie kołysał palmowymi liśćmi, przynosząc trochę ochłody skórze, mokrej od wypełniającej powietrze wilgoci.

Kilkadziesiąt metrów w głąb dżungli znajdowała się niewielka polana, gdzie hebanowce nie rosły tak gęsto i tryskało źródło czystej wody, która szmerząc spływała po skale. Właśnie tam, na grubym dywanie dziko rosnącej trawy, leżał stos ręcznie

robionych zabawek - przedmiotów, które świetnie nadawałyby się do wypełnienia worka świętego Mikołaja, gdyby jakimś zrzędzeniem losu zahaczył w swojej wędrówce o wyspę.

Stroiki zostały wystrugane z hebanu, miały długie uchwyty z poprzywiązywanyymi do nich kamyczkami. Ozdoby nie były symetryczne, stanowiły je naturalnie pofałdowane muszelki w paski, które pięknie połyskiwały przy każdym obrocie.

Kołatki, zamiast z drewna i kolorowych szmatek, były zrobione ze skorupki orzechów kokosowych i grubych liści. Leżała tam też płaska deseczka z wyciętymi scyzorykiem wgłębieniami - była to „wyspowa” wersja gry wahoo - ponieważ jednak nigdzie na wyspie nie było marmurowych kulek, musiały je zastąpić perły.

Hank spojrzął na planszę do gry. Zdawał sobie znakomicie sprawę, że była warta małą fortunę. Razem ze Smitty nurkowali przez dwa dni, żeby zdobyć wystarczającą liczbę pereł w odpowiednich kolorach: niebieskim, czarnym, różowym i białym.

Hankowi nie udało się zresztą znaleźć żadnej z nich. Wszystkie były trofeami Margaret - nawet ostatnia, która okazała się zbyt duża, by użyć jej do gry. Miała pysznie różowy kolor, była doskonale okrągła i tak wielka jak paznokieć na kciuku Hanka.

Margaret śmiała się i podrzucała ją w powietrze, podczas gdy Hank ukrył głowę w dłoniach i jęczał z rozpaczy. Kobieta miała niesamowite szczęście.

Wcześniej rano Margaret przyniosła Hankowi kilka zabawek, które zrobiła dla dzieci. Był wśród nich indiański pióropusz ze splecionych traw, bogato ozdobiony piórami mew. I tomahawk z płaskiego kawałka lawy przywiązanego linką do krótkiej gałązki koralowca wyłowionej z morza. I dwie lalki, których główki zostały zrobione z orzechów kokosowych, ozdobionych włóknem udającym włosy; nosy i oczy miały z muszelek, a uśmiechnięte usta z kawałków sznurka.

Korpusy lalek Margaret zrobiła z pozszywanych kawałków materiału wypełnionych piaskiem i przymocowanych do patyków, które jednocześnie były plecami. Powyginane gałązki znalezione na brzegu z powodzeniem udawały rączki i nóżki.

Oczywiście, w porównaniu z lalami o porcelanowych główkach w eleganckich sklepach z zabawkami, te dwie mogły wydawać się prymitywne. Ale zostały zrobione z potrzeby serca przez kobietę, która знаła się jedynie na prawie, a nie na produkcji zabawek.

Hank podniósł z ziemi worek, włożył do niego zabawki i zarzucił go sobie na plecy.

Podszedł do skały i wziął opartą o nią wędkę, którą zrobił dla Theo. Zawiązał jeszcze jeden węzeł na lince i sprawdził wyważenie. Obok wędki stał na skale bączek dla Annabelle. A dalej leżał komplet grzebieni, które wystrugał z hebanu dla Lydii. To były jego prezenty dla dzieci.

Identyczny komplet grzebieni miał dla Smitty, ale już po skończeniu pracy coś mówiło mu, że grzebienie nie były tym, co naprawdę chciałby jej podarować. Nie bardzo jednak wiedział, co sprawiłoby jej największą przyjemność. Wpatrywał się w hebanowe zęby, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Wzruszył w końcu ramionami, wziął worek i poszedł w stronę plaży.

W niewielkiej odległości od polany, gdzie stała chata, rosło ogromne drzewo, całe pokryte jaskrawoczerwonymi kwiatami. Na pierwszy rzut oka robiło wrażenie gigantycznego czerwonego parasola. Kwiatowa zasłona rozstała się niczym fale Morza Czerwonego i wychynął zza niej purpurowy turban.

Muddy siedział na grubym konarze, obserwował maszerującego Hanka, który przechodził właśnie obok srebrnej butelki i mamrotał coś pod nosem. Butelka leżała porzucona na piasku. Zatyczka poniewierała się obok.

Hank najwyraźniej jednak nie zauważył dzinna. Zatrzymał się i zaczął wpatrywać w srebrne cacko. W chwilę potem podniósł butelkę z ziemi. Widać było, że się nad czymś zastanawia.

- Hej, ty tam!

Muddy zaśmiał się cicho i mocniej ścisnął gałąź. Wychylił się jeszcze bardziej i czekał. Hank przybliżył otwór butelki do oka i zaklął. Rozejrzył się w prawo i w lewo.

- Wyleziesz stamtąd do jasnej cholery? - powiedział stłumionym głosem.

Dzinn ostrożnie skrzyżował nogi - dzwoneczki mogły zdradzić jego obecność. Oparł łokieć na kolanie, wsparł brodę na dłoni. To na pewno będzie szalenie ciekawe.

Hank stał masując sobie szyję jedną ręką.

- Hej, ty! Dżinnie!

Nic się nie działo.

- Hej... Muddy!

Muddy w dalszym ciągu czekał.

- A niech to jasna cholera! - zaklął Hank przystawiając otwór butelki do oka.

- Szukałeś mnie?

Mężczyzna odwrócił się gwałtownie. Spojrzał na drzewo, a potem skierował wzrok na butelkę. Upuścił ją na piasek.

- Mhm.

Przez dobre trzy minuty żaden z nich nie odezwał się słowem. W końcu jednak Hank przerwał milczenie.

- Zjedziesz na dół, do cholery?

Muddy zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie ma potrzeby.

Jednym susem Hank znalazł się obok pnia drzewa i popatrzył do góry. Po chwili wydusił:

- Wyświadczyć mi przysługę.

Muddy zerknął na niego.

- Żadnych życzeń.

- To nie ma nic wspólnego z życzeniami.

- Nie wezmę cię więcej do butelki, zapomnij o tym.

- Obejdzie się... chol... - Przerwał. - Dzięki.

Muddy pogładził się po koziej bródce.

- Co to za przysługa?

Hank chodził w kółko nerwowym krokiem.

- Smitty uważa, że dzieciaki spodziewają się dzisiaj świętego Mikołaja.

Dżinn nie miał najmniejszego zamiaru ułatwiać Hankowi zadania. Hank przechadzał się niecierpliwie. Odszedł na chwilę, zbliżył się do miejsca, gdzie zostawił worek, podniósł go, wrócił pod drzewo i ułożył prezenty przy pniu.

- Chciałbym, żebyś powkładał im to do skarpet i pobiegał trochę po dachu. Rozumiesz? Chodzi o trochę hałasu.

- Chodzi o renifery świętego Mikołaja.

- Mhm. Sam nie bardzo mogę... Jestem za ciężki. Zrobiłbym jedynie dziurę w dachu i cała sprawa wyszłaby na jaw.

Demon odczekał chwilę i odezwał się naśladowując ton głosu Hanka:

- Sprawdźmy, czy aby dobrze zrozumiałem. Chcesz, żebym pofrunął na dach, udawał renifery świętego Mikołaja, a potem włożył prezenty do skarpetek dzieci.

- Mhm.

Muddy patrzył na skręcającego się ze wstydu mężczyznę. Nie przerywał mu, bo szkoda było marnować taki popis.

- Mam to zrobić dla ciebie?

- Dla dzieci.

Dżinn nie spieszył się z odpowiedzią. Wziął głęboki wdech, skrzyżował ręce na piersi i dopiero wtedy powiedział:

- Zrobię to.

- Świetnie...

- Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim? - Hank patrzył podejrzliwie.

- Musisz nauczyć chłopca grać w baseball.

Przekleństwo, którym Hank skomentował tę propozycję, było bardzo siarczyste. Hank znowu zaczął nerwowo chodzić dookoła drzewa.

- Podzielę się z wami sprzętem, a ty podzielisz się swoją wiedzą.

Hank zatrzymał się i zmierzył dżinna wzrokiem.

- Jesteś podstępny sukinsynem, wiesz?

- Ja? - Muddy popukał się kciukiem w pierś, a potem wzruszył ramionami. - Chcę jedynie, aby mój pan był szczęśliwy.

- Taaa... a ja chcę zostać cesarzem chińskim.

Hank dość długo stał pod drzewem. Wsunął ręce do kieszeni. Spojrzał przez ramię na worek.

- Wygrałeś. Nauczę go.

- Kiedy ma się zacząć przedstawienie?

- Dam ci znać.

- Jak?

- Zagwizdzę piosenkę - przerwał na chwilę. - Jingle Bells.

Muddy zasalutował rozbawiony.

- Dobra... stary.

Hank nie odchodził, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale pokręcił jedynie głową i wreszcie ruszył przed siebie. Zatrzymał się jednak na granicy polany i wykrztusił:

- Dzięki...

Zrobił kilka następnych kroków i dodał:

- ...stary.

W wigilię Bożego Narodzenia wewnątrz chaty oświetlało ponad sto olejowców, palących się niczym gwiazdkowe świece. Były ustawione na skrzyniach zamienionych na tę okazję w stoliki. Dawały miłe ciepłe światło. Stały także na beczce, dość często używanej jako stół. Złote płomyczki migotały w ciemnych zwykle kątach chaty. Cały ich rząd świetlistym kręgiem otaczał choinkę. Płomyczki rzucały refleksy światła na prezenty ułożone pod drzewkiem. A podarków leżało tam sporo.

Owinięte w bananowe liście i przewiązane ukwieconymi pnączami pyszniły się kolorowymi orchideami, przymocowanymi do nich jako kokardy. Wianki, zrobione z soczyście zielonych liści paproci, udekorowane jaskrawoczerwonymi i różowymi kwiatami, zostały posypane odrobiną piasku, który w promieniach zachodzącego słońca przypominał śnieg. Piasek pobłyskiwał także na gałązkach świątecznego drzewka - „wyspowej choinki”, która choć różniła się od zwyczajnych choinek, w przedziwny sposób spełniała wymogi tradycji.

Zielone gałązki uginały się lekko pod ciężarem sznurów muszelek - konch i wachlarzy. Muszle o stożkowatym kształcie, wszelakich rozmiarów, zwisały się niczym lodowe sople z iglastych gałęzi. Małe białe muszelki udawały płatki śniegu, a czerwone, różowe i pomarańczowe kwiaty zdobiły gałązki, w niczym nie ustępując niemieckim szklanym bombkom choinkowym.

Pnącza orchidei zmieniły się w przebogate girlandy. W połówkach kokosowych skorupki zamieszkały na tę noc zielone aniołki wycięte z bananowych liści. Gwiazdkowym zwieńczeniem drzewka był jednak podarunek od mórz południowych - ogromna, żółto-karminowa rozgwiazda umieszczona na czubku.

Muddy rozsiadł się na twardym wieku skrzyni i bawił wspaniale, biorąc udział w świętach, jakich jeszcze nigdy nie przeżył. W chacie panował nastrój radości i spokoju, który przejawiał się dodatkowo w śmiechu zebranych tam ludzi. Dżinn przyjął postawę obserwatora. Uwielbiał to - zwłaszcza gdy żaden problem nie zaprzętał mu głowy, a brzuch był pełen.

Z nie wyjaśnionych przyczyn - może był to prezent gwiazdkowy od losu - Margaret nie przypaliła obiadu. Zjedli rybę, którą Theo pomagał złowić, owoce zebrane przez Lydię i ignamy, słodkie ziemniaki, przypadkowo doskonale upieczone przez Margaret. Potem wszyscy usiedli dookoła drzewka i po prostu siedzieli patrząc na nie. Każdy zatopiony był we własnych myślach.

Ogarnął ich spokój i nastrój Bożego Narodzenia. A potem Theodore wyciągnął z kieszeni organki i trzymał je w ręku, bawiąc się odbłaskami światła igrającymi na ich powierzchni. Muddy skrzywił się. No i już po świątecznym spokoju.

Hank wymienił z Margaret przerażone spojrzenia. Jednak Theo wstał, podszedł do Hanka i wręczył mu instrument.

- Umiesz grać kolędy? - spytał.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Hank podniósł organki do ust i zaczął grać Cichą noc. W chwilę potem Margaret zawtórowała mu śpiewając czystym, przyjemnym głosem. Ruchem dłoni zachęcała dzieci i dżinna do przyłączenia się.

I śpiewali kolędę za kolędą. Każdą następną śpiewali głośniejszym głosem niż poprzednią i po każdej śmiali się radośniej. Wszystko szło świetnie do czasu, gdy któreś z nich zanuciło

prostą i wesołą melodię. Bez zastanowienia reszta włączyła się do chóru. Śpiewali Życzymy wesołych świąt...

Hank nagle przerwał grę i krzyknął:

- Przestańcie! - Zakrył przy tym dłonią usta Theo.

- ...Bożego Narodzenia - Lydia i Margaret śpiewały coraz ciszej, aż w końcu umilkły.

Chłopiec patrzył na nie znad ręki Hanka. Obie odetchnęły z ulgą. Hank powoli cofnął rękę. Malec zamrugnął oczami i spojrzął na Hanka.

- Nie znam słów tej kolędy.

Mężczyzna potarł ręką czoło i wziął głęboki wdech.

- Spróbujmy zaśpiewać Jingle Bells, a później trzeba będzie trochę się przespać.

- Wcale nie chce mi się spać - oświadczył Theo z dziecięcą pretensją w głosie.

Hank wskazał głową na drzemiącą w objęciach Margaret Annabelle.

- Czas spać, mały. A im szybciej pójdziesz do łóżka, tym szybciej nadejdzie ranek.

- Dlaczego? Czy ranek przychodzi szybciej, kiedy się śpi?

Hank i Margaret popatrzyli na siebie. Oboje mieli w oczach pytanie: „I co na to odpowiedzieć?” Hank spojrzął na Theo.

- Tak.

Zagrał ostatnią kolędę. Gdy skończył, Margaret wstała i położyła małą do łóżeczka. Theodore jednak robił wrażenie, jakby dopiero się rozkręcał. Oczy mu błyszczały zdradzając, że chętnie przesiedziałby tak całą noc. Coś działo się na dachu. Rozległy się głośne dudniące stąpnięcia. Na podłogę spadło kilka palmowych liści.

W chacie zapadła zupełna cisza. Wszyscy patrzyli do góry.

- To święty Mikołaj - wyszeptał chłopczyk. Oczy zrobiły mu się wielkie jak spodki.

Hank zerwał się na nogi tak szybko, że o mały włos nie przestraszył dzinna.

Margaret położyła rękę na ramieniu Hanka.

- Co się dzieje? - zapytała.

Hank z zachwytem wpatrywał się w dach. Obrócił się w stronę Muddy'ego i rzucił mu spojrzenie spod przymkniętych powiek. Demon nie odezwał się, objął jedynie Theo ramieniem, skrzyżował nogi i skierował wzrok na dach. Dzwoneczki przy jego ciźmach podzwaniały, gdy demon nonszalancko kiwał nogami, jakby wygrywając Jingle Bells.

Hank wybiegł z chaty tak szybko, że wywołało to uśmiech na twarzy demona.

Starannie dobrane przekleństwo rozległo się w ciszy nocy, a zaraz po nim krzyk:

- To nie ma prawa się dziać.

Z oddali słychać było coś jeszcze. Nie, nie ciche podzwanianie ozdób przy ciźmach Muddy'ego, doszedł ich czysty dźwięk mosiężnych dzwoneczków. A gdyby ktoś wsłuchał się bardzo uważnie i naprawdę się postarał, usłyszałby... wesoły śmiech unoszący się nad Pacyfikiem.

Świt powitał świąteczny poranek chłodem. Margaret leżała spoglądając na unoszące się nad ziemią mgły. Świat dookoła jeszcze się nie obudził, ale też nie był już pogrążony we śnie. Usłyszała coś i spojrzała w stronę, skąd dochodził szmer. Hank ostrożnie zamykał drzwi chaty.

Od poprzedniego wieczora zachowywał się bardzo dziwnie i nic się nie zmieniło nawet wtedy, gdy położyli dzieci spać. Margaret obudziła się w środku nocy i zobaczyła stojącego nad sobą Hanka. W palcach trzymał rąbek jej postrzępionej spódnicy.

Milczał. Szybko zamknęła oczy, zanim zdążył się zorientować, że nie śpi. Nie miała pojęcia, co robił. Ogarnęło ją osobliwe uczucie - jeszcze nikt nie dotykał jej ubrania, myśląc, że ona, pogrążona we śnie, tego nie widzi.

Gdy Hank wyszedł, wstała i zerknęła na dzieci. Smacznie spały. Starając się zachowywać jak najciszej, podeszła do drzwi i ruszyła śladem Hanka. Szedł wzdłuż laguny. Potem wskoczył do wody i popłynął do piaszczystej łąchy. Była to jego codzienna kąpiel. Margaret miała jednak jakieś dziwne przeczucie.

Stała na brzegu, zastanawiając się, dlaczego poszła za Hankiem. Czowała się tak, jakby ktoś jej to nakazał. Zrobiła to wiedzona instynktem. A może i teraz wszystko działo się tak jak wtedy, gdy pobiegła za obręczą? Hank pływał jak zwykle. Kilka razy zanurkował. Margaret pokręciła głową, rzuciła w jego stronę ostatnie spojrzenie i już chciała wracać do chaty...

I wtedy właśnie to dostrzegła. Kilkadziesiąt metrów od niego. Spojrzała ponownie. Tak, to była płetwa rekina. Zaczęła biec.

Margaret wpadła do chaty, z hukiem otwierając drzwi. Chwyliła pistolet i rzuciła się biegiem z powrotem. Pędziła najszybciej, jak mogła. Jeszcze nigdy nie była tak szybka. Biegła wzdłuż plaży. Przez trawę porastającą wydmy. Stąd widać już było wodę.

W oddali zobaczyła rekina zataczającego coraz ciasniejsze kręgi. Ciemna płetwa przecinała błękit wody. Gnała na złamanie karku. Serce łomotało jej jak oszalałe. Mocniej zacisnęła rękę na pistolecie.

Oddech stał się urywany, ale nie przestawała biec. Odległość? Zasięg? Jak daleko?

Spóźniłam się? Nie... Mknęła przed siebie.

Gwałtownie przystanęła. Uniosła trzęsącą się rękę z pistoletem. Przytrzymała ją drugą dłonią, wymierzyła i pociągnęła za spust.

Strzeliła cztery razy.

Kule przebijały wodę. Pojawiła się krew. Morze zaróżowiło się, a w chwilę później przybrało kolor czerwonego wina. Wypuściła z dłoni broń. Zamarła w bezruchu. Ciężko dyszała. Nie miała pojęcia, czy krew, którą widzi, wypłynęła z Hanka czy z rekina.

Minął pewien czas, zanim pobiegła na brzeg. Zatrzymała się. Nie mogła oderwać oczu od krwawo zabarwionych fal omywających piasek.

Spojrzała na morze. Drżała. Na chwilę ogarnął ją paniczny strach. Ciemna głowa Hanka pojawiła się obok bezwładnie unoszącego się na wodzie cielska.

- Hank! - krzyknęła. Ułożyła dłonie w trąbkę i zawołała ponownie: - Hank!

Uniósł do góry jedną rękę, dając jej znać, że żyje. Zaparło jej dech w piersi. Zaszlochała. Silna fala omal nie zwała jej z nóg.

Wpatrywała się w niego. Czyżby na jego ramieniu widziała krew? Na dłoni? Tak, o Boże, krwawił!

Hank poruszał się bardzo wolno. Wyglądało to tak, jakby jedną stronę ciała miał sparaliżowaną. Trafiła w niego? Jasnoczerwona smuga snuła się za nim w przezroczystej wodzie. Oczami wyobraźni Margaret w ułamku sekundy zobaczyła purpurowe wstążki przywodzące na myśl Boże Narodzenie.

Przymknęła powieki. A więc trafiła go. O mój Boże... Wbiegła do wody.

Coś do niej wołał. Stała jak wryta. Zakryła dłonią usta. Wstrzymała oddech.

- Wracaj na brzeg, do cholery!

Hank z trudem pokonywał fale zbliżając się do brzegu. Zanurkowała w nadpływającą falę i popłynęła tak samo, jak biegła - szybko i zdecydowanie. Sklął ją na czym świat stoi. Gdy znalazła się kilka metrów od niego, słyszała wyraźnie głośne wyzwiska.

- Pomogę ci, Hank, pozwól mi.

- Cholera, Smitty, ruszaj stąd.

Stał na płyciźnie. Zgiął ciało pod dziwnym kątem, jakby chciał ukryć przed nią ranę.

- Przestań się nadymać, ośle - krzyknęła na niego. - Choć raz w życiu pozwól sobie pomóc!

Podpłynęła bliżej i w tym momencie przewaliła się przez nich ogromna fala.

Margaret przestała sięgać nogami dna. Wyciągnęła do niego rękę.

- Jesteś ranny. Trafiłam cię? Krwawisz, Hank. O Boże, Hank, krwawisz.

Zaklął znowu. Coś za sobą ciągnął.

Margaret wygramoliła się na płyciżnę. Podniosła się i osłupiała. Hank pewnie nawet nie był draśnięty. Po prostu targał jakiś kufer. Chwyliła za drugą rączkę skrzyni. Dopiero wtedy zauważyła, że Hank ma jednak otwartą, krwawiącą ranę powyżej łokcia. Razem z nim zaciągnęła kufer na plażę. Gdy tylko wypchnęli go na piasek, oboje padli na kolana.

Ciężko dyszeli. Bardzo ciężko. Jakby powietrze nie dawało im się złapać.

Margaret przykucnęła na piętach, podczas gdy Hank oparł się plecami o kufer i wyciągnął przed siebie szeroko rozstawione nogi.

- Krew ciągle jeszcze leci - powiedziała. Oderwała kawałek spódnicy i mocno obwiązała ranę. Przyjrzała mu się bacznie. Był wykończony, miał trudności ze złapaniem oddechu. Chciał coś powiedzieć, ale wyraźnie było widać, że jest to wysiłek przekraczający jego możliwości.

Wpatrywał się we własne ramię, jakby było obcym ciałem. Jęknął tylko, choć najwyraźniej próbował dobyć głosu. Szczękał zębami.

Wiedziała, że to typowa reakcja dla ludzi w szoku.

- Ten sukinsyn prawie mnie dorwał - wykrztusił wreszcie Hank. Ciężko łapał powietrze. Spojrzał na Margaret, a potem pokręcił głową. - Cholera, Smitty, ależ jesteś szybka. I nieźle strzelasz.

- Co tam robiłeś? Po co ci ten głupi kufer? – Rozwiązała pasek ściskający ją w talii i oparła się o Hanka. Podobnie jak on, ciężko dyszała.

Przytuliła policzek do jego mokrego ramienia. Potrzebowała tego. Dopiero teraz dotarło do niej w pełni, że Hank żyje. Zamknęła oczy, a słowa same popłynęły.

- Prawieśmy cię stracili, Hank. Boże, Hank... o mały włos.

- Potrzebowałem tego kufra - wyszeptał w jej włosy. Otoczył ją ramieniem.

- Ale po co? - Spojrzała na niego.

- Dla ciebie.

- Dla mnie?

Zdjął rękę z jej ramienia i poklepał wieko kufra.

- Z najlepszymi życzeniami, złociutka, wesołych świąt.

I stracił przytomność.

- Naprawdę walczyłeś z rekinem? - Theo nie odstępował Hanka, a teraz trzymał zaciekawioną buzię prawie przy jego twarzy.

Hank popatrzył na malca, który w tej chwili omal nie wsadzał nosa w jego ranę - choć nie była duża, okazała się jednak dość głęboka.

- Odsuń głowę, kochanie, bo nie widzę, co robię. – Smitty czekała z założeniem kolejnego szwu.

Mężczyzna zacisnął mocno szczęki, ale nie powiedział słowa, nawet nie jęknął. Pozwalał jej dokończyć szycie rany na ramieniu.

- W porządku. Gotowe.

Westchnął ciężko, a potem wziął kilka głębokich oddechów.

Theodore wpatrywał się w jego ramię jak zahipnotyzowany.

- Śmiesznie to wygląda.

- Naprawdę? - Hank zmarszczył czoło.

Malec skinął głową.

- Już nic z ciebie nie wystaje.

Hank roześmiał się.

- To dobrze czy źle?

Dzieciak wzruszył ramionami.

- Chyba dobrze - powiedział i odszedł do sióstr siedzących przy drzewku.

Zaszyta rana przestała być czymś fascynującym, nawet jeśli została zadana przez zęby rekina. Prezenty były znacznie ciekawsze.

Margaret wymieniła z Hankiem porozumiewawcze spojrzenia.

- Spragnione krwi stworzonko, nie uważasz? – Roześmiała się. - I bardzo taktowne. Kogoś mi to przypomina.

- Ja jestem taktowny. Do licha, Smitty, mam w sobie tyle taktu, że wystarczy mi go do końca życia.

- Czy możemy już otworzyć prezenty? - zapytał Theo. Jego głos zdradzał zniecierpliwienie.

- Tak. - Margaret podeszła do Hanka i podała mu rękę.

- Nic mi nie jest, złociutka. - Próbował sam wstać.

- Nieważne, weź mnie za rękę - powiedziała.

Przez sekundę patrzył jej w oczy, po czym ujął podaną dłoń. Margaret zręcznie wsunęła mu do ręki różową perłę. Spojrzał na prezent, a potem na ofiarodawczynię.

Uśmiechała się.

- Wesołych świąt, Hank.

Z uśmiechem podrzucił perłę do góry i złapał. Puścił oko do Margaret, ujął jej ramię i razem dołączyli do dzieci. Margaret rozejrzała się. Muddy siedział w rogu pokoju, jakby nie był pewny, czy jego towarzystwo jest pożądane.

Szepnęła coś chłopcu na ucho. Theo podszedł do dzina i wziął go za rękę.

- Wesołych świąt, Muddy.

- Ja też życzę ci wesołych świąt, panie.

Chłopiec pociągnął demona w stronę choinki. Podarków było całe mnóstwo i były równie cudaczne jak te święta. Hank pomajstrował przy sznurku owiniętym dookoła zabawki, którą zrobił dla Annabelle. Bączek zawirował, podskoczył i pomknął przez pokój. Mała biegnąc za nim piszczała z zachwytu, śmiała się i klaskała w rączki.

Theodore przedzierzgnął się wędkującego Indianina o wdzięcznym imieniu Wielki Wódz Pogromca Dorszy, a Lydia, trochę jeszcze dziecko i już prawie podłotek, wystroiła się we wszystkie naszyjniki z muszelek, wstążki i grzebyki, które dostała. Przechadzała się z miną światowej damy; trzymała w jednej ręce kokosową lalkę, w drugiej zaś sznurek przywiązany do szyi Zadobijki, która posłusznie chodziła za nią krok w krok.

Muddy zniknął na chwilę we wnętrzu butelki i pojawił się ponownie otoczony purpurowym i zielonym dymem.

- Patrzcie! Dym Muddy'ego zmienił kolor! - zawołał Theodore wskazując palcem kolorową chmurę.

Opary wkrótce zniknęły, a wszystkim ukazał się dzinn z całym naręczem prezentów. Świętowali więc Boże Narodzenie od nowa. Zestaw do badmintonu dla Theo, katarynka dla Lydii, złota czapeczka dla Annabelle, srebrna ramka dla Margaret z obietnicą zrobienia jej zdjęcia za pomocą posiadanego przez demona aparatu fotograficznego.

W końcu Muddy sięgnął za siebie i podszedł do Hanka. Im był bliżej, tym bardziej Hank mrużył oczy. Margaret już się zastanawiała, do czego to dojdzie. Wreszcie Muddy wręczył Hankowi długą paczkę owiniętą w poźółkłe gazety.

Hank mruknął coś pod nosem i podszedł do drzewka. Wziął stamtąd jedyną leżącą pod choinką paczuszkę ciągle owiniętą w bananowy liść i wrócił do dzinna. Wcisnął ją Muddy'emu w ręce mówiąc:

- Trzymaj.

Cała gromadka zastygła w napięciu, czekając, aż otworzą swoje podarunki. Obaj obchodzili się z paczkami, jakby to były jadowite węże. Margaret popatrywała to na jednego, to na drugiego.

- Wesołych świąt, panowie.

Spojrzeni na nią jednocześnie, ale zaraz wrócili do przerwanej zajęcia.

- Ty pierwszy - odezwał się Hank.

- Nie. Ty zaczynaj. - Muddy skrzyżował ręce na piersiach.

Moment wcześniej tak właśnie zachował się Hank. Jeden wpatrywał się w drugiego.

Margaret nie odrywała od nich wzroku.

- Policzę do trzech i razem otworzycie paczki.

Spojrzeni na siebie i skinęli głowami na znak zgody.

- Jeden... dwa... trzy!

Obaj usiedli. Sekundę później wymamrotali zgodnym chórem:

- Dureń!

- Jeżeli zaraz nie otworzycie prezentów - odezwała się Margaret - poproszę Theo, żeby zagrał nam przynajmniej dwugodzinny koncert na organkach.

Spojrzeni po sobie, pobledli i rozerwali opakowania. W chacie zaległa cisza, kiedy oglądali podarunki.

Hank patrzył na kij i piłeczkę do baseballa, rękawicę Ala Spaldinga i czapczkę z napisem „Chicago White Stockings”.

A Muddy? Muddy trzymał w rękach buty Hanka.

W tę bożonarodzeniową noc księżyc w kwadrze wschodził nad dachem z palmowych liści przy akompaniamencie miękkich dźwięków katarynki. Piasek połykiwał tu i ówdzie w zagłębieniach między skałami; z muzyką mieszał się śmiech dochodzący z chaty.

Hank, oparty o ścianę, nie odrywał wzroku od kostek i łydek Margaret. Stała obok i kołysała się w takt muzyki, obserwując dzieci. W rękę trzymała uniesiony rąbek spódnicy.

Pokiwał głową. Miał teraz o świętach zupełnie inne zdanie. Theo, Annabelle i Muddy trzymali się za ręce i tańczyli, podczas gdy Lydia kręciła wytrwale korbką katarynki i wygrywała na niej poleczkę.

Po kilku minutach Margaret podeszła do kufra i wyjęła suknię balową. Przez chwilę Hank był z siebie bardzo dumny, kiedy patrzył, jak jej dłonie gładzą delikatny jedwab. Margaret uśmiechała się tajemniczo, a Hank o mało nie oszalał z zachwytu.

Podeszła do niego. Suknię miała przełożoną przez ręce. Zatrzymała się przed Hankiem i posłała mu pełen ciepła uśmiech.

- Dziękuję za suknię. Jest prześliczna.

- Podoba ci się?

Kiwnęła głową, a gdy ponownie na niego spojrzała, jej twarz była już poważna.

- Nawet jeśli jest taka piękna, to nie jest warta... - przerwała. Przysunęła się o jeszcze jeden krok do niego i położyła mu rękę na piersi. - Nie jest warta tego, byś tak bardzo ryzykował z jej powodu. Nie chciałabym cię stracić.

Hank zerknął na dzieci, a potem nakrył jej dłoń ręką. Uniósł do góry drugą rękę i palcem dotknął jej ust. Żadne z nich nie odezwało się. Nie potrzebowali słów.

Pogładził palcem jej policzek i uśmiechnął się. Wskazał głową sukienkę.

- Włóż ją.

Popatrzyła na niego.

- Teraz?

- Mhm. Teraz.

Roześmiała się i stanęła jeszcze bliżej. Prawdę mówiąc, przytuliła się do niego.

- Zawsze namawiałeś mnie do tego, żebym coś z siebie zdjęła, a nie wkładała.

- Włóż ją, złociutka.

Uniosła do góry głowę.

- Włożę, jeśli ty ubierzesz się we frak.

- Małpi surdut?

Potaknęła.

- Do diabła! Nawet mowy nie ma.

Posmutniała.

- Nie będzie na mnie pasował, jest za mały – dodał szybko.

- A skąd masz pewność, że suknia będzie na mnie dobra?

- Ma się to oko, złociutka. Będzie pasowała.

Odłożyła sukienkę i podeszła do kufra. Wyciągnęła ze środka frak. Na pewno nie był to mały rozmiar. Nawet Hank musiał to przyznać.

- Ten frak nie wygląda na mały. Spójrz tylko. - Obróciła się w jego stronę.

Hank wpatrywał się w czerń materiału.

- Proszę...

Przewrócił oczami.

- Dobra, do cholery, zgadzam się. Ale tylko dlatego, że jest Gwiazdka. - Wyciągnął z kufra pozostałe części stroju.

Gdy wyjął spodnie, wstrzymał się na chwilę, jakby szukał nowej wymówki. Chyba jednak te cholerne spodnie były za długie. Jej lodowate spojrzenie powiedziało mu natychmiast, że przejrzała jego zamiary. Wzruszył jedynie ramionami.

- Nie można winić faceta tylko za podjęcie próby.

Ruszył w kierunku drzwi mamrocząc pod nosem, że jest cholernie zadowolony z faktu, że Boże Narodzenie jest tylko raz w roku.

- O raju! Patrzcie na Hanka!

Margaret zwróciła się w stronę drzwi. Jedwabna suknia otarła się miło o jej boscie stopy. Hank stał w drzwiach ubrany w wieczorowy strój. Zawsze była zdania, że mężczyzna najlepiej prezentuje się w białym fularze i fraku.

Hank wyglądał doskonale. Był wysoki, a czerń stroju sprawiała, że zdawał się jeszcze wyższy. Biała koszula nadawała jego opaleniznie nieoczekiwanie naturalny wygląd. Fular był owiązany dookoła kołnierzyka. Ponieważ nie mieli spinek, jedynie on przytrzymał kołnierzyk na właściwym miejscu.

Mimo wszystko widać było, że Hank nie urodził się do noszenia fraka. Nie czuł się w tym stroju swobodnie.

Hank przeszedł przez pokój i stanął naprzeciw Margaret. Uśmiechnęła się do niego.

- Witaj.

Wpatrywał się w jej suknię. Właściwie interesowało go bardziej to, czego nie zasłaniała.

Gwizdnął cicho przez zęby.

- W dotyku robią wrażenie znacznie mniejszych.

Wzięła głęboki wdech.

- Jakie to romantyczne - powiedziała.

- Kurde, Smitty, są cholernie wielkie...

Zakryła mu usta dłonią i pokręciła głową z dezaprobatą.

Za nimi stał Theodore. Zachłannie wsłuchiwał się w każde ich słowo. Oczy robiły mu się coraz większe.

Zmarszczywszy czoło, zapytał:

- Co wygląda na większe?

Hank odpowiedział gładko, jak zawodowy kłamca:

- Rękawy sukienki.

- Aha. - Theodore przyjrzał się rękawom i wkrótce dołączył do sióstr.

- Ładnie z tego wybrnąłeś - wyszeptła.

- Taaa, rzeczywiście ładnie. I błyskawicznie. Chciałabyś zmierzyć mi czas?

- Sądząc po dość lubieżnym wyrazie twojej twarzy, lepiej będzie, jeśli nie poproszę o wyjaśnienia, co to znaczy.

Obrzucił ją długim spojrzeniem.

- Naprawdę nie wiesz?

Pokręciła głową.

- Mhmmmm. Zresztą nieważne, złociutka. Dowiesz się w swoim czasie. - Odwrócił się powoli i dodał cicho: - I lepiej, żeby nie trzeba było na to zbyt długo czekać.

- Zatańcz z nią, Hank! Zatańcz ze Smitty! - Theo skakał dookoła nich.

Lydia natychmiast zaczęła grać na katarynce walca. Nikt nie był bardziej zaskoczony od Margaret, gdy Hank wyciągnął do niej ręce i otoczył ramieniem. Tańczyli, a on znał dobrze kroki. Nie tylko wiedział, jak się tańczy walca, ale robił to naprawdę dobrze. Jego ruchy były płynne, prowadził ją pewnie i delikatnie zarazem. Margaret czuła zapach jego rozgrzanego ciała. Całym swoim jestestwem była świadoma jego obecności. Za każdym razem, gdy na nią spojrzał, w jego niemal czarnych oczach czytała obietnicę.

Po kilku kawałkach znowu ją zaskoczył. Zaprosił bowiem do tańca Lydię, zlecając Theo grę na katarynce. Dziewczynka śmiała się, gdy okręcał ją, unosząc do góry, by mogła dotrzymać mu kroku.

Nawet Annabelle miała swoje taneczne pas. Wyczyniając jakieś przedziwne hołubce, Hank trzymał ją na rękach i obracał się z nią. Mała chichotała, wsuwając główkę pod jego brodę.

Coś dziwnego działo się z Margaret. Czuła oblewającą ją falę ciepła. Patrząc na nich wszystkich doznawała nie znanych sobie uczuć. Popatrzyła na swoją różową suknię. Była tego samego koloru co perła, którą mu podarowała. Pogładziła materiał i uśmiechnęła się.

Potem poczuła, jak Hank porywa ją do tańca. Wirowali po chacie z palmowych liści. Były święta Bożego Narodzenia. Cudaczne i wspaniałe, z dżinnem, który patrzył teraz na nich wesoło uśmiechnięty. Z płomykami olejowców zamiast przebogatych kryształowych żyrandoli. Tańczyli. W rytm walca wygrywanego na katarynce i przy akompaniamencie dziecięcego śmiechu rozkochiwali się w sobie coraz mocniej.

Gdy Hank i Margaret przestali tańczyć, Theo i Annabelle już smacznie spali, a Lydii opadały coraz cięższe powieki. Położyli dzieci do łóżek i stali razem nad nimi. Patrzyli, jak malcy śpią. Hank otoczył ramieniem kibić Margaret. Bo było to właściwe. Bo nie chciał pozwolić jej odejść. Nie teraz.

Muddy leżał wyciągnięty wygodnie na kufrze. Oparł głowę na ramieniu.

Hank zerknął na Smitty, która odwzajemniła to spojrzenie. Powietrze było gęste i to nie tylko z powodu tropikalnej wilgoci.

- Moglibyście iść oboje na spacer - powiedział Muddy od niechcienia. - Popilnuję dzieci.

Zanim Margaret zdążyła choćby mrugnąć, Hank wyprowadził ją przed chatę. Ciągnął ją lekko za rękę, aż zaczęli biec.

W świetle księżyca pędzili na plażę. Smitty śmiała się, jemu też było bardzo wesoło. Wykrzykiwała jego imię, a on, drażniąc się z nią, wykrzykiwał zdrobnienia i przezwiska, którymi ją obdarzył. Biegli, prześcigając się co jakiś czas. Jednocześnie zwolnili i zatrzymali się blisko linii wody. Margaret dyszała ciężko i ciągle jeszcze się śmiała.

Patrzył na jej uśmiechnięte usta. Na swój sposób był zadowolony, że Margaret nie wie, jaką władzę nad nim daje jej taki zwykły uśmiech.

Ich spojrzenia spotkały się. Nastąpiła pełna napięcia chwila, kiedy wpatrywali się w siebie.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

Hank wiedział. Margaret wiedziała.

I wszystko inne przestało się liczyć. Nie miało znaczenia, że laguna pobłyskuje sennie na tle czarnego nieba. Nie miało znaczenia, że nocny powiew wiatru szeleści cicho palmowymi liśćmi. Ważne było tylko to, co do siebie czuli - coś, czego nie można określić żadnym słowem. Było to uczucie tak silne, że nikt go jeszcze nie nazwał.

Milcząc szli wzdłuż plaży. Księżyc srebrzył ich ślady na piasku. Fale rozbijały się o brzeg głośniejsze niż w ciągu dnia, szumiały, syczały, bulgotały. Rozbryzgując się unosiły na swych grzbietach tysiące maleńkich czerwonych stworzeń morskich, które w białym świetle miesiąca iskrzyły się, jakby nagle ocean pokrył się filigranowymi płomykami.

Hank trzymał ją po prostu za rękę. Dookoła nich było tylko morze. I wiatr. I bogactwo uczuć. I świadomość bliskości drugiej osoby.

Jego zmysły wyostrzyły się. Każdy powiew przynosił ze sobą delikatny zapach jej ciała. Zupełnie nagle został nim otoczony. Subtelny zapach kobiety, który wywoływał w nim zadowolenie z tego, że jest mężczyzną.

Wyczuwał go mimo silnej woni słonej wody i ziemistego zapachu mokrego piasku. Dla niego istniała tylko ona. Tylko Smitty.

Jej dotyk. Profil. Chód. Sposób, w jaki balowa suknia szeleściła ocierając się o jej nogi.

Przystanął, popatrzył na Margaret i uśmiechnął się. Przytulił ją do siebie. Spletli palce rak, za które przez cały czas się trzymali. Druga dłoń Hanka powędrowała wzdłuż jej pleców i zatrzymała się na talii.

Tańczyli w świetle księżyca. Na srebrnym piasku. Czując na sobie chłodny oddech wiatru. Muzyka otaczała ich ze wszystkich stron - woda omywała rafę, fale rozbijały się o brzeg, na pobliskich palmach szeleściły liście. Serca obojga biły głośno i rytmicznie.

Wiedzieli, kiedy przerwać taniec, i zrobili to jednocześnie. Nieważne, czy widać to było w ich oczach, czy naszła ich jakaś nagła myśl, po prostu wiedzieli. Jakby w tej właśnie chwili stali się jednością.

Hank patrzył ponad jej głowę w morze. Potrzebował chwili wytchnienia. To wszystko było trochę krępujące... Jeszcze nigdy nie doświadczył uczuć, które teraz przeżywał. Nie było mu łatwo pogodzić się z tym.

Spojrzał na nią i opuściły go wszelkie wątpliwości. Dotknął jej policzka i zsunął rękę na szyję. Wyczuwał puls, bijący w rytm fal. Pochylił się i pocałował ją delikatnie, jak nigdy do tej pory nie całował żadnej kobiety. Niczego nie chciał. Po prostu dotykał ustami jej ust. Odsunął się i zaczął wpatrywać w jej twarz.

Oddychała nierówno i głęboko. Podobnie jak on. W oczach Margaret widział te same nieokreślone uczucia, które przepełniały jego serce. Było to pragnienie czegoś więcej niż tylko ciała.

Nie sposób określić, które z nich zrobiło pierwszy ruch. Wyciągnął do niej rękę. Ona do niego. Pochylił głowę. Stała na palcach. A potem znalazła się w jego ramionach. Miękkie kobiece ciało przytuliło się do niego.

Pocałował ją znowu. Pocałował, jakby była dla niego najważniejszą osobą na świecie. I tak było w istocie. Nie dał Margaret nawet szansy na powiedzenie choćby słowa. Nie musiała prosić go o to, czego chciała. Zresztą nie знаła nawet właściwych słów, by móc sformułować swoje prośby. A on był taki subtelny i romantyczny. Wziął ją na rękę i niósł po plaży.

Czuła silne ramiona opasujące jej ciało. Hank przeszedł przez skalną przegrodę oddzielającą kawałek plaży - tam, gdzie chował się z butelką. Skały, piasek i morze tworzyły tu bardzo zaciszne miejsce.

Pozwolił, by opuściła nogi, ale nie uwalniał jej z objęć. Jedną ręką przytrzymał jej głowę, drugą obejmował w pasie nie dopuszczając, by dotknęła stopami piachu. Mocno tulił ją do siebie. Jego usta przywarły do jej ust tak nagle, że podzielili się oddechem.

Objęła go ramionami za szyję i przylgnęła do niego z całej siły.

Za tę chwilę oddałaby wszystko. Jego język muskał jej wargi, a potem znalazł się w jej ustach. Gorący pocałunek sprawił, że poddawała się bez sprzeciwu. Jej dłonie powędrowały na jego szyję, gładziła mu włosy. Palce przedzierały się przez czarną gęstwinę wypełniającą jej dłonie miękkim ciepłem.

Raz po raz szeptał jej imię. Szerzej rozchyliła usta i odwzajemniła pocałunek. Żarliwie, tak samo jak on całowała jego wargi, w zapamiętaniu pieściła językiem jego język. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że można to robić w ten sposób. Z nim wszystko było proste, poddawała się po prostu instynktom.

Jego dłoń gładziła jej pośladki. Najpierw jeden, potem drugi. Mocniej przytulił ją do siebie. Jęknął cicho, gdy głaszcząc go po plecach wsunęła mu rękę za pasek spodni. Jego biodra zaczęły poruszać się rytmicznie, a ona prawie natychmiast podchwyciła ten rytm. Poruszała się razem z nim. Obracali się wolno w nie znanym sobie tańcu.

Ich ruchy stawały się coraz szybsze. Byli coraz głodniejsi siebie. Coraz swobodniejsi. Jednym szarpnięciem odpiął guziki sukni. Przywarł ustami do jej szyi, błędził po niej językiem. Odstłonił jej piersi. Przechyliła się do tyłu, podtrzymywana jego ramionami, gdy on scałowywał w zapamiętaniu ciepło z jej sutków.

Westchnęła i objęła jego głowę rękami. Nie chciała, by przerywał. Jego biodra ocierały się o nią. Uniósł jej nogę i zgiętą w kolanie przycisnął do swojego boku. Ocierał się o nią coraz mocniej.

Jego prawa ręka przesunęła się do jej drugiej nogi. Chwycił ją za udo podniósł je góry sprawiając, że obejmowała jego biodra obiema nogami. Szeptał zduszonym głosem o tym, co będzie z nią robił, gdzie i jak długo.

W zakamarkach nie zarażonej szalem świadomości Margaret miała nadzieję, że Hank dotrzyzyma obietnicy. Powiedziała mu o tym.

Jęknął głucho i zerwał z niej suknię tak szybko, że zaskoczona zadrżała od chłodu nocy. Zrzucił na piasek frak. Ściągnął z niej bieliznę, a potem uwolnił się od koszuli i spodni. Przytulił ją do siebie, objął ramionami i łagodnie położył na srebrzystym piasku.

Wpatrywała się w niego. Klęczał obok, oświetlony księżycem, przesłoniętym samotną chmurą. Hank był smukły, dobrze zbudowany, opalony, ale surowy jak jego maniery. Było w nim coś pierwotnego, naturalność, o której istnieniu nie miała do tej chwili pojęcia.

Przysunął się do jej nóg. Gładził miękką skórę, a jego ręce przesuwają się w stronę kostek. Rozsunął je bardzo powoli.

- Boże, te nogi... - wyszeptał cicho.

Dłonie wędrowały w górę. Pieścił kostki, delikatnie uciskał łydki. Powoli. Centymetr po centymetrze. Zdawało mu się, że minęła cała wieczność, zanim dotarł do kolan. Nachylił się i całował wrażliwe miejsca pod kolanami, a potem przesunął językiem wzdłuż łydek, całował kostki, by za chwilę ponownie zachwycać się kolanami, i jeszcze raz, i jeszcze.

Pieścił jej nogi przez minuty zdające się trwać w nieskończoność. Opuszkami palców, paznokciami, wargami i językiem doprowadzał Margaret do szaleństwa. Zgiął kolana, stawiając przy tym jej stopy na piasku. Niespiesznie dotykał wargami wewnętrznej strony jej uda, jego język błędził po skórze. Wycofał się jednak, gdy zbliżył się do jej łona.

Drugie udo pieścił równie delikatnie, ale jeszcze wolniej, jeszcze dokładniej, aż uniosła biodra i wołała jego imię.

- Otwórz oczy i popatrz na mnie, złociutka - powiedział i usiadł na piętach.

Podniosła powieki. Nie widziała niczego poza zamglonym zarysem jego sylwetki.

Wyciągnął przed siebie rękę i spełnił jej marzenie, by właśnie tam jej dotknął. Robił to bardzo powoli. W pewnej chwili przestał. Margaret jęknęła.

- Patrz na mnie.

Polizał palec i ponowił pieszczotę. Powtarzał to raz po raz. W pewnym momencie Margaret nie wytrzymała, chwyciła go za rękę i przytrzymała. Nie mogła znieść tego dłużej.

Wsunął w nią gruby, szorstki palec i wolno nim poruszał. Jego dłoń pieściła ją tak, że zapomniała o całym świecie, skoncentrowana całą sobą na tej części swego ciała. Drugi palec, rozsunął jej łono i naciskał tak bardzo, że zapało jej dech w piersiach.

Przez długie minuty masował ją, wsuwając i wysuwając palce. Jej biodra unosiły się coraz wyżej. Kolana drgały konwulsyjnie.

Przestał nagle i podłożył ręce pod jej pośladki. Założył sobie jej nogi na szerokie ramiona i podniósł ją do ust. Świat przestał istnieć, rozplątał się w nicości. Liczył się tylko dotyk jego ust. Nie całował jej tak samo, jak całował jej głodne usta. Muskał ją

językiem, a potem przywarł do niej ustami, zanim zdążyła się cofnąć. Wyszukał to jedno najwrażliwsze miejsce i zapamiętał się w dawaniu rozkoszy.

Wstrząsały nią dreszcze. Nie przestawał.

- Jeszcze - wyszeptał. - Jeszcze, złociutka. Jeszcze raz - i wsunął w nią język tek głęboko, że znowu zadrżała.

Pląkała, gdy jej ciało powracało do życia. Leżała obok niego. Hank położył głowę na jej brzuchu. Kiedy odzyskała oddech i serce przestało walić jak młotem, Hank spojrzął na nią. W jego oczach było tyle ciepła, że ponownie wstrzymała oddech.

Zaczął lizać ją po całym ciele. Wszędzie. I gdy dochodziła już do granic wytrzymałości, gdy kolana zaczynały jej drżeć zbyt silnie, przestawał, łagodził doznania, gładząc lekko nogi i uspokajając ją aż do chwili, gdy silne emocje mijały. A potem od nowa porывał ją na szczyty doznań. Za każdym razem zbliżał ją do ostatecznego punktu coraz bardziej i za każdym razem przerywał.

I mówił do niej. Opowiadał o tym, że uczy ją poznawania potęgi jej własnego ciała. Pokazywał, jak mężczyzna i kobieta parzą się - ale nie używał tego słowa.

Wsunął się między jej nogi i oplótł się nimi w pasie. Zdobywał ją sobą - bardzo wolno poruszał biodrami i zagłębiał się centymetr po centymetrze. Przejmowało ją cudowniejsze uczucie niż wtedy, gdy pieścił ją palcami, bardziej otchłanne niż wtedy, gdy pieścił ją językiem.

- Och, kochana. To nieziemskie. Tak, tak dobrze. Tak, złociutka.

Nakrył jej usta własnymi i wdarł się w nią cały. Ból przeszył ją od brzucha aż po koniuszki palców. Zesztywniała i jęknęła głośno, gdy stawało się to coraz silniejsze. Wpiła paznokcie w jego pośladki.

Zaklął. Mocniej przytulił głowę do jej szyi.

- Przepraszam, złociutka. Nie ruszaj się. Po prostu leż. - Chwycił ją za biodra i nie wypuszczał. - Spokojnie. Leż spokojnie jeszcze przez minutę.

Posłuchała. Powoli ból mijał. Dał jej dość czasu.

- Spójrz na mnie, Smitty - powiedział, gdy uspokoiła się zupełnie.

Otworzyła oczy.

- Dobrze się czujesz?

Kiwnęła głową, choć czuła, jak łyzy ciekną jej po skroniach i wsiąkają we włosy.

- Teraz, bardzo powolutku, spróbuję jeszcze raz.

Zamknęła oczy, zacisnęła zęby i mocniej objęła dłońmi jego pośladki.

- Dobrze - wyszeptała wstrzymując oddech.

Zaśmiał się krótko niedobrym śmiechem i znowu położył jej głowę na szyi.

- Cholera... Mam nadzieję, że teraz nie będzie już tak źle.

Uniosła powieki.

- To nie wiedziałeś o tym?

- Nie jestem kobietą, Smitty.

Zamrugła oczami, a potem, marszcząc czoło, spojrziała na niego.

- Czy to znaczy, że cię to w ogóle nie boli?

Pokręcił głową.

- Bóg musi być mężczyzną - powiedziała cicho.

Hank roześmiał się głośno. Patrzyła na jego trzęsące się ze śmiechu ramiona.

- To wcale nie jest śmieszne, Hank.

Podniósł głowę i patrzył na nią ciągle uśmiechnięty. Kręcił głową.

- Nigdy nie przypuszczałem, że mogę się pieprzyć i śmiać jednocześnie.

- Jakież to romantyczne.

Spojrzął na nią w taki sam sposób, w jaki patrzył na butelkę dzinna.

- Jesteś pewnie na mnie wściekła?

- Tak.

- Dlaczego?

- Seks nie jest sprawiedliwy i partnerski.

- Ale jest cholernie przyjemny, złociutka.

- Dla ciebie, bo jesteś mężczyzną.

- Daj mi chwilę, a sprawię, że odwołasz to wszystko, Smitty.

- Jak?

- Podobało ci się to, co robiłem wcześniej? O, tu? – mówiąc przeciągnął delikatnie językiem po jej piersiach. Nie spuszczał przy tym z niej oka.

Zaparlo jej dech.

- Tak - wyszeptwała.

Sięgnął ręką do miejsca, gdzie byli złączeni.

- Atu?

- Tak.

- Jeśli nie spodoba ci się to, co zrobię teraz, możemy wrócić do poprzedniej zabawy.

W tej propozycji kryła się obietnica. Martwił ją jedynie wyraz jego twarzy. Wyglądał tak samo, gdy grał w pokera z Theodore'em - zupełnie jakby miał w rękawie ukrytego asa.

- Zgoda?

Skinęła głową.

- Odpręż się, Smitty. Będę to robił bardzo wolno i delikatnie, dopóki nie będziesz gotowa. - Przesunął się powoli, wycofując odrobinę. - Bolało?

- Nie. Czułam po prostu nacisk.

Ponownie przesunął się i ostrożnie wykonał kilka ruchów, które trwały całe minuty, zanim Margaret zrozumiała, że miał rację. Nie odczuwała żadnego bólu, po prostu była nim wypełniona i ta wielkość była wyczuwalna, gdy się poruszał. Wydawało się, że on może to robić w nieskończoność, poruszać się niespiesznie, wznosząc się nad nią i zastygając w bezruchu natychmiast, gdy wydała z siebie jakikolwiek dźwięk lub gdy się skrzywiła.

Spojrzał na nią.

- W porządku?

Kiwnęła głową, objęła go ramionami. Fascynowało ją, gdy czuła pod palcami jego mięśnie napinające się na ramionach, gdy zagłębiał się w nią. Zsunęła jedną rękę na jego pośladek i tam też wyczuwała napięcie mięśni przy każdym ruchu.

Nie minęło wiele czasu i uznała, że porusza się zbyt wolno. Powiedziała mu o tym.

Westchnął „dzięki Bogu” i zaczął poruszać się szybciej. Dołączyła do niego, bo tak musiało być, bo tak było przyjemniej. Poruszali rytmicznie biodrami, na przemian. A potem on stał się szybszy i bardziej spięty. Jego biodra napierały na nią z całą siłą. Złapał ją, żeby się nie wysunęła.

Słyszała szum fal. Słyszała, jak rozbijały się o brzeg. Czuła w sobie ruch, jakby sama była morzem i jakby właśnie ogarniał ją przypływ.

Nie było żadnego bólu, niczego poza dreszczem – takim samym jak wtedy, gdy pieścił ją ustami. Ale teraz doznania były silniejsze i głębsze, jakby wszystko zaczynało się i kończyło w jego ciele.

- Jeszcze, kochanie, jeszcze...

Wstrząsnęły nim trzy gwałtowne spazmy, które uniosły ją poza świadomość.

Dziękował jej litanią miłych słów. Odrzucił głowę w tył, wyprostował szyję, zacisnął zęby i zagłębił się w nią ponownie tak mocno, że na chwilę straciła kontakt z rzeczywistością, choć jej ciało poddawało się jego ruchom. Kiedy wróciła do siebie z tak pięknego, swobodnego i ciepłego miejsca, z trudem mogła złapać oddech.

Wyszeptał jej imię, zanim zaczął wszystko od nowa, wchodząc w nią gwałtowniej i wykonując szybsze ruchy. Nagle wyszedł z niej, wyprostował się, klęknął między jej nogami i wydając mroczny jęk, uwolnił z własnego ciała obok jej kolan coś ciepłego i mokrego.

Leżeli teraz obok siebie. Spoceni i wyczerpani. Serca biły im mocno i w jednym rytmie. Margaret była świadoma jego ciała, włosów na piersiach i brzuchu, ocierających się o jej skórę. Delikatnych i miękkich na pośladkach, gdy przesunęła po nich ręką. Czuła jego ciężar, oddech na szyi i rękę ciągle jeszcze podłożoną pod jej pośladek.

Minęło bardzo dużo czasu, zanim Hank poruszył się i zaczął zwiedzać ustami jej szyję, ramiona. Rozkoszował się jej smakiem. Uniósł głowę i posłał jej dumne spojrzenie.

- Nadal uważasz, że seks jest niesprawiedliwy i nie ma w nim partnerstwa?

- Nie jestem pewna.

- Co to ma, do cholery, znaczyć?

Starła się nadać twarzy bardzo poważny wyraz, gdy powiedziała:

- Muszę to przemyśleć.

Zmrużył oczy. Roześmiała się. Ale zanim zdążyła pomyśleć o czymkolwiek, Hank ukląkł, uniósł jej pośladki i zarzucił sobie jej nogi na ramiona.

- Jasne, złociutka - powiedział drażniąc się. – Pomyśl jeszcze o tym.

Margaret siedziała na piasku oparta plecami o piersi Hanka. Patrzyli na księżyc znikający z nocnego nieba. Wiatr owiewał im twarze. Podciągnąwszy kolana pod brodę, Margaret objęła je ramionami i zagrzebała stopy w zimnym piasku.

Dziwnie się czuła, bo wszystko było teraz wspaniałe. Dotyk wiatru, chłód piasku i ciepło bijące od Hanka, jego oddech muskający jej ucho i szyję. Miała wrażenie, że jej ciało i zmysły od kilku godzin żyły zupełnie nowym życiem. Jakby stała się inną osobą. Myślała o tym, co zaszło między nią i Hankiem, i zastanawiała się, czy zamiast niej nie przeżyła tego jakaś obca Margaret Smith. Uśmiechnęła się. A może była po prostu Smitty.

Westchnęła. Było jej tak błogo - siedziała na plaży z Hankiem, jakby mieli dla siebie cały świat, swój własny świat, istniejący tylko dla nich dwojga. Otulały ich przecież spokój i przychylność tego skrawka ziemi, coś, co sprawiało, że w tej właśnie chwili byli jedynymi istniejącymi na nim ludźmi.

Milczeli przez dłuższy czas. Cisza nie przeszkadzała im jednak, była jak dobry przyjaciel. Różniła się od tych chwil milczenia, które przeżywali do tej pory, gdy walczyli ze sobą zaciekle, starając się zaprzeczyć wszystkiemu, co ich ku sobie zbliżało.

Margaret odczekała jeszcze moment. Patrzyła na niebo: osieroczone przez księżyc chowający się za horyzontem, stawało się coraz ciemniejsze. Oparła głowę o ramię Hanka.

- Powiedz coś - odezwała się w końcu.

- Co?

- Nie wiem. - Starła się nadać głosowi naturalne brzmienie. - Opowiedz mi swoje dzieje.

Zaśmiał się cynicznie, po swojemu.

- Nie mamy aż tyle czasu, złociutka.

- Opowiedz tylko o tym, co było dla ciebie najważniejsze.

Hank wyprostował plecy. Margaret czuła na sobie jego wzrok.

- To znaczy o czym?

- Choćby o tym, jak nauczyłeś się tańczyć?

Znowu się roześmiał.

- Brałem lekcje.

Drażnił się z nią. Margaret pokiwała głową, ale nie ponaglała go. Hank milczał w dalszym ciągu. Nabrała garść piasku i przesypywała ziarenka między palcami. Po jakimś czasie odezwała się jednak:

- Opowiedz mi o baseballu.

Hank objął ją mocniej, ale w sekundę później odsunął rękę. Było jasne, że nie ma ochoty na zwierzenia. Przesunął się i siedział teraz obok niej. Podobnie jak Margaret, podciągnął kolana do piersi i oparł na nich dłonie.

Nawet na nią nie spojrział.

- Do gry w baseball potrzebny jest kij, rękawica i piłka.

Margaret dotknęła jego ramienia.

- Nie graj w to, proszę. Widziałam cię w dżungli. Odbijałeś olejowce. Zresztą Theodore powiedział mi, że nie chcesz go uczyć. Dlaczego? O co w tym wszystkim chodzi?

Wziął w rękę niewielki kamyk wygładzony przez morze. Rzucił nim lekko, jakby to była piłka. Margaret widziała nie raz, jak to robił, ale myślała, że to po prostu odruch, a nie echo czegoś bardzo ważnego, co wydarzyło się w życiu Hanka.

Zwrócił twarz w jej stronę.

- Jak dużo chcesz wiedzieć?

- Tyle, żeby cię zrozumieć.

Milczał przez chwilę.

- Czasami sam nie jestem pewny, czy to rozumiem, złociutka.

- Proszę, Hank.

Dłuższy czas wpatrywał się w skałę.

- Opuściłem Pittsburg, gdy miałem piętnaście lat. Musiałem, bo do wyboru miałem tylko więzienie. - Przeniósł spojrzenie na morze, w ogóle nie patrzył na Margaret. -

Złapali mnie, jak kradłem coś na ulicy. Policjanta, który mnie przyskrzypił, aż noga rozboleła od kopania mojego tyłka, gdy wpychał mnie do celi. Kazał mi wynieść się z miasta zapowiadając, że jeśli zostanę, wpakuje mnie do więzienia na dobre i dopilnuje, żebym tam długo posiedział. Więc wyjechałem. Podróż do Filadelfii kosztowała mnie sporo zdrowia. Przez kilka miesięcy mieszkalem z kilkoma podobnymi do mnie, pod mostem. Było to coś w rodzaju wagarów w szałasie. Żeby jakoś przeżyć, kradłem jedzenie. Potem spałem na śmietniku.

- W wieku piętnastu lat?

- Mhm. - Zaśmiał się gorzko i spojrzął na Margaret. - A co ty robiłaś jako piętnastolatka?

- Chodziłam do szkoły, grałam z przyjaciółmi w parcheesi. Robiłam po prostu to, co robi większość dziewcząt w tym wieku w San Francisco.

Popatrzył na nią jak na raroga.

- Parcheesi?

- Tak, to gra przyjemniejsza niż poker.

- Nie grałem wtedy w pokera.

- Nie grałeś? - Uniosła głowę i zaczęła się w niego wpatrywać.

- Nie. Zresztą, znakować karty nauczyłem się dopiero jako szesnastolatek.

Uśmiechnęła się.

- Dokończ swoją historię.

- Ulica była moim domem przez prawie rok. Pewnego dnia poszedłem na boisko do baseballa. Dowiedziałem się od kogoś, że w śmieciach można znaleźć sporo żarcia. Athletics grali wtedy z Bostonem. Wokół boiska pojawiła się cała chmara ulicznych sprzedawców parówek i piwa. Ważniejsze niż żarcie były jednak portfele, które można tam było ściągać. Zacząłem kręcić się w tamtej okolicy. Brałem, co się dało. Zdarzyło się, że ukradłem niewłaściwy portfel. Należał do właściciela drużyny, Billy'ego Hobbarta. Dorwali mnie. Właściwie to Billy mnie dogonił. - Hank pokiwał głową. - Nigdy szybko nie biegałem, nawet jako dzieciak.

Margaret uśmiechnęła się ponownie. Wiedziała jednak, że oboje są rozbawieni jedynie złośliwym komentarzem Hanka. Tak samo ludzie śmieją się z kłowna, któremu ktoś wylewa na głowę wiadro wody. Coś może być przecież śmieszne i jednocześnie bardzo smutne.

- Zaciągnął mnie za kołnierz z powrotem i zmusił do pracy. Wyciskał ze mnie siódme poty. Zamiatąłem boisko, naprawiałem ławki i ogrodzenie. Cholera, nawet kible musiałem sprzątać.

- I nie próbowałaś uciekać?

- Tylko raz. Zdołałem jedynie wydostać się za teren boiska. Otoczyła mnie cała drużyna. Od tamtego czasu zawsze pilnował mnie ktoś uzbrojony w kij baseballowy i rewolwer, czterdziestkę piątkę. - Hank umilkł na chwilę. Zapatrzył się w morze, a potem utkwiał wzrok w piasku. - Kląłem tego sukinsyna na czym świat stoi, ale tyrałem. Nie minęło wiele czasu i pozwolił mi jeść posiłki razem z chłopakami z drużyny i dał szafkę w kącie przebieralni. Trwało to kilka miesięcy, a po tym czasie sam już nie chciałem odchodzić. Czuję się tak, jakbym był członkiem zespołu, chociaż ciągle jeszcze wciskałem Billy'emu ciemnotę, że wcale tak nie jest. W następnym sezonie pozwalał mi czasem odbić piłkę i brać udział w treningach. Któregoś dnia Billy wkurzył mnie okropnie. Miałem wtedy kij w rękę i gdy nadleciała piłka, w ogóle jej nie widziałem. Przed oczami latały mi czerwone plamy. Wybiłem piłkę na chybił trafił. Poleciała poza boisko. Billy podszedł wtedy do Hop-la Huntera...

- Hop-la?

- Mhm. Gracze w baseballa mają przezwiska. Żabi Róg Wilson, Kula Armatnia Morris, Konik Polny Jim Whitey...

- Mówisz poważnie?

- Mhm.

Margaret kręciła głową z niedowierzaniem.

- To pewnie typowo męskie.

Hank wydadł pogardliwie usta.

- Tak, rzeczywiście tak jest - powiedziała. - W końcu nikt przecież nie zwraca się do Betsy Rose per Igiełka ani do Jane Austin per Atramentowe Paluszki.

- A co z Krwawą Mary?

Margaret uniosła wyżej brodę.

- Nie mam żadnych wątpliwości, że to przezwisko nadał jej jakiś facet.

Hank spojrział na nią w typowo męski sposób. Mężczyźni zawsze tak patrzą, gdy chcą okazać, że ich cierpliwość jest właśnie poddawana ciężkiej próbie.

Margaret machnęła ręką.

- Mów dalej.

- Nie pamiętam, gdzie skończyłem.

- Na Hop-la Hunterze.

- A, właśnie. Hop-la stał na bazie. Billy kazał mu rzucać mi podkręcane piłki, ale i tak tego dnia trafiałem we wszystkie. Dwa lata później byłem już w drużynie i grałem praktycznie bez przerwy. Jeździłem do Cincinnati, Chicago, Atlanty i Bostonu. Po zdobyciu proporca w siedemdziesiątym ósmym roku graliśmy nawet przez kilka miesięcy pokazowe mecze w Anglii i Francji. Tam właśnie nauczyłem się tańczyć. Zanim wróciliśmy do Stanów, wynajęli nam instruktora tańca, który uczył wszystkich chłopaków z zespołu. W Europie było inaczej. Rano graliśmy mecz, a wieczorem na tańce. - Umilkł. Margaret czekała. W końcu jednak trąciła go lekko w ramię.

- I co stało się potem?

- Billy zmarł na atak serca przed samym końcem sezonu w osiemdziesiątym trzecim. Trzy drużyny miały wtedy szanse na proporzec: Boston, Filadelfia i Chicago. - Oparł się z powrotem o skalną ścianę i nie odrywał wzroku od piasku pod nogami. Dłonie na kolanach zacisnęły się w pięści. - Włączyli się hazardziści i zaproponowali ogromne pieniądze tym z nas, którzy oddadzą mecz... - Przerwał w pół zdania.

- I co?

Wzruszył ramionami.

- Przegraliśmy. Wybuchł skandal i niektórzy gracze trafili na czarną listę. - Spojrzął Margaret w oczy. - Ja byłem jednym z nich.

- Nie uwierzę w to, że mogłeś sprzedać mecz.

- Do diabła, Smitty, pierwszy portfel ukradłem, gdy miałem sześć lat.

- Nie obchodzi mnie, co robiłeś przedtem. Nie mogę uwierzyć, że zrezygnowałeś z rzucenia meczowej piłki.

Hank milczał.

- Sama przecież nazywałaś mnie łajdakiem.

- Nie miałam racji.

- Jezu, diabeł musi być równie przewrotny.

- Zmiana tematu na nic się nie zda.

- Mhm, wiem, z tobą to nie przejdzie.

- Mam tylko jedno pytanie.

- Tak, tak, tak. Masz rację. Nie sprzedałem żadnej gry. Na czarnej liście znalazło się pięciu z nas. Dwóch było winnych, a reszta, zdaniem nowego właściciela, przysparzała mu po prostu kłopotów. A ja nie byłem przyjemniaczkiem.

- Nie o to chciałam cię zapytać.

- Nie o to?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- O co w takim razie?

Uśmiechnęła się.

- Chciałabym wiedzieć, jakie miałeś przezwisko?

Hank roześmiał się głośno. Było jasne, że opuszcza go całe napięcie.

- Jesteś szalona, wiesz o tym? - Kręcił głową, a ona miała wrażenie, że Hank czuje się coraz swobodniej. - Ty i Billy Hobart jesteście do siebie bardzo podobni. On był dokładnie taki jak ty. Uparty, wytrwały i cholernie sprytny, za bardzo... sprytny, gdy chodziło o jego sprawy.

- Czekam na odpowiedź.

Hank przestał patrzeć na Margaret, pocierał przez chwilę brodę i wymamrotał coś pod nosem, ale zagłuszyła go fala rozbijająca się o brzeg.

- Nie słyszę.

- Twardogłowy.

Margaret wpatrywała się w niego przez kilka sekund.

- Twardogłowy Hank?

- Mhm. Twardogłowy Hank Wyatt.

Wybuchnęła bardzo głośnym śmiechem.

Prawie świtało, gdy wśliznęli się do chaty. Dookoła panowała ciemność, rozpraszana jedynie czerwieniąjącym na horyzoncie wschodem słońca. Sprawdzili, czy z dziećmi wszystko w porządku - spały jak susły, podobnie jak Muddy, który leżał na dywanie, tuląc do siebie srebrną butelkę.

Margaret skinęła głową i wskazała palcem dżinna. Miał na nogach buty Hanka.

Zamknęli drzwi pogrążając chatę z powrotem w ciemności. Hank objął Margaret. Pocałował ją z powstrzymywaną namiętnością przytulając szorstkie dłonie do jej policzków tak delikatnie, jakby były z porcelany. Objęła go za szyję i pozwalała się pieścić. W chwilę później stali obok siebie nie chcąc się rozłączać, choć oboje dobrze wiedzieli, że muszą to zrobić.

Margaret nie miała pojęcia, jak długo tak stali. Gdy była w jego ramionach, czuła się zupełnie bezpieczna, przenikało ją ciepło i otaczała miłość. Przez głowę przemknęła jej myśl, że jeśli odejdzie od niego, wszystkie cudowne przeżycia tej nocy okażą się snem.

Ostatecznie jednak Hank wyszeptał, że powinni przespać się choć chwilę. Przytaknęła i nadal tuliła się do niego. Wziął ją na ręce i zaniósł do hamaka. Ułożył ją w nim wygodnie. Zastanawiała się, czy Hank wie, że serce bije jej znacznie szybciej, gdy tylko obejmuje ją w taki właśnie sposób.

Przez chwilę stał przy hamaku wpatrując się w nią, jakby bał się, że za sekundę zniknie i że jedynie jego spojrzenie nie pozwala jej na to.

Margaret dumiała nad tym, czy ich myśli są rzeczywiście tak bardzo podobne. Czy mężczyzna czuje to, co kobieta? Czy ma takie same wątpliwości i obawy?

Pogłaskał ją po policzku, odwrócił się i odszedł. Patrzyła na jego szerokie bary, gdy poruszał się niczym cień i kierował w stronę jeszcze ciemniejszego kąta. Usłyszała trzeszczenie lin, z których spleciony był jego hamak. Potem dochodził ją już tylko szum fal.

Oboje znajdowali się w swoich hamakach. Żadne z nich jednak nie spało. Leżeli z otwartymi oczami, bo tak naprawdę i ona, i on mieli świadomość tego, że to drugie znajduje się tuż obok. Każde z nich czuło jeszcze zapach bliskości, dotyk i smak ciała, które nie tak dawno pieściło. Ona pamiętała żar zaklęty w jego spojrzeniu. On pamiętał jej wzrok zamglony namiętnością. Tej bożonarodzeniowej nocy, gdy na całym świecie miliony ludzi świętują obdarowując się prezentami i okazując serdeczność,

Hank Wyatt i Margaret Smith dostali coś, z czego mogli się cieszyć. Oboje znaleźli w sobie nawzajem więcej niż tylko miłość i pożądanie. Każde z nich znalazło jakąś część samego siebie. A znaleźli ją w najdziwniejszym miejscu - miejscu, o którym jeszcze kilka tygodni temu nie mieli zielonego pojęcia.

Dzień zdawał się wymarzony do gry w baseball. Niebo było bezchmurne. Wiał łagodny wietrzyk. I mężczyźni mieli grać przeciwko kobietom. Eh, czy może w życiu być coś wspanialszego?

Hank pogłaskał Annabelle po główce. Zbudował ze skrzynek prowizoryczny kojec i mała, bardzo zadowolona, bawiła się grzecznie w piasku nowymi zabawkami, które dostała na Gwiazdkę. Wrócił na bazę, spojrzął na Smitty i uśmiechnął się.

Stała pochylona i naradzała się z Lydią. Za nimi świeciło słońce. Sukienka Smitty była uszyta z bardzo cienkiej bawełny i dzięki temu Hank mógł podziwiać jej kształty obrysowane złotymi promieniami, gdy stała pod odpowiednim kątem. A teraz właśnie tak było.

Przesunęła się za dziewczynkę, zasłaniając się nią. Podrzucił piłkę w rękę.

- Dobra! Dość trajkotania! Zaczynamy!

Hank zerknął na Theo. Chłopiec robił dokładnie to, czego Hank go nauczył - kiwał się na piętach, przerzucając ciężar ciała z jednej strony na drugą, gotów do akcji, gdy tylko piłka zostanie odbita.

Mały miał łąpać piłki. Muddy był odpowiedzialny za auty, Hank zaś odbijał piłkę i krył bazę. Przy tak niewielkiej liczbie graczy mieli tylko jedną bazę i jedną metę. Uderzenia liczyły się jedynie wtedy, gdy przechodziły gładko. Co do piłek, cóż, Hank miał z tym problem. W życiu nie słyszał, żeby w lidze narodowej zdecydowano kiedykolwiek, że

siedem, osiem lub dziewięć piłek daje prawo zawodnikowi z bazy do biegu. Dlatego Hank zrezygnował zupełnie z liczenia piłek.

Panie miały zaczynać.

- Odbicie!

Smitty i Lydia przestały rozmawiać i spojrzały na Hanka.

- To znaczy, że musicie teraz odbić piłkę.

Margaret oparła dłonie na biodrach.

- A ja myślałam, że mamy ją zjeść! - Rozejrzała się dookoła z niewinnym wyrazem twarzy. Lydia chichotała.

- Można to załatwić, złociutka. - Podrzucił w dłoni piłkę. Wyciągnął przed siebie rękę.

- Zaczekaj! Zupełnie zapomniałem. Pewnie piłkę też spaliłaś na węgiel.

- Ale jesteś dowcipny.

- Staram się, Smitty. A teraz niech ktoś wreszcie zajmie się kijem.

- Leć, Lydia. Znasz przecież facetów, nie mają za grosz cierpliwości. Odbij po prostu piłkę tak mocno, jak tylko potrafisz. Na pewno potrafisz.

Dziewczynka podeszła do kija. Theodore coś do niej powiedział, a ona upuściła kij i najzwyczajniej w świecie zaczęła się gapić na brata.

- Słyszałeś, co on powiedział?

Hank wyszczerzył zęby w uśmiechu i dał małemu znak uniesionym do góry kciukiem. W grze najważniejsza była umiejętność radzenia sobie z wyzwiskami, miały bowiem na celu

osłabienie koncentracji przeciwnika.

- Grajmy!

- Ale on właśnie powiedział, że mam uszy jak słoń i śmierdzieć jak świnia.

Hank zarechotał i puścił oko do chłopca. Smitty spojrzała na niego ostrzegawczo.

- Nie ma co, ładnych rzeczy uczysz dzieciaka, Hank!

- Hej! - Hank wzruszył ramionami udając niewiniątko. - Chciałyście się nauczyć grać w baseball. Obelgi to część rozgrywki.

- Nie zwracaj na nie uwagi, Lydio. To tylko słowa.

Hank rzucił piłkę spod ręki. Bardzo czysto. Żadnych podkręceń, z którymi mała dziewczynka nie mogłaby sobie poradzić. Nie był przecież potworem.

Zamachnęła się i chybiła.

- Nie martw się, kochanie.

Theodore znowu coś powiedział. Lydia zrobiła krok w jego kierunku.

- Nie mam nóg jak kaczka, gnojku!

Chłopak odpowiedział jej uśmiechem zadowolenia, a Hank nawet nie spojrzał tym razem na Smitty. Wiedział, co może zobaczyć.

Lydia wróciła na miejsce. Kolejny rzut, i tym razem mała odbiła piłkę wysoko w powietrze. Rzuciła się biegiem w stronę bazy. Reszta graczy wpatrywała się w piłkę, zdążającą łukiem prosto w ręce Muddy'ego – dzinn także szybował w powietrzu.

- Jesteś na aucie! - krzyknął Hank.

Muddy wylądował i wręczył Hankowi piłkę. Zaraz potem pofrunął na swoją pozycję, ciągnąc za sobą smugę purpurowego dymu.

- Jedną chwilę! - Smitty natarła na Hanka. - To nieuczciwe. Muddy nie może tak sobie po prostu latać.

Hank wzruszył ramionami.

- To gra mężczyzn przeciwko kobietom. Skoro wy, panie, nie potraficie latać, to już wasze zmartwienie. Reguły zostały przecież ustalone. Mężczyźni kontra kobiety i tyle. Nie ma od tego odwołania, a to oznacza, że latanie jest dozwolone. A terazzachowuj się jak prawdziwa sportsmenka i spróbuj odbić piłkę, złociutka. W tej dyskusji nie masz szans na wygraną.

Smitty uściśnęła Lydię, dodała jej otuchy miłym słowem, ujęła w rękę kij i poszła na miejsce krokiem kobiety gotowej do podjęcia walki. Zatrzymała się jednak na chwilę przy Theo i pogroziła mu palcem.

- Jeśli usłyszysz coś od ciebie, młody człowieku, będziesz szorował przypalone gary. Rozumiemy się?

Chłopak zmarszczył nos, skinął głową i cicho zajął pozycję „łapacza”.

- A czy to było w porządku, Smitty?

- Zamknij się i rzucaj piłkę, Hank.

Piłka ciśnięta przez Hanka i odbita przez Margaret leciała nisko nad ziemią w jego stronę. Zanim Hank zdążył zrobić choćby krok, Margaret już była na bazie. Aż zagwizdał z podziwu i pokręcił głową. Nigdy w życiu nie spotkał nikogo biegającego równie szybko jak ona.

Uśmiechnęła się słodko i pomachała mu ręką, dając jednoznacznie do zrozumienia, że ma zamiar utrzyć mu nosa. Przez chwilę Hank patrzył, jak obchodziła bazę dookoła - robiła to z dużym wdziękiem. Odwróciła się do niego tyłem, rozłożyła ramiona:

- Ta-dam! - udawała fanfarę.

Nie odrywał od niej wzroku, w końcu jednak musiał rzucić piłkę Lydii. Dziewczynka zamachnęła się i znowu nie trafiła. Podrzucając piłeczkę w rękę, Hank podszedł do Smitty. Uśmiechał się przy tym z wyższością. Stał tak blisko niej, że nikt z pozostałych nie był w stanie zobaczyć, co dzieje się między nimi. Nachylił się lekko i szepnął:

- Świetnie biegasz, złociutka. Naprawdę świetnie.

Odważemniła uśmiech, który był równie bezczelny jak jego, i oparłszy rękę na biodrze, przytaknęła tylko:

- Mhm.

Jeszcze ciszej Hank dodał:

- I tak pięknie kołyszysz, czym trzeba.

Nie zareagowała.

- I pomyśleć, że wczoraj w nocy całowałem te wszystkie miejsca.

Wzięła bardzo głęboki oddech.

- Ummm... chyba wiesz, które miejsca mam na myśli?

Spojrzała na niego trochę zmieszana.

- Tu... - Potarł delikatnie piłką o jej piersi.

Margaret zeszywniała.

- I tu... - Przynął usta bardzo blisko do jej ucha i dotknął piłką jej szyi. - I tu... - Piłka zjechała wzdłuż pleców i zatrzymała się na pośladkach. - A zwłaszcza tu. Och, masz tam bardzo delikatną skórę i każde dotknięcie jest takie przyjemne.

Margaret stała z rozchylonymi lekko ustami.

- Wiesz co jeszcze?

Nieznacznie pokręciła głową.

- Wysłaś poza bazę, złociutka. Jesteś na aucie.

Panie przegrywały dwadzieścia siedem do trzech. Nie pomogło im nawet włączenie do zespołu Zadobijki, która truchtając sobie po prostu dookoła boiska i skubiąc trawę sprawiała, że Hank musiał mieć się stale na baczności, i z całą pewnością nie był za to wdzięczny Margaret. Ona zaś uśmiechała się jedynie.

W kwadrans później Zadobijka skutecznym bodnięciem wyrzuciła Hanka z bazy. Właściwie to oberwał nawet dwukrotnie. I to dokładnie wtedy, gdy pochylił się, szykując do biegu. Akurat obok znajdowała się Margaret, wyczekująca z piłką w rękę. Ponieważ koza należała do drużyny, to przypadała na nią kolejka rzutu i odbijania, co Smitty właśnie skwapliwie wykorzystywała. Nie miało to jednak wpływu na ostateczny wynik. Chociaż Margaret była szybka jak wicher, ani ona ani Lydia nie mogły dorównać Hankowi w precyzji uderzeń kijem. Ku zaskoczeniu pozostałych graczy wybijał piłkę za każdym razem wysoko ponad palmy.

Gra dobiegła końca. Wszyscy razem ruszyli w stronę plaży. Dzieciakom należało się trochę ochłody w morskich falach. Margaret usadowiła sobie Annabelle na biodrze. Theodore biegł po piasku ścigając się z Lydią - założyli się o to, kto pierwszy dopadnie wody. Muddy frunął nad ich głowami w otoczeniu stadka mew i naśladował ich ruchy, czym wywoływał u dzieci głośny śmiech. Obiecał Margaret, że będzie patrolował brzeg i sprawdzał, czy nie kręci się w pobliżu żaden rekin.

Hank szedł od czasu do czasu kręcąc głową i udając, że żaden dzinn, zostawiający za sobą purpurową smugę dymu, nie szybuje nad nim.

Margaret odwróciła się w stronę Hanka.

- Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak świetnie odbijał piłkę.

Roześmiał się.

- Musiałem się tego nauczyć, choć nie przyszło mi to łatwo, bo nie potrafię niestety szybko biegać.

- I nigdy nie chybiasz?

Wzruszył ramionami. Skierował spojrzenie gdzieś przed siebie.

- W trzecim roku byłem pierwszy w lidze narodowej, miałem średni wynik 0,495.

- Czy to dużo?

Ponownie się roześmiał.

- Dobrze mi robisz na moje ego, złociutka. Tak, to dużo. Chyba do tej pory nikt jeszcze nie pobił tego rekordu. Minęło co prawda sześć lat... Kiedy wyjeżdżałem ze Stanów, byłem ciągle najlepszy.

Theodore, podskakując na jednej nodze, pojawił się przed nimi.

- Mogę popłynąć do mielizny? Mogę? Pływam już tardzo dobrze.

Margaret zbladła. Nie dalej jak wczoraj tam właśnie zastrzeliła rekina.

- Nie! - powiedziała znacznie ostrzej, niż chciała. - To zbyt niebezpieczne. Mogłaby ci się stać jakaś krzywda. Nie wolno ci tam pływać. Wiele strasznych rzeczy mogłoby ci się tam przydarzyć.

- Mówisz o rekinie? - zapytał Theodore bez cienia strachu.

- Tak. - I znowu głos Margaret zabrzmiał surowiej, niż zamierzała.

- Przecież rekin padł trupem. Sama go zastrzeliłaś. Dlaczego nie mogę tam popłynąć? Dlaczego?

Hank położył dłoń na ramieniu chłopca.

- Chcesz wiedzieć dlaczego, mały?

- Mhm.

- Bo masz rude włosy.

Theodore zamrugał oczami i spojrzał na Hanka. Zmarszczył czoło w zamyśleniu. Złapał ręką pasmo włosów i przybliżył je do oczu.

Hank popatrzył na niego bardzo poważnie.

- I jaki mają kolor, mały?

- Rudy.

- Masz rację.

- Czy naprawdę nie można pływać do mielizny, jeśli ma się rude włosy?

Hank skinął głową.

Chłopak zapatrzył się w morze, a potem ponownie przyjrzał się włosom. Na jego twarzy malował się głęboki namysł. Po minucie westchnął ciężko i powiedział:

- No, dobra.

Przez metr czy dwa powłóczył nogami, ale wkrótce puścił się biegiem w stronę płyčizny blisko brzegu. Margaret nie mogła uwierzyć w to, co widziała. Oparła się o Hanka.

- Przecież to nie miało najmniejszego sensu – powiedziała cicho.

- Do diabła, Smitty, nauczyłem się o dzieciakach tylko jednego: one myślą w sobie tylko wiadomy sposób. Dla nas może to być w ogóle pozbawione sensu. Wystarczy, że one sobie z tym radzą.

Nie wiedząc skąd, pojawiła się obok nich Lydia. Razem z Margaret zabrały do wody Annabelle i przez kilka minut pluskały się razem z małą. Hank stał w tym czasie na brzegu i po prostu patrzył na wodę.

Po jakimś czasie Margaret powierzyła Lydii opiekę nad maleństwem. Dziewczynki zaczęły bawić się w piasku. Hank nie ruszył się z miejsca. Wyprostowany, zatopił się we wspomnieniach. Margaret chciała coś zrobić, by wyrwać go ze świata, który już nie istniał. Chciała, by wrócił do teraźniejszości.

Pobiegła w jego stronę. Przyspieszyła w chwili, gdy miała go minąć.

- Hej, Hank!

Odwrócił się do niej.

- Do ciebie należy ostatnie słowo - powiedziała i wepchnęła go prosto w nadpływającą falę.

Śmiała się głośno. Do jej wybuchu radości dołączyły dzieciaki. Wszyscy patrzyli, jak Hank siedzi osłupiały w wodzie. Jednak w momencie, gdy wzrok Margaret napotkał spojrzenie Hanka, przestała się śmiać. Patrzył na nią tak samo, jak zwykle wpatrywał się w kożę. Zaczęła uciekać.

Poderwał się na równe nogi i ruszył w ślad za nią. Gonił ją po plaży. Śmiał się tak jak ona. Wyrzucała stopami pióropusze piasku i pisnęła przeraźliwie, gdy Hank rzucił się, chcąc złapać ją za nogi. Chybił.

Obróciła się i zwolniła. Po chwili podbiegła do niego. Leżał bez ruchu.

- Hank?

Cisza.

- Hank? Nic sobie nie zrobiłeś?

Nie oddychał.

Stała nad nim.

- Hank? - Wyciągnęła do niego rękę.

Podciął jej nogi. Upadła na piach.

- To nie w porządku!

Przycisnął ją do ziemi i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wiem.

- Chcę wstać.

- Dobrze. - Podniósł się i podał jej rękę.

Przyjęła pomocną dłoń. Chwycił ją mocno i zaśmiał się.

- Chcę mieć pewność, że też zaznasz tej przyjemności - oświadczył i zanim Margaret zdążyła zrobić cokolwiek poza złapaniem oddechu, Hank wsunął jej rękę pod kolana i podniósł ją. - Nie uciekniesz teraz, złociutka.

- Postaw mnie na ziemi!

- Nie.

- Tak nie można!

- Mhm.

- To nieuczciwe!

- Wiem, ale za to jakie skuteczne!

Szedł w stronę wody. Margaret starała się uwolnić. Obrzucała go wyzwiskami i śmiała się jednocześnie. Zagroziła nawet, że będzie żałowała, jeśli wrzuci ją do wody. A potem spłotła mu ręce na szyi i spojrzała głęboko w oczy. Zbliżyła usta do jego ust i wyszeptwała:

- Pocałuj mnie.

Pocałował. Był to głośny całus.

- Dobrze pomyślane, Smitty. Gdybym był na twoim miejscu, też próbowałbym takiego wybiegu.

Rechocząc ze śmiechu wszedł do wody.

- Hank! - krzyknęła Margaret. - Nie odważysz się!

Odważył się. Wrzucił ją w nadpływającą falę.

Siedzieli oboje na plaży wpatrując się w zachodzące słońce. Annabelle spała na kolanach Smitty. Lydia i Theodore łowili ryby na wędkę przy pobliskich skałach. A dzinn? Do licha, dzinn latał nad wodą i ustawiał przynęty. Sądząc po piskach radości Theodore'a, Hank był pewien, że połów był wyśmienity i nawet jeśli Smitty zwęgli sporą część, na kolację zostanie jeszcze sporo ryb.

Margaret siedziała ze skrzyżowanymi nogami i rysowała coś bezmyślnie na mokrym piasku. Hank po prostu patrzył na nią. Ostatnio zajmowało mu to zresztą sporo czasu.

Wiała ciepła i łagodna bryza. Bawiła się jej włosami. Rozwiane pasma okalały jej śliczną twarz. Twarz, która dla Hanka była wzorem doskonałości. Wpatrując się w nią, gdy siedziała z dzieckiem na kolanach, odczuwał coś dziwnego.

Margaret spojrzała na Annabelle i delikatnie pogłaskała ją po główce. Hank podszedł i stanął nad nimi.

- Gdybyś mógł wybrać dowolne miejsce na świecie, gdzie chciałbyś teraz być? - spytała Margaret.

Usiadł obok.

- Dlaczego pytasz?

- Zastanawiam się nad tym po prostu. - Wzruszyła ramionami.

Zaśmiał się.

- Taaa... Tego mogłem się domyślić.

Odpowiedziała uśmiechem.

- Wiem. Twoim zdaniem za dużo myślę. - Mrugnęła do niego szelmowsko, pokiwała głową i roześmiała się. - Myślę, że myślisz, że za dużo myślę.

Oboje zanieśli się śmiechem. Po chwili Margaret dodała:

- Coś za dużo tego myślenia, nie uważasz?

Nie odpowiedział. Nie chciał myśleć. Chciał siedzieć obok niej. To wszystko. Chciał być blisko niej. Spojrzała na niego.

- Nie odpowiesz?

Pokręcił głową.

- Ty na pewno wiesz, gdzie chciałabyś być.

Ponownie wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Zawsze byłam zdania, że dobrze mi tam, gdzie jestem. Byłam szczęśliwa w San Francisco. Zadowolona. Miałam dom i rodzinę, ojca i wujów. Miałam pracę.

- Powiedz mi, Smitty, jak to się dzieje, że kobieta zostaje prawnikiem?

Popatrzyła na niego.

- Tak samo jak to, że w końcu otrzymamy prawo do głosowania. Przekonując mężczyzn, że jesteśmy im równe. Ciężką pracą i tłoczeniem debilnym facetom do głów prostej prawdy, że nie zawsze mają rację.

Hank roześmiał się.

- Musisz być cholernie dobrym adwokatem, złociutka.

- Ojciec mówi, że zupełnie nieźle daję sobie radę. On sam był znakomitym obrońcą, zanim został sędzią. Jest teraz sędzią Sądu Najwyższego Kalifornii.

Hank jęknął. Tym razem roześmiała się Margaret.

- Polubiłbyś go. Uwielbia wygrywać myślowe pojedynki z innymi. Nauczył mnie wszystkiego, co sam potrafi. Kiedy dorastałam, zasiadał do kolacji i zanim zabraliśmy się do jedzenia, zaczynał dyskusję stawiając jakąś tezę. Spieraliśmy się, a on wtedy uczył mnie obrony własnego zdania. Gdy udało mu się zapędzić mnie w kozi róg, śmiał się i mówił: „A teraz zamiana ról, moja mała”.

Hank gwizdnął z uznaniem.

- Wtedy broniłam jakiegoś poglądu, który jeszcze minutę temu zwalczałam wszystkimi siłami. Nauczył mnie myśleć. I bardzo mnie kocha.

- Tęsknisz za nim?

Margaret ponownie spojrzała na Hanka.

- Bardzo się o niego martwię. Ma tylko mnie. Zastanawiam się często nad tym, co mu powiedzieli. Pewnie myśli, że nie żyję. Nie mam pojęcia, jak dał sobie z tym radę.

- Może nie stracił jeszcze nadziei.

Przytaknęła skinieniem głowy.

- Nadal jednak nie powiedziałaś mi, jakim cudem kobieta zostaje prawnikiem.

Rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

- Każda kobieta może być, kim tylko zechce.

- Zawodnikiem baseballowym na pewno nie.

- Nie wiem, zobaczymy.

Roześmiał się.

- Poszłam do college'u. Pierwszym, który dawał kobietom dyplomy, był Ann Arbor. Chociaż studia nie są konieczne. Można odbyć praktykę. Zaliczyłam obie drogi. Jestem w rodzinnej firmie. Mój ojciec i wujowie mają pieczę nad wszystkim.

Hank znowu jęknął.

- Prawo zawsze mnie fascynowało, kocham wyzwania, które ze sobą niesie. Prawo to ciągle zmiany. Interpretacja przepisów stale się zmienia. Bywa, że zmiany dotyczą jedynie drobiazgow, ale nigdy nie jest tak samo - mówiła coraz ciszej, bardziej refleksyjnie.

Zapatrzyła się w morze. Zagrzebała stopy w piasku i utkwiała w nich spojrzenie.

- Ale wiesz co? Kiedy tak siedzę tutaj, prawo jest ostatnią rzeczą, która mnie interesuje.

- Dlaczego?

- Czuję się tak, jakby to, kim byłam w tamtym życiu, dotyczyło obcej osoby, nie mnie. A kiedy patrzę na to - wskazała głową w stronę oceanu i rozejrzała się po plaży - nie chcę być nigdzie indziej.

Zapadło milczenie. Siedząc obok siebie, nie potrzebowali słów. Po kilku minutach, a może krócej, może dłużej, Margaret obróciła się w stronę Hanka.

- Opowiedz mi o więzieniu.

- Złociutka, na pewno nie chcesz nic o tym wiedzieć, a ja z kolei nie jestem zbyt skory, żeby ci o tym opowiadać.

- Dlaczego?

Wiedział, że wcześniej czy później dojdzie do tej rozmowy. Spojrzał na Margaret.

- Czy ma to jakieś znaczenie?

- Jeżeli uważasz, że w jakikolwiek sposób zmienią się moje uczucia do ciebie, jesteś w ogromnym błędzie, Hank.

- Nie odpowiedziałś na moje pytanie.

- Tak, ma znaczenie. Jest ważne, bo ty jesteś dla mnie ważny.

Sporo czasu zajęło mu znalezienie odpowiednich słów. Zapadła cisza, w czasie której przeżywał wszystko raz jeszcze.

- Żyłem na wyspach, przenosząc się z jednej na drugą, nigdy nie zatrzymując się na żadnej zbyt długo. Kilka miesięcy tu, kilka tam. Popłynąłem na Papeete na tydzień, żeby zabrać łódź, którą kupiłem. Łodzi jednak nie było, a Laroche, człowiek, od którego ją kupiłem, przepadł gdzieś, co zresztą było mu bardzo na rękę. Szukałem bydlaka przez trzy tygodnie. W końcu go dorwałem i solidnie wygrzmociłem, bo drań udawał, że nigdy przedtem nie widział mnie na oczy. Przez następny tydzień piłem, i było to moje główne zajęcie. Niewiele pamiętam poza tym, że obudziłem się akurat w chwili, gdy miejscowi żandarmi wyciągali mnie z łóżka, a potem wlekli ze sobą w dół po schodach. Kiedy oddawałem się pijaństwu i łajdaczyłem, ktoś wpakował Laroche'owi kulkę w głowę. Parodia procesu odbyła się już następnego dnia. Dowiedziałem się, że jestem winny, gdy tylko dwóch facetów zeznało, że biłem się z nim kilka dni wcześniej. Do diabła, przecież nie miałem nawet broni. Żałosny adwokacina, który mnie bronił, nawet o tym nie wspomniał.

- Co takiego?

Hank skinął głową.

- Taaa... Rozprawa odbywała się po francusku. Nie rozumiałem nawet połowy z tego, co mówili. Nikt nie trudził się tłumaczeniem. Tylko wyrok został ogłoszony po angielsku. Dożywocie. Adwokat wmawiał mi, że miałem sporo szczęścia. Chcieli mnie powiesić. - Przerwał na chwilę i popatrzył na piach pod nogami.

- Doszedłem do siebie dopiero w Leper's Gate.

Margaret milczała przez długi czas.

- Jak się stamtąd wydostałeś?

Opowiedział. Mówił cicho. Nie pomijał żadnych szczegółów. Kiedy skończył, Margaret płakała. Otoczył ją ramieniem. Przytuliła się do niego. Obejmując ją, czuł, że po raz pierwszy w życiu trafia mu się coś wyjątkowego i nie miał najmniejszej ochoty tego utracić.

Łagodna bryza owiewała go delikatnym zapachem Margaret niczym morze omywające skały i plażę, muskające piach i kamienie, wciskające się w najmniejsze szczeliny, które czas, pogoda i wytrwałość wyźłobiły w twardym granicie brzegu.

Dotykał kobiety, która była dla niego jak morze otaczające ich świat ze wszystkich stron - szumiące, pieszczotliwie omywające brzeg, czasem rozszalałe, ale zawsze obecne, nigdy nie mające dość. Tam, gdzie ląd spotykał się z żywiołem wody, była strefa pokoju. Raj. Dla Hanka Margaret była jak morze. I wiedział, że tam, gdzie jej nie ma, świat po prostu nie istnieje.

Był zdumiony tym, że patrzył na kobietę w ogóle nie dostrzegając wdzięków, którymi mogłaby go obdarować. Zamiast tego patrzył na nią i widział, jak będzie wyglądać siedząc obok niego za dwadzieścia lat.

Margaret obróciła się do niego. Zrobiła to bardzo powoli, jakby czytała w jego myślach. Złociste promienie słoneczne igrały na jej twarzy - twarzy, która nosiła ślady łez uronionych nad nim, twarzy, która sprawiła, że zapomniał o całym bożym świecie i o tym, że nie chciał przejmować się niczym ani nikim.

Uśmiechnęła się ciepło. Znak porozumienia, że oboje wiedzą, kim i gdzie są. Teraz. W tym momencie. Wyciągnął rękę. Palcem gładził jej policzek. Jego ruchy były bardzo powolne. Gdzieś w środku, w najgłębszych zakamarkach umysłu zastanawiał się, czy zdawała sobie sprawę z władzy, jaką nad nim miała.

Pochylił się w stronę Margaret. Poczul na policzku jej oddech. Zastygł w bezruchu, nie zmniejszając dzielącej ich odległości. Chciał, by każda chwila spędzona ze Smitty trwała

wiecznie. I wtedy właśnie wypowiedział słowa, jakich nie użył jeszcze nigdy w swoim czterdziestoletnim życiu.

- Wiesz, złociutka, kochać cię to wcale nie taka prosta sprawa.

- Kochać mnie?

Uniósł jej brodę do góry i wyszeptał prosto w jej usta:

- Tak, kocham cię.

Rozpłakała się ponownie.

Księżyc w pełni przetaczał się po bezchmurnym przepastnym niebie usianym gwiazdami, których było więcej, niż można to sobie wyobrazić. Margaret i Hank szli w milczeniu plażą. Trzymali się za ręce. Stopy zapadały się im w mokrym piasku.

Minął kolejny dzień. Potem następny i następny. Dni stapały się w tygodnie. Tygodnie... Dla Margaret każdy dzień był w jakiś sposób lepszy od poprzedniego. Wszystko za sprawą tego, co się z nią działo: przeżywała coś, o czym nie miała pojęcia. Dotychczas była zdania, że w ogóle jest to niemożliwe.

Rozmawiali o dzieciństwie, które choć tak różne, łączyło ich oboje przeżywaną wtedy samotnością. Nie powiedział jej wszystkiego o tym, co robił w życiu. Mówił to, co mogło pobudzić ich oboje do śmiechu, i unikał wspomnień, które mogłyby doprowadzić ją do płaczu.

Margaret przystanęła i skierowała wzrok na rozgwieżdżone niebo. Już to, że szła obok Hanka, napełniało jej oczy łzami. W sposób zupełnie naturalny, jakby oboje byli ze sobą związani od lat, Hank stanął za nią, objął ją w pasie i przytulił. Położył dłonie na jej brzuchu i oparł brodę na jej głowie.

Przez głowę Margaret przemknęła szalona myśl, że Hank jest jedynym mężczyzną wystarczająco wysokim, by móc to zrobić. Pasowali do siebie. W przedziwny sposób, ale pasowali. Tak niewiele ich łączyło w realnym świecie i tak wiele w sferze uczuć.

Obejmował ją, ot tak, po prostu. Oparła policzek na jego ramieniu. Słyszała oddech owiewający jej ucho. Doznanie równie przyjemne i stałe, jak szum fal.

- Nigdy jeszcze nie widziałam tylu gwiazd. Całe tysiące. Czuję się tak, jakbyśmy szli Mleczną Drogą.

- Mhhhhhm.

Uśmiechnęła się rozczulona.

- W ogóle nie zwracasz uwagi na to, co mówię.

- Słyszałem każde słowo.

- Powtórz je w takim razie.

Usta dotknęły jej ucha.

- Powiedziałaś, że nigdy nie widziałaś tylu gwiazd.

- To właśnie powiedziałam.

Pocałował ją w ucho.

- I co jeszcze?

- Jeśli chcesz zobaczyć gwiazdy... - Hank odetchnął głęboko. Jego pierś przywarła ściślej do jej pleców.

A potem wyszeptał nazwy całego szeregu przyziemnych, powszechnych i bardzo intymnych czynności, którymi mogliby zająć się razem, gdyby tylko mieli choć pięć dni wyłącznie dla siebie.

Kiedy skończył, Margaret zaschło w ustach, a kolana lekko drżały.

- Obiecuję, że zobaczysz wtedy coś więcej, cholera, dużo więcej, niż tylko gwiazdy. Będziesz w niebie, Smitty.

Obróciła się i pocałowała go wkładając w pocałunek całą swoją miłość. Potem odsunęła się trochę i pieściła palcem jego usta gładząc je delikatnie. Te same usta, które mogły całować ją opętanczo i dawać miłość w sposób przekraczający jej wyobraźnię.

- Blefujesz?

Roześmiał się.

- Do diabła, Smitty. Obiecałem ci przecież niebo.

Pokiwała głową.

- Już mnie tam zabrałeś. - Objęła go ramieniem. - Zabierz mnie tam znowu. I jeszcze dalej. Pokaż mi drugą stronę nieba.

I pokazał jej niebo na tysiąc sposobów. Pokazywał w czasie długich dni i nocy, aż łagodna bryza zmieniła się w gwałtowny wiatr, a mijający czas zlewał dni w tygodnie.

Margaret wniosła Annabelle do chaty. Mała przez chwilę wierciła się na jej kolanach, ale szybko zasnęła, zmęczona popołudniową zabawą, kiedy to pomagała innym zagrzebywać Hankę w piasku. Popatrzyła na dziewczynkę śpiącą w jej ramionach. Skóra malucha miała zdrowy kolor, jakiego nabierają dzieci spędzające dużo czasu na świeżym powietrzu. Włosy Annabelle urosły i zaczęły się bardziej kręcić. Pojaśniały od słońca. Przytyła, mówiła coraz więcej i biegała z rzadka tylko się przewracając.

Jakże szybko to się zmienia, pomyślała.

Trzymając małą na rękach, Margaret usiadła na beczce i zapatrzyła się na plażę. Nie widziała ani Hankę, ani pozostałej dwójki dzieciaków. Napawała się widokiem wody i blasku słońca, i drzew, i krzewów, i kwiatów - wszystkiego, co znajdowało się w tym raj, który stał się jej domem.

Zastanowiła się nad tym, co robi jej ojciec. Czy jest teraz w sądzie? A może został w domu? Czy siedzi w gabinecie, w którym zwykł pracować przez długie godziny i gdzie uczył ją, jak prowadzić śledztwo, jak przygotowywać się do sprawy, jak wygrywać w sądzie? Zapłakała cicho, bo nie mógł wiedzieć, że ona żyje. Był pewnie przekonany, że został na świecie zupełnie sam.

Przez łzy zerknęła na Annabelle i pojęła coś, czego nigdy nie rozumiała: znaczenie spojrzeń, jakimi obdarzał ją ojciec przez wszystkie lata. Zrozumiała, czym jest trwoga, która rodzi się z chwilą pojawienia się potomstwa, mrozący krew w żyłach strach przed utratą dziecka.

Margaret płakała cicho do chwili, gdy mała poruszyła się przez sen i przycisnęła piąstkę do jej żeber. Zaczęła oglądać pulchne, opalone paluszki, które każdego dnia odkrywały coś nowego. Dzięki niej Margaret sama zaczęła dostrzegać rzeczy i sprawy, o których zapomniiała. Były tak prozaiczne jak piórko i równie intrygujące co wzór na muszelce. Lot ptaków i zapach kwiatów. Przejęcie, z jakim dzieciak poznaje świat.

Annabelle znowu się poruszyła. Tym razem wyszeptała „mama”. Margaret przełknęła ślinę chcąc pozbyć się suchości w ustach i odetchnęła głęboko starając się powstrzymać napływające do oczu łzy. To było niemądre. Takie sentymentalne i takie cudowne.

Nie miało znaczenia to, że nie ona urodziła Annabelle. Nie miało znaczenia, że mała była już kiedyś czymś dzieckiem. Liczyła się jedynie teraźniejszość i przyszłość.

Spojrzała na dziewczynkę i pogłaskała ją po czole.

- Jestem tu, maleńka. Mama jest przy tobie.

Nie wiedziała, że Hank był w chacie, aż do chwili, gdy podniosła wzrok znad dziecka. Stał w drzwiach i patrzył na nią. Nie mogła dostrzec jego twarzy. Nie miała pojęcia, czy słyszał, co powiedziała. Wszedł do środka i stanął obok niej, lekko się pochylił i przez moment dotykał jej włosów. Był to gest, który zdążyła już poznać. Naturalny i czuły gest człowieka, starającego się sprawiać wrażenie, że wszelka czułość jest mu obca.

Spojrzała na niego oczami zamglonymi uczuciem. Przykucnął i położył ręce na jej ramionach. Margaret czuła się trochę zakłopotana. Była w tej chwili bardziej otwarta, niż chciała. Podniosła się, jego dłonie zsunęły się z jej ramion.

- Położę ją do łóżka, dobrze?

Podeszła do rogu pokoju i ułożyła tam Annabelle. Wyprostowała się, ale nie spojrzała na Hankę. Czuła na sobie jego wzrok, wiedziała, że chciał o coś zapytać. Zdawała sobie sprawę z narastającego między nimi napięcia. Nie potrafiła jednak nic na to poradzić. Była straszliwie spięta. Zresztą trwało to od kilku dni.

W końcu zwróciła oczy w jego stronę. Hank nie odrywał od niej wzroku. Zbliżyła się do okna i oparła ręce na wilgotnej trawie, którą wplotła w bambusowy parapet. Zapatrzyła się w niebo i morze, jedno i drugie nieskazitelnie czyste i błękitne. Nikt nie mógł chcieć niczego więcej. Raj na ziemi.

- Myślisz, że kiedyś nas odnajdą?

- Nie mam pojęcia.

- Co będzie, jeśli to się stanie?

Usłyszała odgłos kroków, gdy podszedł do niej i stanął z tyłu.

- Co cię martwi, Smitty?

- Nie jestem pewna. Wszystko. Nic. My. One.

- Dzieci?

- Tak. I przyszłość. One nie mają żadnej przyszłości, a ja nie dopuszczę do tego, by znalazły się w sierocińcu.

Hank wciągnął głęboko podetrze.

- Mają nas. Jesteś adwokatem. Co na to prawo?

- Legalnie nic nie można zrobić.

Milczał przez chwilę.

- Bo jesteś samotną kobietą?

Przytaknęła.

- A co z nami? Gdybyśmy byli razem?

- O czym ty mówisz, Hank?

Zapanowała pełna napięcia cisza. Trwała ponad minutę.

- Moglibyśmy się pobrać.

Nie wiedziała, czy zdoła poruszyć choćby ręką po usłyszeniu tego, co powiedział. Słów, których pragnęła bardziej niż jakichkolwiek innych i których bała się jednocześnie. Zresztą to nie słowa były problemem. Och, Boże, jak bardzo chciała, żeby sprawy wyglądały zupełnie inaczej.

Ponownie stanął za nią.

Wzięła do ręki srebrną ramkę z fotografią, którą zrobił jej Muddy. Wpatrywała się w nią z rozterką w sercu.

- Jeśli ktoś nas odnajdzie, wrócimy do Stanów, pobierzemy się i zaadoptujemy dzieciaki. To proste.

Obróciła się i spojrzała mu w oczy.

- To nie jest proste.

- Dlaczego?

- Chodzi o twoją przeszłość, Hank. Przeszłość, która może to wszystko zniszczyć.

Roześmiał się, ale nie było w tym radości.

- Tylko na wyspach. Nie w Stanach.

- Byłeś w więzieniu. Nie możemy zaadoptować dzieci, dopóki nie oczyścisz nazwiska. Powiedziałeś przecież, że jesteś niewinny.

- Taaa... Ale przecież wiesz dobrze, że tutaj nie mogę liczyć na uczciwy proces. Jakie mam szanse, że Francuzi odnajdą mnie w Stanach?

Nie odezwała się. Nie mieli żadnej przyszłości, jeśli Hank nie odzyska dobrego imienia.

Zaczął przechadzać się nerwowo.

- Do diabła, Smitty, to głupia wymówka. Jeśli nie chcesz za mnie wyjść, to powiedz to po prostu - krzyczał teraz i gwałtownym ruchem przeczesywał włosy palcami.

- Kocham cię, Hank, ale nie możesz ciągle uciekać.

- Nie wrócę do więzienia. Posłuchaj uważnie, złociutka. Nie pozwolę im zamknąć się ponownie.

- Nie chcę, żebyś trafił do więzienia. Ale nie będziemy mogli żyć normalnie, jeśli twoja przeszłość przez cały czas będzie wisiała nad nami. Zawsze będziemy o niej pamiętali. Nie potrafiłabym tak żyć. Nie możemy zatrzymać dzieci. A one nas potrzebują. Pewnego dnia nauczysz się, czym jest zaufanie. Pozwól, by prawo coś dla ciebie zrobiło.

Podszedł bliżej. Chwycił ją za ramiona.

- Posłuchaj, kłócimy się o głupstwa. Przecież to może w ogóle nie mieć żadnego znaczenia. Kto wie, czy jakiś statek będzie tędy przepływał? Możemy na razie żyć jak dawniej, a martwić się dopiero wtedy, gdy będzie taka konieczność.

Słyszała panikę w jego głosie.

- Przecież tutaj tylko udajemy. Ta wyspa nie ma nic wspólnego z rzeczywistym światem. Nie jesteśmy prawdziwą rodziną, Hank. To, co się tu dzieje, jest nierzeczywiste.

- To, co czuję do ciebie i dzieciaków, jest prawdziwe.

- Moje uczucia też są prawdziwe, ale nasz związek nie jest. Nie jesteśmy rodziną. Te dzieci nie są naszymi dziećmi. Nie mogą być, bo legalnie nie jesteśmy ich rodzicami.

- A kogo obchodzi, czy to legalne?

- Mnie. I prawo. Nie będą naszymi dziećmi, dopóki nie stanie się to zgodnie z prawem. Nie wystąpię przeciw wszystkiemu, w co wierzę. A ty musisz zrozumieć, że twoja przeszłość nie przestanie istnieć tylko dlatego, że chcesz o niej zapomnieć.

- Cholera! Wiem o tym!

- Nie krzycz na mnie.

- Nie rozumiem, po co zaczęłaś o tym mówić. Dlaczego martwisz się czymś, co być może nigdy się nie wydarzy? Moglibyśmy żyć tak jak do tej pory.

- I nie myśleć w ogóle o przyszłości? - Słyszała sarkazm we własnym głosie, ale nie mogła nic na to poradzić. Wpatrywał się w nią długo i bardzo intensywnie. Nie było wątpliwości, że był bardzo zły.

- Mówiłem ci już przedtem. Za dużo myślisz, do cholery - powiedział i skierował się do drzwi.

Zawołała go po imieniu. Zatrzymał się.

- Pamiętasz, jak mówiłeś, że nigdy nie byłeś dobry w bieganiu?

- He? - Przez to proste pytanie przebijały gorycz i szorstkość.

- Nie masz racji, Hank. Uciekasz przed wszystkim lepiej niż ktokolwiek inny.

W chwilę potem już go nie było.

Wpatrywała się w puste wejście. Ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się na dobre.

Palce Theodore'a zacisnęły się mocniej na ręce Muddy'ego, gdy stali w ciemnym kącie chaty i patrzyli na Smitty, która ukłękła i płakała. Jej słowa pełne złości i podniesiony głos Hanka ciągle jeszcze brzmiały im w uszach. Chłopiec spojrzął na dzinna. Łzy płynęły po dziecięcej buzi.

Dzinn zbliżył palec do ust. Poruszając się bardzo cicho, wyszli z chaty. Chłopak zatrzymał się na chwilę i obejrzał za siebie. Smitty ciągle płakała. Klęczała tyłem do nich. Jej wątłymi ramionami wstrząsał szloch. Muddy poprowadził chłopca na plażę, do cichego miejsca, gdzie mogliby porozmawiać. Może uda mu się wytłumaczyć dzieciakowi, co się stało i dlaczego.

Ta noc była bezksiężycowa - czarne niebo zdawało się nie mającą granic otchłanią wiszącą nad plażą, gdzie Theo stał obok demona. Pozostali mieszkańcy wyspy pogrążeni byli w głębokim śnie. Niewiele rozmawiali tego dnia. Nikt się nie śmiał, bo okrutne słowa i napięcie ciągle jeszcze odbijały się echem po wyspowym raj.

- Muddy?

- Tak, panie?

- Pofruniesz ze mną jeszcze raz, zanim odejdziesz?

- Tak, panie - mówiąc to dzinn skłonił się nisko. Zaraz potem wyprostował plecy i mrugnął porozumiewawczo do małego, wyciągając rękę w jego stronę.

W chwilę później szybowali w powietrzu. Śmiech chłopca dźwięczał na nocnym niebie. Zataczali kręgi, pikowali w dół, niemalże dotykając wody po to tylko, by wzbic się prawie pionowo do góry jak dwa jastrzębie goniące jaskółki.

Przez dwa tysiące lat dzinn miał swoje własne marzenia i życzenia. Chciał spotkać kogoś, kto naprawdę wierzy i ma czyste serce. W końcu udało się, choć tylko przez bardzo krótki czas, być z kimś takim.

Lecieli nad wodą, purpurowy dzinn i rudy chłopiec, wierzący w rzeczy, które zdaniem całego świata były jedynie wytworem bujnej wyobraźni. Mknęli ponad lądem otoczeni śmiechem malca i jego radością. Tworzyli cudowne wspomnienia, które na zawsze pozostaną w maleńkim serduszk.

Wylądowali cicho na piasku, w miejscu, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć. Chłopiec kiwnął palcem na demona. Ten przykucnął obok niego. Dopiero wtedy maluch mógł wyszeptać do ucha dzinna swoje ostatnie życzenie. Pożegnali się tam, gdzie nikt nie mógł podsłuchać ich słów.

A potem Muddy skłonił się dopełniając ceremoniału pozdrowienia, okazał chłopcu szacunek należny jego pozycji wobec demona. Niewielkie miejsce w dzinnim sercu zostało już na zawsze zajęte przez tego pana i władcę.

W kłębach purpurowego dymu dzinn zniknął w butelce. Po raz ostatni Theodore przytknął oko do otworu w szyjce, otarł łzę i wsunął zatyczkę.

Zrobił dwa kroki do przodu. Fale zaczęły obmywać mu stopy, sięgając do kostek. Delikatnie położył srebrzyste cacko na wodzie. Przetarł oczy, włożył ręce w kieszenie, stał i patrzył na oddalającą się coraz bardziej srebrną butelkę. Kołysała się przypominając pozostałość po zatopionym statku. Butelka - stara jak świat, czarodziejska srebrna butelka, dzięki której spełniały się życzenia... jeśli oczywiście ktoś potrafił to sobie wyobrazić.

- Statek! Patrzcie! Tam jest statek! - krzyczała Lydia biegnąc w stronę prześwitu między drzewami.

Margaret chwyciła pudełko zapalek, wzięła na ręce Annabelle i pobiegła za Lydią, która zdążyła już wypaść z chaty i z powrotem pędziła na plażę.

Daleko na horyzoncie rysowała się sylwetka statku. Margaret omiotła wzrokiem plażę w poszukiwaniu Hanka. Dostrzegła jego postać na brzegu klifu. Dokładnie tam, jak kiedyś powiedział, zbudował ognisko sygnalizacyjne.

Poprzedniej nocy nie spędził w chacie. Smitty nie miała pojęcia, gdzie się podziewa!. Wpatrywała się w niego intensywnie, zastanawiając się, czy zapali ognisko, czy też może jest aż tak zdesperowany, że pozwoli, by statek przepłynął obok?

Byłoby to dla niego znakomitą rozwiązaniem. Znakomitą sposobnością do kolejnej ucieczki.

Spojrzała na Lydię, która biegła plażą do Theodore'a siedzącego na piasku i zapatrzonego w horyzont. Rozwarła dłoń i przyglądała się pudełku zapalek. Potem obróciła się i znowu skierowała wzrok na Hanka.

Cienka smużka czarnego dymu unosiła się z miejsca, gdzie stał. Zapalił.

Drżącą ręką otworzyła pudełko, głęboko odetchnęła z ulgą i podpaliła swoje ognisko.

Margaret poszła do chaty. Zaczęła zbierać rzeczy, które jej zdaniem powinni zabrać ze sobą. Przystanąła na chwilę i zapatrzyła się w okno. Widziała statek - w miarę jak zbliżał się do wyspy, stawał się coraz większy.

Nigdzie natomiast nie było śladu Hanka. Wzięła do rąk balową suknię i patrzyła na nią przez bardzo długą chwilę. Westchnęła i zapakowała ją do jednego z kufrów razem z frakiem. Przez następne kilka minut zajęta była wyłącznie pakowaniem.

Przerwała jednak w pewnym momencie, żeby sprawdzić, co dzieje się z dziećmi. Zachowywały się bardzo cicho. Podobnie jak ona. Lydia włożyła do niewielkiej skrzynki lalkę, grzebienie i naszyjniki. Potem usiadła w kącie chaty z Annabelle na kolanach i zajęła się zaplataniem warkoczyka na zmierzwionej brodzie Zadobijki.

Theodore prawie wcale się nie odzywał. Siedział obok stosu rzeczy, wśród których znajdował się także baseballowy sprzęt Hanka.

- Theo?

Chłopak spojrzał na Margaret.

- Gdzie jest butelka Muddy'ego?

Spuścił wzrok.

- Zapakowałaś ją?

Pokręcił przecząco głową.

Margaret obserwowała go przez jakiś czas, a potem podeszła do niego.

- Theodorze?

Małec wpatrywał się we własne dłonie leżące na kolanach.

- Nie mam butelki.

- Gdzieś ją wsadziłeś i nie możesz teraz znaleźć? Pomogę ci...

- Wrzuciłem ją z powrotem do morza.

Odczekała chwilę i zapytała:

- Wypowiedziałeś ostatnie życzenie?

Skinął głową.

- Statek?

Nie zareagował. Przez chwilę trwała w milczeniu.

- Nie chcesz mi powiedzieć, jakie było twoje ostatnie życzenie?

Zaprzeczył ruchem głowy.

Zastanowiła się nad całą sytuacją. Przemyślała argumenty, jakich mogłaby użyć w rozmowie z chłopcem. Doszła jednak do wniosku, że nie ma to zupełnie znaczenia.

- Theo! Spójrz na mnie.

Uniósł powoli głowę.

- Wszystko jest w porządku. Przecież to było twoje życzenie. Pozbieraj teraz swoje manatki i włóż je do tego otwartego kufra, a potem pójdziemy na plażę.

Milczał przez kilka sekund, w końcu jednak zapytał:

- Co z Hankiem?

Słyszając to, Lydia uniosła głowę. Margaret uświadomiła sobie, że oboje wpatrują się w nią wyczekująco.

- Nie wiem, gdzie jest.

- Może byśmy go poszukali?

- Hank zauważył statek, Theo. Widziałam, jak zapalał jedno z ognisk. Na pewno zaraz tu przyjdzie. - Jeśli zechce, dodała w myślach.

Pół godziny później zaciągnęli dobytek na plażę i stali tam, obserwując szalupę, zbliżającą się do nich od strony statku. Margaret oparła jedną rękę na ramieniu Theodore'a, drugą na ramieniu Lydii. Annabelle siedziała wygodnie w objęciach starszej siostry.

Wraz z przybliżaniem się łodzi Margaret była coraz bardziej przerażona. Obróciła się i spojrzała na skały. Nie było tam jednak wysokiego mężczyzny. Przeszukała wzrokiem plażę, ale tam również go nie było. Przez ponad minutę lustrowała dżunglę. I palmowy zagajnik.

Mógłby zostać na wyspie i nigdy już nie mieć żadnych problemów z własną przeszłością. Byłaby to kolejna ucieczka. Jego ucieczka.

Tymczasem cała trójka wsiadła do łodzi. Marynarze załadowywali ich rzeczy. Margaret wiedziała, że Hank nie przyjdzie. Spojrzała na dzieci, zastanawiając się, co powinna im powiedzieć. Theodore i Lydia nie odrywali wzroku od brzegu.

- To już wszystko, psze pani? - zapytał marynarz stojący przy rufie, szykując się do zepchnięcia łodzi na wodę. Margaret jeszcze raz przyjrzała się plaży.

- Patrzcie! - krzyknął Theo podskakując do góry. - Tam jest Hank! Hank! To on!

Błyskawicznie obróciła się we wskazywanym przez chłopca kierunku. Rzeczywiście. Hank wychodził właśnie z dżungli. Szedł w ich stronę, trzymając ręce w kieszeniach.

Hank wychylił się za burtę trawlera płynącego pod banderą brytyjskiej Nowej Gwinei i patrzył na zmniejszającą się coraz bardziej wyspę aż do chwili, gdy nie widać już było białej linii piasku ani palm, a skrawek lądu zaznaczał się jedynie ciemniejszym kształtem, odcinającym się od niebieskiej wody. To tam zaczęło się dla niego nowe życie.

Usłyszał jakiś hałas i obrócił głowę.

Smitty stała na pokładzie wpatrzona w ginącą w oddali wysepkę. W chwilę potem spojrzała na Hanka. Nie odezwała się jednak. Od wczoraj zresztą nie zamienili ze sobą ani słowa. Stali tak oboje naprzeciw siebie. I wtedy Hank zauważył w jej oczach te same uczucia, których właśnie doświadczał. To samo poczucie zagubienia. Zamknął oczy. Musiał to zrobić. A kiedy je otworzył, już jej nie było.

Wpatrywał się w morze. Patrzył na smugę piany ciągnącą się za statkiem, przecinającym błękitne fale i kierującym się na Papuę, do Port Moresley. Jednym słowem, wplywali na terytorium brytyjskie. Od kiedy Brytyjczycy przejęli nad nim kontrolę, było tam stosunkowo bezpiecznie. Hank mógł stamtąd popłynąć do Nowej Zelandii albo do Australii i wmieszać się w wielotysięczny tłum anonimowych ludzi. Jego przeszłość przestałaby mieć znaczenie.

Teraz było to bardzo łatwe. Mógł bez trudu uciec i gdzieś się ukryć.

Bezmyślnie wpatrywał się w bezmiar oceanu. Potem przymknął oczy i głęboko odetchnął. Smitty miała rację. Zawsze uciekał i to tak szybko, jak potrafił.

Zdał sobie z tego jasno sprawę dopiero teraz. Ale nie uciekał przed swoją przeszłością. I nigdy tak nie było. Uciekał przed przyszłością. Bał się jej jak diabła. Łatwiej było uciekać niż próbować czegoś, co mogłoby okazać się rzeczywiste i trwałe; uciekać, zanim wpadłby w pułapkę i utknął w jednym miejscu, do którego i tak by przecież nie należał.

Patrząc w wodę przypominał sobie ucieczkę z więzienia i pobyt w dokach portowych, gdzie uświadomił sobie, że w świecie istniejącym poza więziennymi murami także nie było dla niego miejsca.

Stał tak dłuższy czas i myślał. Tak, to było ulubione zajęcie Smitty.

Doszedł do wniosku, że niezbyt często nadarza się w życiu człowieka okazja, żeby wszystko zmienić. Smitty była prawdopodobnie jego ostatnią szansą. Zresztą, do diabła - to czy była, czy też nie, przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Ważne było jedynie to, czy tym razem wystarczy mu odwagi, by przestać uciekać. I czy uda mu się zrobić to dla niej. I dla dzieciaków.

Może też zawsze czuł się wyobcowany, bo nigdy przedtem nie spotkał kogoś takiego jak Smitty. Nigdy nie miał dzieci. Nigdy przedtem nie obdarzył miłością ani kobiety, ani dzieci.

Może wszystko zależy nie od tego, gdzie się jest, ale od tego, z kim się jest. I wtedy ta druga osoba sprawia, że odnajduje się swoje miejsce w życiu. Wiedział już teraz, że gdzieś w środku, w tej części swojego ja, o którym starał się zapomnieć, było uczucie do całej czwórki, ogarniające go coraz mocniej i cenniejsze niż wszystko, cokolwiek liczyło się dla niego do tej pory.

Tylko że, do cholery, ciągle jeszcze bał się tego. A jeśli nadal będzie się bał, utraci ich na zawsze. Czuł się tak, jakby już ich tracił. Nie miał żadnego pomysłu na to, co powinien zrobić, jak się do nich zbliżyć, by z nim zostali.

Słyszając swoje imię, Margaret odwróciła się i spojrzała na drzwi prowadzące do małej kabiny. Stał w nich Hank – cierni w jej sercu. Powtórzył bardzo cicho jej imię. Dźwięk jego głosu przyprowadził ją o dreszcz. Spróbowała wyprostować plecy, by robić wrażenie bardziej nieprzystępnej, bo całą sobą pragnęła podbiec do niego i powiedzieć, że gotowa jest uciekać z nim zawsze i wszędzie, że chce po prostu z nim być. Teraz i zawsze.

Wszedł w krąg światła. Wydawał się ogromny w maleńkiej kabinie.

- Gdzie są dzieci?

- Tam. - Margaret wskazała ręką drugie drzwi prowadzące do sąsiedniej kabiny.

Spojrzał na nie, a potem obrócił się twarzą do Margaret i wpatrywał się w nią, jakby była najważniejszą osobą w jego życiu. Margaret wzięła głęboki wdech i modliła się w myślach o to, żeby okazało się to prawdą.

Schował ręce do kieszeni i zaczął rozglądać się po kajucie, nagle bardzo starannie unikając wzroku Smitty. Przez dłuższy czas patrzył w podłogę. W końcu jednak spojrzał na nią.

- Tym razem nie ucieknę.

Stała, niezdolna do najmniejszego ruchu, bo nie była pewna, czy dobrze go zrozumiała. Wszystko zagłuszało jej serce, które waliło jak młotem. Na sekundę odwróciła od niego oczy, zmieszana, przerażona i wzruszona.

- Smitty.

Popatrzyła na niego.

- Słyszłaś, co powiedziałem?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Zaśmiał się cicho, ale wesoło.

- Chyba chcesz, żebym to powtórzył.

- Co?

- Tym razem nie ucieknę.

Natychmiast pojęła, o czym mówi. Zamknęła oczy i odetchnęła. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że do tej pory wstrzymywała oddech. Ogarniające ją emocje sprawiły, że łzy napłynęły jej do oczu, a w gardle poczuła ucisk. Chwilę później była już w jego ramionach.

Ślub wzięli w małym kościele w Port Moresley. Świątynia stała na szczycie klifu, powyżej miejsca, gdzie fale rozbijały się o skalisty brzeg. Wiał tam ciepły wiatr figlujący w ogromnych koronach figowców. Kościółek był biały, miał strzelistą wieżę i wąskie okna z zielonymi okiennicami. Był tak tradycyjny, jak ślub był niezwykle.

Panna młoda szła boso. Kostki jej nóg okalały bransoletki z kwiatów. Jeden z przegubów dłoni był ozdobiony podobnie. Wysoko upięte włosy krasily orchidee. Ubrana była w różową jedwabną suknię balową, która szeleściła przy każdym ruchu, gdy szła w stronę nawy trzymając na biodrze ubrane na biało dziecko.

Obok niej kroczył chłopiec w nowiuteńkim ubraniu. Błyszczące mosiężne guziki i krótkie spodenki dodawały mu pewności siebie. Na jego buzi malowało się nie zakłócone niczym szczęście. Dziewczynka w biało-różowej bawełnianej sukience, z ogromną kokardą i pasującymi do niej wstążkami we włosach, szła przy malcu.

Pan młody ubrany był w strój wieczorowy. Biały fular i frak, perłowe spinki przy kołnierzyku. Na głowie miał czapeczkę do baseballa z napisem „Chicago White Stockings”, założoną tyłem do przodu.

Cała grupa zachowywała się swobodnie. Nie widać było normalnego w takich przypadkach zdenerwowania. Nie było też żadnych gości. Tylko najbliższa, nowa, rodzina.

Mała sięgnęła po jeden z kwiatów zdobiących włosy panny młodej, a potem próbowała sama nim się przystroić. Rozpłakała się, bo jej wysiłki nie dawały rezultatu. Pan młody pochylił się, podniósł upuszczony kwiat i zatknął go za białą wstążkę zdobiącą rudą główkę. Powiedział małej, że jest prześliczna. Potem zwrócił się do panny młodej:

- Prawie tak śliczna jak twoja mama.

Margaret stała obok Hanka i dzieci wsłuchana w słowa księdza. Theodore robił miny. Zauważyła kątem oka, że Lidia uszczypnęła go i dobiegł ją szept dziewczynki upominającej brata, żeby zachowywał się spokojnie. Uśmiechnęła się i rozejrzała dookoła.

Gdyby kiedykolwiek wyobrażała sobie własny ślub, podobna scena nigdy nawet nie przyszlaby jej do głowy. Margaret Smith, magister prawa, bosa, z dzieckiem na rękę i dziećmi stojącymi obok, wychodząca za wysokiego, obcesowego byłego zawodnika drużyny baseballowej i byłego więźnia.

Gdy jednak spojrzała na Hanka po wypowiedzeniu słów przysięgi małżeńskiej, wiedziała, że to właśnie było jej przeznaczone. Kapłan zwrócił się do Hanka:

- Czy ma pan obrączki? Chciałbym je pobłogosławić.

Wiedziała, że Hank ich nie ma, ale nie przejmowała się zewnętrznymi symbolami małżeństwa. Gdyby się przejmowała, nie brałaby ślubu boso.

Hank pomacał kieszonkę we fraku, a potem wsunął rękę do kieszeni spodni. Uśmiechnął się i wyciągnął dłoń w stronę księdza, którego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

Margaret spojrzała na Hanka. Na otwartej dłoni trzymał różową perłę.

- Proszę ją pobłogosławić. Już niedługo zamieni się w ślubny pierścionek.

Doprawdy, Hank potrafił być przygotowany na każdą okazję, choć Margaret zupełnie się tego po nim nie spodziewała. Przysięgła sobie w duchu, że nigdy już, poczynając od dnia ślubu, nie będzie lekceważyć swego męża.

Mrugnął do niej, podczas gdy biedny kapłan błogosławił gigantyczną perłę. W chwilę potem oddał ją Hankowi. Hank wziął Margaret za rękę i położył na niej klejnot. Zamknął jej dłoń w swoich rękach.

Nachylił się nad nią i wyszeptał:

- Czyżbyś płakała?

Potwierdziła skinieniem głowy i spojrzała na niego poprzez łzy wzruszenia wypełniające jej oczy. Zobaczyła, jak wolno pokręcił głową. Ale to niewiele pomogło. Po prostu nie mogła się opanować. Płakała, kiedy ksiądz ogłosił ich mężem i żoną.

Theodore podskakiwał do góry i wołał:

- Pocałuj ją! Pocałuj ją!

Płakała, kiedy mąż ją całował. Płakała jeszcze bardziej, kiedy wziął ją na ręce razem z dzieckiem i wyniósł z kościoła. Starsze dzieci biegły obok nich i głośno się śmiały. Ten płacz był bardzo niemądry, bo przecież była teraz tak szczęśliwa jak jeszcze nigdy w życiu.

Hank stał na werandzie pokoju, który wynajęli w hotelu „Port Moresley”. Przed nim rozciągała się zatoka posrebrzona światłem księżyca. Widział statki zakotwiczone w portowych dokach. Ogniki ich latarni odbijały się w czarnej toni. Nowa rodzina planowała wyjazd za dwa dni. Oceanicznym liniowcem, który miał przyplłynąć następnego dnia, w niecałe trzy tygodnie dotrą do San Francisco. Trzy tygodnie.

Hank wychylił się ponad drewnianą barierką. Był pogrążony w myślach o tym, co może się wydarzyć. Ulicą pod balkonem przejechało kilka wozów i dorożek, choć pora była późna - zbliżała się północ.

- No, w końcu usnęły.

Odwrócił się na dźwięk głosu Smitty. Oparł się biodrem o balustradę. Margaret stała w drzwiach obrysowana światłem lampy palącej się za nią w pokoju. Wykąpała się wcześniej i chodziła teraz ubrana w jakąś fikuśną sukienkę, którą kupiła w sklepie tekstylnym, tym samym, gdzie sprawili dzieciom ubranka.

Doszedł do wniosku, że powinien powiedzieć jej coś miłego. Cholera, przecież był teraz jej mężem. Nie obchodziło go jednak ani trochę, w co była ubrana. Mówiąc szczerze najbardziej lubił, gdy nie miała na sobie żadnego ubrania i zdołał ją jedynie zapraszający uśmiech.

Wyprostował się i zbliżył do niej.

- Wejdźmy do środka.

Zamknął za sobą oszklone drzwi werandy. Potem, dla porządku, zerknął na drzwi prowadzące do pokoju dzieci. Jeszcze kilka minut temu Theo wchodził i wychodził od nich co najmniej pięć razy.

- Śpi. Upewniłam się co do tego.

Pokiwał głową,

- Ten dzieciak gadał przez ostatnie piętnaście godzin.

Roześmiała się.

- Był bardzo podekscytowany.

Milczeli przez chwilę, a potem Hank spojrział na nią.

- Zastanawiam się jakie było naprawdę ostatnie życzenie małego.

- Nie mam pojęcia. Nie chciał nikomu powiedzieć, nawet Lydii.

- Może chodziło o statek.

- Sądząc po jego zadowolonej minie w kościele, można by sądzić, że wszystko działa się po jego myśli.

Hank znowu popatrzył na Margaret.

- Co takiego?

- Chciał mieć tatę.

Roześmiał się złośliwie.

- No, to już go ma. I co teraz ze mną zrobi?

- Prawdopodobnie będzie cię zagadywał na śmierć przez następne trzydzieści lat.

Przez jakiś czas oboje śmiali się z tego. Potem Hank wyciągnął rękę w jej stronę i pogłaskał ją po policzku. Podsunął dłoń pod jej brodę i uniósłszy ją do góry, zmusił, by Margaret patrzyła mu w oczy.

- A ty, złociutka? - Uśmiechnął się szeroko. - Co ty masz zamiar ze mną zrobić?

Objęła go za szyję i przytuliła się mocno.

- Najprawdopodobniej będę cię zagadywała na śmierć przez następne trzydzieści lat.

Śmiał się. Otoczył ją ramionami. Odpowiedziała uśmiechem i spojrzała mu w oczy.

- A co ty masz zamiar robić ze mną?

Jego ręce przesunęły się na przód jej sukienki. Zręcznie odpinał guziki, jeden po drugim. Musnął ją palcami to tu, to tam. Jedno, dwa uderzenia serca i już jedynie uśmiech zdobił Margaret. Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

- Mam zamiar bardzo mocno cię kochać, złociutka.

Sześć tygodni później, San Francisco, Kalifornia

Rezydencja była imponujących rozmiarów. Stała na szczycie wysokiego wzgórza nad zatoką niczym władczyni tego skrawka ziemi. Jaskraworóżowe tropikalne pnącze porastało południową ścianę budynku. Prowadziła do niego brukowana aleja obsadzona wierzbnymi chylącymi korony przed silnym wiatrem wiejącym znad Pacyfiku. Z tyłu domu znajdował się ogród poprzecinany zwirowanymi ścieżkami, pełen odurzającego zapachu róż kwitnących na wybujałych krzakach. Obok szemrała fontanna w kształcie lwiej głowy. Właśnie tam koza przystrojona różową wstążką piła wodę spadającą do wyłożonego kafelkami baseniku.

Wewnątrz domu ściany i schody zostały zrobione z drogiego kalifornijskiego dębu, wypolerowanego na wysoki połysk. Mahoń nie mógł się z nim równać - takiej głębi koloru i doskonałości faktury nie gwarantował żaden inny surowiec. Dziecięcy śmiech niósł się echem wzdłuż korytarzy.

Trzasnęły kuchenne drzwi. Dało się słyszeć chrzęst żwiru na ścieżce. Chłopiec biegł w stronę ławki, gdzie pogrążeni w rozmowie siedzieli Hank i Margaret.

Theodore zahamował ostro tuż przed nimi. Ledwo łapiąc oddech, zdołał jednak wysapać podniecony:

- Dziadek Harlan powiedział, że musicie przyjść do domu!

Ręce Hanka mocniej objęły dłonie Margaret. Spojrzała na niego.

- Czyżby nadeszły jakieś wieści o ekstradycji?

Roześmiała się.

- Niemożliwe. Minął dopiero tydzień od dnia, gdy byliśmy w sądzie. W żaden sposób to nie mogło stać się tak szybko - stwierdziła i wstała z ławki.

Weszli do środka. Przeszli korytarzem obok hallu na parterze. Margaret ciągnęła Hanka za sobą. Szli w stronę głosów dochodzących z gabinetu. Gdy tylko tam weszli, Margaret stanęła jak wryta, widząc bardzo poważny wyraz twarzy ojca.

- Co się stało?

Starszy pan spojrział na trzymany w rękę papier i zdjął okulary. Odłożył je na biurko. Jego wzrok, nie zatrzymując się na Margaret, spoczął na Hanku, który bezwiednie wypuścił z ręki jej dłoń.

Margaret przyglądała się to jednemu, to drugiemu, starając się zrozumieć znaczenie spojrzenia, które wymienili. Podeszła do ojca. Podał jej pismo. Przeczytała. Podniosła oczy znad papieru i skierowała wzrok na obcych mężczyzn znajdujących się w pokoju.

- To polecenie odstawienia Hanka do więzienia stanowego. - Obróciła się do ojca. - Zaszła chyba jakaś pomyłka. Podczas rozprawy został przecież zwolniony z aresztu za twoim poręczeniem. Myślałam, że wszystko jest załatwione. O co tu chodzi?

- To pan Cornelius, Margaret, ze stanowego biura prokuratora generalnego.

Człowiek w czarnym, o wiele za dużym na niego garniturze wyszedł na środek pokoju.

- Rząd francuski wystąpił do Departamentu Sprawiedliwości z prośbą o odrzucenie poręczenia i zatrzymanie pana Watta w areszcie do czasu całkowitego zamknięcia śledztwa.

- Ależ on sam się zgłosił. Zapewniono nas, że nic takiego nie będzie miało miejsca.

Cornelius mówił do niej, jakby głaskał ją po głowie po to, aby lepiej go rozumiała:

- Ponieważ jest oskarżony o morderstwo, na dodatek uciekł...

- Tym razem nie ma zamiaru uciekać.

Urzędnik uśmiechnął się.

- Jestem przekonany, że pani w to wierzy, pani Wyatt. Jest pani w końcu jego żoną, ale zainteresowany sprawą rząd jest przeciwnego zdania.

- Jestem także adwokatem, panie Cornelius, i dlatego może pan powiedzieć francuskiemu rządowi i Departamentowi Sprawiedliwości, żeby poszli do wszystkich diabłów!

- Margaret!

- Obiecałam Hankowi, tato. To po prostu jakieś biurokratyczne brednie.

Przez cały czas Hank stał, nie odzywając się słowem. Ojciec Margaret podszedł do niego i położywszy mu rękę na ramieniu szeptał mu coś na ucho. Hank zamrugał oczami - był to jedyny znak świadczący, że usłyszał cokolwiek.

Jeden z mężczyzn wyszedł z szeregu; trzymał w rękach kajdanki, które wyciągnął z kieszeni spodni.

- Panie Wyatt, proszę założyć ręce do tyłu.

Margaret widziała, jak Hank bierze głęboki oddech i składa ręce na plecach. Nie patrzył na nią. Utkwił wzrok gdzieś nad jej głową. Złapała ojca za ramię.

- Tato! Obiecałam mu! Proszę! Czy nie możesz nic zrobić?

Zdjął jej rękę ze swego ramienia i odsunął się na bok.

- Spróbuję zrobić, co w mojej mocy, ale w tej chwili tylko utrudniasz wszystko Hankowi. Przestań. Dla jego dobra. On nie ma wyboru i my także. Musi iść z nimi.

- Hank - wypowiedziała jego imię na wpeł błagalnym tonem i odwróciła się do niego.

- Margaret! - Ojciec pochylił się w jej stronę. - Jeśli go kochasz, nie rób tego. Nie odzieraj go z godności.

Wyrwała się ojcu i stanęła oparta o drzwi, trzymając się klamki. Gdy przechodzili obok niej, spojrzała na Hanka i nie wydając żadnego dźwięku, poruszyła ustami.

- Kocham cię.

Zatrzymał się na sekundę, skinął jej głową, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

- To mój tato! - Krzyk Theodore'a niósł się echem po domu. Margaret wybiegła z gabinetu ojca i zobaczyła Theo i Lidię stojących w hallu. Nie odrywali oczu od idącej grupy. Zauważyła, że Hank potknął się, gdy dostrzegł dzieci.

Chłopiec podbiegł do niego.

- Co robicie z moim tatą? Dlaczego założyliście mu kajdanki?

Margaret zeszła do hallu. Objęła Theodore'a i Lidię, którzy stali teraz bardzo cicho. Wyczuwała drżenie ramion dziewczynki, gdy mijał ich skutny Hank.

- Zabierają go do więzienia, Smitty? - zapytał Theodore. - Do więzienia?

- Na krótko - odpowiedziała mu starając się mieć nadzieję, że tak właśnie będzie.

Lydia wysunęła się z ramion Margaret i pobiegła do Hanka. Objęła go w pasie, przytuliła policzek do jego brzucha i mocno zacisnęła powieki.

Hank przystanął. Otaczający go mężczyźni patrzyli bezradnie na dziewczynkę. Wzrok Hanka spoczął na jej główce. Margaret widziała, że z trudem przełknął ślinę.

Ojciec podszedł do Lydii i wziął ją za rękę.

- Chodź z dziadkiem, maleńka. - Delikatnie pociągnął ją za sobą.

- Lydio. - Głos Hanka brzmiał dokładnie tak jak zawsze. To musi być dla niego ogromny wysiłek, pomyślała Margaret. - Opiekuj się tą cholerną kozą, dobrze?

Dziewczynka skinęła głową. Po policzkach płynęły jej łzy. Stała spokojnie obok dziadka.

Zabrali Hanka. Wyszli przez drzwi i potem w dół, schodami, do czarnego powozu, pilnowanego przez dwóch policjantów. Wsiadli.

Margaret nie mogła zrobić kroku. Wpatrywała się w profil Hanka. Wyciągnęła rękę do Lydii. A potem przytuliła do siebie i chłopca, i dziewczynkę. Powiedziała cicho:

- Tatusz niedługo wróci do domu. Obiecuję. Niedługo wróci.

Prowadzili Hanka wilgotnym korytarzem o brudnych liszajowatych ścianach, wyłożonym szarym linoleum. Im bardziej zagłębiali się w więzienne korytarze, tym gęściejsze zdawało się wypełniające je powietrze, jakby od stuleci nigdy nie otworzono tu okna.

Rozlegające się dźwięki były ostre i nieprzyjemne. Z pobliskiego biura dochodził stukot maszyny do pisania. Gdy przechodzili obok szklanych wahadłowych drzwi, owionął ich intensywny zapach brylantyny i cebuli bijący od siedzącego tam mężczyzny. Szelest papieru, stukot podkutych butów strażników. Brzęk łańcucha od kajdanek, głośniejszy niż odgłos żelastwa skuwającego nogi więźniom na wyspach, ale równie skutecznie wyprowadzający z równowagi.

Słysząc było też zgrzytanie kluczy w zamkach. Z głośnym skrzypnięciem otworzyły się przed nimi solidne, metalowe drzwi. Hank stanął na wprost szeregu okratowanych cel. Najgorszy z nocnych koszmarów stał się rzeczywistością.

Strażnik popchnął go pałką. Hank szedł bardzo powoli, czując, jak ściany napierają na niego, oddzielając go od świata. Oddychał z coraz większym trudem. Coraz trudniej było mu iść. Coraz trudniej unieść nogę.

Jeszcze trudniej było powstrzymać się od krzyku, od walki i od próby ucieczki. Każda cząstka jego jestestwa wydzierała się: „Uciekaj! Uciekaj! Zrób to! Frajer! Frajer! Dureń!”

Zatrzymali się przed pustą celą. Hank usłyszał dobrze znany brzęk kluczy i zgrzyt zamka. Wszedł do środka, wpatrując się w ściany zbudowane z cementowych cegieł. Emaliowany dzbanek i miska stojące w rogu. Prycza nakrytą cienką bawełnianą kołdrą równiutko złożoną na brzegach. Materac w szaro-niebieskie pasy. Płaska poduszka.

Drzwi celi zatrzasnęły się z hukiem. Dźwięk przeszył go na wylot. Hank nie cofnął się jednak. Stał w miejscu. Wsłuchiwał się w stukot obcasów strażnika, uderzających o cementową podłogę. Doszło go skrzypnięcie otwieranych drzwi, a potem głośny trzask, gdy się zamknęły. Zaległa martwa cisza.

Nie miał pojęcia, jak długo tak stał. Celę oświetlało jedynie nikłe światełko lampy wiszącej na zewnątrz. Usłyszał kaszel innego więźnia. Suchy, przejmujący odgłos. Podszedł do ściany. Oglądał szare, bardzo solidnie wykonane cegły. Uderzał w nie pięścią trzy... cztery... pięć razy, aż zaczął krwawić. Oddychał chrapliwie, jakby brakowało mu powietrza.

Spojrzał na knykcie. Widział na nich krew. Zamierzył się ponownie chcąc uderzyć w ścianę, ale wstrzymał ruch ręki – na cemencie były ślady krwi. Wydawały się brązowe na szarym tle. Smutnym, szarym tle.

Oparł się o ścianę, dotykając jej rozczapierzonymi palcami. Spuścił głowę, opierając ją na ramieniu. Ręce zaczęły mu drżeć. Ale nikt tego nie widział. Drżały mu ramiona. Ale nikt nie widział go, stojącego przy ścianie. Nikt nie widział jego twarzy. Zakrył ją ręką.

I nikt nie widział, że płacze.

Drzwi od pokoju odwiedzin zamknęły się, tłumiąc paplaninę Theodore'a, kiedy dzieci wyszły razem z dziadkiem.

- Smitty.

Margaret patrzyła na Hanka siedzącego po przeciwnej stronie przegrody. Stał za nim strażnik.

- Nie przyprowadzaj ich tutaj już nigdy więcej.
- Hank, proszę!
- Mówię poważnie, do cholery! Nie przyprowadzaj ich tutaj! To nie jest miejsce dla dzieciaków.

- Ani dla ciebie. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Przepraszam. Nigdy nie chciałam, żebyś przechodził przez to jeszcze raz. Ja... - Urwała w pół zdania, bo słowa stały się bezużyteczne.

Wziął ją za rękę, a ona splótła palce z jego palcami. Tęskniła za tym. Coś podpowiadało jej, że on potrzebuje tego jeszcze bardziej niż ona. Podniósł jej rękę do ust. Pochylając głowę i przymykając oczy, pocałował. Trwało to tylko chwilę. Nic nie powiedziała. Po prostu czekała.

Westchnął ciężko i z powrotem położył ręce na stole. Spojrzał na nią. Jego oczy pozbawione były wyrazu.

- Obiecuj mi, Smitty, że nie będziesz przyprowadzała tutaj dzieci. Obiecuj.

Wzięła głęboki wdech i skinęła głową.

- Wysłałam telegramy. Tato też. I wszyscy, których znamy. Musimy czekać. To nie może już długo potrwać.

- Przestań to robić - powiedział kręcąc głową z powątpiewaniem. Nie miała pojęcia, co powiedzieć, by mu pomóc, by pomóc samej sobie. I wiedziała o tym, on także wiedział. Siedzieli naprzeciw siebie i trzymali się za ręce. Tylko tyle mogli zrobić.

Słyszała monotony szum wiatraka wiszącego na suficie i obracającego się nad nimi. Z oddali dochodził ją szelest papierów i przytłumione głosy ludzi pokrzykujących gdzieś w korytarzach. Ktoś roześmiał się, bardzo daleko od pokoju wizyt. Zabrzmiało to jak kpina. Czuła mocny zapach żywicy, którą polerowano drewno w tym pomieszczeniu. W chwilę później usłyszała stukanie butów o wyłożoną kafelkami podłogę.

- Czas minął, Wyatt. - Strażnik obrzucił ją szybkim spojrzeniem. - Pani wybaczy, pani Wyatt.

Chciała wstać, ale zdała sobie z przerażeniem sprawę, że nie jest w stanie tego zrobić bez pomocy. Dlatego nie poruszyła się. Hank podniósł się sztywno i bez słowa ruszył w stronę drzwi. Strażnik otworzył je przed nim. Hank odwrócił się, tylko raz i popatrzył na Margaret.

Przerwano im i teraz każde z nich starało się wypełnić jakoś pustkę, która ich ogarniała, ale ani Hank, ani Margaret nie wiedzieli, jak tego dokonać.

Hank bał się. Był nie na żarty wystraszony. Po raz pierwszy w życiu coś miało dla niego znaczenie. Cztery osoby. Ale jak ważne. Instykt nakazywał mu kopać i walczyć, by wydostać się stąd, połączyć z rodziną i uciec z powrotem na wyspę, gdzie byłiby bezpieczni.

Nie mógł jednak tego zrobić. I nie robi. Dlatego, że Smitty wierzyła w istnienie sprawiedliwości na tym parszywym świecie, wierzyła, że ludzie są sobie równi i ostatecznie dobro zwycięża zło i podobne bzdury, w które on nigdy nie wierzył. Starał się jednak dla dobra dzieciaków i dla niej. Robił to w imię ich przyszłości. Wiedział, że nie złamie się aż do ostatniego dnia swego życia, przeżyje każdy zaszany dzień. Będzie się korzył. Będzie się czołgał. Zniesie wszystko, każdą sekundę upokorzenia, byle tylko być z nimi.

Chociaż przez całe życie nie był zbyt gorliwym wyznawcą Boga, teraz zaczął się modlić. Teraz złożył mu znacznie więcej obietnic niż przez czterdzieści lat swego żywota. I mógł mu ofiarować jedynie swoją czarną duszę. Jeżeli miał mieć jakąś przyszłość, dla której warto żyć, to był gotów na wszystko, na każde poświęcenie. Porzucił dumę. Bo bez rodziny i tak nic się dla niego nie liczyło.

Telegram przyniesiono wcześniej rano. Za wcześniej, nawet dla Margaret. Usłyszała dzwonek rowerowy. Wskoczyła z łóżka i wyjrzała przez okno sypialni. Rower postaćca leżał na pierwszych stopniach frontowych schodów.

Zarzuciła na siebie szlafrok. Związała go paskiem, gdy zbiegała na dół. Otworzyła drzwi w momencie, gdy chłopak unosił rękę do kołatki.

- Telegram dla... - młody człowiek zerknął na kopertę - Harlana Smitha i Margaret Huntington Smith Wy...

Wyrwała mu papier, wcisnęła w rękę monetę wyjętą z portmonetki leżącej na stoliku obok drzwi.

- Dziękuję.

Stała bez ruchu, wpatrując się w telegram. Serce podchodziło jej do gardła. Rozdarła kopertę i przeczytała, raz i drugi. Chwyciła się drzwi i oparła o nie całym ciężarem. Wzięła głęboki oddech. Odetchnęła ponownie. W sekundę później nogi ugięły się pod nią, upadła na kolana i zgięta wpół objęła się w pasie ramionami. Zanosiła się płaczem tak bardzo, że ledwo mogła oddychać.

Łzy wylewane teraz, choć trwało to bardzo długo, warte były całych tygodni płaczu. Zbierając siły Margaret podniosła się w końcu. Kilkakrotnie wciągnęła powietrze starając się wstrzymać szloch. Ruszyła wolno w stronę schodów, spojrzała do góry i zawołała dzieci.

Hank usłyszał kroki strażnika. Potem zgrzyt klucza obracanego w zamku. Skrzypienie drzwi. Zamrugał oczami w ciemnościach panujących w celi. Był zdezorientowany. Wyrwany ze snu, który i tak nie przychodził mu łatwo.

- Wstawaj - powiedział strażnik. - I ruszaj ze mną.

Stanął na niepewnych nogach. Były tak samo zdrętwiałe jak całe jego ciało. Posuwał się wąskim korytarzem prowadzącym do wewnętrznego więziennego hallu. Strażnik otworzył kolejne drzwi i zaczął, aż Hank przejdzie.

Po drugiej stronie czekał inny strażnik. Człowiek w uniformie obrócił się po prostu i odszedł kilka metrów. Przekręcił klucz w drzwiach prowadzących do pokoju, którego Hank nie widział nigdy przedtem. Napięcie rosło. Spojrzał na mężczyznę w mundurze, trzymającego uchylone odrzwia. Żaden z nich nie odezwał się jednak słowem. Hank bardzo wolno wszedł do środka.

Zobaczył teścia stojącego w przeciwległym rogu pokoju. Starszy człowiek obrzucił go spojrzeniem, a potem zbliżył się i wręczył mu telegram. Hank wziął papier drżącą ręką.

Podniósł telegram do oczu i wpatrywał się w litery, niezdolny do skoncentrowania wzroku na tyle, by go przeczytać.

Do: Departamentu Sprawiedliwości Stanu Kalifornia, San Francisco, Kalifornia

Od: Monsieur Guy De Partain, Laison de Justice, Papeete, Tahiti

Zgodnie z nowymi informacjami i na podstawie zeznań Jeana Laroche'a, brata ofiary morderstwa, Henriego Laroche'a, wszystkie zarzuty wysuwane przeciwko obywatelowi Stanów Zjednoczonych Henry 'emu Jamesowi Wyattowi zostały oddalone w dniu 5 grudnia 1896 roku, na trzy dni przed jego ucieczką z kolonii karnej Leper's Gate na wyspie Delfina. Przedsięwzięcie dalszych kroków wydaje się zatem niepotrzebne.

Hank przeczytał wszystko ponownie, a potem spojrzał na Harlana.

- Czy to prawda?

- Tak.

- Zanim uciekłem? - Hank zapatrzył się ponownie w telegram. Wydrukowane słowa zachodziły mgłą. Przełknął głośno ślinę, przeczesał włosy palcami. Stał w miejscu. Ośłupiał, nie mógł uwierzyć w to, co widział.

- Jesteś wolny, synu - powiedział Harlan obejmując zgarbione ramiona zięcia.

Hank skinął głową. Coś zaciskało mu krtań tak mocno, że nie był zdolny wypowiedzieć choćby jednego słowa.

- Twoja rodzina czeka. - Teść wskazał inne drzwi. Hank ruszył w ich stronę. Nie był pewny, czy są otwarte. Były otwarte. Uchylił je.

Za drzwiami znajdował się długi ciemny korytarz. Hank zaczął biec. Skręcił w następny korytarz. Mknął szybciej niż jakikolwiek czterdziestoletni były gracz w baseball. A potem zobaczył otwarte drzwi wypełnione blaskiem słońca.

Pędził. Szybciej niż Smitty. Przez hall. Do drzwi. Do dziennego światła. Zatrzymał się oślepiiony jasnymi promieniami. Zauważył ich. Na razie tylko sylwetki - wysoka kobieta z dzieckiem trzymanym na biodrze, dziewczynka ze sterczącymi na boki warkoczykami i mały chłopiec z baseballową czapeczką na głowie, założoną tyłem do przodu.

I Hank Wyatt, który przez całe życie uciekał przed prawie wszystkim, pobiegł jak wszyscy diabli w stronę tego, w co jedynie wierzył. W stronę swojej rodziny.

Gdzieś na Oceanie Spokojnym

Butelka była stara jak świat.

Unosiła się na powierzchni wody popychana falami niczym resztki rozbitego statku, a nie bogato zdobione srebrne cacko. Rzeźbiona zatyczka odbijała jasne promienie

słoneczne. Szybującym w górze mewom błyszcząca butelka jawiła się jako tłusty, połyskujący śledź - łowieckie trofeum.

Wiele ptaków pikowało w dół i równie szybko wznosiło się w powietrze, po tym jak ich dzioby zamiast zagłębić się w delikatnym, pokrytym lśniącoymi łuskami mięsie, trafiały na twardy metal... i klejnoty.

Na starej, srebrnej butelce dzinna połyskiwało bowiem niczym medale za waleczność pięć pereł o doskonałych kształtach. Muddy leżał w środku, rozparty na poduszkach. Pozwalał, by morze kołysało go do drzemki. Jego własne życzenie stało się faktem dokonanym, a ostatnie polecenie pana i władcy wykonane. Tym razem jednak nie martwił się o to, czy ktokolwiek znajdzie butelkę. Muddy nie musiał już marzyć o kimś, kto wierzyłby w rzeczy niemożliwe i kto miałby czyste serce. Spotkał kogoś takiego. Jednym słowem, jego marzenie się spełniło.

Uśmiechnął się i rozejrzał po zagraconym wnętrzu butelki. Nie było jednak już tak bardzo przepełnione rzeczami. Tym razem dzinn wyrzucił z flaszki znacznie więcej, niż do niej przyniósł.

Spojrzał na skórzane buty i stuknął obcasami. Nie usłyszał żadnych dzwoneczków. Roześmiał się głośno i sięgnął po rzecz, która była dla niego cenniejsza niż wszystko, co wymyślił w całym życiu, cenniejsza nawet od pereł zdobiących jego dom.

Sięgnął po fotografię rodziny siedzącej w pełnym słońcu na plaży.

Park New Recreation

San Francisco, Kalifornia, 1908 rok

W parku, gdzie znajdowało się boisko do baseballa, oddanym do użytku dwa lata wcześniej, słoneczny dzień dobiegał końca. Trzęsienie ziemi zniszczyło stary park i większą część miasta. Jednak San Francisco szybko otrząsnęło się z nieszczęścia. Odbudowa nie trwała długo dzięki poświęceniu i uporowi mieszkańców, którzy teraz zgromadzili się wokół boiska, by podziwiać swoją drużynę, San Francisco Seal, grającą z Portland.

Hank Wyatt przeczesał palcami włosy, chodząc nerwowo po szatni Sealsów. Zatrzymał się i popatrzył na swoją drużynę, której był właścicielem i trenerem od dziesięciu lat.

Gracze wpatrywali się w niego. Każdy z nich, co do jednego, nosił baseballową czapkę założoną tyłem do przodu. Na szczęście. Przegrywali pięć do ośmiu po ostatnim meczu w sezonie.

Drużyna, która wygra ten mecz, zdobędzie mistrzostwo ligi wybrzeża i zakwalifikuje się do zimowych rozgrywek w lidze centralnej.

Hank zlustrował szereg i zaklął.

Najgorszy z zawodników, Tabasco Reynolds, podchodził właśnie do kija. Dzieciakowi nie udało się nigdy odbić piłki przez ostatnie dwa lata. Dwóch stało na aucie. Bazy były pełne. Hank nie mógł na to patrzeć.

Przebiegł wzrokiem po trybunach.

Theo, jego syn Theodore, machał do niego. Hank zmarszczył czoło, a Theo w tym czasie obrócił czapkę na głowie kilkakrotnie i wskazywał palcem to na nią, to na Hanka. Hank spojrzał do góry i zauważył daszek własnej czapki. Sekundę później miał ją już założoną tyłem do przodu. Theo pokazał mu uniesiony do góry kciuk.

Dobry był z niego chłopak. Przez całe lato pracował z drużyną, a na jesieni zaczynał studia w Stradfordzie. Do dzisiaj jednak nikomu nie powiedział, jakie było jego ostatnie życzenie.

Hank przeniósł wzrok na żonę. Niewiele się zmieniła przez ostatnie dwanaście lat. Przybyło jej kilka siwych włosów, kilka zmarszczek od śmiechu. Była jednym z najbardziej poważanych w mieście prawników. Dla niego jednak była po prostu i przez cały czas najpiękniejszą kobietą, jaką widział w życiu. Jej ciało straciło trochę na jędrności, biodra stały się krągłejsze.

Urodziła przecież troje dzieci. Jemu w niczym to nie przeszkadzało. To, że trochę przytyła, nie przeszkadzało Hankowi - miał więcej do pieszczenia w nocy.

Przez ostatnie półtora roku Smitty pracowała bardzo ciężko pomagając naprawić całe zło, jakie się zdarzyło przy trzęsieniu ziemi. Jej rodzina miała szczęście. Dom na skarpie wcale nie ucierpiał. Jednak wielu innych ludzi zostało bez dachu nad głową. I Hank mógł

być pewien, że Margaret nie ustanie w wysiłkach, dopóki ostatnia z osób poszkodowanych podczas kataklizmu nie otrzyma godziwego odszkodowania.

Patrzył teraz na dzieci zajmujące ławkę zarezerwowaną specjalnie dla jego rodziny. Na samym brzegu siedziała Lydia. Uśmiechała się do niego i machała rękę. Była już panną na wydaniu. Dyplom uniwersytetu w Strandford otrzymała w czerwcu zeszłego roku. Śmiesznie odstające warkoczki gdzieś przepadły, a kiedy, drażnił się z nią na ten temat, odpowiadała:

- Lekarze nie noszą warkoczków, tato.

Annabele podrzucała do góry orzeszki i łapała je do otwartej buzi - tak jak ją nauczył. Była szczęśliwą dziewczyną. Zawsze uśmiechnięta, obściskiwała, - kogo mogła. Czasami też, niby bezwiednie, klęła tak samo jak Hank.

Johnny i Jake byli braćmi - dziećmi ulicy, których znalazł śpiących na śmietniku obok biura Smitty pewnego zimowego poranka, jakieś osiem lat temu. I Cora. Siedmiolatka. Została sierotą w dniu narodzin. Następnego dnia, miała już jednak rodzinę.

Billy, Dennis i Lucy. Taaa... tę trójkę dostał w darze od Smitty. Po matce odziedziczyły spryt i skłonność do przekory.

Hank uśmiechnął się. Mieli ze Smitty cholernie dużą frajdę, kiedy trudzili się, by je począć. Każdego dnia Hank dziękował Bogu, losowi, a nawet nieznośnemu dżinnowi za to, co miał teraz.

Dziewięcioro dzieci - wystarczyłoby ich na pełną drużynę baseballową. I każde z nich swoim pojawieniem się przypominało mu, że nigdy nie rozumiał maluchów i nadal ich nie rozumie.

Piłka z głośnym świstem przecięła powietrze. Tłum wrzał. Hank odwrócił się.

Patrzył na lot piłki, która mijała właśnie płot. Poczul obezwładniającą ulgę. Błyskawicznie spojrzął na trybuny. Smitty wiwatowała, machała rękami i pięknie kołysała piersiami.

Przez moment nie odrywał od niej wzroku. Nie potrafił, mimo tylu lat spędzonych razem. W końcu jednak odwrócił się od niej uśmiechnięty, wsunął ręce do kieszeni i ruszył w stronę boiska, do miejsca, gdzie zgromadzili się zawodnicy, gdzie łopotąły proporce i czapki wlatywały do góry. Przystanął na chwilę i jeszcze raz spojrzął na tłum. Zatrzymał wzrok na rodzinie.

Hank Wyatt wiedział teraz, że osiągnął już wszystko.